



*blizej niż*

# *niebo*

T. GREENWOOD

W  
ydawnic  
two  
ab

T. Greenwood  
BLIŻEJ NIŻ NIEBO

przełożyła Klementyna Wohl



Tytuł oryginału: *Nearer Than the Sky*

Copyright © 2000 by T. Greenwood

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Klementyna Wohl, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Podziękowania](#)

[Motto](#)

[Jeden](#)

[Dwa](#)

[Trzy](#)

[Cztery](#)

[Przypisy](#)



*Dla mamy, taty i K.K.*

## Podziękowania

Pisanie tej książki przypominało czasem sytuację, w której burza zaskakuje nas, gdy jesteśmy boso. Za parasole i inne formy schronienia chciałabym podziękować swojej rodzinie, rodzinie Stewartów oraz Fundacji Sherwooda Andersona. Za pomoc w przetrwaniu najgorszych burz oraz obserwację piorunów wyrazy wdzięczności należą się Lon deMatties, Nicole Norum, Christy Fletcher i Lori Applebaum. Za wskazanie rozpogodzeń na niebie dziękuję Joemu Veltremu i Ericie Fad. Za naukę tańca w kałużach zawsze będę wdzięczna Patrickowi.

Najdalszy Grzmot ze wszystkich  
Blżej niż Niebo bił  
I wciąż mimo skwaru Godzin  
Co Kulom bić nie dały – grzmi  
Przed nim Błyskawica  
Mnie, mnie jedną trafiła –  
Lecz nie oddałabym tego Gromu  
Za resztę moich Dni<sup>1</sup>

Emily Dickinson (z wiersza 1581.)

## Jeden

Rozumiem błyskawice. Nie boję się pomruku cichego jak burczenie pustego żołądka, a jednak na tyle silnego, by zatrząść ziemią pod moimi stopami. Nie boję się, gdy niebo się otwiera i oślepia moje oczy deszczem. Kiedy zaś zimne białe palce burzy sięgają ziemi, starając się kogoś dotknąć, zupełnie się nie lękam. Odpowiadam na wezwanie niebios. Rozumiemy się.

To wydarzyło się, kiedy moja matka wybiegła z Foodmartu z moją siostrzyczką Lily na biodrze. Zapomniała kupić jej aspirynę, a Lily miała gorączkę. Siedziałam w wózku na zakupy – w wieku czterech lat wciąż byłam wystarczająco mała, żeby zmieścić się w koszyku z przodu sklepowego wózka razem z torebką mojej matki. Zostawiła mnie z zakupami przy naszym pomarańczowym chevy novie i powiedziała:

– Indie, kochanie, zaraz wracam. Nie ruszaj się.

Gdy biegła z powrotem przez parking, moją uwagę zaprzętała akurat paczka czekoladowych ciasteczek, którą znalazłam w jednej z toreb z zakupami. Pamiętam, że ciasteczka miały dziurki, przez które mogłam wkładać kciuki szybko pokrywające się roztopiającą się czekoladą. Był sierpień 1970 roku i to było nasze pierwsze lato w górach północnej Arizony. Jeszcze nie wiedzieliśmy wtedy o monsunach.

Mogę się tylko domyślać, co sądzili klienci Foodmartu o pozostawieniu na parkingu małego dziecka w wózku na zakupy jak zwykłej torby z zakupami. Nie różniłam się od porzuconego na ziemi opakowania po lodach, którego niedokończona zawartość rozmiękała właśnie w słońcu. Prawdopodobnie gdyby ktoś zwrócił na mnie baczniejszą uwagę, nic wielkiego by się nie stało. Ktoś odpowiedzialny odwiózłby mnie do sklepu i w którejś alejce odnalazł moją matkę przeglądającą opakowania leków niczym okładki czasopism, które chciałyby przeczytać. Być może wtedy zdałaby sobie sprawę, że nie pozostawia się na parkingu



czteroletnich dzieci w wózkach sklepowych. Nie robi się tego nawet wówczas, gdy drugie, młodsze dziecko ma wypieki na twarzy z powodu gorączki.

Ale nikt nie zainteresował się moim losem. Kiedy automatyczne drzwi sklepu zamknęły się za moją matką, zasłaniając mi widok jej czystych butów z białymi obcasami, siedziałam w wózku i jadłam ciasteczka, podczas gdy inni klienci Foodmartu krzatali się w pobliżu, otwierali bagażniki i wycierali brudne nosy swoim dzieciom. Od czasu do czasu ktoś mnie zauważał i uśmiechał się, prawdopodobnie dlatego, że byłam umazana czekoladą, ale nikt nie poszedł szukać mojej matki. Pewnie myśleli, że wsiadła do samochodu, żeby wyregulować fotel albo znaleźć zgubioną zabawkę.

Wiedziałam, że wróci, nie bałam się o to. Pamiętam jednak nagłe ochłodzenie i długie cienie, które spowiły parking, gdy burzowe chmury przesunęły się po niebie. Pamiętam dźwięki, jakie wydawały kółka wózków sklepowych pchanych szybko po chodniku, i pierwsze krople na mojej twarzy.

Musiałam zjeść pięć czy sześć ciasteczek, każde coraz bardziej rozmiękle w nasilającym się deszczu. Pamiętam, jak pachniały moje włosy. Pamiętam, jak krople padały na moje gołe ramiona. I pamiętam zapach mokrego chodnika.

To, co wzięłam za pierwsze odgłosy piorunów, mogło się dziać po prostu w moim żołądku. Mogło to być burczenie, a nie groźba z nieba. Ale potem piorun uderzył znowu. Tym razem głośniej. Mocniej. Lecz nie bałam się aż do momentu, gdy niebo eksplodowało, groźne i złowrogie, gdy otworzyło się i deszcz przeciął powietrze ostrymi strugami, mocząc torby z szarego papieru i ciasteczko, które miałam w ręku. Kolejny huk pioruna lekko zatrzęsł sklepowym wózkiem i wtedy pierwszy raz poczułam lęk. Pamiętam głuchy odgłos mojego bijącego serca i falę gorąca w uszach, gdy z daleka patrzyłam w kierunku drzwi Foodmartu. Ale zobaczyłam tylko kasjera w czerwonym firmowym fartuchu, panią z żółtym parasolem, który otworzył się nad nią niczym skrzydła motyla, oraz mężczyznę z długą siwą brodą i torbą pełną zielonych liści. I wtedy, gdy przez szum w uszach powoli zbierało mi się na

płacz, szklane drzwi rozsunęły się po raz kolejny i ujrzałam w nich moją matkę w starannie wyprasowanej sukience w kropki na ramiączkach oraz Lily, wciąż bezpiecznie spoczywającą na jej biodrze.

– Mamo! – krzyknęłam.

Ulga spłynęła na mnie niczym zimny deszcz. Mama stała w drzwiach, bez ruchu. Nie szła w moją stronę. Widziałam, że zмага się z buteleczką aspiryny dla dzieci i próbuje wyjąć z niej puszek miękkiej zabezpieczającej waty. Obserwowałam w deszczu, jak wtyka Lily do ust pomarańczową tabletkę. Widziałam, jak moja siostra potrząsa głową i zaciska wargi na palcu mamy. Mama całuje ją w głowę, szczotką szczesuje jej z oczu jasnoblond loki i sadowi ją wygodniej na swoim biodrze. Piorun przepływa przeze mnie i pędzi pod skórą jak fale. Wtedy mama odrywa wzrok od Lily i przypomina sobie o mnie. To, co wydarzyło się dalej, trwa w mojej pamięci niczym prąd elektryczny, który nie chce opuścić ciała. Szczegóły tego wydarzenia krążą we mnie od koniuszków palców jednej ręki do drugiej, od stóp do nosa i z powrotem.

Piorun uderzył ponownie. Zabrzmiało to jak klaps. Niczym wielka dłoń plaskająca po skórze. Patrzyłam na biegnącą ku mnie matkę i wtedy zakryłam dłońmi uszy i zamknęłam oczy. Raz... dwa... trzy... Wyobraziłam sobie, że liczę jej kroki. Cztery... pięć... i otworzyłam powieki. Wszystko było białe. Metaliczne i zimne. Czułam się tak, jakby moje ciało pokąsało tysiąc pszczoł. Ale serce odnalazło nagle spokój. Nie biło, tylko szemrało. Puls przypominał szum elektrycznej kołyski. Gdy znów mogłam patrzeć, zdałam sobie sprawę, że nie siedzę już w sklepowym wózku. Leżałam twarzą w dół na bagażniku naszego samochodu ze wzrokiem utkwionym w zakupy rozsypane na ziemi. W setki różowych tabletek aspiryny dla dzieci, w kropki na sukience matki. Wózek stał na sąsiednim miejscu parkingowym i jarzył się na czerwono. Deszcz nie padał już tak mocno. Było mi jednak zimno, przeraźliwie zimno. Nie słyszałam nic poza bzyczącym odgłosem wydawanym przez moje ciało. Kiedy matka zbliżyła do mnie wolną dłoń, cofnęłam się przed jej dotykiem. Jej niebieskie oczy rozszerzyły się. Lily płakała. Gdy matka w końcu

się odezwała, wypowiedane przez nią słowa smakowały jak kwaśne mleko, a szloch siostry przypominał gorycz niedojrzałych jagód.

Mówią, że gdy trafi cię piorun, mogą się zdarzyć dwie rzeczy. Przede wszystkim możesz umrzeć. W drugim przypadku nie umierasz i doznajesz tylko niegroźnych obrażeń, jeśli w ogóle. Wypadek nie pozostawia po sobie żadnych trwałych skutków, nie przypomina o sobie żadnymi bliznami. Jednak nawet teraz, po tylu latach, nie słyszę dobrze na lewe ucho, za to tym drugim wciąż mogę smakować dźwięki. Muzykę i wiatr. Głosy i kłamstwa.

Moja matka twierdzi, że całe to zdarzenie wyglądało zupełnie inaczej. Mówi, że była w samochodzie i przypinała Lily do siedzenia, próbując jednocześnie znaleźć moją lalkę Crissy. Że nigdy nie zostawiłaby mnie samej na parkingu. Ale ja pamiętam stukot jej obcasów i różowo-pomarańczowe tabletki aspiryny roztopiające się na deszczu. A kiedy matka opowiada własną wersję tej historii, jej słowa smakują jak asfalt. Jak kamień. Jak cokolwiek, tylko nie jak prawda. Moja matka nigdy nie umiała przyznać się do winy. Ani wtedy, ani później. W jej wersji opowieści to ona była osobą, dzięki której nie stałam się zwięgloną wersją siebie. To ona uratowała mi życie. W jej wizji tego zdarzenia, każdego zresztą zdarzenia, to ona jest bohaterką. Wówczas nie znałam słów, którymi można byłoby opisać historie opowiadane przez moją matkę. Nie istniała diagnoza stwierdzająca u niej skłonność do tworzenia fikcji. Nie było definicji kobiety zmyślającej wypadki przydarzające się jej dzieciom ani żadnych pojęć odnoszących się do wyimaginowanych bohaterów. Tak więc słuchaliśmy uważnie opowieści matki i staraliśmy się w nie wierzyć.

Wierzyć w to, że przywróciła mojego brata Benny'ego do życia, kiedy przestał oddychać w łóżeczku, w to, że uratowała mnie przed piorunami, a także w to, że choroba Lily była prawdziwa, nie zaś w to, że mama czymś ją podtruła. Słuchaliśmy spokojnie, czekając, aż pojawią się słowa, które mogłyby to wszystko wyjaśnić.

Rozumiem burzę. Znam zimny smak błyskawicy, nieunikniony paraliż jej dotyku. Wiem, jak zdradliwe może być otwarte niebo i co niesie ze sobą kontakt z błyskawicą. Jednak niekiedy wciąż marzę

o łagodnym wstrząsie elektrycznym, dlatego w czasie burzy staję na otwartej przestrzeni z podniesionymi rękoma. Robię tak, ponieważ to intensywne oświecenie może pokazać mi coś, czego inaczej nie sposób zauważyć. W białym zimnym świetle burzy łatwiej dostrzec choćby przebłysk prawdy.

\*

Gdy telefon zaczął dzwonić, leżeliśmy z Peterem nadzy, wtuleni w siebie. Telefon dzwonił, bo tuż przed chwilą drżącego spełnienia, kiedy mięśnie i kości, języki, usta i biodra wciąż były napięte i dźwięczały metalicznie, w krwi mojej matki znalazła się trucizna. Kiedy miękka skóra pleców Petera ulegała moim paznokciom i gdy on cały nabrzmiewał, arsenikowy taniec mojej matki właśnie się rozpoczynał, a wraz z naszym szczytowaniem trwało jej ołowiane crescendo.

Nie podniosłam słuchawki. Gdy skończyliśmy, a Peter powoli zasypiał, wciąż drżałam. Było już po wszystkim, lecz zatruta kołysanka mojej matki dopiero miała się zacząć i jakaś część mnie o tym wiedziała.

Telefon znów zabrzęczał. Dzwoniła Lily. Jak zawsze. Jej szept tak zwodniczo słodki jak słodzik NutraSweet zawsze powodował u mnie uczucie mdłości i lekki ból głowy.

– Mama jest chora – powiedziała.

– Co się stało?

– Nie wiadomo. Jest naprawdę źle. Wezwała karetkę.

W jej głosie słyszałam lęk, ale nie ma co ukrywać – syreny karetek (harmonia wysokotonowych pisków i donośnych akordów zapowiadających tragedię i strach) nie były obcymi dźwiękami dla żadnej z nas.

– Gdzie ona jest?

– Tutaj, u świętego Józefa.

– Dlaczego w Phoenix? – spytałam.

Matka mieszkała ponad dwie godziny jazdy na północ od miasta, w górach.

– Przewieźli ją, Indie. Tym razem jest naprawdę źle. – I dodała słodko: – Czy możesz przyjechać do domu?

– Wyjdzie z tego?

– Ma truciznę w organizmie. Znalazła się w jej krwi – odpowiedziała.

Wyobraziłam sobie Lily okręcającą się kablem od telefonu, niebieskie światło telewizora przenikające jej przezroczystą koszulę nocną, jej córeczkę Violet oddychającą chrapliwie w wypożyczonym

namiocie tlenowym ustawionym w salonie.

– Nie potrafią stwierdzić – mówiła dalej. – Być może zatrucie łożem. Nie ma jeszcze wyników badania krwi.

Zacisnęłam mocniej rękę na słuchawce.

– Ostatnio wydałam sześćset dolarów na bilet na samolot i okazało się, że nic jej nie dolegało.

– Naprawdę uważam, że tym razem powinnaś przyjechać do domu – powiedziała, okręcając mnie wokół palca jak kłęb waty cukrowej. – Zapłacę.

Po odłożeniu słuchawki obserwowałam, jak klatka piersiowa Petera unosi się i opada. Czasem zasypia tak głęboko, że cisza jego snu mnie budzi. Przystawiam wtedy ucho do jego piersi, aby upewnić się, czy żyje. Dziś się uśmiechał. Czasem nawet śmieje się przez sen. Zazdroszczę mu. Wtuliłam się w niego, przyciskając się do niego tak, żeby nie było między nami żadnej przestrzeni, żeby jego ciało zespoliło się z moim, żeby jego oddech współgrał z rytmem pracy moich płuc.

Te sytuacje powtarzają się teraz tak często, że nie boję się zasnąć po tym, co usłyszałam. Już żaden rozpaczliwy telefon Lily nie spowoduje u mnie nieprzespanej nocy. Dorastałam w wiosce, w której mali chłopcy wołają za tobą: „Cicho, bo przyjdzie lichy!”. Byłam tutejsza. Znałam te ulice tak samo dobrze jak swoje imię i Lily także świetnie je znała. Po odłożeniu słuchawki moja siostra wróci do swojego posłania na kanapie, na której sypia, od kiedy Violet zachorowała. Oczywiście będzie się przewracała z boku na bok, a każde sapnięcie córki ją obudzi. Jednak mama nie będzie więcej zaprzętała jej myśli aż do rana, do czasu, gdy dobiegnie końca codzienny rytuał przygotowywania kawy i bekonu, podawania gazety i całowania męża na „do widzenia”. Dopiero wówczas Lily zacznie się martwić, czy Wilk naprawdę ukrył się pod łóżkiem naszej matki, czy też go sobie wymyśliła, i czy powstał tak, jak powstaje wiele szkolnych prac wykonanych z metalowej siatki i papier mâché.

Nie chciałam wracać teraz do Arizony. Była jesień, wokół naszego domu złościły się lasy. Poprosiłam Petera, żeby nie grabił



liści obok chaty, abyśmy mogli podziwiać, jak rdzawe, złote i purpurowe liście tkają dywan na podwórzu i na drodze dojazdowej. Niebo było jasne i błękitne; ostatnio zrobiło się chłodniej. Letnie upały w końcu zelżały.

To lato było wyjątkowo gorące i trudne do zniesienia. W kwietniu straciłam pracę i odtąd nie wiedziałam, co zrobić z wolnym czasem. Przez ponad dziesięć lat pisałam artykuły do lokalnej gazety. Nie byłam dobrą reporterką i wiedziałam o tym, ale kochałam to, co robię. Nie przeszkadzało mi nawet, że z reguły dostawałam najnudniejsze tematy. Pokazy psów i przyjęcia z okazji setnych urodzin. Złowione wielkie ryby i występy baletowe. Nigdy nie przypuszczałam, że kierownictwo postanowi mnie zwolnić. Gdy jednak wymówiono im wynajem budynku, musieli kogoś poświęcić. Ja byłam logicznym wyborem. Brakowało mi fajnego niebieskiego biura, gdzie buczały elektryczne wiatraki i stukały klawisze maszyn do pisania. Brakowało mi wypraw ciężarówką z opuszczonymi szybami i włączonym radiem do różnych miast, skąd przywoziłam reportaże. Brakowało mi wywiadów na cudzych tarasach i spisywania z dyktafonu historii o pojawieniu się ufo czy nowym przepisie dyrektora szkoły na sałatkę z ziemniaków.

Letnie dni w Echo Hollow są długie. Robią się jeszcze dłuższe, gdy nie ma nic do roboty. Kiedy zaczęło się więc ochładzać, a na klonie rosnącym przed naszym domem pojawiły się pierwsze ślady czerwieni, odnalazłam w sobie jakiś rodzaj determinacji. Jakby ta czerwień oznaczała, że stężały żar lata na dobre się ulotnił, a w jego miejsce pojawiło się coś bardziej jaskrawego. Tryskałam optymizmem tak bardzo, że Peterowi udało się mnie przekonać, bym pomagała mu w jego kawiarni. Obiecał, że nauczy mnie piec muffiny, co powinno zająć moje ręce i głowę. Już od miesiąca wstawałam razem z nim o drugiej w nocy. Musieliśmy być na miejscu o trzeciej, żeby zacząć wypiekanie, a mieszkaliśmy w głębokim lesie, godzinę drogi od miasta. Uczyłam się, jak poruszać się w ciemności nocy, jak się nie bać. Cisza panująca o tej porze zaskoczyła mnie. Jedyne dźwięki, które można wtedy usłyszeć, to szelest wilgotnych liści pod nogami i odgłos zamykanych przez

nas drzwi. Uwielbiałam blask reflektorów naszej ciężarówki, która była o tej porze jedynym źródłem światła na autostradzie. Czułam się tak, jakbyśmy byli sami na tym świecie, jakby nikt oprócz nas nie istniał.

Nawet w mieście w tym czasie panuje cisza. Parkowaliśmy na pustej ulicy przed restauracją i siedzieliśmy kilka minut w samochodzie, zanim otworzyliśmy drzwi. Peter kładł niekiedy rękę na oparciu mojego fotela i patrzył na mały ceglany budynek z nowym afiszem, na którym wypisane było białymi drukowanymi literami: „KINOKAWIARNIA ŁABĘDZI ŚPIEW”. Po dziesięciu latach pracy dla innych Peter mógł w końcu otworzyć własną restaurację. Przez ten czas zdążyliśmy się dobrze poznać. Nigdy nie widziałam go tak radosnego. W takich chwilach, tuż przed świtem, gdy świat spowijał jeszcze półmrok, ja także czułam się szczęśliwa. Oczywiście magia tych chwil nieuchronnie rozpraszała się pod naporem rzeczywistości. Trzeba było upiec chleb i muffiny, a wielka przemysłowa zmywarka mogła przestać działać, gdybyśmy zbyt długo czekali w ciężarówce. Przez chwilę świat należał do nas.

Peter pokazał mi, jak obsługiwać wszystkie urządzenia w piekarni, która znajdowała się w piwnicy kawiarni. Nauczył mnie operować wielkimi srebrnymi misami i długimi drewnianymi łyżkami, powiedział, ile ciasta potrzeba, aby wypiec doskonałe muffiny. Wy tłumaczył zawiłości pilnowania należytych proporcji cukru i mąki, a także dlaczego masło jest tak ważne. On wypiekał chleb i bułki, co było o wiele trudniejsze niż moje muffiny. Wymagało po części specjalistycznej wiedzy, a po części przyjęcia określonej filozofii. Przypuszczam, że w naszej piwnicznej piekarni było nie mniej materiału do nauki niż na uniwersytecie. Kiedy bochenki chleba znajdowały się już w piecu, Peter zostawiał mnie przy muffinach i szedł na górę, żeby nastawić kawę i umieścić sałatki w witrynie chłodniczej przy kasie. Joe, kucharz, przychodził o siódmej i zaczynał przygotowywać lunch. Dwie uczennice z pobliskiego college'u pojawiały się o ósmej, żeby otworzyć lokal.

Wciąż się uczyłam, bo moje muffiny były zupełnie nieprzewidywalne. Czasem wychodziły twarde i małe, spalone na

brzegach. Innym razem ciasto wyrastało tak bardzo, że babeczki wyglądały jak małe góry, ale nadal były lepkie i wilgotne w środku. Moją ulubioną chwilą w ciągu dnia była ta, gdy wносиłam na górę gotowe muffiny w ciężkich formach, ułożone jedne na drugich, po cztery albo pięć. Aby nie oparzyć sobie rąk gorącą blachą, używałam grubych białych ścierek, a para idąca od świeżo upieczonych babeczek skręcała moje włosy w loki. Joe, Peter i każda inna osoba, która tego dnia pracowała za barem – wszyscy zbierali się przy stoliku i wyjmowali z form muffiny nadziewane jagodami albo kawałkami bananów oraz drobinkami czekolady. Robiliśmy to, zanim klienci zaczęli szturmować kawiarnię. Masło nakładaliśmy plastikową szpachelką, a Peter nalewał wszystkim kawy. Nikt nigdy nie narzekał na moje wypieki. Śniadanie zwykle przerywał nam jakiś niecierpliwy biznesmen albo stały klient, który zaglądał przez szybę w zamkniętych drzwiach, prosząc o wpuszczenie. Mój facet nigdy im nie odmawiał. Zawsze podchodził do drzwi, z uśmiechem przekręcał zamek i je otwierał.

Po porannej bieganinie szliśmy razem z Peterem do sali kinowej, którą zainstalował nad kawiarnią, na pierwszym piętrze. Marzył o tym od roku, odkąd otworzył tę knajpę. Mógł tutaj wyświetlać swoje ulubione filmy bez przerwy, każdego dnia. Większość multipleksów znajdowała się bowiem na obrzeżach miasta i żaden z nich nie puszczał mało znanych produkcji zagranicznych, kina artystycznego czy różnych dziwacznych obrazów, które Peter wprost uwielbiał. Ponadto pozwalał na wnoszenie do sali jedzenia i picia z kawiarni. Co prawda po każdym seansie trzeba było dłużej sprzątać, ale ludzie czuli się tu jak u siebie w domu albo może odnosili wrażenie, że łamią jakieś zasady. Ceglane ściany sali kinowej chłodziły wnętrze w lecie i utrzymywały ciepło, gdy nadchodziła jesień. Część foteli pochodziła z uczelni – sprzedała je po remoncie sali wykładowej. Reszta to były po prostu w miarę sprawne krzesła, znalezione przez nas na wyprzedażach garażowych.

Czasami siadaliśmy z Peterem z tyłu i oglądaliśmy filmy przez całe popołudnie, wychodząc tylko do toalety albo schodząc na dół,

żeby pomóc obsłudze podczas lunchu. Wdychając zapach drożdży i brudząc sobie włosy mącznym pyłem, mogłam przez chwilę zapomnieć o tym, że straciłam pracę. I o tym, że cały wysiłek, jaki podjęłam w ciągu ostatnich dziesięciu lat, nie poszedł na marne.

Leżałam na plecach i przez świetlik w dachu patrzyłam na bezgwiazdne niebo. Peter obrócił się na brzuch i położył mi rękę na piersiach. Przyjechałam tu, do Maine, na studia prawie piętnaście lat temu. Wybór wydawał się naturalny, bo to miejsce bardzo przypominało Mountain View, okolicę mojego dzieciństwa. Było tu jednak w jakiś sposób inaczej – spokojniej i jakby dziwniej. Gęstym lasom porośniętym żółtą sosną odpowiadały tutaj labirynty brzoź. Śnieg był taki sam, ale zimno odczuwało się silniej. Przejmujący mróz przenikał przez skórę i docierał aż do kości. Występowały podobieństwa, lecz istniały też ogromne różnice, szczególnie jeśli chodzi o niebo. Tutaj, w Maine, nocą gwiazdy kryją się za chmurami. Tylko gdzieś tam na firmamencie można dostrzec niewyraźne punkciki świetlne. Natomiast w górach północnej Arizony gwiazdy są zupełnie odsłonięte. Błyszczące i bezbronne. Podczas nocy tak ciemnej jak dzisiejsza dałoby się ich dosięgnąć i je skraść.

Położyłam głowę na piersiach Petera i zasnęłam, zapominając na chwilę o mojej matce. Kiedy jednak o drugiej w nocy rozległ się alarm budzika, to właśnie myśli o niej mnie rozbudziły. Peter błyskawicznie sięgnął do budzika i go wyłączył. Mój ukochany powoli wstał; patrzyłam, jak wkłada dżinsy i T-shirt. Doskonale znałam jego bezgłośny poranny taniec – każdy ruch był dopracowany i perfekcyjny, a jego celem było zachowanie absolutnej ciszy.

– Cześć – powiedziałam.

– Przestraszyłaś mnie – odrzekł, siadając obok mnie na łóżku. – Masz dziś wolne, prawda?

– Kiedy zasnęłaś, zadzwoniła Lily – oznajmiłam.

Peter wbrew swojej woli uniósł jedną brew. On znał te historie. Byliśmy razem już czternaście lat, poznaliśmy się jako dziewiętnastolatki. Telefony w środku nocy nie były w stanie go

obudzić.

– Tym razem mama trafiła do Phoenix.

– Do Phoenix?

– Przewieźli ją tam. Lily mówi, że w jej krwi znajduje się trucizna czy coś takiego. Chce, żebym przyjechała do domu – wyjaśniłam.

Skinął głową. Usiadłam i czekałam na jego reakcję. Na to, by położył głowę na moich kolanach i powiedział: „Nie jedź”. Wtedy nie miałabym problemu z podjęciem decyzji. Gdyby mnie potrzebował, nie mogłabym pojechać. Ale Peter tylko się odwrócił i schylił, żeby pocałować mnie w czoło, delikatnie muskając dłonią moje nagie piersi.

– Wiesz przecież, że nie ma problemu. – Uśmiechnął się. – Jedź, jeśli musisz.

Pokiwałam głową i czekałam, aż powie coś, co skłoni mnie do pozostania. Jakieś zazdrosne lub samolubne słowa. Wiem jednak, że nic się nie stanie, jeśli zostanie tutaj sam. Mogłabym wyjechać na miesiąc, a jego poranki nadal wyglądałyby tak samo. Może z wyjątkiem tego, że nie musiałby czekać, aż przemyję oczy albo znajdę czystą parę dżinsów.

Mógłby wrócić do swojej zwykłej porannej rutyny z czasów, gdy pracowałam jeszcze w gazecie. Czekałam, aż mnie poprosi, żebym została, aż powie, że bardzo mnie potrzebuje w Łabędzie, ale zamiast tego tylko zmierzwił moje włosy swoimi długimi cienkimi palcami i zakręcił sobie lok na jednym z nich. Poczułam się senna i bezsilna. Kiedy ojciec Petera przynosi nam homary, Peter robi z nimi to samo. Obraca je szczypcami w dół i pociera łagodnie ich główki do czasu, aż będą wyglądały jak znieczulone, zahipnotyzowane. Dopiero wtedy wrzuca ich wiotkie ciała do gotującej się wody.

– Ten wyjazd zajmie mi kilka dni – stwierdziłam. – Przez ten czas powinniśmy się zorientować, co jej jest.

Zamknęłam oczy chwilę przed jego wyjściem. Wrócił i czule mnie pocałował.

– Wracaj do łóżka – powiedział.

Jego wełniana kurtka była szorstka w dotyku i pachniała jak

sosna. Należała do tych lasów, podobnie jak rosnące w nich drzewa. My także stawaliśmy się ich częścią. Zaraz po wyjściu Petera włożyłam jego flanelową piżamę i wełniane skarpety. Już w październiku wczesne ranki są tu chłodne jak zimą. Zanim wyszedł, zapalił małą lampkę do czytania, która stała obok kanapy w salonie i zdawała się wydzielać ciepło. Otworzyłam drzwiczki kominka, żeby dorzucić kolejne polano, ale zobaczyłam, że mój ukochany zdążył mnie w tym wyreńczyć. Wstałam, zmiotłam popiół z kolan i usiadłam na kanapie, naciągając na ramiona kołdrę, którą na ostatnią Gwiazdkę uszyła dla nas mama Petera. Przesiadywałam tak całe lato, czytając ogłoszenia o pracy i próbując wymyślić, co mam ze sobą zrobić. Nie znałam nikogo, kto nie musiałby codziennie chodzić do pracy. Nawet nasi znajomi, którym urodziły się dzieci, nadal pracowali. Sama wiele lat wcześniej zdecydowałam, że nie będę miała dzieci, a teraz nadmiar wolnego czasu tylko wzmagał we mnie poczucie, że beztrudnie dryfuję przez życie i nie potrafię znaleźć w nim żadnego celu. W moim otoczeniu nie odnajdywałam osoby, której moja pomoc byłaby niezbędna. Peter z pewnością nie potrzebował, żebym się dla niego poświęcała. Nasza kotka Jessica także była niezależna – aby przetrwać, potrzebowała jedynie miski wody, jedzenia i plamy światła słonecznego na podłodze.

Początkowo próbowałam sadzić różne rośliny. Byłam jednak nadgorliwa, brakowało mi cierpliwości. Ziemia nie zdążyła jeszcze na dobre rozmarznąć, a ja już kopałam dziury i siałam nasiona. Ostry przymrozek pod koniec maja zniszczył tych parę małych zielonych pędów, którym nawet udało się wydobyć na powierzchnię.

Potem myślałam o sztuce i muzyce. Najpierw kupiłam przybory potrzebne do wykonania witraży z nadzieją, że może uda mi się sprzedawać moje prace w naszej miejskiej galerii sztuki. Nigdy jednak nie umiałam wybrać koloru z palety dostępnych odcieni. Przygniatała mnie mnogość możliwości.

Następnie w lombardzie w Portland kupiłam gitarę. Przyszła razem z gitarowym suwakiem i stosem muzycznych poradników Mela Baya dla początkujących. Gdy Peter był w pracy, siadałam na



tarasie z tyłu naszego domu i brzdąkałam *Au clair de la lune*, dopóki nie rozboleły mnie palce, a psy sąsiadów nie zaczęły szczekać na podwórku.

W końcu Peter urządził mi gabinet, sugerując, że znowu powinnam zacząć pisać opowiadania czy cokolwiek innego. Tworzyć jako freelancer. Jednakże siedząc w pięknym pokoju na poddaszu, w otoczeniu swoich ulubionych książek, ze starym czerwonym orientalnym dywanem pod stopami, szybko się zorientowałam, że wszystkie słowa, które napisałam, brzmiały jak wymęczony artykuł do gazety.

9 października 1999 roku. Indie układa w stos całe drewno. Rezultatem są drzazgi i pęcherze.

Backwoods, Maine. *Dzisiejszego słonecznego popołudnia Indie Brown, z niezwykłym wdziękiem dzierżąc w ręku siekiere, porąbała i samodzielnie ułożyła w stos całe drewno. Łagodny wietrzyk i jesienny ognisty horyzont, tworzące tło dla tej czynności, mogły sprawić, że dla przypadkowego przechodnia był to widok wzruszający i malowniczy zarazem. Chuck Moony przyjechał już po wykonaniu tego zadania, dostarczając steki na grilla i sałatkę ziemniaczaną firmy Shaw's. Peter dotarł chwilę później. Kolacja została przyrządzona w hibachi i podana na prowizorycznym stoliku skleconym z nieporąbanych polan drewna i kawałka dykty przyniesionej z garażu. Toczyła się rozmowa na temat religii i wszyscy doszli do wniosku, że w jesiennych liściach mieszka Bóg.*

Peter zbudował dom, kiedy mieliśmy po dwadzieścia trzy lata. Wybrał ten kawałek ziemi ze względu na barwy tutejszej jesieni. Miejsce mu odpowiadało, bo o tej porze roku było podobne do ognia. Przywiózł mnie tutaj z naszego małego mieszkania w mieście i ustawił na samym środku tych czterech akrów ziemi, które wybrał. „Zwróć uwagę – powiedział. – Tu można usłyszeć, jak obracają się liście”.

Dwa dni później Lily nadal nie zadzwoniła, więc pomyślałam, że to już minęło. Wilk powrócił do lasu fikcji w głowie mojej matki.

Po wyłączeniu projektora, zamieceniu podłogi za siedzeniami, schowaniu sałatek i spakowaniu dzisiejszego chleba oraz muffinów,

żeby przekazać je schronisku dla bezdomnych kobiet, usiedliśmy z Peterem przy jednym ze stolików w pustej kawiarni. Joe zarzucił na ramiona swój plecak i zgasił światła w kuchni.

– Macie ochotę pójść na piwo? – spytał. – Trwają jeszcze happy hours w Finnegan's Wake.

– Nie, dzięki – odpowiedział Peter i uśmiechnął się. – Może jutro.

Joe wzruszył ramionami i wyszedł z lokalu, kierując się ku parkometrowi, do którego przymocowywał swój rower.

Joe mieszka prawie tak daleko od miasta jak my, ale od kwietnia, gdy śnieg zaczyna topnieć, aż do końca października czy nawet początku listopada, kiedy znów zaczynają się opady, przyjeżdża do pracy na rowerze. To zabawny człowiek. Jest chudy niczym nastoletni chłopiec. Nosi grube okulary i niezupełnie pasujące na niego ubrania. Lubi heavy metal i czyta rosyjskie powieści. Czasem rano upiera się, żeby włączyć AC/DC zamiast radia.

Znamy Joego równie długo jak siebie nawzajem. Poznaliśmy się latem, po pierwszym roku studiów, w The Birches, gdzie Peter robił rzeźby z lodu, a ja pracowałam w obsłudze. Joe uczęszczał przedtem do szkoły gastronomicznej gdzieś w Vermont i zakończył ją jako praktykant właśnie w Birches. To były te wakacje, kiedy Peter miał wypadek i kiedy się w sobie zakochaliśmy.

– Wszystko u ciebie okej? – zapytał Peter, pocierając swoim kciukiem mój nadgarstek.

Kiwnęłam głową.

Joe zastukał w szybę i pomachał nam, zanim pojechał w swoją stronę. Odmachaliśmy mu, po czym Peter przykrył moje dłonie swoimi i nachylił się ku mnie, szepcząc mi do ucha:

– Masz ochotę na film?

To było coś, co zwykle rezerwowaliśmy na specjalne okazje – rocznice czy urodziny. Coś, czego potrzebowałam. Zawsze to wyczuwał.

– Co z Julią? – spytałam.

– Jest na dole, liczy pieniądze. Zanim skończy, minie pół godziny.

Wziął mnie za rękę i poprowadził przez drzwi schodami na górę, z powrotem do sali kinowej. Wciąż trochę kuleje, mimo że minęło już tyle lat. Ma to jednak swój urok, bo zmusza go do powolnych i ostrożnych ruchów, które uwielbiam. Umiem dostrzec w jego chodzie starszego mężczyznę, którym kiedyś się stanie.

Gdy Peter uruchamiał projektor, zdjęłam swoje ubranie i starannie je złożyłam. Ściągnęłam buty i skarpetki. Usiadłam na podłodze przed ekranem, podkuliłam nogi i oparłam głowę na kolanach. Kiedy światło projektora zaczęło się przesuwając po moim ciele, zamknęłam oczy i czekałam, aż poczuję dłonie Petera na swoich ramionach. Do chwili, gdy skosztuję jego słów, swojskich i kojących niczym drewno płonące zimą w kominku. Niemy film odbijał się wzdłuż jego klatki piersiowej, wzdłuż blizn na nagich nogach. Włosy i mięśnie nie były w stanie zamaskować starych ran, ale czarno-białe zdjęcia potrafiły tego dokonać. Myślę, że dlatego właśnie uwielbiał to miejsce. Nasze ciała stawały się obrazem, ruchomym płótnem.

Gdy skończyliśmy, leżałam z głową opartą na jego udach, przykładając do niego swoje słabsze ucho.

– Jesteś zadowolona? – zapytał.

Na koniec zawsze zadawał to pytanie. Żeby mieć pewność. Przytaknęłam, po czym spojrzałam na jego twarz, próbując odczytać, co myśli.

Kiedy włożyłam z powrotem sukienkę i zawiązałam sznurówki tenisówek, ruszyliśmy ciemnym przejściem przez salę. Julia otworzyła ostrożnie drzwi i spojrzała na nas poprzez ciemność. Poczułam, że moja twarz robi się czerwona.

– Indie, dzwoni twoja siostra. Mówi, że to coś pilnego.

Peter ścisnął moją dłoń. Zeszliśmy na dół. Wkroczyłam do jego gabinetu i zamknęłam drzwi. Słuchawka leżała na biurku. Pomyślałam: „Mogłabym cię tak zostawić, Lily, w tej słuchawce. Zostawić ciebie i mamę na drugim końcu linii. Mogłabym nigdy więcej nie odebrać telefonu. Co byś wówczas zrobiła?”. Słuchawka była zimna. Przez chwilę, zanim zorientowała się, że podeszłam do telefonu, zastanawiałam się, czy nie jest już po wszystkim.

– Indie?

Cicho kiwnęłam głową w oczekiwaniu.

– Myślę, że tym razem powinnaś przyjechać do domu –  
oznajmiła.

– Czy ona...

– Zeszłej nocy umieścili ją na oddziale psychiatrycznym. Mówią,  
że stanowi zagrożenie dla siebie – powiedziała łamiącym się głosem.

O mało się nie roześmiałam. „Zagrożenie dla siebie”.

– O czym ty mówisz? Wydawało mi się, że wspominałaś  
o zatruciu ołowiem lub czymś w tym rodzaju. Nie mogą jej po prostu  
z tego wyleczyć?

– To skomplikowane.

– Masz na myśli leczenie?

Moja siostra oddychała nierówno. Wyobraziłam ją sobie bladą  
i wątłą. Poryw wiatru mógłby zatrzęść całym jej ciałem.

– Lily?

– Oni mówią, że sama to sobie robi.

– Co?

– Twierdzą, że się podtruwa.

– Nie rozumiem – odezwałam się.

– Lekarze powiedzieli, że zatrucie nie ma związku z czynnikami  
zewnątrznymi, tylko że zrobiła to sobie sama. Że to było celowe.  
Testy wykazały obecność trucizny na szczury we krwi i innych  
substancji chemicznych, których nie możesz zjeść ot tak ani  
przypadkiem wciągnąć do płuc.

– Co ona mówi? – spytałam.

– Mówi, że gównem wiedzą. Ale chyba jest pod silnym wpływem  
leków.

Próbowałam sobie wyobrazić moją matkę na oddziale  
psychiatrycznym, ale kiedy zamknęłam oczy, zobaczyłam tylko  
Jacka Nicholsona w scenie z *Lotu nad kukułczym gniazdem*. Moja  
matka nie pasowała do tego obrazu. No może jako siostra Ratched  
w wykrochmalonym białym fartuchu z siwiejącymi blond włosami  
wydostającymi się z ciasno splecionego warkocza, który zazwyczaj  
nosiła.

– Ostatniej nocy zaczęła mówić do Benny’ego.

Poczułam, jakby moje serce oderwało się od wszystkich żył i mięśni, podskoczyło i zaczęło pulsować w piersiach, gardle i głowie.

– Co masz na myśli? – spytałam, choć doskonale wiedziałam, co ma na myśli.

– Zadzwonili do mnie i pytali, kim był Benny. Powiedzieli mi, że mówiła do niego. Tak jakby był z nią w pokoju – odparła Lily.

Jej głos zdawał się łamać z bólu.

– Jak długo ma tam przebywać?

– Nie wiem. Zamierzają odesłać ją z powrotem na północ, jak tylko stan jej psychiki się ustabilizuje. Chcą załatwić psychiatrę w Mountain View, który przepisywałby jej leki i wyznaczał konsultacje. Ale ona nie może tam wrócić sama. Ktoś musi z nią pojechać.

– Czego ode mnie oczekujesz? – spytałam.

– Ja nie mogę z nią jechać. Muszę zostać tutaj, z Violet. – Ciężko westchnęła, jakby dźwigała na swoich barkach cały świat. – Sama nie mogę tego załatwić. Potrzebuję twojej pomocy.

Wzbierała we mnie złość, a łomoczące w całym ciele serce znalazło drogę do moich dłoni, które drżały, gdy ściszałam słuchawkę.

– Lily, do cholery, nie wszystko jest takie proste. W Maine trzyma mnie dużo spraw.

– Nasza matka rozmawia z naszym zmarłym bratem. Nie mówiąc o tym, że dodała sobie do herbaty trutki na szczury i połknęła krople do oczu Draino, do cholery – syknęła.

– Dobrze – powiedziałam – zawiozę ją do domu, ale nie zostanę z nią.

– Przyjedziesz jak najszybciej?

– Tylko z powodu Benny’ego – odrzekłam. – Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia na jego temat.

\* \* \*

Już w domu Peter zaparzył mi herbatę, a sobie otworzył piwo. Założyliśmy rękawiczki i swetry i usiedliśmy na zewnątrz, patrząc

na topniejące słońce. Obserwowaliśmy je zza liści, które wciąż tkwiły na gałęziach. Koniec jesieni niesie ze sobą ryzyko. Zwyczajna burza może odebrać drzewom kolory, zostawiając tylko szare gałęzie.

Postawiliśmy przed domem halloweenową słomianą kukłę i lampki z dyni, które dzieliły z nami werandę. Nie mieliśmy świątecznych cukierków, ale Peter uparł się, żeby przygotować przynajmniej dużą miskę zwyczajnych słodyczy.

Usiadłam stopień niżej od niego, trzymając w obu dłoniach swój kubek, a on objął mnie swoimi nogami, tak by było mi ciepło. Nury, które zamieszkiwały sadzawkę przy drodze, już zniknęły. Całe lato nawoływały się zaciekle pierwotnymi krzykami. Bez nich było cicho.

– Co o tym sądzisz?

Wzruszyłam ramionami. Pewnych rzeczy nie sposób wytłumaczyć Peterowi. Nie sposób wyrazić wszystkich złożonych uczuć, które szargają mi nerwy, gdy nagle i bez mojej woli zostają znów połączona z przeszłością. Moje dzieciństwo jest niczym amputowana kończyna, która wywołuje fantomowy ból. To zjawisko, którego nie zdoła pojąć człowiek niezraniony przez los.

– Pojedziesz ze mną? – spytałam i od razu zaczęłam żałować, że to zrobiłam.

Poczułam, jak jego nogi, którymi obejmuje mnie w biodrach, sztywnieją.

– Ind – zaczął wyjaśniać – pojechałbym, ale kawiarnia...

– Nie było pytania – przerwałam mu. – Jasne, wiem.

– Jeśli mnie potrzebujesz, to myślę, że mógłbym poprosić Joego, aby przypilnował interesu przez parę dni.

– Przecież mówię, że nie ma sprawy.

Obróciłam się i spojrzałam na Petera.

Pochylił się ku mnie i pocałował moje włosy.

– Przepraszam.

Kiwnęłam głową i nagle poczułam się winna. Peter bał się latać samolotami, więc moja prośba uderzyła go w czuły punkt. Poza tym tak naprawdę nie chciałam, żeby jechał. Właściwie nie wiem, dlaczego o to zapytałam. Kiedy położył się do łóżka, wspięłam się po



drabinie zwisającej z sufitu w naszej sypialni i usiadłam przy swoim biurku. Wyciągnęłam wieczne pióro, prezent od Petera na urodziny, i otworzyłam notatnik, którego używałam do różnych zapisków. Światło padało przez okno na otwarte strony.

31 października 1999 roku. Miejscowa kobieta próbuje popełnić samobójstwo, łykając truciznę. Przeżywa.

Phoenix, Arizona. *Tej nocy Judy Brown znalazła się w szpitalu po nieudanej próbie samobójczej polegającej na zażyciu trucizny. Śledczy odkryli „prawdziwy arsenał” trujących substancji w szufladach kobiety w jej domu w Mountain View. Pani Brown przeżyła mimo zażycia niemal śmiertelnej dawki i obecnie dochodzi do siebie na oddziale psychiatrycznym szpitala św. Józefa w Phoenix. Pani Brown jest matką trojga dzieci: Mirandy Brown, Lily Hughes i nieżyjącego Benjamina Browna. Jak doniesiono dziennikarzom, zeszłej nocy pani Brown przemawiała do swojego syna. Podobno zauważono ją na korytarzu, gdy wpatrywała się w pomarańczową poświatę szpitalnego parkingu i mamrotała pod nosem słowa usprawiedliwienia.*

Spróbowałam wyobrazić sobie mamę, jak leży teraz w sali szpitalnej i mówi do Benny’ego, ale nie potrafiłam wymyślić, co mogłaby mu powiedzieć po takim czasie. Przez ponad dwadzieścia lat nawet nie wypowiedziała głośno jego imienia i z pewnością nie wymówiła nigdy słowa „przepraszam”. Prawdopodobnie wiedziała, że będę w stanie rozpoznać jej kłamstwa. Że poczuję ich smak, bardziej gorzki dla mojego podniebienia niż ołów czy arszenik.

\*

Kiedy Benny przestał oddychać, mnie jeszcze nie było na świecie. Stało się to wtedy, gdy mój braciszek był małym dzieckiem, a mama i tata wciąż mieszkali w Kalifornii. Mama mówiła, że Benny zaplątał się w swoim kocyku. Że był cały niebieski. Twierdziła, że minęło prawie dwadzieścia minut, zanim udało jej się sprawić, aby zaczął znów oddychać. Że gdyby nie była wyszkolona w udzielaniu pierwszej pomocy, na pewno by umarł. Że to ona tchnęła w niego swoje życie i to jej oddech przywrócił go światu.

Wyobrażam sobie moją matkę w wieku dwudziestu lat, w nocnej koszuli, którą ktoś podarował jej podczas wieczoru panieńskiego. Nylonowa tkanina prawdopodobnie jeszcze się nie przetarła. Guma w ściągaczach wciąż ciasno przylegała do jej małych nadgarstków. Widzę ją, jak kroczy bosymi stopami po zimnym linoleum w pokoju Benny'ego. Wisząca u sufitu ozdoba z plastikowymi motylkami w jaskrawych kolorach wiruje nad głową dziecka. Słyszę łagodne chrapanie mojego ojca w innym pokoju, a także natarczywe gruchanie gołębi na drzewie przylegającym niemal do okna sypialni. Matka twierdzi, że odnalazła go siniego w tym błękitnym pokoju, który – jak niewyraźnie pamiętam – dzieliłam z Bennym, zanim opuściliśmy Kalifornię. Tego dnia powietrze było zapewne ciężkie, na tyle ciężkie, by małe dziecko nie mogło nim dłużej oddychać. Tworzona przez nie zawieszista, wilgotna powłoka niczym cienki koc przykryła wynajęty bungalow. Z początku mama mogła przypuszczać, że Benny naprawdę udusił się oparami gęstej mgły. Że wypełniła jego płuca jak dym. Gdyby nie odbyła kursu w szkole pielęgniarek i nie przestudiowała odpowiedniego rozdziału w książce (za każdym razem, gdy opowiada tę historię, zatrzymuje się w tym miejscu), jej synek by umarł. Ale w swojej relacji zawsze pomija, że jej tchnienie nie wystarczyło. Bo kiedy przytknęła swoje usta do jego ust i zaczęła dmuchać, część Benny'ego była już martwa. Morskie powietrze zabiło w nim tę część, za sprawą której jego głowa nie zwisałaby w bok wtedy, gdy był zmęczony. Część, która powstrzymywałaby go przed ssaniem krawędzi swoich ubrań albo upadkiem w chwili, gdy chciał pobiec. Ta brakująca część uczyniłaby go takim jak inne dzieciaki – nie byłby przygłupem. To

słowo dzwoniło mi w uszach długo po tym, jak opuściłam plac zabaw, trzymając brata za rękę, upewniwszy się, że wytarł gila zwisającego mu z nosa. Przygłup pachniał jak kosz na pieluchy Lily.

Wybraliśmy się do fryzjera, a potem poszliśmy na obiad. Tylko wizja zapiekanki z tuńczykiem i korniszonami oraz waniliowego shake'a mogła przekonać Benny'ego, żeby trzymał się prosto, nie płakał i nie krzyczał na widok i odgłos nożyczek. Mnie zaś mama obiecała panierowany filec z kurczaka i purée z ziemniaków jako rekompensatę za mój długi gruby warkocz. Wszystko z powodu loków, które tego lata były już tak skołtunione, że każdemu czesaniu towarzyszyły przeraźliwe krzyki i płacz. Gdy fryzjer obciął ten gruby sznur włosów, moja głowa stała się nagle chybotliwa i lekka. Warkocz wrzuciłam do schowka w naszym samochodzie. W trakcie obiadu mama dała Benny'emu ćwierćdolarówkę, żeby pojeździł na motocyklu dla dzieci stojącym przed restauracją. Wspiął się na niego i udawał, że włącza silnik. Był duży jak na swój wiek, za duży, żeby wchodzić na tę zabawkę, ale uwielbiał to bardziej niż zimny dreszcz w zębach, którego dostarczał waniliowy shake. Gdy motocykl przestał się kołysać tam i z powrotem, warga Benny'ego zaczęła drżeć.

– Wchodzimy – powiedziałam. – Możesz wybrać stolik.

Mama była w toalecie z Lily, próbując ją skłonić do zrobienia siku. Odkąd mama przestała sadzać ją na nocniku, moja siostra nie chciała się załatwiać. Wstrzymywała się aż do momentu, gdy zaczynał boleć ją brzuch, i wtedy matka musiała jechać z nią do lekarza. Lily twierdziła, że boi się wpaść do muszli klozetowej. Bała się także, że wessie ją odpływ wanny.

– Który stolik? – spytałam Benny'ego.

– Ten przy oknie! – zawołał, wskazując na stolik, przy którym siedziało trzech nastolatków palących papierosy.

– Nie możemy tam usiąść. Musisz wybrać wolny stolik.

– Ale ja chcę ten – upierał się, kołysząc do przodu i do tyłu.

– Co powiesz na tamten? Stamtąd widać budynek straży pożarnej.

Benny kiwnął głową i podszedł do stolika.

Mama wyszła z łazienki z Lily, która miała czerwoną i napuchniętą twarz.

– Dobra dziewczynka – pochwaliła ją mama, sięgając zza stołu po serwetkę. Wytarła jej oczy, mimo że moja siostra nie płakała. – Lily sama zrobiła kupkę – dodała z dumą.

– Kupka, kupka – pohukiwał Benny.

– Ciii – zmitygowała go mama, umieszczając Lily w plastikowym foteliku dla dzieci.

– Dziwnie się czuję. Moja głowa jest teraz taka rozbujana – powiedziałam, poruszając nią w tył i w przód.

Czułam się lekko.

– Wyglądasz ślicznie, kochanie – stwierdziła mama.

– Ja wyglądam ślicznie? – zapytał Benny, także potrząsając głową w tył i w przód.

Małe kępki włosów, których fryzjer nie strzepnął, pospadały z jego koszuli na blat stołu.

– Benny – upomniała go mama.

– Ślicznie, ślicznie, ślicznie – powtarzała Lily.

– Tak, ty jesteś śliczna – powiedziała pieszczotliwie mama i wyjęła śliniak z niebieskiej dziecięcej torby. – Jesteś śliczną, śliczną dziewczynką.

– Chcę wątróbkę z cebulą – zwrócił się Benny do kelnerki.

– Benny, dlaczego nie zamówisz zapiekanki z tuńczykiem? – spytała mama, zawiązując Lily śliniak.

– Bo tata zamawia wątróbkę z cebulą – odparł.

– Ja chcę filet z kurczaka w panierce z purée ziemniaczanym – odezwałam się. – I poproszę do tego waniliowego shake’a.

– Ja chcę wątróbkę z cebulą i korniszony – upierał się Benny.

– Poproszę dla niego zapiekankę z tuńczykiem – powiedziała mama.

Kelnerka spojrzała na Benny’ego, a potem ponownie na mamę.

– Myślę, że on jednak woli wątróbkę z cebulą – stwierdziła.

Mama popatrzyła gniewnie na kelnerkę. „Mamo, nie rób tego – pomyślałam. – Proszę, nie krzycz na kelnerkę. Pozwól mu zamówić tę głupią wątróbkę z cebulą”. Wpatrywałam się w kraciasty wzór na

podłódze tak intensywnie, że aż prawie zakręciło mi się w głowie.

– No dobrze – zgodziła się mama. – A ja poproszę sałatkę z twarogiem. Do sałatki sos włoski. I kilka brzoskwiń pokrojonych w plasterki, dla dziecka.

– Piękna – odezwała się Lily, wskazując swoim grubym palcem na kelnerkę.

– Dziękuję ci, słodziutka. – Kelnerka się uśmiechnęła.

Mama pociągnęła nosem i odwróciła głowę, patrząc na budynek straży pożarnej.

– Jest cudowna – powiedziała kelnerka do mamy.

Magiczne słowa.

Mama odwróciła się od okna i uśmiechnęła się.

– Dziękuję. Wie pani, ona ma tylko dwa i pół roku, a już jest osobowością.

Gdy kelnerka podała jedzenie, drzwi otworzyły się, dzwoniąc. Spojrzałam w ich stronę znad mapy Arizony przedstawionej na podkładce pod talerz. Zaznaczałam palcem wszystkie te miejsca, w których byłam. Flagstaff. Wielki Kanion. Ruiny pałacu Montezumy. Wszedł mężczyzna z kobietą, którą chyba kojarzyłam, ale nie byłam pewna skąd. Potem przypomniałam sobie, że to jedna z pielęgniarek, które pracowały razem z mamą w domu spokojnej starości. Mama za plecami nazywała ją „pani Brudne Majtki”, ale do niej zwracała się „Karen”. Kobieta trzymała za rękę jakiegoś mężczyznę o bardzo ciemnych włosach. W dzwonach wyglądała inaczej niż w wykrochmalonym białym fartuchu, który nosiła w pracy.

– Cześć, Judy – powiedziała i podeszła do naszego stolika. – To jest mój chłopak, Larry.

– Miło cię widzieć – odrzekła mama, ściskając jej rękę i uśmiechając się szeroko jednym z tych swoich uśmiechów.

– To musi być Lily – stwierdziła Karen. – Czyż nie jest aniołkiem? A jak ty się masz, Indie? Rozumiem, że stałaś się trochę moim książkowym.

Poczułam, że dostaję wypieków. Mama zawsze przekonywała mnie, że powinnam wyjąć nos z książek i znaleźć sobie jakichś

prawdziwych znajomych. Ale sposób, w jaki Karen to wypowiedziała, sugerował, że byłam po prostu mądra.

– A to musi być Benny – kontynuowała. – Czyż nie jesteś przystojnym młodym mężczyzną?

– Ściąłem włosy – odparł Benny i uśmiechnął się, jeżdżąc kawałkami cebuli po swoim talerzu, a potem nadział na widelec długi, wijący się kawałek wątróbki i wepchnął go sobie w całości do ust.

– Widzę, widzę. – Karen też się uśmiechnęła i odwróciła się do Larry’ego, który studiował menu wypisane kredą na tablicy. – Gdzie chciałbyś usiąść?

Mama patrzyła, jak Karen i Larry odchodzą. Kiedy odwiązywała Lily śliniak, nie spuszczała z nich oczu. Mama potrafi tak robić – wiązać mi buty, przyrządzać kanapkę z dżemem, zaplatać warkocz – wszystko bez zwracania uwagi na ruchy swoich rąk.

Zauważyłam to, zanim udało się dostrzec tę umiejętność komukolwiek innemu.

Oczy Benny’ego zwilgotniały, a klatka piersiowa wyraźnie się uniosła. Wyglądało to tak, jakby płakał, ale nie słychać było żadnego dźwięku. Rzucił swój widelec i chwycił rękoma za gardło.

– Mamo – powiedziałam.

Nakładała właśnie łyżeczką twarożek na brzoskwinie Lily.

– Ciii, Indie – poprosiła.

– Benny się dławi – oznajmiłam, wstając, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

Twarz Benny’ego, przed chwilą czerwona, pobladła.

– Mamo! – odezwałam się znowu, czując narastającą panikę.

Mama patrzyła w kierunku stolika, gdzie siedzieli Larry i Karen. Kiedy spojrzała na Benny’ego i zobaczyła, że wierci się przy stoliku, poczerwieniała na twarzy. Znowu zerknęła szybko w stronę Karen i Larry’ego.

– Niech ktoś mi pomoże! – krzyknęłam. – Mój brat się dławi.

Wtedy mama się podniosła i odciągnęła Benny’ego od stolika. Stała za nim i objęła go ramionami, przyciskając mu klatkę piersiową dłońmi zwiniętymi w pięści.

– Jestem pielęgniarką – powiedziała Karen, przybiegając do naszego stolika.

– Tak jak ja. – Matka spojrzała na nią gniewnie i ścisnęła Benny'ego.

Benny wydał z siebie straszny, zwierzęcy dźwięk, coś wyskoczyło z jego ust i wylądowało na podłodze kilka stóp dalej. Był to kawałek wątróbki, szary i śliski. Benny kaszlał i płakał. Chwytał się za swoją klatkę piersiową, którą mama nadal ścisnęła.

– Mogłaś mu połamać żebra – stwierdziła Karen przerażona.

– Ale oddycha, prawda? – zapytała mama, odgarniając z oczu kosmyk blond włosów, które uwolniły się z jej kucyka.

Kelnerka przyglądała się kawałkowi wątróbki, jakby to był kawałek płuc Benny'ego. Mama schyliła się i go podniosła. Stała, międląc go palcami, jak gdyby nie była w stanie wymyślić, co z nim zrobić.

– Wszystko w porządku, Benny? – wyszeptałam.

Przytaknął, wycierając łzy wierzchem dłoni. Długi cienki kawałek gila został mu na palcu.

– Masz – powiedziałam, wyciągając kilka serwetek ze stojaka i pomagając mu wytrzeć nos.

Ukradłam ćwierćdolarówkę z napiwku leżącego na sąsiednim stoliku i dałam mu ją.

– Wychodzę. Chodź, pojeździsz na motocyklu.

Benny wytarł ciekący nos w rękaw i wyszedł ze mną. Spojrzałam w stronę stolika, gdzie siedziały nastolatki. Jeden z chłopaków założył ręce na piersi, zwiesił głowę i zaczął mamrotać.

– Jesteś taki dziecinny – oznajmiła dziewczyna, chichocząc, i wrzuciła swojego papierosa do wody sodowej.

– Jezdem upozledzony – wymamrotał, śliniąc się.

Zaszczypały mnie oczy.

Mama wciąż stała na środku sali, trzymając w ręku kawałek wątróbki.

Karen usiadła z powrotem przy stoliku z Larrym. Potrząsnęła głową i na tyle głośno, żeby mama to usłyszała, stwierdziła:

– Jest tylko pomocą pielęgniarską. Nie wiem, co ona sobie

wyobraża.

Mama ruszyła w kierunku nastolatków. Czekałam, aż powie coś w obronie Benny'ego. Cokolwiek, co sprawi, że ulotni się gorzki smak określenia „upośledzony”. Ale mama podeszła do stolika Karen i delikatnie położyła kawałek wątróbki na jej podkładce pod talerz.

– Może i nie jestem dyplomowaną pielęgniarką, ale umiem znaleźć puls. Różnica między mną a tobą polega na tym, że nie pieprzę się ze wszystkim, co go ma.

Po tych słowach odwróciła się od nich i wróciła do naszego stolika. Jej twarz straciła kolory, nawet usta miała białe.

– Chodźmy – powiedziała.

Zdjęła Benny'ego z bujającego się motoru i wepchnęła na tylne siedzenie samochodu. Lily zasnęła w moich ramionach. Gdy spała, zdawała się cięższa niż zwykle, ale nie odważyłam się oddać siostry mamie. Męczyłam się więc, próbując sama umieścić ją w aucie, podczas gdy mama zapalała papierosa na przednim fotelu. Zająłam miejsce obok niej, a ona przekreśliła kluczyk w stacyjce. Kiedy wcisnęła pedał gazu i zaczęła odjeżdżać, usłyszeliśmy, jak samochód strażacki włączył syrenę.

Otworzyłam schowek, wyjęłam stamtąd swój warkocz i ścisnęłam go mocno w rękę.

\*



Cisza. Peter wyszedł, gdy spałam, i wczesnym rankiem w chacie panował zupełny spokój. Słyszałam, jak Jessica mruczy przy łóżku, lodówka buczy w kuchni, drewno trzeszczy w kominku. Na zewnątrz niebo być może już się rozjaśniało, ale tu, w lesie, światło poranka nie jest wystarczająco mocne, żeby przedrzeć się przez gęste listowie. Minie co najmniej ósma, zanim odnajdą mnie promienie słońca.

Poduszka obok wciąż pachniała Peterem. To nieokreślona woń, którą mogłabym nazwać zapachem domu, jeśli wyczułabym ją na zewnątrz poza naszą chatą. Przewróciłam się na bok i chwyciłam poduszkę. Zanurzyłam twarz w jej zapachu, który momentalnie zaczął się ulatniać. Peter zostawił mi wiadomość po swojej stronie łóżka. Starannie przedartą na pół kartkę z notatnika. Wiedziałam, że druga połowa znajduje się zapewne na małym biurku w salonie. Peter jest bardzo skrupulatny, gdy odkłada rzeczy na miejsce. Nic tu się nigdy nie gubi. Zapaliłam światło i spróbowałam odczytać jego pismo. Te kreski i podłużne zawijasy po wielu wspólnych latach były mi równie znane jak własne. Czasem nawet dostrzegałam, że moje litery zaczynają przypominać jego pismo, a nawet je imitować, zwłaszcza gdy byłam zmęczona. Wiadomość przypominała, abym na pewno poinformowała pilota, że znajduję się na pokładzie. To był taki nasz żart, stary dowcip. Rodzaj rytuału, który miał mi zapewnić poczucie bezpieczeństwa. Peter nie lata już od dawna. Kiedyś wsiadaliśmy w samolot do Arizony, żeby odwiedzić Lily i moją matkę. To było jeszcze wtedy, gdy wciąż byłam skłonna wierzyć, że w ich życiu istnieje jakaś normalność. Że jak każda inna dziewczyna na studiach przyjeżdżam z chłopakiem do domu, żeby poznać moją rodzinę. Ostatni raz lecieliśmy wspólnie, gdy wracaliśmy do Maine po odwiedzinach u mojego ojca w Kalifornii.

To była wiosna. Pod nami rozciągał się Środkowy Zachód, w którym szalały tornada. Całe dzielnice były porywane wirem, unosiły się w powietrze i spadały z powrotem na ziemię.

My jednak znajdowaliśmy się nad nawałnicą, bezpieczni w chmurach. Mimo turbulencji i niepokojących obniżenia samolotu podobało mi się, że możemy wyjrzeć przez okienko i spojrzeć w dół,

w oko cyklonu. Peter był jednak przerażony. Widziałam, jak jego usta cicho liczą sekundy upływające między wstrząsami samolotu. Tak jakby odliczanie mogło pomóc oszacować, kiedy nastąpi kolejne szarpnięcie. Dopiero gdy samolot zaczął faktycznie opadać, lecąc w dół tak ostro, że nawet stewardesy krzyknęły, moje serce zamarło. Z tych koszmarnych chwil, kiedy opadaliśmy, przypominam sobie tylko obcy mi zapach hotelowego szamponu we włosach Petera i małe oparzenie na jego nadgarstku, kiedy chwytałam go za rękę, myśląc, że to już koniec. Jednak gdy samolot wrócił do stabilnej pozycji, a pilot zaczął wszystko wyjaśniać i przeproszać w typowy, niefrasobliwy sposób, poczucie kresu szybko mnie opuściło. To mechanizm, który chyba musi tak działać, aby powstrzymać człowieka przed permanentnym paraliżem. Peter jednak od tamtego czasu odmawiał wejścia na pokład samolotu. Mówił, że kiedy boimy się latać, życie jest prostsze. Że świat staje się znacznie mniejszym i bezpieczniejszym miejscem. Poza tym jego rodzice wciąż mieszkają na wybrzeżu w Bar Harbor. Kiedy tylko chcemy, możemy tam dotrzeć w kilka godzin samochodem.

Wstałam i zeszłam do kuchni. Otworzyłam szafkę i znalazłam kocie smakołyki. Jessica patrzyła na mnie podejrzliwie. Wzruszyłam ramionami, rzucając jej dwie pomarańczowe przekąski w kształcie rybek. Gdy kawa się zaparzyła, zaczęłam przetrząsać sterty rupieci na werandzie, próbując znaleźć swoją walizkę. Tak dawno nigdzie nie wyjeżdżałam, że nie pamiętałam, kiedy ostatnio jej używałam. To była ta sama walizka, z którą przybyłam na studia z Arizony. W końcu znalazła się pod naszą wielką czerwoną lodówką turystyczną, splątana pajęczynami za górą kartonowych pudeł i niepotrzebnych śmieci. Zaniiosłam ją do kuchni i ustawiłam na stole. Tylko jeden zatrzask wciąż działał. Zamek był zepsuty i jak przez mgłę pamiętałam, że ostatnim razem okleiłam ją taśmą wzmacniającą, żeby się nie otwierała. W środku podszewka w szkocką kratę była spłowiała i miękka. Na tylnej ścianie znajdowała się elastyczna kieszeń na przybory toaletowe, walizka była też zaopatrzona w cienkie skórzane rzemyki, żeby można było ciasno spiąć bagaż. Ze sterty prania wyciągnęłam swoje ulubione

rzeczy. Walizka była za mała, żeby zmieścić przedmioty nawet na siedem dni, ale wiązał się z tym pewien komfort. Wrzuciłam więc parę spodni, spódnicę, zapas bielizny na niecały tydzień i bluzki. Nie planowałam zostać długo – rozmiar walizki mi na to nie pozwalał.

Kiedy zapięłam jedyny działający zatrzask, pomyślałam o rodzinie Petera. Odwiedziny u jego rodziców są czymś, na co zawsze czekamy, co planujemy. On nigdy nie dostaje telefonów w środku nocy. Telefonów, które zmusiłyby go, żeby natychmiast wsiadł w samolot. Podróże do Bar Harbor sprawiają nam radość. Wspomnienie dłoni jego ojca, dłoni rybaka, które wyciągają się ku mnie przy stole przed obiadem podczas odmawiania modlitwy – ten widok napełnia mnie tęsknotą. Dźwięk dzwonka u drzwi, szuranie kapci matki Petera, a nawet sposób, w jaki spogląda przez zasłonę, żeby zobaczyć, kto stoi przed wejściem, powodują, że ściska mi się serce.

Jednak najbardziej lubię ich odwiedzać, kiedy Esmé, siostra Petera, wraca do domu z Brown. Gdy przyjeżdżamy, ona prawie zawsze siedzi z podkulonymi nogami na małej kanapie przy kominku i podnosi wzrok znad książki. Zobaczywszy Petera, odrzuca książkę niczym skórkę od banana czy kawałek zgniecionego papieru. Kocha swojego brata bardziej niż kogokolwiek lub kogokolwiek na świecie. Można to dostrzec w jej długich uściskach, w tym, jak rozpaczliwie wtula się w niego za każdym razem, gdy wyjeżdżamy. Pod koniec sierpnia teren za ich domem usiany jest jagodami. Zbieramy je do wielkiego plastikowego pojemnika, który dostajemy od matki Petera. Czasem jeszcze kilka dni po naszej wizycie czuję słone powietrze we włosach.

Którejś nocy, gdy leżeliśmy w dziecięcym pokoju Petera wtuleni w siebie w ciasnym, wąskim łóżku, wyobrażałam sobie, że to także mój dom. Kiedy Peter zapadł w głęboki spokojny sen, wsłuchiwałam się w fale bijące o skały i czułam się tak, jakbym też należała do tej rodziny od samego początku. Jednak za każdym razem, gdy odwiedzamy mały czerwony domek jego rodziców, gdzie ze strychu starej stodoły można zobaczyć ocean, czuję się nieznośnie smutna. To tęsknota silniejsza niż tylko poczucie braku czegoś czy pragnienie

czegoś. Jakby żal za czymś, czego nigdy się nie miało. Teraz po prostu udawałam, że pakuję się, by odwiedzić rodziców Petera. To był jedyny sposób, aby odstawić filiżankę z kawą i zmusić się do wyjścia na zewnątrz.

Chuck Moony zatrzymał samochód w momencie, gdy sprawdzałam, czy na pewno zabrałam bilet i szczoteczkę do zębów. Jessica prosiła o kolejną przekąskę, a ja uległam. Mruczała i ocierała się o moje nogi, aż naszła mnie głupia myśl, że w ten sposób próbuje mnie zatrzymać, że być może chce mnie tu przywiązać swoim puszystym ogonem.

– Gotowa? – spytał Chuck zza drzwi.

– Nigdy nie będę bardziej gotowa – powiedziałam i wyszłam do niego na taras.

Chuck to najlepszy kolega Petera. Dorastali razem w Bar Harbor i przyjechali tu do szkoły. Chuck rzucił ją jednak po pierwszym roku, kiedy zmarła jego matka. Wrócił do domu, żeby pomagać ojcu, który pracował w dokach. Wie wszystko na temat homarów i krabów. Wie też wszystko o kolorach horyzontu nad morzem o każdej porze dnia i nocy. Mówi, że nie mógłby nauczyć się więcej w college'u. Do Echo Hollow przyjechał tylko raz, kilka lat temu, kiedy on i jego żona Leigh brali ślub. Myślę, że Peter chciałby mieć go znów przy sobie. Jest coś fajnego w relacjach z człowiekiem, z którym spędziło się całe dzieciństwo. Nie trzeba sobie wyjaśniać wielu rzeczy.

W kabinie ciężarówki Chuck wręczył mi styropianowy kubek z kawą z Dunkin' Donuts i wskazał na lśniące różowe pudełko na podłodze. W środku był tuzin czekoladowych pączków z lukrem, moich ulubionych. Nachyliłam się i pocałowałam go w szorstki policzek. Kiedy wycofywaliśmy się wijącą się drogą, patrzyłam, jak mój czerwono-złoty świat odpływa, odlatuje od nas niczym leciutki dym z komina.

– Chcesz zatrzymać się w Łabędzie? – spytał, ostrożnie skręcając w główną szosę.

– A możemy jechać prosto na lotnisko?

– No jasne – odpowiedział, otwierając szybę, żeby wpuścić trochę zimnego rannego powietrza.

– Co tam u Leigh? – zagadnęłam.

Kilka miesięcy temu dowiedzieli się, że Leigh jest w ciąży.

– Wszystko dobrze. – Uśmiechnął się. – Tydzień temu zaczęła sobie szyć sukienki ciążowe. Ale to nie jest jeszcze ten moment. Waży wciąż tylko czterdzieści pięć kilo.

Zaśmiałam się. Chuck zazwyczaj bywał w domu najwyżej trzy noce w tygodniu. Na początku lata zaczął pracować u dewelopera budującego domy na sprzedaż, a po drodze zatrzymywał się u siebie, cały pokryty warstwą trocin. Leigh pracowała po nocach, więc przychodził do nas sam ze sklepowymi siatkami wypełnionymi mięsem i piwem. To była jedna z rzeczy, których niecierpliwie wyczekiwałam tego straszego lata. Że razem z Chuckiem usiądziemy na werandzie, podczas gdy Peter będzie marynował mięso, a potem przygotujemy grilla. Puszki zimnego piwa przynosiły ulgę podczas upałów, a jedzenie przyrządzane przez Petera zawsze stanowiło małą ucztę. Peter i Chuck opowiadali historie z czasów dorastania w Bar Harbor, a ja śmiałam się, aż bolały mnie brzuch i policzki. Gdy natomiast Leigh miała wolną noc, przychodził niekiedy razem z nią i prezentował mi swoją żonę tak, jakby była podarunkiem, jakby kobiecie przyjaźnie nawiązywało się tak samo łatwo, jak zwykle sąsiedzkie kontakty. Ale było do przewidzenia, że kiedy zostawałyśmy same w domu, rozmowa szybko przestawała nam się kleić, podczas gdy Peter z Chuckiem wesoło gawędzili na tarasie. Leigh była zbyt wyciszona i chyba nie do końca mi ufała. Kiedy zaszła w ciążę, ucieszyłam się: wreszcie znalazłyśmy nowy temat do rozmowy. Przynosiła katalogi z rzeczami dla dzieci, siadałyśmy razem przy stole i rozmawiałyśmy o śliniakach i przewijakach, o tym, czy używać pieluszek tetrowych, czy jednorazowych. Wydawało się też, że zaczęła się do mnie przyjaźniej odnosić, kiedy zasugerowałam, że Peter mógłby prawdopodobnie pomagać jej w przyrządzaniu posiłków dla dziecka.

Kiedy wjechaliśmy na autostradę, skręcało mnie w żołądku od zbyt dużej ilości kawy i czekolady. Droga na lotnisko była długa, więc miałam nadzieję, że ostry ból brzucha ustąpi. Obróciłam się w fotelu, starając się przyjąć wygodniejszą dla żołądka pozycję.

– Boli brzuch?  
– Tak – odparłam, krzywiąc się.  
– Chcesz, żebym zatrzymał się na stacji?  
– Nie. Będzie dobrze.  
– W schowku mam tabletki na ból żołądka.  
– Dzięki – powiedziałam, odszukując duże pudełko między narzędziami.

– Wrzody – oznajmił, chwytając się za własny brzuch.

Tabletka firmy Tums smakowała jak kreda. Oparłam głowę o szybę i zamknęłam oczy. Powietrze wpadające przez okno po stronie Chucka wiało mi prosto w czoło. Kiedy otworzyłam oczy, spytał:

– Jak twoja mama?

– Wyjdzie z tego – odpowiedziałam.

– To musi być dla ciebie trudne.

– Co masz na myśli?

– To, jak wszystko się zmienia. Bo wiesz, moja mama była osobą, która zawsze troszczyła się o to, aby wszyscy wokół czuli się dobrze. I każdy uważał, że to naturalne, że tak po prostu jest. Że ona zawsze upiecze ciasto na twoje urodziny, a kiedy będziesz przeziębiony, posmaruje ci piersi maścią Vicks. Pamiętam, że kiedy zachorowała, czułem się dziwnie, że teraz to ja się nią opiekuję.

Pokiwałam głową. Moja mama nigdy nie smarowała mnie maścią Vicks.

– Jak to się mówi? Chyba że świat się zawalił?

– Jakoś tak. – Zaśmiałam się.

Matka Chucka zmarła, gdy chłopak miał zaledwie dwadzieścia lat. Jego ojciec popełnił samobójstwo niespełna rok później. Chuck znalazł go wiszącego na pętli z sieci rybackiej.

Nalegał, że zaparkuje na lotnisku i odprowadzi mnie do samej bramki. Zmarnował dziesięć minut, przechodząc przez wykrywacze metalu. Zdjął zegarek, obrączkę, pasek z dużą srebrną sprzączką. W końcu kobieta z czarodziejską różdżką zorientowała się, że to wina jego butów z metalowymi czubami. Przyniósł mi dwa czekoladowe jajka z McMuffina, ale wciąż bolał mnie brzuch, więc

sam musiał je zjeść. Kupił mi także w kiosku gruby numer „Vogue’a”, który pachniał jak stoisko z perfumami w JC Penney, i podwójną paczkę cynamonowej gumy do żucia.

– To na twoje uszy – powiedział.

Otworzyłam paczkę i poprosiłam, żeby się poczęstował.

Uśmiechnął się i wyciągnął jeden listek. Ściągnął sreberko grubymi palcami i zaczął żuć.

– Na jak długo jedziesz? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie na długo.

– Obiecujesz? – zapytał. – Wiesz, że wszyscy będziemy za tobą tęsknić.

Do tego momentu nie czułam, że mam ochotę płakać. Ale jednak łzy zakręciły mi się w kącikach oczu.

Chuck delikatnie pogłaskał mnie koniuszkami palców po głowie.

– Lepiej wróć, zanim Leigh będzie potrzebowała tych sukienek ciążowych.

Potem siedzieliśmy w milczeniu, patrząc, jak pasażerowie samolotu powoli kierują się do bramki. Oboje metodycznie żuliśmy gumę.

– Spójrz – powiedział, wypluwając nagle gumę do ręki. –

Zrobiłem Jessicę. – Na jego dłoni mały różowy kawałek gumy do żucia w magiczny sposób przeistoczył się w miniaturową figurkę mojego kota.

– Imprezowa sztuczka. – Zaśmiał się. – Nazywam to origumą.

– Wspaniałe – pochwaliłam go z uśmiechem.

Chuck wrzucił sobie tę maleńką rzeźbę z powrotem do ust.

Począł, aż wsiadę do samolotu, a nawet dłużej – przez okno obok fotela widziałam, jak na tarasie widokowym upewniał się, czy start przebiega bez zakłóceń. Wiedziałam także, że będzie tam stał aż do momentu, gdy mój samolot zniknie w chmurach.

Nikt nie czekał na mnie na lotnisku w Phoenix. Rich, mąż Lily, musiał zostać w pracy, a moja siostra nigdzie nie mogła się ruszyć, odkąd Violet zachorowała. Siostra poleciła mi wziąć taksówkę, recytując wskazówki, jak dojechać do jej domu. Byłam tam tylko

raz, a całe Phoenix wygląda dla mnie tak samo. Nie ma tam żadnych wyróżniających się punktów, które mogłyby pomóc w orientacji, nic charakterystycznego, co pomogłoby odróżnić jeden zakątek od drugiego.

Było jeszcze wcześniej. W czasie lotu przekroczyłam strefę czasową i gdy lądowałam, była dopiero jedenasta rano. Zastanawiałam się, czy wejść do lotniskowego baru, ale wpadłam na lepszy pomysł – postanowiłam zadzwonić do Petera do pracy, korzystając z telefonu na lotnisku.

– Cześć – powiedziałam. – Jestem w Phoenix.

– Cześć. Cały dzień o tobie myślałem. Jak lot?

W tle słyszałam odgłosy z kuchni. Znajome buczenie zmywarki. Czysty stalowy dźwięk noży krojących mięso na deskach.

– W porządku. Wypiłam kilka szklaneczek krwawej mary.

– Brakuje mi ciebie – oznajmił. – Mogę zadzwonić później... z domu? Mamy tu urwanie głowy.

– Pewnie. Też mi ciebie brakuje.

– Dobra, to zadzwonię wieczorem – obiecał.

Jego głos był stłumiony. Mogłam sobie wyobrazić, jak z telefonem na ramieniu obiema rękami zdejmuje z palnika garnek pełen zupy.

Kiedy wyszłam z dworca przez szklane automatyczne drzwi, uderzyła mnie fala gorąca. Trudno mi było złapać oddech, gdy rozgrzane powietrze dotarło do moich płuc. Zapomniałam już o jego tutejszej niemożliwej do zniesienia intensywności i ciężkości. Zwykle w Phoenix nie jest aż tak gorąco w listopadzie. Było mi niedobrze, żałowałam, że wypiałam wcześniej tyle wódki. Sok pomidorowy wciąż palił mnie w przełyku. Chciało mi się rzygać. Do nieznośnego upału i uczucia mdłości doszedł zapach winylu w taksówce. Mój stan jeszcze się pogorszył. Na widok domu Lily stojącego na końcu ulicy wypełnionej identycznymi posiadłościami prawie mi ulżyło. Zapłaciłam taksówkarzowi i otworzyłam drzwi, znów wkracząc w nieznośny żar. Następnie ruszyłam betonowym chodnikiem w stronę wejścia.

– Uciekaj z tego piekarnika – zaśmiała się Lily, przytrzymując



drzwi.

Jej dom nasuwał skojarzenie ze szpitalem. Wewnątrz wszystko było białe. Czyste i antyseptyczne. Jednak pośród lśniącej czystości podłóg z jasnego drewna, kanap z białej skóry i białych zasłon wyczuwało się coś niezdrowego. Panował tu chłód. Pomieszczenie zdawało się wymrożone, jakby miało chronić przed zepsuciem. Postawiłam swoją walizkę obok kanapy, a Lily lekko mnie przytuliła. Nie pamiętałam, żeby była aż tak chuda. Ostre krawędzie jej żeber wbijały się w moje piersi, wyczułam też kości palców, gdy ścisnęła mi rękę. Jej włosy pachniały perfumami, których zaczęła używać po poślubieniu Richa.

– Cieszę się, że jesteś – powiedziała.

– Czy ona śpi? – zapytałam, wskazując na łóżeczko w rogu pokoju.

Dźwięk klimatyzatora był cichszy niż odgłosy sztucznego powietrza pompowanego do namiotu tlenowego Violet.

– Położyłam ją zaledwie parę minut temu.

Podeszłam do łóżeczka i popatrzyłam na dziecko Lily. Widziałam Violet tylko raz. To było wtedy, gdy Lily z Richem przywieźli ją do matki Richa mieszkającej w Bostonie, a potem przyjechali odwiedzić nas w Maine. Miała teraz osiem miesięcy, ale wyglądała tak, jakby dopiero się urodziła. Mocno trzymała rogi satynowego koca. Na malutkiej główce rosło tylko kilka białych włosków, skóra była przezroczysta. Jedyнным dowodem na to, że przez jej organizm przepływa krew, były cienkie niebieskie żyłki na skroniach.

– Jak ona się ma? – spytałam szeptem, bojąc się wystraszyć maleństwo i wytrącić je z chwilowego spokoju.

Lily wzruszyła ramionami.

– Lekarze wciąż robią badania.

– Ładna jest – skłamałam.

Violet wyglądała jak cień dziecka, niczym porzucony pancerz cykady liniejącej w naszym ogródku w Mountain View.

– Zrobiliśmy jej zdjęcia w Penney's kilka tygodni temu.

Przypomnij mi, żebym dała ci jedno, zanim wyjedziesz – powiedziała Lily, wskazując na fotografię leżącą na stole.

Na zdjęciu Violet była oparta o białe aksamitne tło. Jej sukieneczka w kolorze morskim ze wstążeczkami i z koronkami kontrastowała z bezbarwną twarzą. Teraz, gdy leżała w łóżeczku, jej oddech zdawał się tak samo unieruchomiony jak na tym zdjęciu. Jakby zamrożony.

Usiadłam na kanapie, zapadając się w chłodną białą skórę niczym kropla wsiąkająca w dłoń. Lily usadowiła się naprzeciwko mnie na krześle z twardym oparciem. Dziwnie wyglądała na tle tego pokoju. Dziwnie wyglądała w wąskim jasnoróżowym sweterku i długiej spódnicy. Niezależnie od tego, ile czasu upłynęło, zawsze, gdy myślę o mojej siostrze, widzę ją w ozdobionych cekinami ubrankach, które uszyła jej mama, w białych winylowych bucikach, z rdzawą batutą w ręku. Tutaj, w tym białym pałacu, wyglądała tak, jakby bawiła się w dorosłość.

– Jak się miewa Peter? – spytała.

– Dobrze – odpowiedziałam.

Rozejrzałam się po pokoju. Powietrze mocno dmuchało w zasłony.

– Lily, jak bardzo poważna jest ta sprawa z mamą?

Moja siostra spojrzała na swoje dłonie spoczywające na kolanach.

– Nie wiem.

– Na czym właściwie polega problem? – Usiadłam na krawędzi kanapy. Chciałam, żeby Lily na mnie popatrzyła. – To wszystko wygląda jak kolejny z jej numerów. Jakby chciała zwrócić na siebie uwagę.

Podniosła wzrok. Jej twarz była napięta.

– Problem jest poważny. Lekarze mówią, że to była próba samobójcza.

– Jezus Maria – prychnęłam.

Jej oczy rozwarły się szeroko.

– Skąd ty możesz to wiedzieć? Już tu nie mieszkasz. Nawet nie wiesz, co obecnie dzieje się w jej życiu. Zapewne nie słyszałaś, że straciła prawie piętnaście kilogramów. Że wydzwaniała do taty i odkładała słuchawkę. Może gdybyś nie była taka uparta...

– To nie jest, kurwa, moja wina. To jej życie. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

– Chcę po prostu powiedzieć, że ona ma depresję. Pomyśl o tym, Indie. Wszyscy ją zostawili. Tata ją zostawił, ty ją zostawiłaś. Tylko ja jej zostałam. Tylko ja... – Lily westchnęła i wzruszyła ramionami. To był gest, który mógłby być gestem mamy.

– To ona wszystkich straciła. Straciła Benny’ego, a później całą resztę.

Poczułam gorąco na karku. Pomimo chłodu panującego w pokoju wszystko się we mnie gotowało.

– Chodzi mi tylko o to, że moja diagnoza wydaje się słuszna. Ona nie ma nic. Nie ma nikogo poza mną. A teraz, przez chorobę Violet i ja nie mogę tak często u niej bywać. Ona jest sama.

– Nie bardzo wiem, czego ode mnie oczekujesz.

– Chciałabym, żebyś pomogła jej wrócić do domu. Żebyś popilnowała jej do czasu, aż zajmie się nią lekarz. Chciałabym, żebyś, na litość boską, była człowiekiem. Żebyś miała uczucia. To przecież nasza matka. Mama.

Coś zabrzmiało jak mała eksplozja. Jak petarda albo głośne uderzenie pioruna. Lily wstała i szybko podeszła do łóżeczka Violet. Znow rozległ się dźwięk, gardłowy i głęboki. Jak piorun albo turkot przejeżdżającego pociągu. Płuca Violet były tak słabe, że nie potrafiły wyrzucić z siebie jakiegokolwiek trucizny, która się w nich znalazła.

Lily sprawdziła wskaźnik na pojemniku z tlenem i włożyła rękę przez plastikową osłonkę, żeby pomasować piersi dziecka.

– Wszystko z nią w porządku? – spytałam.

– Wszystko dobrze – odpowiedziała, odwracając się i patrząc na mnie ze złością.

Kiedy tak stała pośrodku tego białego pokoju, przypominała jakiegoś anioła przedmieścia unoszącego w górę to chore dziecko. Jedyne jej białe stopy na grubym białym dywanie potwierdzały, że to ta sama dziewczynka, którą kiedyś znałam.

Oto Lily: ubrudzone trawą kolana i fioletowe szorty, które mama kupiła na kiermaszu zorganizowanym przez Kościół metodystów. Jej trykotowa bluzeczka z odkrytymi plecami rozciąga się na małym tułowiu. Chodzi na rękach i wywija swoją batutą. Przenośny adapter stoi na frontowych schodach prowadzących do domu; podłączony jest do gniazdka w kuchni za pomocą grubego pomarańczowego przedłużacza ojca. Płyta wciąż obraca się i obraca. Singiel z *Grand Ol'Flag* jest porysowany. Bardzo dobrze wiem, w którym miejscu znów podskoczy. Wiem też doskonale, jak zdenerwowaną minę będzie miała mama, kiedy podniesie ramię adaptera, żeby ponownie nastawić utwór.

Mama przyciągnęła z garażu schodki Lily. Zużyła całą buteleczkę kleju i cały plastikowy pojemnik srebrnego brokatu, aby swoim eleganckim charakterem pisma napisać od strony drewnianej podpórki: „Lily Brown”. Same stopnie schodków zostały pokryte lśniąącym niebieskim winylem przymocowanym srebrnymi świecącymi ćwiekami.

Siedziałam przy kuchennym stole, starając się nie zaplątać nóg w przedłużacz, i niby to robiłam matkę. Benny usadowił się pod stołem i zdierał papierki z kredek Lily.

Mama weszła do kuchni ze stosem przesyłek. Przez okno widziałam, jak listonosz wychodzi długą alejką i macha mojej siostrze, która stoi na szczycie schodów i mu odmachuje.

– Gdzie twój brat?

– On nie robi nic złego, mamó – powiedziałam.

– Benny, wyłaź stamtąd w tej chwili. Tracę cierpliwość.

Mama ciągle traciła cierpliwość. Zawsze wyobrażałam sobie, że po prostu gdzieś ją gubiła, tak jak tenisówki albo kolczyk z kolorowego szkiełka. Być może kiedyś odnajdzie tę cierpliwość gdzieś między poduszkami kanapy albo na dnie szafy Benny’ego. Nie wiedziałam, dlaczego każe Benny’emu wyjść. To z jej powodu tam siedział.

– Gdzie wasz ojciec? – spytała, przeglądając plik rachunków.

– Znowu wyszedł – odpowiedziałam, ciesząc się, że postanowiła zostawić mojego brata w spokoju.

Była sobota, jedyny dzień tygodnia, gdy tata nie pracował. Tato prowadził w mieście bar pod szyldem U Rusty'ego. Był w nim każdego dnia oprócz sobót, jednak czasem nawet w sobotnie popołudnie jechał sprawdzić, jak się sprawy mają. Czasem zabierał mnie ze sobą, żebym mogła zagrać w bilard. Dzisiaj obiecał zarówno mnie, jak i Benny'emu, że pojedziemy razem z nim do pracy. Benny lubił krążki cebulowe i szafę grającą.

Ja lubiłam, kiedy promienie słońca padały na zielony filc stołu bilardowego. Uwielbiałam słodki czerwony koktajl Shirley Temple i dźwięk spadających bil, rozlegający się po wrzuceniu ćwierćdolarówki do otworu.

Ale teraz tata był w ogródku za domem i walczył z chwastami. Kanapa, którą jego najlepszy przyjaciel Eddie Grand przywiózł do nas, zamiast oddać do Goodwill, wciąż stała w ogródku. Nie byliśmy w stanie wnieść mebla przez drzwi, więc tata zostawił go na zewnątrz. W sierpniu wokół kanapy zaczęły rosnać słoneczniki, a we wrześniu zaczęły już wyglądać spod poduszek. Stała tam przez całą zimę, teraz była kompletnie zarośnięta zielskiem.

Mama odłożyła korespondencję z wyjątkiem listu w szarej kopercie. Zaśmiała się i zaczęła go otwierać, drąc kopertę. Wyciągnęła ze środka plik kartek i usiadła przy stole. Starannie rozłożyła przed sobą każdą z kartek i machnęła ręką w stronę mojej książki do matematyki, jakby chciała ją zepchnąć. Zamknęłam podręcznik i odłożyłam na bok.

– Co przyszło? – spytałam, starając się odczytać pismo do góry nogami.

– Ciii... – odparła, lustrując wzrokiem pierwszą stronę, a potem następną.

– Mamo...

– To kwestionariusz tego konkursu organizowanego w Phoenix – odpowiedziała. – Daj mi przeczytać.

Czułam obecność Benny'ego pod stołem. Z każdej kredki odrywał papierek, który potem rzucał na podłogę. Miałam nadzieję, że nie zje znów kredek. Kiedy ostatnim razem to zrobił, zarzygał kapę na moim łóżku. Jedna kredka miała kolor palonej umbry, druga –

morskiej zieleni.

– Co to za konkurs?

– Konkurs Miss Kwiatu Pustyni – odparła mama takim tonem, jakby uważała mnie za wyjątkowo tępą. – Dla Lily.

– Ach. – Wzruszyłam ramionami.

Tato wszedł do kuchni z pękiem splątanych chwastów pod pachą. Wepchnął je do kosza na śmieci i westchnął.

– Czy przyszedł już rachunek za prąd? – spytał, kiedy zobaczył mamę i listy.

– Nie – rzuciła mama wyrwana z zamyślenia.

– A co to jest?

– To kwestionariusz, który przysłali z tego konkursu w Phoenix. Mówiłam ci o nim – odparła z uśmiechem.

Podbródek taty drgnął gwałtownie. Usiadł obok, położył rękę na oparciu mojego krzesła i zerknął na formularz.

– Kiedy to będzie?

– W czerwcu – odpowiedziała mama.

– Zamierzasz ją z tego powodu zwolnić ze szkoły?

– Nie, będzie już po zakończeniu roku szkolnego.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – rzekł tata i wstając, zmierzwił mi włosy.

– Dla zwycięzców oferują stypendia – stwierdziła głośno mama, machając mu listem przed nosem.

Zrobił się czerwony na twarzy.

Pod stopami wciąż wyczuwałam Benny’ego.

– A ile trzeba zapłacić, żeby dostać się na tę cholerną imprezę?

Mama spojrzała na swoje dłonie i odparła łagodnie:

– Tylko trzysta pięćdziesiąt. Za wszystko, łącznie z pokojem.

– Zapomnij – odciął się tato. – Nie mamy tyle.

– Ben, możemy trochę zaoszczędzić. Mogę wziąć jakąś dodatkową pracę do domu. – Mama próbowała załagodzić sytuację.

– Powiedziałem: nie.

Czułam, że mamą aż trzęsie. Stół delikatnie drżał od jej złości. Położyła płasko dłonie na blacie, po dwóch stronach formularza, i wstała.

– Ty powiedziałeś: nie?! – W jej głosie brzmiało niedowierzenie.

– Tak.

– Powiedziałeś: nie. To twoje ostatnie słowo? – Głos mamy stawał się coraz mocniejszy. Przytrzymał mnie w krześle jakby chwasty spowiły moje ciało. Zdumiewała mnie gwałtowność wypowiedzianych przez nią słów.

– Dupek.

Tata spojrzał twardo na mamę i odwrócił się. Benny chwycił mnie za kostkę. Czułam, jak jego palce wpijają się w moją skórę w miejscu nad tenisówkami. Sięgnęłam po książkę do matematyki, ale mama mnie ubiegła. Chwyciła podręcznik i zaczęła wymachiwać nim nad głową, a potem cisnęła w tatę. Książka przeleciała nad jego głową i uderzyła w ścianę, na której wisiała kolekcja łyżek z całego świata zbieranych przez mamę. Drewniana gablotka zagrzecotała i spadła. Łyżki z Japonii, Hiszpanii, Kanady rozsypały się po całej podłodze.

– Idę do pracy – oznajmił łagodnym głosem tata i pocałował mnie w czubek głowy.

Łzy zakręciły mi się w oczach. Obiecał, że później mnie ze sobą zabierze, żebym poćwiczyła uderzenia w bile.

– Wychodzisz, a mnie nie będzie, kiedy wrócisz – oświadczyła mama, odprowadzając go do drzwi. – Wezmę pieniądze, zabiorę Lily i pojedziemy do Phoenix.

Ręka Benny'ego puściła moją kostkę; poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy i przepływa do ramion i nóg. Wyobraziłam sobie, jak ścieka i formuje u moich stóp kałużę ceglastoczerwonej farby.

Kiedy mama wybiegła z domu za tatą, Benny czmychnął spod stołu. W kącikach ust wciąż miał okruchy tostów po śniadaniu.

– Mama zamierza wywieźć Lily?

– Ciii – uspokoiliłam brata i wzięłam go za rękę.

Wyskoczyliśmy przez kuchenne drzwi i szybko okrążyliśmy dom.

Tata wsiadł do samochodu i zatrzęsął drzwiczki. Usłyszałam warkot silnika, a potem odgłosy auta wolno wyjeżdżającego z alejki podjazdowej. Lily stała na skraju podwórka, trzymając w jednej ręce

rdzawą batutę i ssąc kciuk drugiej ręki.

– Zostawię cię – powiedziała mama. – Zostawię to zadupie.  
Wrócę do Kalifornii!

Stała w drzwiach do czasu, aż tata i jego chevy nova przeobrazili się w pomarańczowy punkcik przesuwany się pośród drzew. Potem zaczęła trzaskać drzwiami z siatką przeciw owadom. Wielokrotnie. Za każdym razem, gdy uderzały w futrynę, Benny zakrywał uszy rękami. Wciąż i wciąż trzaskała drzwiami, dopóki jeden z zawiasów nie wypadł i nie potoczył się z brzękiem po schodach wiodących do drzwi wejściowych. Mama schyliła się i podniosła zawias. Przyglądała mu się przez sekundę, a potem wyrzuciła go na podjazd. Kiedy usiadła na schodach, Lily podeszła do niej, wciąż ssąc kciuk, i wtuliła się w jej kolana. Była już jednak na to za duża. Jej długie nogi zwisały, dotykając ostatniego stopnia schodów.

Benny zniknął. Pewnie gdzieś się schował. Usiadłam na ziemi, opierając się o ścianę domu. Wyrywałam grube źdźbła trawy i słuchałam, jak mama nuci: „Wyjedziemy stąd, Lily, wyjedziemy stąd pewnego dnia”.

\*



Lily zawsze była ładniejsza ode mnie. Wiedziałam o tym, odkąd w pękniętym lustrze w naszej łazience nauczyłam się odróżniać jej odbicie od swojego. Zanim poznałam słowa, którymi mogłam to wyrazić, wiedziałam, że ona jest piękna, a ja – zwykła. Wtedy jednak nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, jakie konsekwencje przyniesie ta moja przeciętność. Nie rozumiałam, że mimo najlepszych starań rodzice zawsze bardziej kochają swoje ładniejsze dzieci. Że brzydsze dzieci nie są obdarzane takimi samymi pieśczoćkami jak ich ładniejsze rodzeństwo. Że czułość ma mniej wspólnego z miłością, a więcej z odruchową reakcją na miękkość skóry, duże błękitne oczy albo słodkie usteczka amorka.

Nawet teraz, kiedy patrzę, jak Lily przyrządza obiad, łapię się na tym, że cały czas nas ze sobą porównuję, wypunktowuję różnice między nami. Włosy, oczy, delikatny kształt jej ramienia czy nadgarstka. Gęste blond włosy mojej siostry są ściągnięte aksamitną gumką. Jej szyja jest długa, a skóra jasna. Nawet w wieku dwudziestu dziewięciu lat, osiem miesięcy po urodzeniu Violet, jej figura jest smukła i wyprostowana jak u chłopaka. Kości ma drobne jak ptaszek, a oczy tak duże i głęboko osadzone, że zadziwią każdego, kto nie przywykł obcować z subtelnościami jej urody.

– Wciąż jesz mięso? – spytała Lily, nie odwracając się od blatu.

– Jezu, tak – odpowiedziałam.

W Łabędziu serwowano głównie posiłki wegetariańskie (w mieście pojawił się ostatnio taki trend), ale Peter i ja mieliśmy hopla na punkcie dobrych steków. Moja siostra, tak jak moja mama, zawsze była dobrą kucharką. Do dziś wspominam daremne próby matki, która chciała nauczyć mnie gotować. I nie chodziło o to, że nie miałam ochoty tego robić. Po prostu zbyt łatwo się dekoncentrowałam. Z tego, co pamiętam, mama zrezygnowała z przekazywania mi wiedzy kulinarnej, gdy po raz pierwszy zakłęłam, bo zapomniałam zajrzeć do duszonego tuńczyka, którego wspólnie przygotowywałyśmy. Mama zobaczyła, że leżę na brzuchu i oglądam telewizję, choć już dwie godziny wcześniej powinnam była wyjąć potrawę z piekarnika. Pamiętam, jak stała w rękawicach kuchennych, a cały dom śmierdział spalonym tuńczykiem. Mama

wyrzuciła całe danie do kosza i nigdy więcej nie pozwoliła mi pomagać w kuchni.

Lily za to uwielbiała gotować z mamą. Miała nawet miniaturowy fartuszek, który mama jej uszyła – w fioletowo-białą kratę, obszty fioletową tasiemką, z kieszenią w kształcie serca z przodu.

Wypiekała małe bochenki chleba i smażyła małe placki. Tata prawie zawsze jadał w barze, ale w soboty siostra zanosila mu zapiekanke albo mięso i stawiała na stoliku telewizyjnym, żeby mógł oglądać koszykówkę i jednocześnie jeść. Ja siadałam na kanapie, przytulałam się do taty i razem jedliśmy, podczas gdy ona patrzyła, czy aby na pewno mu smakuje.

Tego wieczoru kolacja była przyrządzona z droższych produktów. Garnki i patelnie także różniły się od tych z osmalonym dnem, należących do naszej mamy, do których przyzwyczailiśmy się w dzieciństwie – były wykonane z miedzi, a nie ze stali nierdzewnej. Sprzęty kuchenne Lily były czystsze i bardziej lśniące. Czarny ekspres do kawy, maszyna do makaronu (wszystko wyprodukowane przez Cuisinart) – żadna z tych rzeczy nie wyglądała tak, jakby kiedykolwiek jej używano.

– Pomóc ci w czymś? – spytałam.

Lily skończyła właśnie przyrządzać marynatę do trzech grubych czerwonych steków i zaczęła obierać ziemniaki.

– Nie, dzięki – odpowiedziała.

– Jestem w tym teraz trochę lepsza – oznajmiłam. – Peter nauczył mnie, jak przyrządzać wypieki. – Pomyślałam o plastikowych pojemnikach w piekarni z wyraźnymi etykietami: „SUCHE” i „WILGOTNE”. Nie musiałam robić zbyt wiele poza wymieszaniem ich zawartości i dodaniem do powstałej mieszanki jagód czy kawałków banana. Nie wiem, dlaczego mimo to nigdy nie wychodziły za dobrze. – Ale nadal to on zajmuje się wszystkim, co wiąże się z gotowaniem.

– Może otworzysz butelkę wina?

– Jasne. – Chciałam zająć czymś ręce. No i miałam ochotę się napić. – Czerwone czy białe?

– Będą steki, więc może merlot?

Przesunęłam szybko wzrokiem po rzędzie butelek umieszczonych w pięknym koszyku z kutego żelaza, stojącym na blacie, aż na jednej z nich wypatrzyłam słowo „Merlot”. Wyjęłam ją ostrożnie z koszyka, a Lily podała mi korkociąg. W okresie naszego dzieciństwa w domu nigdy nie pojawiało się wino. Tato pił piwo, a w szklance mamy zawsze był burbon.

– Nigdy nie byłam w tym dobra – wyznałam. – Ale daj mi spróbować.

Wkręciłam korkociąg i zaczęłam naciskać srebrne ramiona, które przypominały skrzydła. Korek nagle wpadł do butelki. Cierpkie wino chlusnęło mi w twarz i na koszulkę, a także na blat.

– Cholera. Przepraszam.

Lily odwróciła się od swoich ziemniaków.

– W porządku – powiedziała, wzięła ze zlewu gąbkę i zaczęła wściekle wycierać blat.

Jeszcze długo po tym, jak plama zniknęła, moja siostra szorowała gładką granitową powierzchnię. Wreszcie wykonała ostatni ruch gąbką i wrzuciła ją do kosza pod zlewem.

– Naprawdę mi przykro.

– Nie ma sprawy. Otworzę kolejne. Nie jest ci gorąco? – Podeszła do ściany i włączyła klimatyzator.

Na karku poczułam zimny podmuch sztucznego powietrza. Potem Lily z wdziękiem i cicho wyciągnęła korek z kolejnej butelki merlota i naląła mi kieliszek. Pociągnęłam duży łyk i poczułam, jak wino mnie rozgrzewa, kontrastując z chłodnym powietrzem.

Rich przyszedł do domu w momencie, gdy chciałam wymknąć się na górę i poszukać swetra w którejś z szaf mojej siostry. Lily natknęła się na męża w drzwiach i zaprowadziła go najpierw do Violet, która w końcu usnęła, a potem do kuchni.

– Indiana Jones – powiedział Rich i mnie przytulił.

Zawsze go lubiłam. Bardzo przypominał naszego tatę. Jego ciężko pracująca rodzina pochodziła z Bostonu. Zaraz po ukończeniu szkoły średniej poszedł do pracy, żeby pomagać ojcu w firmie budowlanej. Wyrobił tam sobie pozycję, aż został brygadzystą, a kiedy ojciec zmarł, razem z bratem przejęli firmę. Otworzył filię

w Phoenix, żeby być bliżej Lily.

Rich poznał Lily podczas rejsu, w który zabrał swoją mamę po pogrzebie ojca. Historia ich znajomości przypomina chwilę, która mogłaby być uwieczniona na zdjęciu w jednym z czasopism, jakie moja siostra czytała pod koniec podstawówki; ja uczyłam się wówczas w szkole średniej. Nijakie zdjęcie. Kolorowe i pełne uśmiechów, ale zarazem płaskie i kiczowate. Łatwe do zapomnienia.

Rich po prostu ujrzał Lily sączącą piña coladę przy barze na pokładzie i pomyślał, że ta dziewczyna wygląda jak anioł. Powiedział jej to i już po roku przeprowadził się do Phoenix, a potem zabrał ją tym samym statkiem na miesiąc miodowy. Kiedy słyszę podobne opowieści, chce mi się śmiać z okoliczności, w jakich poznaliśmy się z Peterem.

Historia naszego zakochania bardziej przypomina terkoczące czarno-białe filmy z projektora, które Peter puszcza w swoim kinie, niż różowo-lawendowo-błękitną kolorystykę romansu Lily i Richa.

– Kiedy przyjechałaś? – spytał Rich, wyjmując piwo z lodówki.

– Dziś rano.

Zdjął kapsel i zamierzał położyć go na blacie, ale Lily spojrzała na niego gniewnie, więc szybko przemknął obok niej, żeby wyrzucić kapsel do kosza. Lily była niesamowita. Kiedy wraz z Peterem przeprowadzaliśmy się z mieszkania w bloku do chaty, znalazłam ze sto kapsli od butelek poutykanych pod poduszkami i na półkach za książkami.

– Byłaś już w szpitalu? – spytał Rich.

Pokręciłam głową. Zobaczyłam, że moja siostra sztywnieje.

– Rich, czy mógłbyś wyjąć świeczniki? – zapytała.

Steki skwierczały na grillu. Lily wlała pół litra śmietany do miski z ziemniakami. Rich uśmiechnął się do mnie i ścisnął za ramię. Wręczył mi świeczniki, które ustawiłam na środku stołu, a sam umieścił na nim trzy talerze, które wyjął z serwantki – białe, z delikatnie naszkicowanymi kwiatami pośrodku. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak ona chce położyć krwiste mięso na tych drobnych roślinkach.

– Zawieziesz ją do Mountain View? – spytał Rich.

– Tak... – Uśmiechnęłam się. – Chociaż nie bardzo się do tego palę.

Rich był członkiem naszej rodziny na tyle długo, aby wiedzieć o skłonnościach naszej mamy do odgrywania dramatów. Zawsze mogłam na niego liczyć i traktować go jak swojego sprzymierzeńca, kiedy mama wycinała jakiś numer. Kiedy Lily płakała w jej ramionach albo prowadziła ją do drugiego pokoju, żeby uspokoić, my z Richem paliliśmy papierosy w ogródku. Wiele razy przez to przechodziliśmy.

– Lepiej nie zostawiaj jej samej, kiedy będziesz tankowała na stacji. – Rich zachichotał. – Istnieje ryzyko, że zachce jej się pić.

Powstrzymałam wybuch śmiechu. Dobrze było trochę się powyglądać. Dzięki temu wszystko zdawało się mniej absurdałne. Mniej chore.

Lily odwróciła się. Poczerwieniała na twarzy, a taca ze stekami, którą niosła, zatrzęsała się w jej rękach. Skupiłam całą uwagę na mięsie, żeby się nie roześmiać.

– Tylko żartowałem. – Rich wzruszył ramionami. – Przepraszam.

– Jak tam idą interesy firmy? – spytałam szybko.

– Wspaniale. Lato się skończyło, więc chłopcy są szczęśliwi. Nie uwierzysz, jak wielka jest różnica między czterdziestoma sześcioma a trzydziestoma dwoma stopniami Celsjusza.

– Mogę sobie wyobrazić – powiedziałam.

Rich wyjął z kieszeni zapalniczkę i zapalił świecę. Kiedy Lily podeszła do lodówki po masło, zaczął udawać, że wypija płyn z zapalniczki.

Odwróciła się i to zobaczyła. Postawiła z hukiem ziemniaki na stole.

– Dość tego!

Usiadła i położyła serwetkę na kolanach. Widziałam, że jej oczy się zaszklily, a potem łzy zaczęły płynąć po policzkach. Nie próbowała ich otrzeć.

– Wspaniale to wygląda – powiedział Rich, łapiąc Lily za rękę. Utkwiła wzrok w swoim talerzu. Rich zaczął kroić stek. Czerwona posoka wylała się na talerz. Rich nadział gruby różowy kawałek

mięsa na widelec i włożył go do ust. – Doskonałe.

Lily szybko wytarła łzy i posłała mu słaby uśmiech. Wtedy z salonu dało się słyszeć chrobotanie w płucach Violet. Widziałam, że spojrzenie Lily gwałtownie uciekło w tamtą stronę. Położyła widelec na talerzu i wyciągnęła szyję, nasłuchując. Trwała w tej pozie do czasu, aż nabrała przekonania, że niebezpieczeństwo kolejnego ataku minęło.

Kiedy Lily włączyła zmywarke i zgasiła świece, udałam, że jestem zmęczona podróżą, bo nie chciałam dłużej przebywać w zimnym salonie.

– Na pewno nie chcesz trochę puddingu chlebowego? – spytała, wsypując do szklanki z wrzącą wodą łyżeczkę ciepłego deseru według przepisu naszej matki. – To pomoże ci zasnąć.

– Nie – odparłam. – Padam ze zmęczenia.

– Pościeliłam ci łóżko – rzekła Lily. – Ostatnio nocowała tu mama.

Poszłam za siostrą w stronę schodów. Gdy przechodziła przez salon, zwróciłam uwagę, że stąpa po podłodze samym śródstopiem.

– Dobranoc, Rich – powiedziałam, spoglądając na szwagra.

Siedział na kanapie obok łóżeczka Violet, przerzucając kanały w telewizji. Wciąż miał na sobie firmowe ubranie. Poluzował jednak krawat i zdjął mokasyny. Na stoliku postawił kolejną butelkę piwa, ostrożnie umieściwszy ją na jednej z marmurowych podkładek Lily.

– Dobranoc, Indie. Śpij dobrze.

– Ciii... – Siostra wskazała Violet i pogroziła palcem.

Zaprowadziła mnie do pokoju gościnnego i zatoczyła krąg szerokim gestem, wskazując mi wszystko, czego mogłabym potrzebować.

– Tam w szafie są czyste ręczniki, dodatkowe koce i poduszki. Gdyby zrobiło ci się gorąco, możesz przestawić klimatyzator. Ja zazwyczaj nastawiam go na osiemnaście stopni Celsjusza. Śpię z Violet na dole, jeślibyś czegoś potrzebowała, daj mi znać. Po podróży samolotem możesz się obudzić w środku nocy. Nałóż sobie wtedy trochę puddingu. Nie śpię za dużo, więc raczej nie powinnaś mnie obudzić.

– Jezu, Lily, przestań. Poradzę sobie. Dzięki.

Wyglądała na wytrąconą z równowagi, po czym spojrzała w kierunku otwartych drzwi.

– W porządku.

Wyjęła koc i poprawiła poduszkę.

– Dzięki.

Ziewnęłam.

– Tam jest więcej koców – powiedziała nagle poirytowana. – Śpij dobrze.

Gdy wyszła, położyłam się na twardym łóżku. Ściany pokoju błyszczały nawet w ciemności, odbijając światło ulicznych latarni. Pościel była tak porządnie wyprasowana, że aż sprawiała wrażenie niewygodnej. Wyobrażałam sobie, jak Lily spryskuje ją krochmalem i prasuje na sztywno. Zamknęłam oczy i starałam się skoncentrować na odgłosach dobiegających z domu. Utraciłam dźwięki lasu i oddechu Petera, podobnie jak zapach ognia palącego się w kominku w sąsiednim pokoju. Przyczepiony nade mną do sufitu wiatrak obracał stojące powietrze. Poza tym słyszałam warkot zmywarki, szum klimatyzatora, brzmienie ich ściszonych głosów, pomieszanych z głosami dochodzącymi z telewizora. Zasnęłam przy szmerze tlenu pompowanego do płuc Violet.

W środku nocy zbudził mnie znajomy dźwięk, odgłos gałęzi stukających w okno chaty podczas burzy. W pierwszej chwili chciałam się przytulić do Petera, ale przypomniałam sobie, gdzie jestem, i usiadłam na pościeli zdeorientowana. Mrugałam, aż oczy przyzwyczyły się do mroku panującego w pokoju. Odgłos dochodził z zewnątrz, ale w ogródku Lily nie było żadnych drzew. Rósł tam tylko kaktus, a w miejscu, gdzie powinna być trawa, rozrzucono żwir. Wstałam z łóżka, okryłam ramiona kocem i zeszłam na dół. Gruby dywanik na schodach był przyjemny dla stóp – tak bardzo się różnił od zimnej drewnianej podłogi w naszej chacie. Ale u nas w domu podłogi były solidne. Tutaj stopniowo zanurzałam się w miękkość dywanu, aż zaczęłam się bać, że wciągnie mnie ta kremowa breja.

Z salonu sączyło się przygaszone światło. Pomyślałam, że Lily

może karmić Violet, a ja będę przeszkadzać. Obawiałam się, że trafiłam w tę porę nocy, gdy w całym domu tylko Lily i jej córeczka nie śpią. Trudno mi było wyobrazić sobie ją tulącą Violet w ramionach.

Nawet w czasie ciąży mojej siostrze brakowało pewnych trudnych do nazwania cech, które zawsze wiązałam z macierzyństwem, jak drobne rumieńce na policzkach, opuchnięcie i miękkość ciała. Na twarzy Leigh Moony już teraz zaczynał pojawiać się ten właśnie odcień rumieńców, o jakim myślę. Stało się to zaledwie kilka miesięcy od poczęcia. Przestała też być koścista, podczas gdy Lily zachowała jasną zimną cerę i typową dla siebie kanciastość przez cały okres ciąży i wczesnego macierzyństwa. Widziałam ją raz w pierwszych miesiącach brzemienności, kiedy przyjechałam po jednym z fałszywych alarmów mamy. Potem zobaczyłam siostrę już po urodzeniu Violet, gdy przywiozła małą do Maine. Przez ten czas niewielkie krągłości i piersi Lily zdążyły zniknąć. Pozwoliła, aby jej pokarm zanikł, decydując się na puszki z mlekiem modyfikowanym i sterylne szklane butelki. Po obiedzie zauważyłam, że zmywarke po brzegi wypełniają te butelki i gumowe smoczki.

Lily nie było w salonie, a Violet leżała cicho w łóżeczku. Zajrzałam do niej i obserwowałam ją przez kilka chwil, czekając na jakąś oznakę oddechu, na choćby słaby ruch klatki piersiowej.

Na zewnątrz paliło się światło rozjaśniające patio. Na przesuwanych szklanych drzwiach salonu rysowało się jego odbicie, za którym mogłam zobaczyć słaby zarys mebli werandowych. Białe wiklinowe krzesła i stół ze szklanym blatem. Rzuciłam okiem na Violet i powoli otworzyłam drzwi. Uderzył mnie podmuch ciepłego powietrza. Na zewnątrz musiało być jakieś piętnaście stopni więcej niż w domu. Poczułam się podobnie jak wtedy, gdy w Maine, w zimowe popołudnie, wchodziłam do chaty, wracając z sanek czy nart.

Z początku nie zauważyłam Lily, myślałam, że może zostawiła światło w obawie przed włamywaczami. Myślałam, że może przygotowuje w kuchni butelkę dla Violet albo nalewa sobie



ciepłego mleka do kubka. Usłyszałam ten sam odgłos skrobania co wcześniej, a w zasięgu wzroku mignęły mi włosy mojej siostry. Zobaczyłam też wyrwane rośliny, których dotąd nie dostrzegłam. Tworzyły dosłownie stos połamanych gałązek. Cały ogród był nimi usłany, a niektóre osiągały długość porównywalną ze wzrostem Lily. Słyszałam ją, jak pochrząkuje, tnąc je sekatorem. Obserwowałam z patio, jak walczy z roślinami z taką zjadłością, jakby znajdowała się w dżungli, a nie we własnym ogrodzie. Serce zaczęło mi mocniej bić, kiedy usłyszałam, jak przeklina.

– Cholera – szeptała. – Pierdolone chwasty. Co za gówno.

Chciałam odwrócić się i wejść z powrotem do domu, ale Lily była w tym momencie tak blisko, że mogłaby mnie usłyszeć, gdybym znów przesunęła drzwi.

Cicho zakaszlałam.

– Jezu – jęknęła wystraszona, kiedy wychyłała z za wyjątkowo dużego krzaka.

Położyła rękę na piersi, jakby próbowała powstrzymać serce, które chciało wyskoczyć z piersi.

– Przepraszam – powiedziałam. – Co robisz?

Odepchnęła na bok gałęzie i weszła na patio.

Pomimo upału miała czarny golf, czarne dżinsy i grube czarne rękawiczki.

– Próbuję się pozbyć tego cholerstwa – odrzekła, zdejmując rękawiczki.

Wytrzeszczyłam oczy i wskazałam na jej strój.

– Dlaczego jesteś tak ubrana? Wyglądasz jak przestępca.

– Nie wyobrażasz sobie, jakie one są kłujące. Za pierwszym razem wróciłam cała podrapana. Ręce i nogi miałam pokiereszowane jeszcze tydzień później.

– Jest wpół do drugiej w nocy – oznajmiłam.

– Obudziłam cię?

– Nie, ale czy to nie może poczekać do rana? Czy ty w ogóle spałaś?

– Musiałam poczekać, aż się ściemni, bo w ciągu dnia jest za gorąco, żeby tak się ubrać.

Usiadła na jednym z wiklinowych krzeseł i przechyliła głowę na bok, żeby rozruszać bolące mięśnie szyi.

– Lily, martwię się o ciebie.

– Nie trzeba.

– Naprawdę. Jesteś podenerwowana.

– Nie jestem podenerwowana.

– No a twoje zachowanie przy obiedzie? – upierałam się. – Rich i ja po prostu się wygłupialiśmy.

– Jesteście okrutni, ty i Rich – stwierdziła.

– To były zwykłe żarty.

– Uważasz to za żarty? Myślisz, że było w tym coś zabawnego?

Lily machała rękoma w stronę domu, w stronę obciętych gałęzi, w moją stronę.

– Chcę tylko powiedzieć, że czasem przez chwilę trzeba się trochę wyluzować. Nabrać dystansu. Rich tylko...

– Rich... – przerwała mi. – Richowi brakuje właściwego podejścia.

– Chodzi ci o sprawę z mamą? Daj spokój. On już przez to przechodził. To jej typowa zagrywka. Strojenie sobie żartów to jego sposób na radzenie sobie z tym.

– Nie chodzi o mamę – odrzekła Lily łamiącym się głosem. – Chodzi o Violet.

– Co masz na myśli?

– Nic – odparła i ściągnęła rękawiczki. Na tle szklanego blatu jej dłonie były drobne i białe. Spojrzała na mnie uważnie. – Twierdzi, że przesadzam. Uważa, że nie jest wcale tak źle, jak w rzeczywistości jest.

– Nie rozumiem. Sprawia wrażenie bardzo przejętego.

– Nie towarzyszy mi podczas wizyt lekarskich z Violet, nie pomaga mi podawać jej lekarstw w domu...

– Jestem przekonana, że po prostu się boi – zawyrokowałam.

Pamiętam, jak Rich trzymał Violet niedługo po jej urodzeniu. To było na plaży w Maine. Całym ciałem osłaniał ją przed zimnym wiatrem. Pamiętam, jak małe paluszki Violet zaciskały się kurczowo na jego kciuku.

– I jeszcze te bzdury w trakcie obiadu. On uważa, że wszystko jest zabawne.

– Ale wtedy żartował na temat mamy, Lily. To nie miało nic wspólnego z Violet.

Spojrzała na ciemny ogród.

– Poza tym lekarze na pewno szybko wykryją, jaki jest problem, i twoja córeczka wyzdrowieje – próbowałam ją pocieszać.

– Ona jest naprawdę chora – stwierdziła głośno Lily.

Odwróciła się i popatrzyła na mnie. Dostrzegłam cień lęku w jej oczach. Zakryła usta ręką, która zadrżała niczym dziwny długoskrzydły motyl unoszący się na wysokości jej twarzy.

– Przecież nie powiedziałam, że nie jest. Lily, na miłość boską!

Zostawiłam ją w ogrodzie i wróciłam do zimnego pokoju, zimnej pościeli i zimnego powietrza krążącego nad moją głową. Schyliłam się i podniosłam słuchawkę telefonu. Wiedziałam, że Peter już wstał i pojechał do kawiarni. Pomyślałam, że być może właśnie się zastanawia, jaki film wyświetlić tego dnia. A może kazał Joemu przyrządzić grzany cydr jako remedium na jesienne chłody. Kiedy rozdzwonił się telefon, zamknęłam oczy i pomyślałam o cynamonie, goździkach i ostrym błękicie jesiennego nieba. Wyobraziłam sobie Jessikę, jak budzi się ze snu, zasłaniając sobie uszy łapkami. Ale gdy włączyła się automatyczna sekretarka, nie przyszło mi do głowy nic, co mogłabym powiedzieć, więc się rozłączyłam. Znowu położyłam się w sztywnej pościeli. Na zewnątrz chrobotwały gałęzie, a ja całą noc balansowałam na krawędzi snu i wyglądałam marzeń sennych, które nie nadeszły.

\*

Rok 1972. Teraz nie jestem już pewna, czy to prawda, czy może tylko echo koszmaru, który zbyt długo się za mną wlecze. Ale z pewnością pamiętam jeden obraz: zimna podłoga, na której stoją moje bose stopy, blask żarówki w środku nocy i włosy mojej matki rozlewające się niczym lemoniada po jej ramionach, gdy klęka przy Lily na posadzce łazienki.

Labirynt domu w Mountain View komplikuje się jeszcze bardziej w moich snach. Korytarze są szersze, drzwi natomiast prowadzą do pokoi, których nigdy tam nie było. Kontury sennych wizji ukazują pejzaże, które nie pojawiały się w krajobrazach mojego dzieciństwa wypełnionych osikami, sosnami i dębami. Czasem widzę noc przez szybę, czasem widzę kalifornijski ocean, czerwoną pustynię i wielkie obszary nierzeczywistej zieleni. (I nie wiem, czy to trawa, woda, czy kawałek starej zielonej aksamitnej sukienki, która należała do mamy, a którą kiedyś znalazłam w szafie). W tym domu z marzeń mogłabym pomylić drogę, podczas gdy w moim prawdziwym domu istniało zaledwie parę miejsc, w których można było się schować. Nawet gdybym chciała, nie potrafiłabym się w nim zgubić. Wiedziałam, co kryje się za każdymi drzwiami. Zdawałam sobie sprawę, które mogą otworzyć, a które musiały pozostać zamknięte.

Tej nocy jestem boso i wędruję przez łamigłówkę, jaką tworzy ten dom. Przez puzzle z pomarańczowych tapet w stokrotki, niebieskiej włochatej wykładziny i blatów ze sztucznego marmuru, których powierzchnia odrywa się jak naklejka podważona paznokciem przy brzegu. Idę boso i nie zmoczę się dziś do łóżka. Nie odbędę tej sennej podróży przez mdlący, wytapetowany orzełkami – orzełek za orzełkiem, orzełek za orzełkiem – korytarz do łazienki tylko po to, by obudzić się we własnym słonym moczu. To dźwięk plastikowej podkładki pod materac zbudził mnie, przypominając o tym, że nigdy już nie mogę tego zrobić.

Odgłosy moich stóp na kuchennej podłodze przywołują na myśl dźwięki deszczu uderzającego o szybę. Skupiam się na tym, w jaki sposób w środku nocy moje pięty i palce, i znów pięty, i znów palce, przywołują dźwięki deszczu w kuchni.

Drzwi do pokoju mamy i taty są otwarte na oścież. Nie są

zamknięte na klucz, nie są zatrzaśnięte jak wtedy, gdy słyhać za nimi wrzeszczące głosy. Są otwarte niczym kusząca pokrywa pudełka z jakąś zabawką w środku. Niczym wieko mojego pojemniczka z kredkami – nie można się powstrzymać, żeby nie zajrzeć do środka. Tata na łóżku wygląda niczym wielki niedźwiedź. Rozłożył się na materacu, a jego plecy są tak szerokie, że zmieściłabym się, gdybym położyła się na nich w poprzek. Jeślibym miała na to ochotę. Biała narzuta i poduszki, które zawsze skubię, kiedy tutaj śpię albo płacę, leżą teraz skotłowane w nogach łóżka. Tata nie lubi, aby cokolwiek przykrywało mu stopy. Nawet zimą.

Odczuwam chęć zrobienia siusiu niczym łagodne kołatanie serca w piersiach. Wkładam sobie ręce między nogi i mocno naciągam koszulę nocną, skupiając się na miękkiej flaneli dotykającej mojej nagiej skóry. Orzełek za orzełkiem, orzełek za orzełkiem, i już widać żółte światło dochodzące spod drzwi łazienki.

– Mamo – szepczę. – Muszę zrobić... – Nie pomyślałam wcześniej, że będę musiała czekać. Nie odpowiada mi, więc przyciskam dłonie do drzwi, nachylam się i szepczę: – Mamo. Nie chcę znowu zasiusiać swojego łóżka. Wstałam, więc nie zasiusiam łóżka.

Ponownie nie słyszę żadnej odpowiedzi. Delikatnie popycham drzwi, wiedząc, że jeśli ona siedzi teraz na sedesie, tak jak ostatnio, dostanę lanie. Jestem pewna, że jeśli siedzi na brzegu muszli klozetowej i sięga właśnie po rolkę papieru toaletowego, która stoi na krawędzi umywalki, zamiast wisieć na wałku, tam gdzie powinna, to będą kłopoty. Jednak nie większe, niż gdybym zmoczyła się w łóżku. Nie większe, niż gdybym obudziła się w mokrej koszuli nocnej przyklepionej do moich bioder. Drzwi otwierają się naprawdę powoli, pomarańczowe stokrotki, pomarańczowe stokrotki, pomarańczowe stokrotki i żółty, żółty blask nieosłoniętej żarówki wiszącej nieruchomo pośrodku łazienki. Najpierw wydaje mi się, że Lily po prostu śpi rozłożona na podłodze jak tata na łóżku. Jej koszula nocna w okolicy pach jest poszarpana. Twarz ma zakrytą puszystą pomarańczową matą łazienkową. Ale słyszę jej płacz, mama zaś trzyma coś w rękach – jakąś rurę przywierającą do tyłka Lily. Na jej końcu znajduje się zbiorniczek

z wodą, taki jaki pokazują w serialu *All My Children*, kiedy ktoś leży w szpitalu. Mama klęczy przy niej, jej włosy rozlewają się po ramionach niczym lemoniada. Wciska tę rurę w Lily, trzymając ją za tyłek, żeby się nie ruszała. Siostra jednak nie krzyczy, trzyma się tylko kurczowo pomarańczowej maty łazienkowej. Widzę ją między jej palcami.

– Spokojnie, dziecko, spokojnie.

Stoję w pomarańczowo-stokrotkowo-żółtej poświacie nieosłoniętej żarówki oświetlającej łazienkę w środku nocy i patrzę na ręce mamy, które szybko pracują. Tuba już znikła. Rozumiem tylko, że cokolwiek mama robi Lily, jest to coś gorszego niż to, co mogłoby mnie spotkać, gdybym zasikała łóżko.

Musiałam wydać z siebie jakiś odgłos, ponieważ mama odwraca głowę i mnie dostrzega. Wstaje tak gwałtownie, że uderza głową o żarówkę. „Cholera”. Żarówka huśta się, a światło miga, to zapalając się, to gasnąc. Zupełnie jak wtedy, gdy w nocy tata bawi się w „potwora” w salonie (aż do czasu, kiedy mama upomni go, że jej przeszkadza). Następnie robi się zupełnie ciemno i mama rzuca ciche przekleństwo. Potem czuję tylko mroczny paskudny odór ekskrementów. Straszny ziemisty zapach, taki jak wtedy, gdy pies sąsiadów zgubi się i ryje dziurę na podwórku. Albo jak zapach łazienki, gdy tata wychodzi z niej w niedzielny poranek. Czuję, że wszystko przewraca mi się w brzuchu i nagle nie mogę już dłużej wytrzymać. Gorące siki ciekną mi po nodze. Spływają i zamieniają się w kałużę wokół stopy.

Czuję na plecach ręce mamy, które wypychają mnie za drzwi.

– Daję jej lekarstwo, Indie. Wracaj do łóżka.

Popycha mnie tak mocno, że nawet nie jest w stanie dostrzec kałuży moczu. Kiedy wracam korytarzem, światło w łazience znowu zaczyna świecić, co dostrzegam przez szparę pod drzwiami.

Mama zaś szepcze do Lily:

– Wszystko w porządku, kochanie. Zaraz poczujesz się lepiej.

Wszystko będzie dobrze.

W tym konkretnym śnie nie mogę znaleźć puzzla, który wyjaśniałby, co takiego mama robiła Lily w środku nocy

w pomarańczowym pomieszczeniu w stokrotki. Więc zamiast tego  
wyjmuję z pudełka z puzzlami ciemny poszarpany element i staram  
się wpasować go w szparę pod drzwiami łazienki, tak żebym nie  
musiała widzieć jaskrawego światła dochodzącego stamtąd ani  
słyszeć przeprosin mojej matki.

\*

Wstałam rano, parę minut po szóstej, ale Rich zdążył już wyjść do pracy. Lily wycisnęła świeży sok z pomarańczy, które zerwała z drzewa rosnącego przed domem. Podała perfekcyjnie przygotowane jajka po benedyktyńsku z sosem holenderskim, posypane świeżą papryką. Do tego postawiła przede mną świeżo zmieloną kawę z prawdziwą śmietanką.

– O której chciałabyś pojechać do szpitala? – spytałam.

– Rich powiedział, że zawiezie cię, kiedy wróci do domu na lunch – odparła Lily, dolewając mi soku do szklanki.

– Nie pójdziesz ze mną?

– Naprawdę nie mogę wyjść. Muszę zostać tu z Violet.

– Dlaczego Rich jej nie popilnuje? – spytałam.

Mocniej ścisnęłam widelec i patrzyłam na Lily, która nie chciała odwzajemnić mojego spojrzenia. Pokręciła głową.

– Po prostu weźmiesz ją i przywieziesz tutaj. Szpital jest blisko. To zajmie tylko parę minut. Mama wie, że ja nie przyjadę.

– Rozmawiałaś z nią? – zapytałam, dziwiąc się, jak mogłam nie słyszeć tej rozmowy; chyba że Lily zadzwoniła do mamy w środku nocy.

– Dzwoniłam do szpitala dziś rano, żeby się dowiedzieć, o której zamierzają ją wypisać. Powiedzieli, że wszystko będzie gotowe do południa.

– Naprawdę wolałabym, żebyś ze mną pojechała. Nie jestem pewna, czy chcę przez to przechodzić sama.

– Nie będziesz sama – oznajmiła Lily, uśmiechając się. – Rich pójdzie z tobą. Mama lubi Richa, choć właściwie nie mam pojęcia dlaczego.

Obserwowałam ją, żeby się przekonać, czy da za wygraną. Twardy wyraz jej twarzy jednak się nie zmienił. Po prostu zamrużyła szybko, co zawsze robiła, gdy chciała oddalić od siebie jakiś problem.

Dźgnęłam ostrymi zębami widelca oporne jajko, a żółtko wypłynęło na różowy krążek kanadyjskiego bekonu i doskonale opieczoną bułeczkę drożdżową. Kiedy jednak podniosłam widelec, nie mogłam się zmusić do jedzenia. Biel jajka wywoływała u mnie



mdłości, więc odłożyłam sztucę z powrotem.

– Tak naprawdę to nie jestem głodna – oznajmiłam.

– W porządku – powiedziała ze złością Lily i zabrała mój talerz.

Rich jechał do szpitala ostrożnie. Żeby do środka nie przedostawało się gorące powietrze, okna samochodu były zamknięte, i dzięki temu czułam zapach jego wody po goleniu. Podobnie jak w perfumach Lily kryło się w tej woni coś wyjątkowo obrzydliwego. Aromat był bardziej męski niż u Lily, z lekko wyczuwalnym piżmem, ale wciąż bardzo ostry. Pomyślałam o zapachu sosny, jakim pachniała kurtka Petera.

Rich wahał się, czy włączyć radio.

– No jasne. – Skinęłam głową, kiedy niepewnie wskazał na sprzęt grający. – Nie przeszkadza mi to.

W Phoenix są miliony stacji radiowych. W naszej chacie odbieramy tylko rozgłośnie uniwersytecką, a jeśli wystawimy antenę za okno, czasem uda nam się złapać jakieś stacje z Portland. Tu był zbyt duży wybór. Nagle rap zadudnił mi gwałtownie pod stopami, a zaraz potem Rich przełączył na coś innego. Zabrzmiało brzdąkanie country, z kolei potem usłyszeliśmy jakiś talk-show. Przez pięć minut wypełnialiśmy pustą przestrzeń między nami białym szumem zbyt wielu decyzji, które należy podjąć. W końcu Rich pokręcił głową i wyłączył radio.

– Lily obudziła mnie w nocy – odezwałam się.

– Znowu walczyła z gałęziami w ogródku?

– Wydaje mi się, że nie sypia dobrze.

– Ona wcale nie sypia – stwierdził, odwracając się do mnie i marszcząc brwi. – Walczy z tymi gałęziami od tygodni, ale co chwila burza piaskowa znów je tutaj przywiewa. A gdy nie zajmuje się gałęziami, bierze prysznic. Trzy albo cztery razy w nocy. Słyszę, jak leje się woda, i myślę, że ona na pewno jest czysta. Więc co robi? – Lekko zachichotał, a następnie dodał miękko: – Nie śpi w naszym łóżku od miesiący.

Opuściłam osłonę przeciwsłoneczną, żeby ochronić oczy.

– Rozumiem, że martwi się o Violet i teraz jeszcze o mamę – mówił dalej Rich. – Ale ona nie jest już sobą. Cały czas chodzi

wkurzona. Cokolwiek powiem, powoduje u niej wybuch. Jakby to była moja wina czy coś.

– Jakby co było twoją winą?

– Nie wiem. Może to, że Violet jest chora. Albo to, że Lily nie może spać. Nie wiem.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– To głupie – prychnęłam.

– Naprawdę nie mam pojęcia, co robić. Ona nie chce, żebym jej pomagał. Prawie w ogóle nie pozwala mi podejść do Violet. Próbowałam chodzić razem z nimi do lekarzy, ale Lily nie chce, żebym im towarzyszył.

Z niedowierzaniem otworzyłam usta, bo pamiętałam, co opowiadała mi siostra. O tym, że Rich nie dostrzega powagi problemu.

– Wiem, że to chore – rzekł przepaszająco.

Skinęłam głową, ale przemilczałam moją niedawną rozmowę z Lily na ten temat. Chyba bezpieczniej było wykazać zrozumienie dla jego dezorientacji, niż jeszcze ją potęgować, informując go, że moja siostra opowiada kłamstwa.

– Jak tam kawiarnia? – spytał, uśmiechając się i odwracając głowę, żeby na mnie spojrzeć.

– Dobrze – odpowiedziałam z wdzięcznością. – Zaczęłam robić muffiny.

Zaparkowaliśmy samochód i udaliśmy się przez ciężkie, gorące powietrze ku szpitalnemu wejściu. Gdy dostrzegłam windę, spojrzałam na Richa, który chyba czuł się tutaj podobnie nieswojo jak ja.

– Jeśli chcesz, możesz poczekać tu, w holu – powiedziałam.

– Jesteś pewna? – spytał, ale widziałam, że jego ramiona się rozluźniły, jakby uwolnił się od niepokoju, jaki musiał odczuwać.

Kiwnęłam głową.

Kiedy winda się otworzyła, wyszłam z niej, przytrzymując drzwi lekarzowi, który biegł korytarzem. Był ubrany na niebiesko. Miał buty osłonięte czymś, co wyglądało jak czepek kąpielowy. Maski ochronna wisiała mu na szyi niczym chusta.

– Dzięki. – Uśmiechnął się.

Przeszłam korytarzem tylko kawałek, aż zorientowałam się, że trafiłam na złe piętro. Zatrzymałam się przed dużym szklanym oknem i popatrzyłam przez nie na noworodki. Nigdy nie chciałam zostać matką, ale dzieci zawsze mnie fascynowały. Szczególnie te nowo narodzone. Uwielbiałam ich zapach i sposób, w jaki ich oczy szybko przeskakują po kolorach, kształtach czy ruchach, rejestrując wszystko, co dla nich nowe. Skrzyżowałam ramiona i przyglądałam się inkubatorom formującym rząd za rzędem. I nagle zasłoniłam ręką usta. W jednym z inkubatorów leżało i trzęsło się dziecko nie większe niż moja pięść. W innym znajdowało się niemowlę chore na żółtaczkę. Oczy miało szczelnie zamknięte, jak u młodego kociaka. Nie, to nie były te zdrowe dzieci o rumianych policzkach, ważące cztery i pół kilograma, które nazywały się Ashley albo Joshua. Tutaj leżały chore noworodki, dzieci narkomanek, wciąż drżące po brutalnych wstrząsach macic ich matek. To były istoty bez imion, z szeroko rozstawionymi oczami, bo na świat wydały je alkoholiczki albo heroinistki. Dzieci, które urodziły się bez palca u nogi albo ręki. Takie, które dostały tylko tyle pokarmu, żeby w niegościnnych brzuchach swoich matek urosnąć do wielkości cytryny.

Oparłam ręce o szybę i skupiłam wzrok na drżącym dziecku w dalekim kącie sali. Miało rurki poprowadzone do każdego otworu w ciele, a na głowie niebieską czapkę z włóczki. W porównaniu z tymi dziećmi Violet wygląda jak okaz zdrowia. Jej nierówny oddech przeszedłby niezauważony pośród tych wibrujących szklanych ścianek.

Kiedy pielęgniarka przechodziła z wózkiem wypełnionym tacami z jedzeniem, nagle poczułam, że zbiera mi się na wymioty, co przypomniało chorobę lokomocyjną, na którą cierpiałam w dzieciństwie. Niekontrolowaną, zupełnie obezwładniającą. Odeszłam od szyby i pobiegłam korytarzem z powrotem do windy. W windzie patrzyłam uważnie na numery pięter wyświetlające się nad drzwiami. Nie chciałam natknąć się na obryzganą krwią niebieski fartuch lekarza. Liczyłam piętra i starałam się nie przypominać sobie o innych wizytach w szpitalu.

Oddział psychiatryczny nie różnił się specjalnie od oddziału dla noworodków. Było tu cicho. Cicho i zielono. Jasne ściany miały kolor mchu, a przy każdym z okienek chwiejnie przycupnęły sztuczne kwiaty. Przeszłam obok oszklonej werandy, szukając sali mamy, gdy usłyszałam za sobą głos:

– Indie?

Zatrzymałam się i cofnęłam, zaglądając do pomieszczenia, które przed chwilą minęłam. Okna i rośliny filtrowały słoneczne światło Arizony. Telewizor z olbrzymim ekranem i dwie niebieskie sofy. Moja matka odłożyła czasopismo i wstała. Nie była jeszcze ubrana. Miała na sobie jasnoróżowy szlafrok podobny do tego, który widziałam na drzwiach łazienki u Lily. Rozpuszczone blond włosy sięgały jej za ramiona. Przeplatane poskręcanyimi siwymi kosmykami robiły wrażenie bardziej niechlujnych, niż faktycznie były. Skórę miała jasną i przezroczystą, a pod jej powierzchnią mocno rysowały się kości twarzy i palców.

– Mamo – powiedziałam, tak jakbym chciała potwierdzić, że ta kobieta istotnie jest moją matką.

Uśmiechnęła się, a jej wargi ciasno przywarły do zębów. Następnie wyciągnęła ramiona, zachęcając mnie w ten sposób, żebym podeszła bliżej.

– Mamo, wyglądasz strasznie.

– Dzięki – odrzekła z goryczą.

– Myślałam, że dzisiaj cię wypisują. Przyszłam zabrać cię z powrotem do Lily. Rich jest na dole.

Spojrzała nieobecny wzrokiem w okno, przez które widać było brudne niebo Phoenix, i wzruszyła ramionami.

– Mamo – powtórzyłam zirytowana. – Przyjechaliśmy zabrać cię do domu.

– Myślę, że powinnam zostać tu do czasu, kiedy będą mieli ten ostatni wynik badania krwi – oznajmiła. – Jestem bardzo chora.

– Wiem. – Pokiwałam głową. – Ale lekarze powiedzieli Lily, że mogą cię wypisać dziś po południu.

– Możliwe. – Westchnęła i usiadła na sofie.

Jej gołe kolana, które ukazały się spod fałd szlafroka, wystawały

tak, jakby miała w nogach patyki zamiast kości.

– Gdzie jest twój lekarz? – spytałam.

– To coś w domu – powiedziała delikatnie. – Azbest. Myślę, że twój ojciec umieścił azbest w ścianach, żeby mnie otruć.

Poczułam, że miękną mi kolana. Usiadłam naprzeciwko niej. Czułam się, jakbym rozmawiała z dzieckiem. Była chudsza niż Lily, ręce jej się trzęsły.

– Gdzie jest twój lekarz, mamó? – spytałam ponownie.

– On za cholere nic nie wie! – zawołała tak głośno, że aż mnie przestraszyła. – Wszyscy lekarze tutaj to pieprzone konowały. Próbowali wmówić twojej siostrze, że ja to sobie sama zrobiłam. Próbowali zwalić winę na mnie.

Jej oczy stały się duże i wilgotne, nabrały takiego samego błękitnego odcienia jak oczy Lily, kiedy płakała.

– W porządku, mamó. Zostań tutaj, a ja poszukam lekarza.

Spojrzała w okno, bo przeleciał nad nami samolot.

– Mamó, obiecaj mi, że nigdzie stąd nie pójdziesz.

Nie patrzyła na mnie, ale lekko pokiwała głową.

Opuściłam szklaną werandę i podeszłam do głównej recepcji. Pielęgniarka rozmawiała łagodnym głosem przez telefon. Kręciła przy tym kosmykiem włosów, który wysunął jej się z białej poszczerbionej spinki do włosów podtrzymującej czepek.

– Przepraszam – powiedziałam.

Podniosła oczy i spojrzała na mnie poirytowana. Zasłoniła słuchawkę ręką i spytała:

– W czym mogę pani pomóc?

– Chciałabym znaleźć lekarza, który opiekuje się moją matką. Ona nazywa się Judy Brown. Leży w sali 218.

– To doktor LaVesque z toksykologii – odparła i odsłoniła słuchawkę, do której znowu zaczęła szeptać.

– Przepraszam, ale chciałabym wiedzieć, który lekarz opiekuje się nią na tym oddziale – nalegałam.

– Ona została już wypisana – stwierdziła pielęgniarka, ponownie zakrywając dłonią słuchawkę.

– Nie została wypisana. Siedzi w szlafroku w sali, tam, w holu.

– Wypis i wszystkie dokumenty zostały podpisane dziś rano. Pani matka znajduje się pod opieką doktora LaVesque'a jako wypisana pacjentka.

Zjechałam windą. Kiedy drzwi się otworzyły, przez chwilę miałam ochotę wyjść ze szpitala i jechać prosto na lotnisko. Zostawić Richa i mamę. Wsiąść na pokład najbliższego samolotu do Maine. Zamiast tego jednak udałam się do holu, gdzie siedział Rich, czytając „Reader's Digest” i gryząc brzegi styropianowego kubka od kawy.

– W czym problem? – spytał.

– Możesz mi pomóc zrozumieć, o co tu chodzi?

Kiedy wziął mnie pod rękę, poczułam, że ściska mnie w gardle.

– Oni mnie zwodzą, a mama ciągle tam siedzi ubrana w szlafrok.

Przyciągnął mnie do siebie, jakby chciał przed czymś ochronić, i wyszeptał:

– Wszystko wyjaśnimy. Nie martw się. To pewnie tylko jakieś małe zamieszanie. Te szpitale są tak wielkie, że personel z trudem kontroluje na bieżąco, kto przychodzi, a kto został wypisany.

Zamknęłam oczy, żeby powstrzymać się od płaczu. Oczami wyobraźni widziałam jednak długie palce mojej matki wyciągające się ku mnie. Różowy kolor jej szlafroka i wystające kości, które kiedyś były jej nogami.

Mama była zdeorientowana. Podpisała już wypis ze szpitala, ale jeszcze się nie ubrała. Podczas gdy jej pomagałam pakować torbę, lekarz wyjaśnił Richowi, że dokumenty związane z leczeniem zostały wysłane do szpitala w Mountain View i że powinna udać się tam na wizytę kontrolną do wyznaczonego psychiatry, kiedy już znajdzie się w domu. Wszystkie toksyny zostały usunięte z jej organizmu. Metodą dializy odprowadzono z ciała zakażoną krew. Wypłukano truciznę. Jedynym utrzymującym się objawem było osłabienie stawów i mięśni. Zmęczenie.

W samochodzie mama usiadła na przednim siedzeniu obok Richa, więc przez całą drogę powrotną patrzyłam na tył jej głowy. Mogłam ocenić, kiedy przestała rozjaśniać włosy. Siwe odrosty miały grubo ponad dwa centymetry. Rich miękkiem głosem rozmawiał z nią o Lily

i Violet, o upale i o tym, co też Lily może przygotować na obiad. Obserwowałam wyprzedzane przez nas ze świstem samochody na autostradzie i życzyłam sobie, żeby Rich zawiózł nas do domu jak najszybciej. Chciałam wydostać się z tego zapełnionego auta lekko pachnącego trucizną.

Kiedy wjechaliśmy w ulicę Richa i Lily, zobaczyłam swoją siostrę na werandzie z przodu domu z Violet na rękach. Stała boso, z włosami rozpuszczonymi na ramionach. Potarganymi. Jej ręce trzęsły się, twarz była całkowicie biała, a ślady po łzach widniały na niej niczym świeże blizny.

– Jezu – jęknął Rich, wjeżdżając na podjazd i gwałtownie otwierając drzwiczki samochodu.

Mama siedziała nieruchomo na przednim siedzeniu, ja zaś obserwowałam przez przyciemnioną szybę dziwnie zniekształcone kolory tej sceny. Patrzyłam na ich niebieskie ręce i na niebieską twarz Violet. Na Lily, która wyglądała niczym dziwna błękitna madonna, bosa i drżąca. Przez zamknięte okno obserwowałam, jak Lily szlocha, a Rich trzyma ją w ramionach. Widziałam, jak wziął od niej Violet, a siostra upadła na podłogę.

Nawet wtedy, gdy karetka podjechała pod dom, nie otworzyłam moich drzwi. Po prostu siedziałam z tyłu za matką i patrzyłam, jak małe usta Lily otwierają się i zamykają, cicho szepcząc jakieś wyjaśnienia. Przestała oddychać. O Boże, ona przestała oddychać.

\*

W moim pokoju odgłos butów do stepowania Lily na kawałku sklejki, który mama położyła na podłodze w kuchni, brzmiał jak deszcz. Rytmiczne postukiwanie metalu o drewno, które docierało do mojego łóżka, gdy leżałam z gorączką i ocieżałą głową, mogło brzmieć niczym kołysanka wygrywana specjalnie dla mnie. Kiedy zamknęłam oczy i poczułam pod powiekami pulsowanie, wyobraziłam sobie, że to burza za oknem wygrywa tę piosenkę. Wyobraziłam sobie czarne chmury, pioruny i kap-kap-kap tańca Lily.

Wróciłam wcześniej ze szkoły do domu z powodu małych krost na brzuchu. Ospa wietrzna. Choroba dziecięca, której tak długo udawało mi się uniknąć. Mama twierdziła, że muszę być na nią odporna. Kiedy tata zabrał mnie z lekcji czytania pani Kinsey do samochodu, wszystko mnie swędziało, a skóra była rozpalona. Tata musiał wracać do baru, ale zanim wyszedł, przyrządził mi coś smacznego do picia – mieszankę soku pomarańczowego z napojem imbirowym, do której wrzucił trzy wisienki, a te, spadając na dno, zostawiły za sobą czerwone smugi.

Tata zabrał Benny'ego ze sobą do pracy, bo kiedy brat zobaczył, jak tata niesie mnie do pokoju z zimną, mokrą szmatką do mycia naczyń na czole, zaczął płakać. Gdy dziwny, przeszywający głos Benny'ego zaczął wibrować w całym domu, w mamie wszystko się zagotowało.

– Benny, może pójdziesz dziś z tatą do pracy? Daj Indie trochę pospać. – I Benny wyszedł za tatą.

Patrzyłam na niego z okna pokoju. Podskakiwał za tatą, o mało nie potykając się o własne nogi. Zdążył już zapomnieć o tym, że mam gorączkę. Leżałam sama w pokoju, Lily zaś wystukiwała rytm deszczu swoimi stopami. Spałam i budziłam się na przemian. Na zewnątrz nie padało. Był wspaniały słoneczny, majowy dzień. Odgłosy metalowego deszczu były jednak uporczywe. Czułam się zdezorientowana. Zasłoniłam pękającą z bólu głowę ciężką poduszką z pierza i starałam się nie myśleć o czerwonych krostach pokrywających całą moją skórę. A także o tym, że czuję, jakby mrówki chodziły mi po plecach.



Obudziłam się przerażona. Na zewnątrz było ciemno. Kiedy usiadłam, poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy do ramion i dłoni. W głowie wciąż dudnił deszcz. Mrówki stały się pszczołami, cała moja skóra bzycała. Wstałam z łóżka i wolno podeszłam do drzwi. Czułam, że w każdej chwili mogę upaść, że przyciąganie ziemskie stało się dla mnie zbyt silne.

„Musiała minąć północ”, pomyślałam. Wokół było tak cicho. Wszyscy chyba poszli spać. Chciało mi się pić i miałam nadzieję, że ociężałe nogi zaprowadzą mnie do kuchni, gdzie naleję sobie szklankę soku pomarańczowego albo mleka. Powoli kierowałam się w stronę lodówki. Było mi tak zimno, że kiedy otworzyłam usta, spodziewałam się zobaczyć przed sobą kłęb białej pary. Popatrzyłam na zegar nad kuchenką. Piąta rano. Był poranek, a ja nie wiedziałam, gdzie podziała się noc. Stałam zdezorientowana, a nogi się pode mną uginały. Benny siedział przy kuchennym stole, na którym stały duża plastikowa miska i pudełko płatków śniadaniowych. Wyglądał jak olbrzym, gdy nachylał się nad tą wielką miską. Na twarzy miał czekoladowy osad po prażonych chrupkach Cocoa Puffs, a na jego koszulce widniała trójkątna plama po mleku.

– Gdzie są wszyscy? – spytałam.

– Lily ma skały – stwierdził.

– Co takiego?

Benny jadł płatki chochlą do zupy.

– Mama powiedziała, że ona ma skały.

– Nie wiem, o czym ty mówisz, Benny. Mamo!!!

– ICH TU NIE MA! – wykrzyknął Benny.

Przez głowę przetaczały mi się nowe fale bólu. Usiadłam obok brata, gdy kontury dostrzeganych przeze mnie przedmiotów stały się czarne i niewyraźne. Wszystko wokół zaczęło szumieć.

– Gdzie oni są? – spytałam.

– Lily ma skały i pani Dexter zabrała ją z mamą do szpitala. Tata jest w barze i robi inwencję.

– Masz na myśli inwentaryzację?

– Aha, tak.

Uśmiechnął się i zanurzył chochlę w misce.

– Czy Lily zjadła coś, co jej zaszkodziło?

– Nie.

– Bolał ją brzuch?

To przypominało jakąś koszmarną zgadywanke.

– Tak! I od czterech dni nie robiła kupy. Ma skały.

– Ma zaparcia?

– Jest zapchana – odpowiedział Benny, uśmiechając się od ucha do ucha.

Promienie słońca zaczęły napływać przez kuchenne okno, tworząc mały snop światła na stole, tuż obok Benny'ego. Położyłam głowę w tym ciepłym, słonecznym bajorze.

– Masz ospę? – spytał i położył swoją głowę przy mojej.

Podniósł brwi zaniepokojony.

– Mhm – przytaknęłam.

– Nie martw się. Obiecałem mamie, że się tobą zajmę – oznajmił i puknął mnie w ramię jednym ze swoich grubych palców.

Zasnęłam przy stole. Kiedy podniosłam głowę, poczułam, że zdrętwiała mi szyja. Benny wstawił swoją miskę do zlewu. Zegar nad kuchenką pokazywał ósmą. Poszłam do salonu, włączyłam telewizor i położyłam się na kanapie, nakrywając się starym wojskowym kocem. Mama kładła go na oparciu kanapy, żeby zakryć plamy po soku grejpfrutowym, które pozostawił Benny.

Znowu to spałam, to się budziłam. Mieszały mi się wątki z sitcomów i obrazy z moich snów, sztuczny śmiech z domowymi dźwiękami. Jeden teleturniej przechodził w następny, bajecznie kolorowe nagrody i pełne pasji pocałunki bohaterów seriali kręciły się niczym w *Kole fortuny*. Tuż przed południem przypominałam sobie, że powinnam być w szkole, i zastanawiałam się, czy mama będzie wściekła, że nie poszłam na szkolny autobus.

O trzynastej mamy z Lily nadal nie było w domu. Benny siedział na podłodze obok kanapy ze słoikiem masła orzechowego, miał też nóż i opakowanie krakersów grahamowych. Najpierw przygotowywał jednego dla mnie, a potem drugiego dla siebie. Jadłam, aż rozbolało mnie gardło.

Jako pierwszy pojawił się w domu tata i zaprowadził mnie z powrotem do łóżka.

– Indie, kochanie, gdzie jest mama? – spytał, otulając mnie kocem, gdy dostałam dreszczy. – Jak długo jej nie ma, skarbie?

– Długo – odpowiedziałam.

W okolicach oczu głowa pękała mi z bólu. Tata nałożył sobie na dłonie zimną różową maść kalaminową i troskliwie posmarował mi każdą piekącą grudkę.

– Wciąż swędzi, kochanie? Już lepiej?

Zaczekał do chwili, aż moje powieki stały się tak ciężkie, że nie mogłam już otworzyć oczu. Do czasu, aż skóra przestała szczytać. Wreszcie zaprowadził Benny'ego do łazienki i zmył mu masło orzechowe z twarzy i włosów.

– Dobry z ciebie chłopak, Benny. Dobrze opiekowałeś się siostrą.

W kontakcie z moją gorącą skórą pościel na łóżku wydawała się zimna. W pokoju panowała cisza.

Obudziłam się, gdy usłyszałam, jak otwierają się drzwi wejściowe, a Lily tupocze w korytarzu. Potem dobiegło mnie westchnienie mamy i mocne uderzenie pięści taty w kuchenny stół.

– Co ty sobie myślisz? – zapytał. – Zostawiłaś Benny'ego, żeby opiekował się Indie? Ona ma gorączkę. Jezu, Judy.

– Byłam w szpitalu z naszą drugą córką, Ben. Przecież nie mogłam jej zostawić, kiedy tak leżała na podłodze w kuchni i trzymała się za brzuch, prawda? Rozumiesz, że ona nie była w toalecie od czterech dni? Początkowo pomyślałam, że znowu po prostu wstrzymuje, ale potem przyszło mi do głowy, że to może nerki. Ten sposób, w jaki łapała się za plecy. Więc zabrałam ją na pogotowie. Wybacz...

– Nie obchodzi mnie to, choćby nie była w toalecie przez miesiąc. Nie zostawia się, do diabła, chorego dziecka samego w domu. – Dobiegający z dołu głos taty był tak niski, że czułam, jakby rozlegał się we mnie samej.

– Benny tu był – powiedziała mama.

– Tak, byłem tu – potwierdził Benny. – Opiekowałem się ospą Indie.

– Benny, może pójdziesz się pobawić na dworze? – zapytał tata. Jego głos jeszcze się obniżył, dudnił teraz jak bęben. – Nie mogłaś zadzwonić do mnie do baru?

– Nie sądzę, żebyś lubił, jak ci się przeszkadza.

– Co to, do cholery, ma znaczyć?

– Doskonale wiesz, co to ma znaczyć.

– Nie mam pojęcia, do czego zmierzasz, ale powiem jedno. Mam nadzieję, że Lily dolegało coś naprawdę poważnego, skoro w ten sposób usprawiedliwiasz pozostawienie tu Indie samej z Bennym na cały dzień.

– Gdybyś chciał wysłuchać, tobym ci powiedziała. Poprosiłam doktora Murraya o zrobienie badania moczu. Nie chodziła do łazienki, bo skarżyła się, że gdy siusia, to ją boli. Bałam się, że to mogą być kamienie nerkowe.

„Kamienie – pomyślałam. – Benny mówił, że ona ma skały. «Kije i kamienie kości mi połamią, ale twoje słowa nigdy mnie nie zranią». Tak to brzmiało?”. Przed oczami stanęły mi ogromne karty do gry. Błyszcząca nowa zmywarka. Wielki fortepian.

– Czy lekarz dał jej jakiś antybiotyk? – spytał tata zmęczonym głosem.

– Powiedział, że wyniki badania moczu są prawidłowe. Ale jestem prawie pewna, że ona miała infekcję pęcherza. Poprosiłam go, żeby wypisał jakiś lek. A wróciłam tak późno, bo wstąpiłam jeszcze do sklepu, żeby kupić sok z żurawin. To pomoże Lily oczyścić organizm.

– Więc lekarz stwierdził, że nic jej nie jest? – zapytał tata.

– Lekarz przecież nie może wiedzieć wszystkiego. Lekarz nie spędza z nią każdego dnia, prawda?

Ich głosy zaczęły mi wirować w głowie jak teleturniejowe koło fortuny.

– Ona płakała! – krzyczała mama. – To mógł być wyrostek, na miłość boską!

Pamiętam szmer deszczowego tańca Lily. Odgłos jej stepujących kroków na scenie z dykty. Ale nie pamiętam płaczu. Tylko stukot jej stóp w butach do stepowania. „Ona kłamie – pomyślałam. – Tato,

nie słuchaj jej, ona to wszystko wymyśliła”.

Zakryłam głowę poduszką. Łagodny głos ojca przy uporze matki o smaku kwaśnego soku z cytryny przywodził na myśl mleko czekoladowe. Zakryłam poduszką uszy, aż wydawane przez nich dźwięki zniknęły i słyszałam już tylko kalaminowy chłód bawełnianej poszewki i ciężkiego pierza.

\*

Lily pojechała karetką z Violet, pokręciła jednak głową, gdy zaproponowaliśmy, że będziemy jej towarzyszyć. Violet z powrotem zaczęła oddychać. Chcieli po prostu zrobić jeszcze jakieś badania. Zadzwonili później ze szpitala. Do mamy wyszeptła: „Właśnie wyszłaś ze szpitala. Powinnaś chyba trochę odpocząć”. Do Richa powiedziała zaś: „Czy mógłbyś coś zrobić na obiad? Dasz sobie z tym radę?”.

Rich i ja weszliśmy do domu. Zapaliliśmy papierosy w nieskazitelnie czystej kuchni Lily i nalaliśmy sobie ginu z tonikiem do dużych szklanek. Mama stała na werandzie jeszcze długo po tym, jak ucichło wycie karetki. Trzymała drzwi otwarte, wpuszczając do środka gorące powietrze i wypuszczając chłodne na zewnątrz. Miała na sobie ubranie, którego nie kojarzyłam – minęło dużo czasu, odkąd ostatni raz ją widziałam – jasnożółtą bawełnianą bluzkę, tak cienką, że przez tkaninę mogłam dostrzec kości jej obojczyków, które niemal wyłaziły na zewnątrz.

– Mamo, wejdź do środka. Pomóż Richowi przygotować obiad.

– Nie mam pojęcia o obiadach, ale mogę usmażyć jakąś skromną jajecznicę – oznajmił Rich z uśmiechem.

Mama nie ruszyła się od drzwi wejściowych.

– Śniadanie też brzmi świetnie – poparłam szwagra.

– Kiedy Benny był mały... – zaczęła mama, odwracając do mnie głowę. Jej długie palce opierały się o framugę drzwi. – ...kiedy znalazłam go w łóżeczku, a on nie oddychał, przez sekundę się wahałam. Na chwilę spanikowałam. Ale później zadziałał mój instynkt. To nie miało nic wspólnego z tymi automatycznymi reakcjami, o których piszą w podręcznikach. Kiedy ma się dziecko...

Imię Benny’ego wypowiedziane z jej ust sprawiło, że dostałam drgawek. Stałam bliżej otwartych drzwi, w kręgu ciepłego powietrza, żeby pozbyć się dreszczy.

– Wejdź do środka, mamo. Zrobię ci herbaty – zaproponował Rich.

Niechętnie zamknęła drzwi i weszła do zadymionej kuchni. Cicho zakasłała, a Rich zgasił swojego papierosa w szklanej popielniczce, którą znaleźliśmy na dnie szuflady. Usiadła przy kuchennym stole,

obok mnie.

– Jest coś, czego nie zrozumiesz, dopóki nie będziesz miała dzieci – powiedziała, ściskając mnie za rękę. Odsunęłam się. – Coś, co wiedzą tylko matki – dodała, marszcząc brwi, i spojrzała w kierunku Richa, który pociągnął duży łyk swojego drinka.

Wzięłam kolejnego papierosa ze starej, zatęchłej paczki znalezionej obok popielniczki.

– Macie jakieś tabletki nasenne? – spytała mama. – Nie przespałam więcej niż parę godzin, odkąd trafiłam do szpitala.

– Raczej tak – odparł Rich, otwierając szafkę wypełnioną sprzętem medycznym związanym z chorobą Violet. Były tam butelki, strzykawki i gumowe przyrządy do ssania zapewniające drożność przewodów nosowych. Z górnej półki wyciągnął znajome zielone pudełko z misiem w bujanym fotelu na wieczku. – Tutaj je trzymamy.

Przestraszył mnie dźwięk gwizdka. Zapomniałam, że wstawiliśmy wodę, kiedy zaczęliśmy z Richem przygotowywać obiad. Oskoczyłam od tostera, bo robiłam właśnie grzankę. Zawadziłam o kuchenkę i patelnia z jajecznicą spadła na podłogę. Gorący miedziany garnek też spadł i przywarł na chwilę do mojej gołej nogi, zanim zdałam sobie sprawę z bólu.

– O Boże! – krzyknęłam i wierzgnęłam nogą.

Natychmiast na mojej łydce pojawił się długi cienki ślad po oparzeniu.

– O cholera, wszystko w porządku? – spytał Rich, pociągając za uchwyt zamrażalnika.

Sięgnął do pojemnika z lodem, po czym przyłożył jedną kostkę do oparzenia. Lód pod wpływem gorącej skóry stopił się momentalnie, ale uśmierzył ból.

Mama wciąż siedziała przy stole, zanurzając co chwila torebkę z herbatą w pustym kubku. Czajnik uporczywie gwizdał.

– To brzmi jak odgłos pociągu – stwierdziła.

Ścisnęło mnie w gardle. Przypomniałam sobie dźwięk pociągów przejeżdżających obok naszego domu w Mountain View.

Udało nam się uratować tylko trochę jajecznicy. Grzanki

pokruszyły się, gdy próbowałam posmarować je zimnym masłem. To wszystko przywołało wspomnienie czasów, kiedy tata robił w porze obiadu śniadanie dla mnie i Benny'ego – mama i Lily wyjechały, a w domu zostaliśmy tylko Benny, tata i ja.

Wkładaliśmy z Richem naczynia do zmywarki, kiedy mama oznajmiła, że jest zmęczona i idzie do łóżka.

– Dajcie mi znać, jeśli będziecie mieli jakieś wieści od Lily – rzuciła na odchodne.

Wypiliśmy z Richem jeszcze kilka koktajli. Właśnie spłukiwałam zlew, kiedy zadzwonił telefon. Rich spojrzał na mnie, a na jego twarzy odmalował się tak wielki strach, że serce zaczęło mi kołatać. Wytarł ręce miękką różową ścierką do naczyń i podniósł słuchawkę.

– Och, Peter, cześć. Tak, poczekaj sekundę – poprosił i przekazał mi telefon; na słuchawce zostało trochę mydlin ze zlewu.

– Cześć – powiedziałam.

– Cześć. – Jego głos zdawał się zwodniczo bliski.

Gdy zaczął opowiadać o codziennych sprawach, zatęskniłam za domem. Nowy pracownik. Dziewczyna od dostaw złamała rękę. Zapomniano o skrzynce pomidorów śliwkowych, które zostały w przenośnej lodówce. Poczułam się samotna, słuchając o małych przerwach w codziennych rytuałach. O ostrym picu cydru z Joem i Chuckiem u Finnengana. O nowej płycie, którą Peter kupił, żeby wypełnić dom muzyką i jakoś zagłuszyć moją nieobecność.

– Tutaj wszystko się chrzani – odezwałam się w końcu.

– Chodzi o mamę?

– Nie, z nią wszystko w porządku. Za to Violet jest chora. Zabrali ją do szpitala. Czekamy na telefon od Lily.

– Nie powinienem blokować telefonu – zauważył Peter.

– Nie, nie. Jeszcze kilka minut. Opowiedz mi o drzewach.

Kiedy Rich kończył zmywać, przeciągnęłam kabel telefoniczny do drugiego pomieszczenia i słuchając głosu Petera, wyobrażałam sobie czerwone, złote i pomarańczowe liście blaknące w chłodnym powietrzu wczesnej zimy.

– Śpij dobrze – powiedział ciepło.

– Ty też.



Telefon zadzwonił ponownie zaraz po tym, jak skończyliśmy rozmawiać. Ręka Richa wystrzeliła i porwała słuchawkę ze ściany. Stał cicho i bez ruchu, słuchając Lily po drugiej stronie.

– Och, dzięki Bogu. Świetnie, świetnie. – Pokiwał głową i odwrócił się do mnie. Na jego twarzy pojawił się spokój. Rozluźnił ramiona i widać było, że odetchnął z ulgą. – W nocy? W porządku. Potrzebujesz, żebym coś ci przywiózł? Jesteś pewna? Dobra. Ucałuj ją ode mnie – powiedział, a potem dodał cicho: – Kocham cię. – I odłożył słuchawkę.

– Wszystko z nią w porządku? – spytałam, wyciskając gąbkę.

– Robią jej różne badania. EKG, rezonans magnetyczny. Nie wiem co jeszcze. To może nie być wina astmy, ale jakiś drobny atak czy coś. Jeden z lekarzy sugerował epilepsję, ale Lily jest dobrej myśli. W każdym razie przynajmniej odzyskała spokój.

– A jak ty się czujesz? – spytałam.

– Dobrze. – Uśmiechnął się. – Czuję ulgę. No i mam kaca, tak sędzę. To mnie nauczy, żeby zaczynać pić w południe.

Szybko go przytuliłam, dostrzegając przy tym, jaki jest miękki w porównaniu z mamą i moją siostrą.

– Pójdę powiedzieć mamie.

Weszłam po schodach do nieużywanego pokoju dziecięcego, gdzie mama spała na małej kozetce obok okna. Drewniane łóżeczko, które ja i Peter podarowaliśmy Lily z okazji narodzin jej dziecka, stało w rogu. W łóżeczku poustawiano pluszowe zwierzątka, nowe, dopiero odpakowane. Ich plastikowe oczy wpatrywały się w drewniane szczebelki kojca. Nad nimi wisiła nieruchomo grająca karuzela. W całym pokoju pachniało oliwką dla dzieci i świeżymi pieluchami. Ale poza tym brakowało tu jakichkolwiek oznak dziecka. Kosz na pieluchy był pusty. Plastikowa wanienska nie zdradzała śladów użytkowania. Przypomniało mi to dzień, kiedy poszliśmy obejrzeć projekt tego domu, zanim Lily i Rich się pobrali. Należało wybrać którąś z trzech propozycji. Każdy dom pokazowy był przygotowany tak, że wyglądał na zamieszkania. Precyzyjnie stworzona, przekonująca iluzja. Ale tylko do momentu, gdy chciało się podnieść talerz z podkładki leżącej na stole w pokoju jadalnym

albo zdjąć jakąś książkę z półki na regale. Wtedy okazywało się, że wszystko jest przyklejone. Pudełka z płatkami śniadaniowymi były puste, telewizor wykonano z tektury.

Stałam przy mamie przez kilka chwil, zanim dotknęłam jej ramienia. Było nagie, bo włożyła koszulę nocną bez rękawów.

– Mamo – zaczęłam delikatnie. Przewróciła się na bok i otworzyła szeroko oczy. – Wszystko jest w porządku, mamo. Lily i Violet spędzą noc w szpitalu, ale wszystko jest dobrze. Robią małej jakieś badania.

Usiadła i przygładziła dłonią swoje włosy.

– To atak, prawda?

– Być może – powiedziałam. – Dlaczego tak myślisz?

Rozłożyła palcami żaluzje i wyjrzała w ciemną noc.

– Lily też miewała ataki, kiedy była mała. Pamiętasz?

– To może też być astma – snułam przypuszczenia. – Lekarze chcą po prostu wykluczyć pewne rzeczy. Teraz prześpij się, mamo. Nasz autokar odjeżdża jutro w południe.

Wyszłam z pokoju, zanim zdążyła zaprotestować. Nie mogłam spędzić w tym domu następnej nocy. Poczułam nagłą potrzebę, żeby się stąd wyrwać. Bałam się, że gdybym spędziła jeszcze jedną noc z mamą i Lily, mogłyby mnie zbudzić odgłosy, których nie chciałabym usłyszeć. Moja siostra przeklinająca szarłat. Mama mówiąca przez sen. Mój nerwowy oddech, kiedy budzę się znów z tego samego snu.

Gdy następnego dnia rano zeszłam na dół, Lily nalewała kawę, a mama siedziała przy kuchennym stole i trzymała Violet. Przez ramię miała przerzuconą tetrową pieluchę, a Violet opierała się o jej piersi. Rich wyszedł już do pracy.

– Dzień dobry. – Lily uśmiechnęła się pogodnie.

Na jej policzkach widniały różowe rumieńce, a okno nad zlewem było szeroko otwarte. Zimny podmuch powietrza wpadł przez nie do kuchni i zaszeleścił jasnymi zasłonami.

– Już w domu? – spytałam, przecierając zaspane oczy i zastanawiając się, czy gdy znów je otworzę, kuchnia będzie pusta.

Ale nie miałam zwidów. Mama masowała plecy Violet kolistymi

ruchami. Grube niebieskie żyły płynęły pod powłoką jej przezroczystej skóry niczym małe strumyki.

– Jest już jesień – oznajmiła Lily, podchodząc z roztargnieniem do otwartego okna. – Upały się wreszcie skończyły. Na zewnątrz jest niewiele ponad dwadzieścia stopni.

– Jak Violet? – spytałam.

– Wszystko z nią dobrze. Zjadła trochę owsianki przygotowanej przez babcię i napiła się soku jabłkowego – odpowiedziała mama, gaworząc do Violet, której powieki trzepotały w walce ze snem.

– Teraz prześni się troszkę po śniadaniu.

– Czy lekarze doszli do tego, co jej było? – zapytałam, patrząc z niedowierzaniem na niemowlę.

Jej policzki były tak samo zarumienione jak u Lily. Wyglądały jak pomalowane. Jakby ktoś wziął pędzelek i naniósł różową farbę na papierową skórę, a tęczęwki oczu pokrył kropkami jasnoniebieskiego światła.

– Jeszcze nie są pewni, ale dzisiaj jest w świetnej formie. A do tego jest tutaj babcia, która zadba o to, żeby to się nigdy nie powtórzyło. Prawda, panno Violet? – oznajmiła mama, odsuwając małą od siebie i patrząc w jej akwarelowe oczy.

– Czy masz rozkład jazdy autokarów? – spytałam siostrę.

– Musimy o tym porozmawiać. – Mama znów przysunęła Violet do swoich piersi. – Jeszcze w tej chwili nie wracam do Mountain View.

– Co takiego? – spytałam.

– Nie denerwuj się – odezwała się Lily. – Dzięki mamie będę miała dodatkową pomoc przy Violet, zanim w szpitalu ustalą, co jej jest. Mama natomiast obawia się, że może znowu zachorować, jeśli wróci do domu.

– Co takiego? – powtórzyłam pytanie.

– Jestem prawie pewna, że to coś w ścianach. Twój skąpy ojciec mógł pomalować ściany jakąś farbą z domieszką ołowiu albo użyć do nich azbestu. W piwnicy może być radon. Ten dom to śmiertelna pułapka – powiedziała mama, kołyszając Violet na rękę.

– Uważamy, że powinnaś tam pojechać i wszystko posprawdzać

– oświadczyła Lily. – Upewnić się, że wszystko jest w porządku, zanim mama tam wróci.

Stałam i przyglądałam się, jak obie patrzą na mnie identycznym wzrokiem z tym samym grymasem na twarzach.

– Nie mogę w to uwierzyć – wymamrotałam.

– Tylko tego w tej chwili od ciebie oczekuję, Indie. Naprawdę. Chyba byś nie chciała, żebyśmy z powrotem trafiła do szpitala? – Mama mówiła miękko, żeby nie zbudzić Violet, ale jej głos brzmiał surowo.

– Mamo, lekarze nie znaleźli w twoim organizmie niczego, o czym teraz mówisz. Powiedzieli, że to była trutka na szczury, arszenik, na miłość boską. Czy wszyscy tu pogłupieli?

Trzęsącymi się rękoma trzymałam kubek z kawą i bardzo się starałam nie wylać jej na siebie.

– To coś jest ukryte w domu, Indie. Uwierzyłaś im, naprawdę? W to, że sama to sobie zrobiłam? – Mama spojrzała na mnie ze złością, a potem zaczęła przemawiać do mnie tak, jakbym była dzieckiem: – Jezu, Indie, czy ty nie widzisz, że to po prostu ich sposób, żeby wyciągnąć więcej pieniędzy? Jeśli powiedzą, że jestem wariatką, mogą mi naraić w Mountain View jakiegoś swojego kumpla psychiatrę, który bierze miliard dolarów za godzinę. Gdy przekonają całą rodzinę i nawet mnie samą, że tracę rozum, to do końca życia będę tylko wydawać pieniądze i marnować czas w nadziei, że mnie wyleczą. Więc, do diabła, postąpię chyba sensowniej, jeżeli wydam te pieniądze na usunięcie całego syfu, którego narobił twój ojciec. To jedyna kuracja, jakiej potrzebuję.

Popatrzyłam na Lily. Stała oparta o zlew. Jej jedna ręka spoczywała na talii, w drugiej trzymała filiżankę kawy.

– Co ty o tym wszystkim sądzisz? – spytałam.

Byłam wściekła.

– Myślę, że to dobry pomysł – odparła, wzruszając ramionami. Jej twarz nie zdradzała absolutnie niczego. – Mama zostałaby tutaj ze mną do czasu, aż upewnisz się, że z jej domem wszystko w porządku. Wtedy będzie mogła tam wrócić i ty też będziesz mogła pojechać do siebie.

– Cudownie – wycedziłam wzburzona. – Oczywiście nikt się nie martwi, że tak zwana śmiertelna pułapka może się okazać niebezpieczna także dla mnie.

– Indie, nie bądź śmieszna. Toksyczny wpływ środowiska narasta latami. Spędzając w tym domu tylko tydzień, na pewno nie narazisz się na takie samo niebezpieczeństwo jak ja, która przebywałam tam trzydzieści lat, prawda? – zauważyła mama z uśmiechem.

– W porządku – powiedziałam pokonana, odstawiając na blat kubek i unosząc rękę.

Autokar do Mountain View świecił pustkami. Położyłam swoją walizkę pod siedzeniem i oparłam głowę o szybę. Rich stał na zewnątrz i machał mi smętnie. Źle się czułam, zostawiając go samego z mamą i Lily, ale nie byłam w stanie spędzić w tym domu choćby sekundy dłużej. Doszłam do wniosku, że pojedę do Mountain View i przeprowadzę to śledztwo, którego się ode mnie oczekuje, a potem wrócę do siebie. Nie zależało mi, aby udowodnić mamie, że się myli. Miała przygotowane wyjaśnienie na każdą okazję, niezależnie od tego, co inspektorzy wykryją, a czego nie. Gdy autokar ruszył i wjechał na autostradę, cieszyłam się, że odbywam tę podróż sama. Mogłam nawet uznać ją za jakiś rodzaj wakacji. O tej porze roku Mountain View nie różniło się tak bardzo od Echo Hollow. Liście osiki zyskają złoty kolor, a w górach najprawdopodobniej pojawi się trochę śniegu. Będę chodziła na długie spacerunki, może zacznę coś pisać, odwiedzę starych znajomych. Powrót w rodzinne strony nie był najgorszym pomysłem.

Znaczny odcinek drogi z Phoenix do Mountain View prowadzi przez pustynię. Monotonny i bezbarwny widok. Palo verde, jukki i karnege olbrzymie rosną w kępach lub samotnie. Strzyże kaktusowe latają wokół zwiędniętych kwiatów w poszukiwaniu pokarmu. Zdawałam sobie sprawę, że pustynia kryje w sobie wiele życia nawet jesienią, kiedy wszystko wydaje się martwe. Patrzyłam przez okno autokaru w czasie tej wyprawy do mojego dzieciństwa i jedyne, co dostrzegałam, to nieruchomy krajobraz i jałowe kolory.

## Dwa

Nie byłam w Mountain View od prawie pięciu lat. Ostatnim razem, gdy znalazłam się w Arizonie, nawet nie opuściłam Phoenix. Dom rodzinny widywałam jedynie w czasie świąt Bożego Narodzenia, kiedy cały pokryty był śniegiem. Przysypany białym puchem prezentował się przepięknie. Teraz jednak trawa była wysuszona od letniego słońca, a mamie chyba przestało zależeć na tym, żeby wszystko ładnie się prezentowało. Dostrzegłam wyraźne ślady zaniedbania po kamyczkach, które dawniej wyznaczały ścieżkę. Zachowało się ich niewiele, a w dodatku były w nieładzie. Po ogródku pełnym ziół i kwiatów zostało jedynie mgliste wspomnienie. Tutejsza ziemia jest gliniasta, dlatego wyhodowanie czegokolwiek wymaga od ogrodnika nie lada cierpliwości. Kiedy spojrzałam na to, co zostało po dawnych roślinach, przekonałam się, że mama straciła również cierpliwość.

Przeszłam przez ogródek i wspięłam się po połamanych schodach na ganek, na którym było pełno przeróżnych rupieci: poniszczone meble, kartonowe pudła i wyblakłe gazety związane sznurkiem. Zauważyłam, że na niektórych meblach były metki. Na blatach widniały białe naklejki, a przy krzesłach powiewały kawałki papieru z ceną napisaną długopisem. Pozostałości po wyprzedaży garażowej, rzeczy, których nie udało się sprzedać.

Otworzyłam jedną z szuflad sekretarzyka, który, jak pamiętam, należał do mojego ojca. Była pełna różnych przedmiotów. Leżały tam: rękawiczki, chińska pułapka na palce, monety, baterie, pomięte rachunki. Mama nawet nie opróżniła biurka przed sprzedażą. Nic dziwnego, że nie udało jej się go pozbyć. Te szuflady skrywały historię mojego ojca: skarpetki nie do pary, które zostawił, rzeczy potrzebne do wykonywania magicznych sztuczek i serwetki barowe z od ręcznie zapisanymi numerami telefonów, pewnie już nieaktualnymi.

Zamknęłam szufladę i sięgnęłam po klucz przechowywany nad

framugą drzwi. Przynajmniej według mamy powinien się tam znajdować. Klucza jednak nie znalazłam. Moje palce przebiegły wzdłuż framugi, a ja miałam nadzieję, że za chwilę usłyszę brzęk kawałka metalu spadającego na ziemię, lecz nic takiego się nie wydarzyło. „Cholera jasna”, pomyślałam.

Gdy chodziłam jeszcze do szkoły średniej, wielokrotnie zdarzało mi się włamywać do własnego domu. Doskonale pamiętam to dudnienie w piersiach za każdym razem, gdy wysiadałam z samochodu mojego chłopaka, zaparkowanego jakieś pół kilometra dalej. Bardzo przy tym uważałam, żeby nie zdradzić się najmniejszym dźwiękiem. Pamiętam, jak krew szumiała mi w uszach, gdy stawiałam kolejne kroki na trawniku prowadzącym na tyły domu, gdzie czekało uchylone okno do mojego pokoju. Zawsze blokowałam je monetą i miałam wystarczająco dużo przestrzeni, żeby za pomocą drewnianego mieszadełka do farby, ukrytego w krzakach, móc otworzyć je na oścież. Pięć lat temu, kiedy przyjechaliśmy do mamy na święta Bożego Narodzenia, zastałam czekające na mnie monetę i mieszadełko. Peter nie mógł przestać się śmiać. Teraz jednak nie zależało mi na dyskrecji. Nie miałam przed kim się ukrywać. Najbliższy dom znajdował się kilometr stąd.

Podwórko na tyłach budynku było w jeszcze gorszym stanie. Wyglądało jak małe wysypisko śmieci, przypominało plac zabaw dla duchów. Zestaw, który kupił nam tata – huśtawki połączone ze ślizgawką – wciąż znajdował się w tym samym miejscu, teraz jednak pokrywała go rdza. Same huśtawki pozbawione były siedzeń. Przerdzewiałe łańcuchy zwisały swobodnie, a zjeżdżalnia była pełna dziur. Różowa i niebieska farba, które niegdyś pokrywały całość, odeszły w niepamięć. Poza tym znajdowało się tu jeszcze więcej mebli, a wśród nich drewniane wezglowie z mojego dziecięcego łóżka. Naklejki, które na nim umieściłam, odbijały światło słoneczne. Z boku stała pralka, a obok niej sterta nóg od krzeseł. Leżało tam też workowate siedzisko Benny’ego, jednak przerdzewiały zniszczony suwak sprawił, że zawartość pufa wysypała się na trawnik. Po kanapie stojącej tutaj przez lata nie

było śladu. Zupełnie jakby słoneczniki rosnące dziko w tym miejscu pochłonęły ją w całości. Wyobrażałam sobie, jak zabieram się do kopania i w końcu natykam się na zieloną rozmokłą tapicerkę.

Grunt płynnie przeszedł w poletko zwiędłych słoneczników. Morze gasnących żółtych miniaturowych słońc sięgało mi do pasa. Byłam pewna, że dałoby się w nich utonąć, dosłownie. Pod słonecznikami kryły się bowiem ruchome piaski. Jeden nieostrożny krok i zapada się w nie.

Zupełnie nie wiedziałam, co zastanę w domu. Z przerażeniem zbliżyłam się do okna, przez które tyle razy wkradałam się do środka. Nie mogłam znaleźć mieszadełka do farby, więc posłużyłam się kawałkiem drewna podobnej wielkości i po chwili znalazłam się w swoim dawnym pokoju. Teraz był całkowicie opustoszały. Brakowało ramy łóżka, która pasowała do znalezionej wcześniej wezgłowie. Podłoga w tym miejscu zdążyła już pociemnieć, a tapeta była odbarwiona tam, gdzie dawniej stykała się z wezgłowiem.

Dźwięk każdego mojego kroku rezonował i rozchodził się echem po pustym pomieszczeniu. Dziwnie było wkraczać do domu w ten sposób. Czułam się trochę jak włamywacz. Bardziej niezwykle było jednak to, że reszta budynku wyglądała całkiem normalnie. Salon był posprzątany. Wprawdzie rośliny na parapetach lekko przywędły, lecz poduszki na kanapie były równo ułożone, dywan lśnił czystością, a zasłon nie rozpoznawałam, więc prawdopodobnie były nowe. Lodówka była pełna jedzenia, choć wiele produktów przeterminowało się w czasie, gdy mama przebywała w Phoenix. Wyrzuciłam to, co wyglądało podejrzanie, i wylałam cały karton mleka do zlewu. Ktokolwiek odwiedziłby ten dom, pewnie domyśliłby się, że mieszka tutaj samotna kobieta. Wskazywały na to wycieraczka z napisanym dużymi literami słowem „Witamy”, leżąca przy wejściu, na której można otrzepać buty z błota, ceramiczne figurki i zegar na baterie, który wciąż chodził punktualnie.

Skierowałam się w głąb korytarza, gdzie ze zdumieniem odkryłam, że wszystkie sypialnie są pozbawione mebli, a w pokoju, który mama dzieliła z ojcem, jest porysowana podłoga. Oczami wyobraźni widziałam, jak przesuwają ciężkie meble i nie zwraca



uwagi na to, że rysuje nimi drewno.

Pozamykałam za sobą wszystkie drzwi i przeszłam do kuchni, ostatniego pomieszczenia, które przypominało zwyczajny dom. Kiedy zbliżyłam się do telefonu, żeby zadzwonić do Petera, spodziewałam się, że nie usłyszę żadnego sygnału, a słuchawka będzie po prostu przyczepiona do aparatu.

– Jestem na miejscu – powiedziałam.

– To świetnie – odparł.

Z kompletnej ciszy w słuchawce wywnioskowałam, że jest w biurze.

– Przyjechałam tutaj sama – dodałam.

– Co? Myślałem, że pojechałaś tam specjalnie dla matki.

– To skomplikowane. Mama została w Phoenix, żeby pomóc Lily i Violet, a ja jestem tutaj, żeby sprawdzić, ile ołowiu i azbestu kryje się w ścianach domu. Nawet nie pytaj. Nie wiem, ile mi to zajmie, ale chcę wyjechać stąd jak najszybciej. – Zastanawiałam się, czy powiedzieć mu o wysypisku mebli na podwórku za domem, pustych pokojach i sekretarzyku mojego ojca, ale nie wiedziałam, jak to zrobić, żeby nie zabrzmiało dziwnie, więc po prostu dodałam: – Tęsknię.

– Esmé chce przyjechać tutaj w czasie Święta Dziękczynienia, po obiedzie z moimi rodzicami. Nie masz nic przeciwko temu? – zapytał.

– Nie, oczywiście, że nie. Świetny pomysł.

– Bardzo się ucieszy – dodał Peter. – Mówiła, że jedyne, o czym marzy, to usiąść na tym ganku, pobujać się w fotelu i poczytać.

– Co za niespodzianka. – Zaśmiałam się.

Patrzyłam przez okno na przerdzewiałe huśtawki i pomyślałam o tych, które zbudował Peter.

– Cóż, muszę jeszcze zdecydować, co Joe przygotuje na przystawki dziś wieczorem – powiedział.

Nie chciałam kończyć tej rozmowy. Ścisnęłam słuchawkę i wsłuchiwałam się w jego oddech.

– Wszystko w porządku? – zapytał po chwili.

– Tak. – Skinęłam głową, mając absurdalną nadzieję, że ten ruch

przekona nas oboje, że mówię prawdę. – Wszystko w porządku.

Odłożyłam słuchawkę i udałam się do salonu. Wyglądał zupełnie inaczej niż w czasach mojej młodości. Czarno-biały ekran z anteną został zamieniony na płaski szerokokątny ekran w drewnianej obudowie, wchodzący w skład kina domowego. Tapetę w orzełki, którą zapamiętałam z dzieciństwa, zastąpiła żółto-niebieska.

Poczułam ssanie w żołądku. Postanowiłam, że pojedę do miasta i zrobię zakupy. Kluczyki do samochodu – w przeciwieństwie do drzwi wejściowych – leżały dokładnie tam, gdzie powinny leżeć. Wyjęłam sweter z walizki i poszłam do garażu. Zaczynało się ochładzać. Górskie szczyty przewiercały się przez gęste chmury. Bywały takie dni, że przez te chmury można było zapomnieć o górach piętrzących się nad miastem. Teraz jednak zbierało się na śnieżycę. Pewnie niedługo w mieście zacznie padać.

Samochód mamy nie chciał zapalić. Czekałam cierpliwie, żeby nie zalać silnika, i po chwili spróbowałam jeszcze raz. Silnik zaryczał, a radio włączyło się na pełny regulator. Kanał informacyjny. Jakiś doktor pocieszał płaczącego mężczyznę. Wyłączyłam radio i pozwoliłam silnikowi się rozgrzać. Samochód, podobnie jak salon i kuchnia, lśnił czystością. Popielniczka była opróżniona; tapicerka i wycieraczki podłogowe wyglądały tak, jakby dopiero zostały odkurzone. Wyczuwało się delikatną nutę sosnowego zapachu.

Wyjechałam z garażu i zawróciłam na podjeździe. Ciągnie się on przez niecałe pół kilometra aż do połączenia z główną drogą prowadzącą do miasta. W tylnym lusterku dostrzegłam, że śniegowe chmury kompletnie zakryły wierzchołki gór. Najwspanialsza sztuczka magiczna na świecie – sprawić, aby zniknęły góry.

Od miasta oddzielało mnie tylko kilka kilometrów. Samochód nawet się nie rozgrzał na dobre, kiedy dotarłam do miejsca, gdzie niegdyś znajdował się parking Foodmartu. Zostawiłam auto niemal tam, gdzie wiele lat temu trafił mnie piorun. To miejsce wryło mi się w pamięć bardzo głęboko. Oczywiście Foodmart został dawno temu wykupiony przez sieć sklepów Smith's, której jarzący się neon dziwnie kontrastował z przedwczesnym zmrokiem. Olbrzymi dąb

rosnący w pobliżu rzucał na parking cień, jakby służył za wskazówkę kompasu. Choć wymieniono nawierzchnię, momentalnie odgadłam, gdzie się wówczas znajdowałam i jak daleko to było od drzwi sklepowych. Wiedziałam, jaka odległość dzieliła mnie od mamy.

Weszłam do środka. Wzięłam wózek na zakupy i zaczęłam wkładać do niego różne produkty. Nie miałam w planach zostawać na długo, ale nie chciałam też głodować. Jeśli faktycznie zacznie sypać i zostaną odcięta od cywilizacji, to zdecydowanie nie chciałabym mieć pustej lodówki. Raz już to przerabialiśmy. Pozostawieni samopas i głodni.

Kobieta z plemienia Nawaho, ubrana w tradycyjną czarną aksamitną suknię z rzędami turkusowych koralików wokół szyi, stała przede mną w kolejce. Czytała plotkarski magazyn „National Enquirer”. W wózku z zakupami siedziało niespokojne dziecko. Wierciło się, próbując przy tym sięgnąć rączką do półki ze słodyczami. Na jego twarzy odmalowywała się frustracja, bo półka była za daleko. Wielkie czarne oczy zaszklily się. Czułam, że zbiera się na burzę. Nie odrywając wzroku od magazynu, kobieta wyciągnęła dłoń i dotknęła policzka malucha, wycierając łzę. Nie powiedziała ani słowa. Pokręciła jedynie delikatnie głową na znak, że nic z tego, żadnych słodyczy nie będzie.

Wypisałam czek za zakupy, ale nie chcieli go przyjąć, gdyż został wystawiony w innym stanie i przez to nie miał gwarancji pokrycia. Już chciałam rzucić do kasjerki: „Słuchaj, jestem stąd. Tutaj się wychowałam. Może tego nie wiesz, ale piorun uderzył we mnie na tym parkingu”. Jakby to uprawniało mnie do czegokolwiek. Sięgnęłam więc do portfela po kartę kredytową, której obiecałam sobie nie używać do zakupów spożywczych. Już nie byłam miejscowa. Nie czułam, że jestem stąd, od kiedy skończyłam siedemnaście lat.

Na parkingu znów wpadłam na Indiankę. Wypakowywała rzeczy z wózka do swojego pikapa. Jej długi warkocz zwisał niczym lina, kiedy wyjmowała z wózka chłopca i umieszczała go na siedzeniu samochodu. Zmierzchało, robiło się zimno. Wzmagający się wiatr

szeleścił jej torbami. Wpatrywałam się w nią bez przerwy, nawet kiedy ładowałam zakupy do samochodu. Miała problemy z uruchomieniem silnika. Próbowwała trzykrotnie. Otworzyłam bagażnik swojego auta w poszukiwaniu kabli rozruchowych. Niczego nie znalazłam. Nie miałam nawet koła zapasowego. Przebiegłam przez parking i zapukałam do niej. Wystraszyła się, ale po chwili opuściła szybę.

– Jeśli masz jakieś kable rozruchowe, to mogę ci pomóc odpalić samochód – zagadnęłam.

– Nie, wszystko w porządku. Zaraz powinien ruszyć.

– Jesteś pewna? – spytałam.

Pokiwała głową, nie patrząc na mnie. Chłopiec siedział cicho na przednim siedzeniu. Ssał ucho pluszowej zabawki.

– To naprawdę żaden problem – nalegałam, licząc na to, że przyjmie moją ofertę.

Kilka razy docisnęła pedał gazu, przekręcając jednocześnie kluczyk. Silnik zaklekotał i po chwili zaskoczył. Indianka uśmiechnęła się i spojrzała na mnie.

– Tak! W końcu! – zawołała i zaczęła podnosić szybę.

Gdy wracałam do samochodu, czułam się zażenowana. Skrzyżowałam ręce na piersiach, żeby się trochę ogrzać, i wsiadłam do auta.

Kiedy wjechałam na nasz podjazd, na zewnątrz panowały kompletne ciemności. Zakupy wniosłam na dwa razy. W domu panowała nieznośna cisza. Zapaliłam światła poza tymi w sypialniach i włączyłam radio leżące na blacie w kuchni. Niestety, nie udało mi się złapać żadnej stacji. Za bardzo wiało. Można było niemal wyczuć smak śniegu w powietrzu. Aby zakłócić tę dokuczliwą ciszę, włączyłam telewizor. Ściszyłam mocno dźwięk i pozwoliłam głosom z ekranu towarzyszyć mi przy obiedzie.

Kupiłam trochę chińszczyzny na wynos. Małe kartonowe pudełko z tłustym makaronem i kurczakiem w cieście. Jedzenie zdążyło już wystygnąć, więc wyjęłam zawartość pudełka na talerz i włożyłam do mikrofal. Naczynie zaczęło się obracać. Z kuchenki dobiegały odgłosy syczenia i pękania. Użyłam rękawic kuchennych, żeby

przenieść gorący talerz do salonu. Mama by mnie zabiła. Niewielkie opakowania z plastiku zawierające musztardę i jasnoróżowy słodko-kwaśny sos stanowiły bezpośrednie zagrożenie dla naszych kanap i foteli. Mamy tutaj jednak nie było, ja byłam głodna, a salon stanowił jedyne w miarę przytulne pomieszczenie w domu.

Usiadłam na kanapie. Była twarda. Zbyt twarda. Postawiłam talerz na stoliku i wstałam. Zdjęłam wszystkie poduszki jedną po drugiej. Kanapa się nie rozkładała. W sypialniach nie było łóżek. Zastanawiałam się, czy moja matka, tak jak Lily, przestała sypiać. No i gdzie dzisiaj zasnę?

Zjadłam dwa opakowania chińszczyzny, zanim moje usta stały się wystarczająco śliskie, a żołądek pełny. W kuchni na blacie powstał niewielki pomnik z białego kartonu. Położyłam się na kanapie i obserwowałam to, co działo się na zewnątrz. Czekałam, aż śnieg przestanie padać.

3 listopada 1999 roku. Mountain View, Arizona. *Nie udało się dotrzeć do żadnego ze świadków, który dostarczyłby informacji o warunkach życia Judy Brown, lat 55, mieszkającej w Mountain View od 33 lat. Sąsiedzi nigdy nie złożyli na nią skargi. Jednakże według najbliższego sąsiada, Johna Dextera, Judy „nie była już tą samą osobą, odkąd zmarł jej syn”. Doszli do takiego wniosku, gdy jego żona Eleonora „zaniósła Judy własnoręcznie przyrządzony obiad”. Sąsiedzi nie wnieśli skargi. Zrobiła to córka pani Brown, Miranda (zwana również Indie), która po prawie pięciu latach powróciła do domu rodzinnego. Wszystko wskazuje na to, że Indie po przybyciu na miejsce udała się do ogródka za domem. Tam pogrążyła się w lekturze gazety wydanej na początku lipca 1978 roku. Obserwując pole słoneczników, Indie krzyczała w kierunku lasu. Gazeta pożółkła i przetarła się, a słowa rozsypały się w jej dłoniach.*

\*

Ostrożnie krążyłam po podwórku za tylną ścianą domu, szukając Benny'ego. Odnalazł tę kryjówkę pewnego dnia zupełnie przez przypadek i od tamtej pory korzystał z niej za każdym razem, gdy bawiliśmy się w chowanego lub gdy po prostu potrzebował miejsca odosobnienia. Byłam więc niemal pewna, że nie muszę go szukać nigdzie indziej. Pewnie leży teraz płasko na brzuchu w miejscu, do którego lękam się włożyć rękę w obawie przed zamieszkującymi je istotami. Chociaż mogło się to wydawać tchórzostwem – pełzać po ziemi i przechodzić pod uszkodzoną osłoną okalającą dom – tak naprawdę wymagało nie lada odwagi.

– Benny – powiedziałam. – Wyjdź. To koniec. – Nie odpowiadał.  
– Benny, możesz już wyjść. Tata poszedł do pracy.

Widziałam go przez kratkę. Chował twarz w dłoniach. Mama wyłoniła się zza rogu, wciąż ubrana w koszulę nocną. Trzymała Lily na biodrze, choć ta była już na tyle duża, że nogami prawie sięgała ziemi. Rodzice wciąż kłócili się o konkurs na Miss Kwiatu Pustyni. Tym razem tata ustąpił. Był już zmęczony. Widać to było po sposobie, w jaki wzruszał ramionami i rozkładał ręce. Tego dnia nawet nie zamknął za sobą drzwi samochodu.

– Gdzie jest twój brat? – zapytała mama, rozglądając się po podwórku. Potem zobaczyła podeszwy jego brudnych trampek. Miał duże stopy. Tak duże jak jego ojciec, a może i większe. – Benny – powiedziała, wychylając się przy tym tak bardzo, jak tylko mogła, wciąż z Lily na rękach.

Ja również się nachyliłam, zbliżając głowę do otworu, przez który Benny przedostawał się do swojego schronienia.

– Zabiorę cię nad wodę, jeśli wyjdiesz – wyszeptałam.

Jego stopy poruszyły się i po chwili zaczęły wynurzać się spod ganku. Gdy wstał, cały był pokryty czerwoną gliną. Umycie go zajęłoby mamie godzinę, a i tak nie byłoby pewności, czy uda się całkowicie wyczyścić jego ubrania.

– Jedziemy popływać? – zapytał, zapominając przy tym, dlaczego w ogóle się ukrywał.

– Oczywiście – odparłam. – Idź do pokoju po kąpielówki.

– Jedziemy pływać! – Benny klaskał radośnie w dłonie, skacząc

z nogi na nogę. – Wezmę moje nowe spodenki. Muszę znaleźć moje nowe kąpielówki.

Wbiegł niezgrabnie do domu przez tylne drzwi. Od zeszłego lata urósł prawie dziesięć centymetrów i zupełnie nie potrafił operować tym naddatkiem.

– Indie – zrugwała mnie mama.

– Co? – odparłam, naśladując jej rozdrażniony ton.

– Musi się w końcu nauczyć myśleć o innych, a nie oczekiwać, że zawsze ktoś będzie chciał go przekupić.

– Ale ja naprawdę wybierałam się nad wodę – szłam w zaparte. – Jest gorąco.

Mama mogła kłócić się z ojcem, krzyczeć, trzaskać drzwiami czy rzucać rzeczami, aż robiła się całkiem czerwona na twarzy, aby po chwili, ni stąd, ni zowąd, uspokoić się w mgnieniu oka. Nigdy nie było pewności, kiedy skończy wrzeszczeć, lecz gdy już do tego dochodziło, jej głos stawał się niezwykle przyjemny. Od goryczy do delikatnego ciepłego mleka, w ułamku sekundy. Wygrała dzisiejszą kłótnię z ojcem, więc była wyjątkowo radosna.

– W porządku, ale za kilka godzin bądźcie z powrotem.

Uśmiechnęła się, kołysząc się w przód i w tył z Lily na rękach.

Chwyciłam swój plecak. Benny odnalazł spodenki, które nie do końca wyschły po naszym ostatnim pobycie nad wodą. Zmusiłam go, żeby zapakował je do starej papierowej torby, by przypadkiem nie zmoczyły moich rzeczy. Zasugerowałam też, że może lepiej by było, gdyby włożył te kąpielówki już teraz i pozwolił im schnąć, kiedy będziemy szli, ale z Bennym nie dało się wygrać. Robił wszystko po swojemu, nawet jeśli z naszego punktu widzenia nie miało to żadnego sensu.

– Widzieliście to?! – krzyknął w chwili, gdy niechcący trzasnęłam moskitierą.

– Indie! – rozległ się piskliwy głos mamy; od spokojnego do histerycznego tonu przechodziła równie szybko.

– Przepraszam, mamó! – krzyknęłam, zbliżając się do Benny'ego, który przywoływał mnie gestami na podwórko.

– To była olbrzymia mysz! – zawołał, patrząc to na mnie, to na

trawnik.

– Jesteś pewny?

Skinął głową i ponownie wskazał na ziemię.

– Była brązowa i ukryła się pod gankiem. Wyglądała tak samo jak ta mysz, którą znaleźliśmy w suszarce. Pamiętasz? Pamiętasz tę zdechłą mysz, która owinęła się w koszuli taty? Pamiętasz, Indie?

– Wtedy to była zwykła, polna mysz. Teraz pewnie pomyliłeś ją z wiewiórką.

Przerzuciłam plecak z jednego ramienia na drugie, tak aby jednakowo je obciążać.

– Chodźmy – dodałam, po czym wzięłam Benny'ego za rękę i pociągnęłam delikatnie za sobą.

Jego duża dłoń zacisnęła się na mojej, gdy wzbraniał się przed postawieniem kroku.

– To była olbrzymia mysz! – upierał się, patrząc przy tym ze smutkiem na trawnik. – Zobaczysz. Zaraz wejdem pod ganek i ją znajdę.

– Dobra, Benny, w porządku. – Skinęłam głową. – Poszukamy jej po powrocie. A teraz chodźmy nad wodę, może uda nam się jeszcze zająć jakieś dobre miejsce.

– Była brązowa i miała zeza.

– W porządku, Benny. Poszukamy jej później. Uspokój się i chodź.

Rozluźnił uścisk i ruszył za mną, potykając się za każdym razem, gdy odwracał głowę z nadzieją, że uda mu się wypatrzeć mysz ponownie.

Aby z naszego domu dostać się do zatoki bez przekraczania torów kolejowych, trzeba pokonać całą drogę do Depot Street, a następnie przejść pod wiaduktem drogą prowadzącą do autostrady nr 79. Szybciej można dojść do celu jedynie przez pole za naszym domem, przez las, a następnie przez tory aż do autostrady.

Oczywiście zawsze udawaliśmy, że wybieramy tę dłuższą drogę, a potem, kiedy byliśmy pewni, że mama jest już zajęta czym innym i nie zwraca na nas uwagi, skręcaliśmy w kierunku garażu, gdzie przeciskając się tuż obok ściany, docieraliśmy w końcu do lasu. Nie



było to łatwe, gdyż mój brat zawsze robił wokół siebie dużo hałasu. Jednak powoli uczył się, jak zachowywać ciszę. Jeśli nauczyłam go czegokolwiek, to właśnie tego, jak sprawić, by mama myślała, że robi to, czego ona od niego oczekuje.

Dzisiaj uwagę Benny'ego rozproszyła rzekomo gigantyczna mysz, więc musiałam mu przypomnieć, aby kucnął i przecisnął się pod kuchennym oknem, tak by mama nie zauważyła naszych podskakujących głów. Zatrzymał się jeszcze na chwilę, wypatrując gryzonia, i wreszcie ruszył za mną w kierunku garażu, skąd przeczołgaliśmy się przez wysokie trawy i pobiegliśmy do lasu.

– Nie wydałem z siebie żadnego dźwięku – oznajmił z dumą Benny, kiedy dotarliśmy do drzewa, które wyznaczało bezpieczną strefę. Od tego miejsca mogliśmy już normalnie rozmawiać. – Nie było nawet słycać, jak oddycham.

– Zauważyłam. Byłeś wielki.

Z trudem łapałam oddech. Ciężko się biega z plecakiem.

– Prawie zawyłem, kiedy uderzyłem stopą o ten wystający kamień... ale zdusiłem to w środku – powiedział przejęty, wskazując na swoją klatkę piersiową. – Głęboko w środku!

– W ogóle cię nie słyszałam – oznajmiłam, zdejmując plecak z obolałych ramion.

– Wzięłaś moje nowe kąpielówki? – zapytał Benny, grzebiąc sobie w uchu.

– Przecież widziałeś, jak wkładam je do torby.

– Mogę sprawdzić?

– Nie – odparłam i ponownie założyłam plecak.

– Włożyłaś je do papierowej torby, bo były mokre, prawda, Indie?

– Ciii – uspokoiliam go. – Chodźmy już...

Uwielbiałam spacerować między drzewami. Latem sosny żółte pachniały słodko niczym karmel. Tak przynajmniej określali to niektórzy. Ziemię pokrywały opadłe igły. Mogłabym mieszkać tutaj całe życie otoczona olbrzymimi drzewami. Było przyjemnie chłodno, ciemno i cicho.

Tata był jedną z tych osób, które nie przepadały za lasami.

Czerpał radość ze zgiełku, lubił być pośród ludzi. Kiedy kupił od przyjaciela bar, przenieśliśmy się z Kalifornii do Mountain View w Arizonie, a od czasu przeprowadzki odwiedził jedynie Phoenix. Nie wiedział więc, że poza drzewami w tej okolicy właściwie nie ma nic więcej. Tata mawiał, że gdziekolwiek mieszkają ludzie, tam zawsze znajdzie się miejsce na bar. A kiedy bar jest otwarty, zawsze znajdzie się ktoś, kto zechce się napić. U Rusty'ego codziennie pojawiał się ktoś, z kim można było zamienić parę słów, od kogo można było usłyszeć jakąś ciekawą historię. Tacie nie przeszkadzało, że wysłuchiwał tej samej opowieści po raz kolejny. Opierał się wtedy na wypolerowanej, gładkiej ladzie baru i słuchał, jak Simon wałkuje ponownie historie o wojnie w Wietnamie, a Nancy wspomina czasy, gdy jej chłopak miał jeszcze wszystkie palce i robił dla niej najpiękniejszą indiańską biżuterię. To było przed tym wypadkiem w fabryce... A teraz siedzi całymi dniami przed telewizorem, pali trawkę i ogląda mecze koszykówki. Ojciec nie zamieniłby na nic innego piosenek Johnny'ego Casha wydobywających się z szafy grającej czy dźwięków kul bilardowych obijających się o siebie. Ja też to lubiłam. Czasem jednak dostawałam zawrotów głowy. Dźwięki baru smakowały jak papierosy zmieszane z kwaśnymi cytrynami. Potrafiłam wytrzymać smutne wyznania Nancy (o smaku gorzkiej oliwy) lub flirt Sheili (okropnie słodka wisienka koktajlowa), ale do pewnego momentu. W końcu zaczynałam tęsknić za powrotem do lasu.

Benny też przepadał za lasem, ale tylko w dzień. W nocy nie zbliżyłby się nawet do jego skraju. Teraz jednak skakał i potykał się o swoje olbrzymie stopy, pokonując labirynt konarów i gałęzi. Był tu szczęśliwy. W lesie prawie nigdy nie płakał.

Po chwili zobaczyliśmy tory, które ciągnęły się aż do samego kanionu. Nie było tutaj tak bezpiecznie jak w mieście, gdzie przed nadjeżdżającym pociągiem ostrzegały światła i szlaban. Tutaj należało mieć się na baczności. Należało przyłożyć ucho do ziemi i uważnie nasłuchiwać, gdyż nietrudno było pomylić dźwięk zbliżającego się pociągu z dźwiękiem własnego oddechu czy wiatru kołyszącego koronami drzew.

– Benny, podejdź bliżej – powiedziałam i pociągnęłam go w dół. Chciałam, żeby ukłękął obok mnie.

Robiliśmy to już nie pierwszy raz. Mój brat położył się na ziemi, przyciskając ucho do chłodnego żwiru obok torów, i zacisnął powieki.

– Nic nie słyszę – oznajmił, otwierając oczy. – Możemy iść. Jest bezpiecznie.

Uniosłam brwi.

– Jesteś pewien? – dopytywałam.

Czułam zbliżający się pociąg przez cienkie podeszwy moich kłapek.

– Sama sprawdź, Indie – odparł. – Nie wiem, może coś usłyszałem.

– Nie, w porządku. Ufam ci – stwierdziłam i zrobiłam krok do przodu.

– Czekaj! – powstrzymał mnie. – Daj mi sprawdzić jeszcze raz. Uśmiechnęłam się.

– Słyszę. Teraz go słyszę! – wykrzyczał. – Nadjeżdża!

– Dobrze, Benny. Wygląda na to, że uratowałeś mi życie.

– Właśnie prawie cię uratowałem. Uff...

– Cofnijmy się trochę – powiedziałam, odsuwając się od torów.

Po kilku sekundach pojawił się w oddali pociąg. Jasnożółte światło reflektora umieszczonego na przodzie lokomotywy można było z łatwością pomylić ze słońcem.

Gdy pociąg przejeżdżał obok nas, mój brat zaczął krzyczeć, starając się dopasować swój głos do ogłuszającego hałasu. Kiedy minął nas ostatni wagon, przeznaczony dla załogi, Benny pomachał konduktorowi, który był wyraźnie zaskoczony widokiem tak dużego chłopca skaczącego, machającego i krzyczącego w jego kierunku. Odpowiedział mu tym samym gestem. Machali tak do siebie, aż pociąg zniknął nam z oczu. Gdy w powietrzu ucichło, a ziemia pod nogami przestała drżeć i też ucichła, wykonaliśmy pierwszy, dosyć niepewny krok w kierunku wciąż lekko drżących torów.

\* \* \*

Nie przepadam za pływaniami. Nie dlatego lubiłam chodzić nad

wodę. To Benny był w naszej rodzinie najlepszym pływakiem. Była to jedyna aktywność, w której naprawdę się wyróżniał. W wodzie mógł się zachowywać jak każdy inny czternastoletni chłopiec.

W wodzie wszystko inne po prostu od niego odpływało.

Skierowaliśmy się do naszego ulubionego miejsca z nadzieją, że nie zostało jeszcze zajęte. W weekendy potok przeżywał prawdziwe obłędzenie. Nie było nic gorszego niż turyści odpoczywający na okropnych ręcznikach plażowych, rozłożonych na gładkich szarych skałach, które przecież należały do nas. Widok starszej kobiety ze zmatowiałymi włosami, wysmarowanej tłustym kremem do opalania, wzbudzał obrzydzenie. Tęcze olejku, które tworzą się w wodzie, zostają w niej jeszcze kilka dni po tym, jak turyści wrócą do domu.

Przedarliśmy się przez las i przeszliśmy przez chybotliwy mostek, żeby dotrzeć do ulubionego miejsca. Byliśmy całkiem sami. Pod koniec maja sezon turystyczny dopiero się rozkręcał.

Benny zdjął spodenki, wyjął kąpielówki z papierowej torby i poszedł za drzewo się przebrać, a potem pobiegł prosto do wody. Ja usiadłam na swojej ulubionej skale. Znajdowała się kilkanaście centymetrów nad potokiem. Woda, wzbierając, czasem obmywała kamień i moczyła mi plecy. Miałam wówczas wrażenie, że przez chwilę unoszę się na wodzie. To była chwila, podczas której czułam się, jakbym pływała.

Ale nie przyszłam tutaj po to, by wyobrazić sobie, jak pływam w potoku. Wzięłam ze sobą lektury, które nosiłam od miesięcy. Jedną z nich był licealny podręcznik do geometrii, który kupiłam na wyprzedaży w lokalnej bibliotece. Drugą katalog sieci sklepów Sears, który zamówiła mama. Chciałam wyrwać tylko te strony, które mnie interesowały, żeby nie taszczyć ze sobą całości, ale bałam się, że mama zauważy i będzie zła. Znała ten katalog na wyrywki. Strony były pogniecione i nadszarpnięte. Różowe falowane sukienki szyte z myślą o balach maturalnych. Białe lśniące buty zapinane na klamry. Wiedziałam, że choć nie było nas stać na takie rzeczy, mama bardzo chciała kupić je dla Lily. Te sukienki stanowiły wzór, według którego próbowała coś uszyć. Stworzyć taką

wersję ubrania, na którą mogliśmy sobie pozwolić. Musiałam przyznać, że suknia wisząca w sypialni rodziców nie odbiegała w żaden sposób od tych, które oglądałam na zdjęciach w katalogu. Mamie jednak wyraźnie coś nie pasowało. Spoglądała to na zdjęcie, to na suknię i w milczeniu kręciła głową.

– Jest bardzo ładna – zwykłam mówić.

– Kiepski materiał – odpowiadała i dalej kręciła głową. – Zniszczy się po pierwszym praniu. No i te plastikowe kwiaty. Te w katalogu wykonano z jedwabiu. Mam nadzieję, że jurorzy nie zauważą różnicy.

– Dlaczego nie zamówicie oryginalnej? – spytałam.

– Zapytaj ojca – powiedziała, wbijając we mnie wzrok.

Twarz miała tak ściągniętą, że ilość zmarszczek, jaka się na niej pojawiła, nasuwała mi skojarzenie z nową suknią Lily.

Staralam się, żeby potok nie zamoczył żadnej strony. Kiedyś upuściłam do wody jedną ze swoich książek i nigdy już nie udało mi się doprowadzić jej do pierwotnego stanu.

Na stronie czterysta pięćdziesiątej czwartej, już za częściami poświęconymi sukienkom, biustonoszom i akcesoriom Barbie, znajdował się dział z artykułami sportowymi. Były tu wolno stojący kosz do koszykówki, monitor do kręgli i dwa kije bilardowe. Ten, który mi się podobał, był prezentowany na większym zdjęciu. Dwuczęściowy kij bilardowy marki Spalding z inicjałami właściciela. 57-calowy. Wykonany z drewna klonowego o zdobionym gwincie w kolorze niebieskim, czarnym lub białym. Mosiężny wkręt. Do zestawu dołączono nylonowy pokrowiec. Masa: około 1 kg. Cena: 29,99 dolarów.

Ten kij zachwycił mnie, odkąd go zobaczyłam, od czasu, gdy katalogi zaczęły przychodzić do nas pocztą. Przewracałam strony w poszukiwaniu tego zdjęcia równie szybko, jak moja matka szukała plisowanych sukienek i błyszczących butów, którymi karmiła swoje fantazje.

Czasem, leżąc nocą w łóżku, wyobrażałam sobie, jak wchodzę do baru U Rusty'ego z piękną torbą w dłoni. Siadam w pobliżu stołów bilardowych, wyciągam i skręcam swój kij. Pozostali uczestnicy

turnieju kierują spojrzenia w moją stronę. Niemal czuję opuszkami palców drewno, z jakiego został wykonany. Nie wygląda jak te pospolite, zawieszane na ścianach baru. Kiedy tamte przetoczą się po stole, będą podskakiwać, a dwuczęściowy kij firmy Spalding ani trochę. Jego koniuszek jest idealnie zaokrąglony. Żadnych zadrapań czy wgnieceń.

Do tej pory udało mi się odłożyć dwadzieścia trzy dolary. Liczyłam na to, że ojciec dorzuci mi trochę pieniędzy w ramach prezentu urodzinowego, ale zaczęłam już tracić nadzieję. No i nie należy zapominać o kosztach wysyłki oraz innych dodatkowych opłatach. Paczka musiałaby dotrzeć przed rozpoczęciem turnieju, a to na pewno będzie kosztowało fortunę. Musiałabym namówić tatę, aby w ogóle pozwolił mi zagrać. Teraz, gdy mama i Lily pojadą do Phoenix, żeby wziąć udział w konkursie piękności, nadarzy się idealna okazja. Tata powinien się zgodzić. Tym bardziej że udział w turnieju kosztuje jedynie pięć dolarów.

Jeszcze raz przesunęłam palcami po zdjęciu i zamknęłam katalog. Z miejsca, w którym się znajdowałam, widziałam Benny'ego płynącego tuż pod powierzchnią wody. Był spokojny i pełen wdzięku. Wydawało się, że potrafi godzinami wstrzymać oddech. Kiedyś odczuwałam większy niepokój, obserwując go w takiej sytuacji, ale zdążyłam już przywyknąć. Mój brat dobrze sobie radził w wodzie.

Podręcznik do geometrii miał mi pomóc w opanowaniu trików, których uczył mnie Mały Ike. Mały Ike był mojego wzrostu. Zaproponował, że zostanie moim nauczycielem. Wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, że przy wzroście metr czterdzieści potrzeba nie lada umiejętności, aby grać w bilard. No i do tego jemu jako jedynemu nie przeszkadzało to, że będzie grał z dzieckiem. Niektórzy starsi mężczyźni udawali, że mnie nie widzą. Szczególnie wtedy, gdy naprawdę dobrze mi szło. Raz miałam okazję zagrać partię przeciwko jednemu z nich i wygrałam w ciągu jednego podejścia. Po rozbiciu bil nie dałam mu szansy na ponowne uderzenie. Stał przy stole i co rusz zaglądał do łuz w nadziei, że znajdzie tam jakiś magnes zasysający bile i będzie mógł przerwać pojedynek. Dorośli

nie lubią przegrywać z dziećmi, a już na pewno nie lubią przegrywać z młodymi dziewczynami. A ja naprawdę starałam się być grzeczna. Mały Ike nauczył mnie także, jak należy się zachowywać w stosunku do innych graczy. Przypominał, że zawsze należy podawać sobie ręce przed rozpoczęciem partii i po jej skończeniu. Zawsze należy podziękować i dodać: „To była dobra gra”. Pamiętam, że ręka tego mężczyzny była duża i bardzo spocona. Do tego pachniał olejem silnikowym i piwem.

Ike mówił: „Wszystko sprowadza się do geometrii. Opanuj jej zasady, a staniesz się doskonałym graczem. To chyba jedyna dziedzina matematyki, która naprawdę przydaje się w życiu. No, może z wyjątkiem liczenia pieniędzy ze zwycięstw”. Patrzyłam więc na rysunki trójkąta równoramiennego i próbowałam opanować geometrię za pomocą kamyczków leżących wokół mnie.

– Benny! – zawołałam, wkładając książki do plecaka.

Benny tak bardzo lubił moczyć się w wodzie, że siedział w niej na tyle długo, aż marszczyła mu się skóra na palcach. Początkowo ignorował moje okrzyki. Wreszcie wyszedł z wody i podszedł do mnie, kiedy zbierałam rzeczy. Podsunęłam mu ręcznik, który owinął wokół siebie jak pelerynę. Stojąc tak, dyskretnie ściągnął z siebie mokre kąpielówki i mi je podał.

– Jak one śmierdzą – powiedziałam, zatykając nos.

– Nieprawda – odparł, kręcąc przy tym wymownie głową i zanurzając nos w swoje kąpielówki.

Ręcznik opadł na ziemię.

– Ubieraj się – ponaglałam brata zawstydzona jego nagością.

Miałam nadzieję, że nie wpadnie na nas żaden turysta.

– Bo co?

– Wkładaj swoje ciuchy, Benny.

Zaczęłam się denerwować. Rozglądałam się, zasłaniając oczy przed słońcem.

– Nie! – krzychał i skakał z jednego kamienia na drugi, zonglując przy tym mokrymi kąpielówkami.

– Benny! Proszę! – niecierpliwiłam się.

– Zmuś mnie, zmuś mnie...! – wołał.

Jego chude blade ciało, które odbijało się w tafli wody, pokrywała gęsia skórka.

Usłyszałam szelest liści. Spojrzałam w górę. Zobaczyłam grupkę ludzi ubranych w jaskrawe kolorowe szorty. Zmierzali w naszą stronę.

– Benny... Jeśli zaraz się nie ubierzesz, to zostawię cię tu samego. Rozumiesz? – ostrzegłam, po czym odwróciłam się i ruszyłam przed siebie.

Nie powinnam była go tak szantażować. Wiedziałam nawet teraz, gdy przeciskałam się przez krzaki, że nie powinnam była zostawiać go samego, ale skręcało mnie w żołądku na myśl, że jacyś turyści mogą zobaczyć mojego brata, mojego upośledzonego brata nagiego, machającego mi przed nosem swoimi kąpielówkami. Wiedziałam, że nie powinnam była tego robić, ale nie zatrzymałam się nawet na sekundę. Dalej podążałam w kierunku skarpy.

Kiedy w końcu zmięklam i odwróciłam się, zauważyłam, że Benny leży na brzegu. Szorty miał owinięte wokół kostek, a kolana zdarte. Trząśł się i szlochał. Myślałam, że zaraz zwymiotuję. Podbiegłam czym prędzej do niego i usiadłam obok. Dyskretnie pomogłam mu założyć spodenki na zimny tyłek i przemyłam rany na kolanach wodą z potoku.

– Przepraszam – powiedziałam. – Nie chciałam, żebyś zrobił sobie krzywdę.

– Uratowałem ci życie – odparł, ciągnąc się za ucho. – Przejechałby cię pociąg. Ale ja poczekałem i posłuchałem.

– Wiem, Benny. Przepraszam.

– Pociąg zabiłby cię i byś nie żyła, jak ta mysz w suszarce – zawodził.

– Przepraszam – powtarzałam.

Zwinęłam jego kąpielówki i spakowałam je z powrotem do papierowej torby po chlebie. Benny powoli przestawał płakać, kiedy pomagałam mu wstać. Uważnie obejrzałam jego skaleczenia na kolanach.

– Przemyję ci rany wodą utlenioną, jak wrócimy do domu.

– Jak wrócimy do domu, pójdę szukać tej gigantycznej myszy



pod gankiem.

– W porządku – odparłam z ulgą w głosie.

Przestał się na mnie gniewać za to, że zostawiłam go samego.

Największą zaletą Benny’ego było to, że tak łatwo wybaczał.

Wybaczał, ale nie zapominał. Miał doskonałą pamięć.

– Była większa od wiewiórki – ciągnął. – Nawet większa od kota!

\*

Zasnęłam na kanapie przed telewizorem i obudziłam się o czwartej nad ranem. Na ekranie śnieżyło równie mocno jak na zewnątrz. Oparłam się o okno i zastanawiałam się, czy w Maine też teraz pada. Było bardzo wcześnie. Za wcześnie. Wielce prawdopodobne, że płatki śniegu znikną tak jak gwiazdy, z pierwszymi promieniami słońca.

Bolała mnie szyja, miałam zeszywniałe ramiona. Musiałam zasnąć na siedząco. Na zewnątrz powoli zaczynało brakować dowodów na istnienie śniegu. Ciepłe promienie słoneczne okalały moją twarz. Słyszałam tylko kapanie wody.

Ludzie od azbestu pojawią się najwcześniej za kilka dni. Sprawdziłam chyba wszystkie numery w książce telefonicznej. Nikt nie miał wolnych terminów aż do poniedziałku. Może znowu pojedę do miasta. Przejdę się do Rusty'ego, zobaczę, co słyhać u Rosey. Ostatnim razem, gdy zawitałam w te strony, wciąż obsługiwała gości. Pracowała w barze, kiedy tata został jego właścicielem, i również po jego wyjeździe. Pewnie będzie tam do końca istnienia baru.

Powietrze na dworze było rześkie. Usiadłam na werandzie, na drewnianym pudle z kawą w dłoni. Magiczna chusteczka iluzjonisty odsłoniła dwa górskie szczyty pokryte śniegiem, wystrzelone ku niebu niczym monolit. Tak głęboko nabrałam zimnego powietrza, że aż zabolalo mnie w klatce piersiowej. Kiedy zrobiłam wydech, z ust wydostał się obłok pary. W dzieciństwie to była moja ulubiona pora roku. Uwielbiałam ten czas, gdy jesień balansowała między latem a zimą. Jednego dnia potrafiło być gorąco, a następnego można było robić anioły na śniegu. W Maine te metamorfozy wyglądały inaczej, jego mieszkańcy dostawali od natury dużo więcej ostrzeżeń. Liście określały początek i koniec jesieni. Powietrze robiło się gorzkawe, zanim spadł śnieg.

Telefon zadzwonił, kiedy akurat dmuchałam na kawę, żeby ją ostudzić. Przeszłam przez moskitierę i skierowałam się prosto do kuchni.

– Halo?

– Cześć, Indie. Tu Rich.

– Cześć. – Poczułam ulgę, że to nie była ani Lily, ani mama. – Co słychać?

– Dzwonię, żeby sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku – powiedział. – Chciałem się upewnić.

– Wszystko dobrze. Jest trochę dziwnie. Wiedziałaś, że mama opróżniła wszystkie sypialnie? Na ganku i podwórku jest od cholery mebli. Wydaje mi się, że próbowała je sprzedać.

– Hm... – W tle panowała kompletna cisza. Nie słyszałam nic poza jego głosem.

– Gdzie jesteś? – zapytałam.

– Jestem w domu. Judy i Lily właśnie zabrały Violet do lekarza, żeby zrobić jej rentgen klatki piersiowej.

– W dalszym ciągu nic nie wiadomo?

– Indie, twoja mama mówiła coś o tym, że Lily miała w przeszłości napady jakiejś choroby. Czy to prawda?

– Ona od zawsze była chora – stwierdziłam. – Ledwie potrafię spamiętać wszystkie jej choroby.

– Widzisz, nie miałem o tym pojęcia. Lily w ogóle nie choruje. Nigdy. Dopiero teraz usłyszałem coś o jakichś napadach. Nawet kiedy Violet zachorowała po raz pierwszy i lekarze sprawdzali nasze historie chorób, nie znaleźli nic na ten temat. A teraz to już niczego nie jestem pewien. To wszystko wydaje mi się...

– Możliwe, że mama wszystko podkoloryzowała – dodałam, wzruszając ramionami. – Ona ma w zwyczaju tak robić.

– Widzisz, ja się nie martwię o waszą mamę. Doskonale wiem, czego się można po niej spodziewać. – Rich westchnął. – Bardziej martwi mnie to, że Lily podtrzymuje tę historię. Nagle ni stąd, ni zowąd wyskakuje z opowieścią o swojej padaczce czy czymś takim. To nie ma dla mnie najmniejszego sensu.

Usiadłam przy stole w kuchni i upiłam łyk kawy. Wystygła i nabrała gorzkiego smaku.

– Nie przejmuj się tym zbyt. Jeśli pomoże to w jakiś sposób odkryć, co dolega Violet, to nie widzę w tym nic szczególnie złego.

– W sumie... – W jego głosie usłyszałam nutę rezygnacji. – Dla mnie po prostu to nie ma żadnego sensu. Violet przestała oddychać.

To nie był wstrząs, ona stała się całkowicie bezwładna. Widziałas ją przecież. Nie rozumiem, po co sprawdzają, czy nie ma padaczki. Boję się, że lekarze tracą tylko czas na szukanie choroby, którą wymyśliła twoja mama, zamiast zastanowić się, co naprawdę dolega Violet.

– Co masz na myśli? – zapytałam, wylewając zimną kawę do zlewu.

– Chodzi mi o to, dlaczego przestała oddychać.

– Może powinieneś porozmawiać z lekarzem Violet – zasugerowałam. – Może czegoś zwyczajnie nie zrozumiałaś.

– Być może – odpowiedział, a potem na chwilę zamilkł. – Wiesz, ja tak naprawdę zadzwoniłem, żeby sprawdzić, co u ciebie.

– Gotowa, żeby wrócić do Maine. – Zaśmiałam się.

– Naprawdę zamierzasz wezwać tych ludzi, żeby przyszli i sprawdzili dom?

– Wydaje mi się, że powinnam. Nie wiem. Może odkryją zbiorniki z toksycznymi odpadami w piwnicy.

– Trutka na szczury w wodzie? – zażartował.

– Pamiętaj, o jakiej rodzinie mówisz. Działamy na zupełnie innych zasadach niż większość ludzi.

Pojechałam samochodem mamy do miasta i postawiłam go po drugiej stronie torów, naprzeciwko baru U Rusty'ego. Kiedy chciałam przejść przez tory, zapaliło się czerwone światło, szlaban opadł i po chwili usłyszałam gwizdanie zbliżającego się pociągu. Odsunęłam się od torów i czekałam. Zakryłam uszy rękami, kiedy pociąg przejeżdżał, i wlepiłam wzrok w przestrzeń między samochodami zaparkowanymi po przeciwnej stronie.

Zanim trafiłam do Rusty'ego, poszłam najpierw po gazetę do pobliskiego sklepu z tytoniem. Pachniało w nim fajkami i czekoladą. Był to zapach ostry i słodki jednocześnie. Piec na drewno umieszczony pośrodku sklepu był gorący. Przystanąłam obok w oczekiwaniu na swoją kolej. Wzięłam trzy minicukierki z miski przy kasie i zaczęłam ssać jeden z nich, gdy ekspedientka zliczała drobne, którymi jej zapłaciłam. Zwinęłam gazetę, schowałam ją pod pachę i ruszyłam prosto do baru. Przystanąłam przed budynkiem,

wpatrując się w palone szkło na drzwiach, i po chwili przeszłam przez ciężkie drzwi wejściowe. Kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, poczułam dziwne ukłucie w sercu. Wnętrze się zmieniło. Nie na tyle, żebym go nie poznała, ale wystarczająco, by wywrzeć na mnie dziwne wrażenie. Złe. Spod jednej ze ścian zniknęły kanapy. Na ich miejscu ustawiono wysokie stoły z krzesłami barowymi, przypominające kwiaty z czerwonymi płatkami z winylu. Brakowało również drewnianej plakietki zawieszanej nad barem z napisem: „ZAKAZ PŁACZU”. Głowy łosia i jelenia – trofea myśliwskie, które wisały na ścianie obok siebie niczym para przyjaciół – zostały zastąpione abstrakcyjnymi pejzażami i obrazami budynków. Oceany złożone z niebiesko-zielonych kwadratów. Trójkątne katedry pozbawione drzwi. Miłym zaskoczeniem był dla mnie ten sam mahoniowy bar, który ojciec tak pracowicie wypolerował. Wciąż stanowił najważniejszy element pomieszczenia. Z dzieciństwa pamiętałam także lustro za barem.

Szafa grająca, którą Benny ubóstwiał, wciąż stała na swoim miejscu, ale nie grała już tych samych utworów. Kolejne ukłucie w sercu. Zajrzałam za klasyczne drzwi barowe, które oddzielały od siebie dwa pomieszczenia. Miejsce, gdzie dawniej ustawiono dodatkowe stoły, służyło teraz za skład. Znajdowały się tam kanapy, wspomniane trofea oraz zepsute automaty z papierosami.

Myślałam, że jestem tutaj sama, ale po chwili jakiś mężczyzna wyszedł z łazienki i usiadł na końcu baru. Przywitał się ze mną skinieniem głowy. Zaraz dołączyła do nas barmanka, która wyszła z kuchni przez wahadłowe drzwi, poprawiając fartuch.

– Witam – powiedziała. Jej głos był chrapliwy, nie pasował do pięknej twarzy. Czarne włosy zebrała niedbale w kucyk. Wdowi szpic przełamywał gładką pobladłą powierzchnię jej czoła. – Co podać?

– Bourbon? – odezwałam się w sposób bardziej pytający niż proszący.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się do mnie i odwróciła w stronę butelek.

Obserwowałam jej cienkie nadgarstki, kiedy podawała mi

drinka. Na każdym z nich miała wytatuowanego węża.

– Dzięki – Odwzajemniłam uśmiech.

Teraz żałowałam, że nie zamówiłam piwa.

Podeszła do zlewu, w którym woda z mydłem była już tak tłusta, że właściwie się nie pieniała. Kiedy schyliła się po coś, jej koszula delikatnie się podniosła, odsłaniając kościste plecy. Miała niemal przezroczystą skórę. Pociągnęłam łyk burbona i pomyślałam, że zwymiotuję.

– Przepraszam... – zagałam.

– Tak? – Barmanka odwróciła się do mnie.

– Czy Rosey Jimenez nadal tu pracuje?

– Nie wiem. Jestem tutaj dopiero drugi dzień. Czy ona jest barmanką?

– Nie. Pracowała w kuchni. – Poczułam kolejne ukłucie w sercu. – W czasach, gdy ten bar należał do mojego ojca.

– Niestety, nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Proszę sprawdzić jutro.

– Jasne – powiedziałam i poczułam złość, że napomknięcie o moim ojcu, dawnym właścicielu baru, nikogo tutaj nie obchodzi.

Opuściłam Rusty'ego, zastanawiając się, czy nie poszukać Rosey w książce telefonicznej zawieszanej w budce. Zamiast tego poszłam do samochodu. Siedziałam w aucie, patrząc przed siebie, aż oczy zaczęły mnie boleć od słońca. Wtedy ruszyłam i pojechałam do najbliższej myjni samochodowej. Było w niej coś znajomego. Poczułam się bezpiecznie. Szum wody i rytmiczny dźwięk szczotek ocierających się o szyby działały na mnie kojąco. Wnętrze auta, wnętrze myjni. Tutaj nic się nie zmieniło.

\*

Indie, mówiłam ci z piętnaście razy, żebyś chowała czyste ubrania do szuflad. Słowo daję, jeśli jeszcze raz upiorę koszulę tylko dlatego, że będzie leżała na podłodze, to przestanę w ogóle prac twoje rzeczy.

Mama stała przy stole w kuchni i farbowała buty Lily na srebrny kolor. Jeden z nich, powoli wysychając, przykleił się do gazety, na której został umieszczony.

– Cholera – wymamrotała, odrywając kawałki papieru od buta.

Od czasu, gdy tata się poddał, myśli mamy zaprzętały głównie konkurs Miss Kwiatu Pustyni. Od chwili, gdy nadała list z wypełnionym zgłoszeniem i czarno-białym zdjęciem Lily, skupiała się tylko na przygotowaniach do wyjazdu do Phoenix. Skróciła nawet swoje zmiany w domu opieki, aby upewnić się, że wszystko będzie gotowe na czas. Należało przyszyć cekiny do body i zafarbować buty. Mama była tak zaaferowana, że nie zauważyła, iż codziennie po szkole odwiedzam tatę w barze, zamiast wracać prosto do domu. Ale teraz jej cierpliwość kończyła się. Zastanawiałam się, czy nie dałoby się kupić zapasów cierpliwości na przykład w formie jakichś baterii, tak aby nigdy mamie jej nie zabrakło.

– Indie? Pranie?

Nie myślałam o praniu. Moje myśli krążyły wokół dwuczęściowego kija bilardowego firmy Spalding.

– Teraz – rozkazała i zaczęła odsuwać mnie od stołu.

– Za chwilę – odparłam.

Liczyłam monety, które udało mi się zaoszczędzić. Moja czerwona plastikowa świnka skarbonka leżała obok mnie na stole. Wyjęłam gumową zatyczkę z jej brzuszka, żeby policzyć pieniądze. Suma mnie rozczarowała.

– Powiedziałam: „teraz”. – Pociągnęła mocniej moje krzesło.

Poczułam, jak nogi zaszurały o podłogę.

– Mamo...

– Wstawaj! – wrzasnęła.

Zacząła szarpać moim krzesłem. Chciałam chwycić się krawędzi stołu, ale blat był zbyt śliski. Straciłam równowagę i runęłam na

plecy. Uderzyłam głową o podłogę. Ból był przeszywający. Próbowałam wstać.

– Przecież nic złego nie zrobiłam! – krzyknęłam i minąwszy ją, pobiegłam w kierunku drzwi wejściowych.

Złapała mnie z tyłu za koszulę i przytrzymała przy schodach.

Benny siedział na dachu garażu, na który z łatwością wdrapywał się po ciężarówce taty. Miał na sobie plastikową pelerynę Batmana, którą dostał na zeszłoroczne Halloween. Lily stała na drugim końcu podwórka i machała batutą. Nie miała jednak na sobie nowego czerwono-biało-niebieskiego kostiumu. Mama spakowała przebranie do walizki, żeby mieć pewność, że kostium nie straci żadnego z cekinów przed przyjazdem do Phoenix. Lily złapała batutę za plecami i z gracją opuściła ją na ziemię. Podniosła ramiona nad głowę, a następnie przeniosła ciężar ciała na ręce i przyjęła idealną pozycję do góry nogami. Skierowała bose stopy pionowo ku górze i mocno ścisnęła nogi. Poruszała się bardzo sprawnie i nie zawahała się ani na chwilę, kiedy zbliżyła się do schodów. Weszła po nich, nie zmieniając pozycji ani na sekundę.

– Puść mnie! – krzyknęłam i spróbowałam delikatnie wydostać się z uścisku matki.

Moją głowę przeszywał tępy ból powracający falami. Ale nie pobiegłam na podwórko. Wejście w drogę Lily było o wiele groźniejsze niż zignorowanie sterty czystych ubrań spoczywającej na moim łóżku.

Chwilę później siostra pojawiła się przed wejściem, wyciągnęła stopy tak wysoko, jak tylko potrafiła, i wygięła się do przodu, powracając do normalnej pozycji. Na jej poczerwieniałej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Spojrzała w naszym kierunku. Mama skinęła głową. Lily odwzajemniła gest. Porozumiewały się ze sobą w przedziwny sposób, bez użycia słów. Następnie siostra wykonała kolejny bezbłędny, pełen gracji skok do przodu zakończony szpagatem.

Matka puściła mnie i zaczęła klaskać. Na jej twarzy zagościł taki uśmiech, że nie można było zobaczyć warg. Szminka rozmazała się na jej przednich zębach. Odsunęłam się od matki i wyszłam na



podjazd. Czułam, jak na głowie rośnie mi guz. W ustach miałam dziwny posmak. Czyżby to była krew? Bolała mnie część języka. Prawdopodobnie go przygryzłam, kiedy uderzyłam o podłogę.

Matka o mnie zapomniała. Pewnie zapomniała też o praniu.

Benny klaskał i wiwatował z dachu garażu.

– Wspaniale, kochanie – pochwaliła moją siostrę mama, klepiąc Lily po tyłku. – Idź się umyć. Masz kolana brudne od trawy.

Spojrzała na mnie stojącą boso na podjeździe i pokręciła głową. Jej twarz i ściągnięte brwi wyrażały jedynie rozczarowanie.

Benny zszedł z dachu i podbiegł do Lily, żeby ją uściskać. Zrobił to z takim zapalem, że omal jej nie przewrócił. A ona wydała z siebie dźwięk podobny do pisku gumowych zabawek dla psów.

– Czy mogę iść do taty? – zapytałam.

Z każdym wypowiedzianym słowem głowa bolała mnie coraz bardziej. Czułam w skroniach każde uderzenie serca.

– Najpierw złóż ubrania. A ty, Benny, zostaniesz ze mną.

– Jestem głodny – oznajmił. – Chcę krążki cebulowe. Lubię te, które podają w barze. Rosey robi mi krążki bez cebuli. Nie znoszę cebuli, a ona ją dla mnie usuwa. Raz zjadłem jeden z cebulą w środku i cały spuchłem. Pamiętacie?

– Pamiętamy – odpowiedziała mama z wyraźną irytacją w głosie.

– Krążki cebulowe, krążki cebulowe – powtarzał, wbiegając po schodach, a za nim powiewała peleryna.

– Uważaj! – zawołała mama, kiedy Benny znalazł się na szczycie schodów gotowy do skoku.

– Krążki cebulowe! – wrzasnął i skoczył ze schodów, lądując na ziemi tak, jakby chciał zrobić szpagat.

– Jezus Maria! Indie, czy możesz zabrać go do ojca i zamówić mu te krążki cebulowe?

U Rusty'ego Benny najbardziej lubił siadać przy barze.

Z błyszczącego czerwonego stołka barowego mógł wyglądać przez drzwi frontowe, obserwując ludzi spacerujących po Depot Street.

Mógł też rozmawiać z Rosey przez kuchenne okienko, a szafę grającą miał na wyciągnięcie ręki. Kiedyś, w dniu urodzin

Benny'ego, ojciec wręczył mu garść monet, żeby mógł sobie puszczać

na okrągło ulubione piosenki – temat muzyczny z filmu *Rocky* oraz utwór *Year of the Cat* – i to tak długo, aż wszyscy obecni w lokalu myśleli, że oszaleją. Tata wiedział, ile monet należy podarować synowi, aby kuchnia zdążyła przygotować jego ulubione krążki cebulowe, frytki i tacos.

– Cześć, tato! – wrzasnął Benny na powitanie.

Ojciec stał na drabinie i ścierał kurz z poroża Zeusa, jedyne zwierzęcia, na które kiedyś zapolował. Mało kto jednak wiedział, że zwierzę zginęło nie od strzału, lecz od uderzenia samochodem. Tamtego dnia prowadził tata. Eddie Grand podjechał pikapem do miejsca, gdzie Zeus i nasz chevrolet nova leżały splecione w szalonych objęciach metalu i futra, i zabrał zwłoki zwierzęcia do taksydermisty, żeby ten przyczepił jego wypchaną głowę do pięknego kawałka dębu. Tata nigdy nie kłamał, kiedy pytano go, jak Zeus trafił na ścianę, tuż nad półkę z dobrymi alkoholami, ale też nie próbował prostować wersji Eddiego.

– Benny, możesz mi pomóc? – zapytał, schodząc z drabiny.

– Czy mogę dostać ćwierć dolara do maszyny grającej?

– Jeśli mi pomożesz – odparł z uśmiechem tata i podał

Benny’emu szczotkę do kurzu. – Pójdź, proszę, do kuchni, przynieś mi pronto i czystą szmatkę do baru. Poproś Rosey o pomoc.

– A ona robi mi krążki cebulowe bez cebuli? Muszą być bez cebuli, pamiętasz? Raz zjadłem z cebulą i spuchła mi głowa.

– To już musisz ustalić z Rosey – powiedział ojciec, składając drabinę.

– Cześć, tato – rzuciłam.

Wciąż odczuwałam tępy ból głowy.

– Jak się ma moja mała indiańska księżniczka? – zapytał, puszczając do mnie oko.

Było to określenie, które sam dla mnie wymyślił. Nie miałam w sobie ani kropli krwi Nawaho czy Hopi, ale kiedy pierwszy raz tak mnie nazwał, poczułam się, jakbym naprawdę była indiańską księżniczką. Tak jakby istniała szansa na to, że moja matka nie jest biologiczną matką, a tata był kiedyś żonaty z piękną Indianką, która zmarła przy porodzie. Zawsze, kiedy matka krzyczała na

mnie, ignorowała mnie lub zapominała odebrać ze szkoły, śniłam o prawdziwej mamie, która nie pochodziła z Kalifornii, tylko stąd, i że to ona była prawdziwym powodem naszej przeprowadzki. Nie sprawiało mi to żadnego trudu. Latem moja skóra nabierała kawowego odcienia. Miała wtedy identyczny kolor jak skóra mojej koleżanki z klasy – Laury Yazzi. Czasami po prostu szukałam swojej indiańskiej mamy w lustrze.

– Czy twoja matka wie, gdzie jesteś? – zapytał tata.

– Tak – odpowiedziałam, unosząc brwi.

Tata też uniósł brwi, a potem poruszył uszami. To był nasz specjalny język. Zawsze sprawiał, że się uśmiechałam.

Mały Ike siedział przy barze, kończąc swoją enchiladę à la Rosey. Przysiadłam się do niego i zakręciłam na stołku. Poczułam, jak zakręciło mi się w głowie.

– Cześć, Ike.

– Hej, Indie. Chcesz zagrać partyjkę? – zapytał, wycierając kąciki ust pobrudzone sosem z enchilady.

– Oczywiście.

– O której mama kazała ci wrócić do domu? – wtrącił się ojciec.

– Kto to może wiedzieć? – Wzruszyłam ramionami.

– No to mamy dużo czasu – powiedział Ike, uśmiechając się szeroko.

Miał dziecienny głos. Wszystko, co go dotyczyło, było niewielkich rozmiarów. Żył w przyczepie kempingowej po południowej stronie torów, w pobliżu parafii Najświętszego Serca. Zwykł mawiać, że ze względu na swój niski wzrost traktował własny dom bardziej jak pałac niż przyczepę. Świat jest dużym i ekscytującym miejscem, gdy ma się metr czterdzieści.

Benny wyszedł z kuchni z czerwonym plastikowym koszykiem wypełnionym po brzegi krążkami cebulowymi bez cebuli w jednej ręce i zardzewiałą puszką pronto w drugiej. Widać było, ile siły wkłada w to, aby to wszystko podźwignąć.

Rosey szła za nim, niosąc szmatkę do kurzu.

– Niedługo nic z tego baru nie zostanie, jeśli będziesz go tak ciągle polerował. Zetrzesz całe drewno – zauważyła, wręczając ojcu

szmatkę.

– Ale za to możesz ujrzeć w nim swoje odbicie. Wszyscy moi klienci mogą zobaczyć, jak bardzo są pijani, zanim wrócą do domu. Uważam, że uratowałem w ten sposób kilka małżeństw.

Ike uderzył małą dłonią o bar i zachichotał. Wyjął z kieszeni puszkę z tabaką, chwycił paczkę zapalek z miski stojącej na barze i jedną wyciągnął. Starannie przesypał na nią odrobinę tabaki, którą wciągnął nosem.

Benny siedział bardzo blisko szafy grającej. Kręcił się na stołku barowym i wcinał krążki cebulowe.

– Karmicie w ogóle tego dzieciaka? – zapytała Rosey, wycierając ręce o fartuch. – Można by pomyśleć, że nic nie je w domu.

– Ja rosnę – odezwał się Benny z pełnymi ustami.

– Urośnij jeszcze trochę, to już w ogóle nie będzie mnie stać, żeby cię nakarmić – powiedział tata, rozpylając środek do czyszczenia lady barowej w miejscu, gdzie nikt nie siedział.

Cały bar w jednej chwili wypełnił się zapachem świeżych cytryn.

– Czy mogę dostać monetę do maszyny grającej? – zapytał ponownie Benny.

Ike zeskoczył ze stołka i sięgnął do kieszeni swoich dziecięcych spodni. Wyjął dwie ćwierćdolarówki i jedną z nich położył na wyciągniętej dłoni Benny'ego. Drugą monetę pocałował i podniósł do światła.

– To na szczęście przeciwko naszej małej mistrzyni.

Uśmiechnęłam się mimo dojmującego bólu głowy. Benny wybrał utwór, a z kuchni wyszła Sheila. Poprawiała czerwony fartuch zawiązany wokół talii. Chciała się upewnić, że nie będzie zakrywał pępka. Tłumaczyła kiedyś, że ta czarna dziurka jest kluczem do jej napiwków, a bluzki z dekoltem na plecach są dla kelnerek największym darem od Boga. Według mnie to nie na jej pępek patrzyli klienci.

Poruszała biodrami w rytm piosenki Andy'ego Gibba. Nie znała ani słowa, ale nie przeszkadzało jej to we wspólnym śpiewaniu. Sheila pracowała u Rusty'ego od stycznia. Była kuzynką Eddiego. Miała osiemnaście lat, zaledwie sześć więcej niż ja, ale nie

potrafiłam uwierzyć, że za te sześć krótkich lat moje ciało tak bardzo się przeobrazi. Nie byłam pewna, czy moje piersi wypełnią jakąkolwiek bluzkę.

Ike ułożył kule i znalazł najlepszy kij, który był oparty o jedną z kanap. Nie mogłam się doczekać, aż odłożę wystarczająco dużo pieniędzy na zakup wymarzonego spaldinga. Potarłam dłonie o białą kredę umieszczoną w formie piramidy przy męskiej toalecie. Wciąż czekałam, aż Ike będzie zadowolony z ustawienia bil. Nie wolno rozbijać ustawienia, dopóki przeciwnik znajduje się po drugiej stronie stołu. Ike miał znajomego, który stracił w ten sposób przytomność: dostał trzynastą kulą prosto między oczy. Kiedy jednak nachyliłam się, aby rozpocząć grę, poczułam, jakbym też dostała kulą bilardową w głowę. Tylko że od tyłu.

Nienawidziłam rozpoczynać partii. Nie miałam tyle siły w rękach co dorośli. Jednak Ike nauczył mnie, jak wykorzystywać tę siłę, którą dysponowałam, i jak ustawiać białą bilę delikatnie w lewo bądź w prawo od środka. Udało mi się. To było dobre rozbiecie. Nie udało mi się wprawdzie skierować żadnej kuli do luzy, ale bile rozeszły się równomiernie po stole.

Ike był najlepszym graczem spośród wszystkich klientów baru. Bardzo dobrze poznał stoły na długo, zanim tata kupił bar. I nigdy nie dawał mi forów, dzięki czemu zawsze ceniłam nasze pojedynki. Grał przeciwko mnie, tak jak grał przeciwko Simonowi lub Eddiemu.

Udało mu się wbić cztery bile, aż w końcu pomylił się przy piątym uderzeniu.

– Nie mam zamiaru dawać ci żadnych forów – oznajmił, zostawiając mi stół z takim rozkładem bil, że nie wiedziałam, w które mam uderzać.

– Daj spokój, Ike – odpowiedziałam.

Bilard przypomina szachy. Aby wygrać partię, należy precyzyjnie i z wyprzedzeniem zaplanować kolejne ruchy. Trzeba mieć w głowie to, co się stanie, gdy wykona się pierwsze uderzenie. Są tacy ludzie jak Ike, którzy planują całą rozgrywkę, zanim podejda do stołu.

Wbijałam pełne bile i Ike zdołał całkowicie zablokować moje

ruchy. Wreszcie wpadłam na pomysł, w jaki sposób mogę wbić dwie bile spoczywające przy narożnych kieszeniach. Musiałam tylko precyzyjnie się obok czarnej ósemki. Jeden fałszywy ruch, a ósemka powędrowałaby do bocznej kieszeni. Podejmowałam duże ryzyko, ale nie miałam wyboru. Wyrecytowałam po cichu moje małe zaklęcie voodoo i uderzyłam. Kiedy uda ci się zobaczyć jakiś ruch, to musisz go wykonać. Idź za głosem serca. Kula przeszła tuż obok ósemki i dalej w kierunku narożnika. Wydawało mi się, że spudłowałam, lecz tuż przed skrajem stołu bila zakreśliła delikatnie.

– Elegancko! – Głos Sheili brzmiał jak mieszanka farby do włosów i błyszczyka do ust.

– Dzięki – rzuciłam, starając się skupić na kolejnym uderzeniu.

Wpatrywałam się w stół. Te wszystkie kule i ich kolory sprawiły, że poczułam się słabo. Prawie tak, jakbym dostała choroby morskiej. Benny włożył kolejną monetę do szafy grającej i wybrał motyw przewodni z filmu *Rocky*. Muzyka dudniła mi w uszach. Nachyliłam się, żeby uderzyć, ale przestałam odróżniać kule. Wszystko rozmyło się przed oczami. Krew napłynęła do uszu, rozgrzewając je do czerwoności.

– Indie? – usłyszałam głos taty dochodzący z oddali.

– Przynieś lód. – Poczułam na ramieniu delikatny uścisk dłoni Rosey. Drugą dłonią przeczesywała moje splątane włosy, dotykając miejsca, w którym moja głowa zetknęła się z linoleum. – Nie ma krwi we włosach.

Pomogli mi usiąść na jednej z kanap. Benny usiadł naprzeciwko mnie.

– Masz wielkiego guza. Co się stało? – Rosey delikatnie pocierała moje plecy okrężnymi ruchami dłoni.

Mogłabym już zostać tak na zawsze, z głową na zimnym stole i dłonią Rosey na plecach.

– Masz jajko na głowie? – zapytał Benny.

Skinęłam w odpowiedzi i poczułam paraliżujący chłód lodu przyłożonego do guza.

Tata przyniósł mi szklanekę Ginger Ale ze słomką. Upiłam trochę i poczułam, jak świat nabiera powoli ostrości.

– Co się stało? – spytał.

Myślałam o mojej skarbonce, upragnionym kiju do bilardu, mamie i Lily, które miały wyjechać na tydzień. Pamiętałam zimne linoleum na skórze, zapach srebrnego lakieru i cekiny. Myślałam, co by się stało, gdybym powiedziała tacie o tym, co zrobiła mama. O tym, jak czasem słyszałam wybuchy jej złości, kiedy wracał nocą do domu. O tym, że ich podniesione głosy docierały do mojego pokoju niczym burza z piorunami, kiedy próbowałam zasnąć.

– Spadłam z huśtawki – skłamałam. – Huśtałam się za mocno.

Oczami wyobraźni widziałam siebie huśtającą się na tym zestawie ogrodowym, który zamówiliśmy z katalogu. Widziałam, jak szczyty gór magicznie wyłaniają się znad koron drzew. Czułam metalowe łańcuchy w dłoniach i żwir na kolanach.

– Dlaczego nikomu nic nie powiedziałaś? – zapytała Rosey. – Mogłaś dostać wstrząśnienia mózgu.

Wzruszyłam ramionami.

– To zwykły guz. Miałam ich już bardzo dużo.

Tej nocy nie będzie burzy w domu. Uciszyłam grzmoty swoimi słowami.

\*

Zupełnie nie wiedziałam, czego się spodziewać po specjalistach od usuwania azbestu. Chyba wyobrażałam ich sobie ubranych w te duże żółte gumowe kombinezony i maski. Tymczasem człowiek z firmy zajmującej się ochroną środowiska nie różnił się niczym od instalatora kabłówki, kontrolera czy człowieka budującego przydomowe baseny. Zaparkował swoją półciężarówkę na podjeździe. Słyszałam, jak starannie wyciera buty o zieloną wycieraczkę mamy, zanim zdecydował się zapukać. Otworzyłam drzwi.

– Dzień dobry, przyjechałam pobrać próbki gleby i wody.

– Oczywiście, zapraszam.

– Specjalista od radonu będzie niestety dopiero po południu, ale mogę sprawdzić dom pod kątem zanieczyszczenia azbestem. Zrobię też kilka zdjęć rentgenowskich ścian.

Zastanawiałam się, co wyjdzie na zdjęciach. Czy pod farbą i tapetą czaiły się jakieś nowotwory?

– Zdjęcia rentgenowskie? – dopytywałam w drodze do kuchni.

– Tak można sprawdzić, ile ołowiu zawierają ściany domu – odpowiedział.

– Ach tak...

Podszedł do zlewu i przekręcił kurek. Popłynęła woda.

– Czy ta woda pochodzi ze studni?

– Nie.

– No cóż, w takim razie wezmę jedynie próbki gleby.

– Może powinien pan jednak pobrać też próbki wody. – Jeśli pominę choć jedną rzecz, mama nie wróci, a ja tu ugrzęzę. – Wie pan, tak na wszelki wypadek. Lepiej dmuchać na zimne.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się. – Ostrożności nigdy za wiele. Pokręcę się tu przez kilka godzin. Próbki wyślemy do naszego laboratorium. Powinniśmy się dowiedzieć wszystkiego w ciągu paru dni. Zasugerowałbym jednak przeprowadzenie długoterminowych testów na występowanie radonu. Potrwałoby wprawdzie około trzech miesięcy, ale dadzą najlepsze wyniki.

– Nie, nie – powiedziała szybko. – Nie zostanę tutaj tak długo. – Dostałam zawrotów głowy na samą myśl o spędzeniu w tym domu



trzech miesięcy.

– Pani tu nie mieszka?

– Nie. Ten dom należy do mojej mamy. Poprosiła mnie, żebym wszystko sprawdziła.

– Cóż, w takim razie jak tylko Kirk się zjawi, niech mu pani powie, że interesuje panią test krótkoterminowy. Na pewno będzie musiał umieścić w piwnicy specjalny filtr. W ciągu kilku dni powinniśmy uzyskać odczyt. Nie będzie tak dokładny jak w przypadku badania długoterminowego, ale jeśli się pani śpieszy...

– Bardzo dobrze. O której przyjedzie? – zapytałam. – Powinnam jeszcze coś załatwić w mieście.

– Prawdopodobnie będzie tu w ciągu dwóch – trzech godzin. Jeżeli pani chce, mogę zamknąć dom, kiedy skończymy pracę.

– O tak, dziękuję bardzo. Proszę się poczęstować kawą. Drzwi zamykają się na zatrzask – dodałam.

Wiedziałam, że mama dostałaby piany na samą myśl o obcych ludziach kręcących się w jej pustym domu, ale im mniej czasu tutaj spędzę, tym lepiej.

– A gdzie znajdzie wejście do piwnicy? Mogę sprawdzić, czy jest tam azbest.

– Na zewnątrz, na tyłach domu jest właz – poinformowałam, wskazując ręką okno kuchenne. – Nie jest to typowa piwnica, raczej coś w rodzaju ziemianki.

Rosey mieszkała po wschodniej stronie miasta. Dawniej zajmowała z rodziną dużą posiadłość nad wodą, ale po śmierci José przeniosła się z dziećmi do mniejszego domu. Widocznie nie potrzebowała aż tyle przestrzeni. Mama została zaproszona na pogrzeb, ale ostatecznie nie poszła. Tata zadzwonił, żeby mnie o tym poinformować. Przyjechał tutaj aż z Kalifornii. Powiedział, że podróż była tego warta, bo mógł zjeść trochę przepysznych tamale przyrządzonego przez Rosey. Korzenie rodziny Jimenez są głęboko wrośnięte w historię Mountain View. Na pogrzeb przyszło prawie trzysta osób.

Wjechałam w ulicę, przy której mieścił się dom Rosey. Wszystkie budynki wyglądały jednakowo. Były kwadratowe, jakby zbudowano

je z klocków lego. Zaparkowałam po drugiej stronie i powoli podeszłam do drzwi. Może powinnam była zadzwonić, uprzedzić, że przyjadę, ale z jakiegoś powodu denerwowałam się tą wizytą.

Rosey miała niewielki ganek, wciąż ozdobiony dekoracjami z zeszłorocznego Halloween. Plastikowe liście z wizerunkiem potwora Dyniogłowego. Rysunki wiedźm naklejone na szyby i papierowe duchy zwieszające się nad ramami okien. Z parapetu obserwował mnie kot. Jego pyszczek wykrzywił się w dziwnym grymasie. Zbliżyłam się do drzwi i już chciałam zapukać, kiedy powstrzymało mnie szczekanie psa. Po chwili pies zawył, jakby ktoś go dusił, a ja przestraszyłam się, że zaraz na mnie skoczy i ugryzie w nogę.

– Cicho! – z oddali dobiegł głos, a sekundę później zza zasłony wyjrzała Rosey.

Jej oczy wpatrywały się we mnie przez chwilę tępym spojrzeniem, po czym na twarzy zagościł uśmiech. Usłyszałam szczęk zamka.

– Indie! – zawołała, otwierając drzwi na oścież i przytulając mnie z całej siły. Była tak mała, że jej głowa sięgała mi do piersi. Odsunęła mnie na długość swoich rąk, ale nie puściła. – Co za wspaniała niespodzianka dla moich zmęczonych oczu! Wejdz, wejdz, proszę. Właśnie zrobiłam menudo.

Weszłam do jej niewielkiego domu. Pachniało w nim cudownie. Powietrze było ciężkie, wypełnione zapachem przypraw. Zielone chili i kolendra. Słyszałam bulgotanie wody w kuchni.

– Co cię tutaj sprowadza? – zapytała, wskazując mi miejsce na kanapie pod oknem.

– Mama jest chora.

– O nie, twoja biedna mama. Jest w szpitalu?

– Nie, nie – odpowiedziałam, głaszcząc kota, który z pewną dozą nieufności przechadzał się po brzegu kanapy. – Jest teraz w Phoenix z Lily. Niedługo wróci.

– Takie ciągłe podróżowanie nie jest chyba dla niej dobre. – Rosey pokręciła głową. – Powiedz jej, że jak wróci, ma do mnie zadzwonić. Przygotuję jej moje tamale.

– Tak zrobię. – Roześmiałam się.

Kot położył się obok mnie i zaczął mruzczyć.

– Moje tamale jest najlepszym lekarstwem.

Mama w życiu nie zadzwoni do Rosey. Tylko kilka razy odwiedziła bar taty. Tak naprawdę zarówno Rosey, Sheila, jak i każda inna kobieta mogły być dla niej jedną i tą samą osobą. Dopiero po śmierci Benny’ego poznała osobę odpowiedzialną za dokarmianie nas i leczenie naszych guzów.

– Poszłam wczoraj do Rusty’ego. Myślałam, że cię tam spotkam. Kiedy przestałaś pracować?

– Dobry Boże, to będzie już ponad rok. Nowi właściciele zmienili menu. Nie ma już tylu meksykańskich dań co kiedyś. Poza tym zdjęli Zeusa ze ściany. Jak mogłabym tam dalej pracować w takich warunkach? – Zaśmiała się. – Miałam poszukać innej pracy, ale wtedy odszedł José i...

– Przykro mi – wtrąciłam – z powodu José. Długo chorował?

– O nie. To się stało nagle. Atak serca. Wracił właśnie z wnuczkami znad wody. Moje *nietas*<sup>2</sup>. Napił się lemoniady i stracił przytomność. To wszystko. Był już stary.

– Żałuję, że nie mogłam być na jego pogrzebie – powiedziałam, sięgając po dłoń Rosey.

– Twój tata tu był. To wystarczy. A ty nie musiałaś pokonywać czterech tysięcy kilometrów tylko po to, by uczestniczyć w pogrzebie. – Klasnęła w dłonie i wstała. – Chodź, spróbujmy mojego menudo.

Poszłam za Rosey do kuchni. Przyglądałam się, jak nalewa do misek dziwną ciecz. Miała na sobie suknię w kwiaty i fartuszek. Zdawało mi się, że się skurczyła, odkąd widziałam ją ostatni raz. Pamiętam, jak wmawiała mi, gdy byłam jeszcze dzieckiem, że kobiety na starość maleją dotąd, aż w końcu zmieniają się w myszy i uciekają. Wyobrażałam sobie, jak jej czarne włosy, teraz oczywiście posiwiące, przeistaczają się w mysie wąsy. Jak pomarańczowa skóra staje się szara i miękka, a czubek nosa różowieje. W życiu nie tknęłabym połowy z tych dań, które Rosey przygotowywała w barowej kuchni, gdybym wiedziała, z czego

zostały przyrządzone. Dlatego też ojciec miał własną filozofię: „Zjedz, zanim zapytasz”, i zazwyczaj było tak, że kiedy kończyłam swoją porcję, przestawało mnie interesować, co Rosey włożyła do garnka.

Jadłyśmy w zupełnej ciszy. Zegar wybił połowę godziny równie głośno jak dzwony kościelne.

– Co słyszać u Petera? – zapytała, ściskając mnie za ramię.

Uśmiechnęłam się. Rosey lubiła Petera, choć widzieli się tylko raz w życiu. Wszyscy od razu zaczynają lubić Petera. Rosey dała mu nawet swój przepis na pan dulce. Peter potem przez kolejne tygodnie ćwiczył w swojej kuchni przyrządzanie bułeczek, doskonaląc się w tworzeniu żółtych i różowych lukrów. Częstoował mnie, traktując te wypieki niczym mały skarb ukradzony z innego miejsca i czasu.

– Nadal się upierasz, co?

– Słucham?

– Nie macie ślubu? Nie macie dzieci?

– Nie mamy ślubu. Nie mamy dzieci. – Uśmiechnęłam się.

Rosey zmarszczyła brwi.

– Kto się tobą zajmie na starość, Indie? Gdy będziesz chora? Spójrz na to, co robisz dla swojej mamy. Co ona by zrobiła bez ciebie?

– Chyba zacznę się tym martwić, kiedy będę stara i schorowana... – powiedziałam, próbując obrócić wszystko w żart, ale nagle zupa w moim żołądku przybrała konsystencję skały.

– Na twojej twarzy i tak widać dużo zmartwień – odparła.

Wzięła moją pustą miskę i poszła po dokładkę.

– Ja już dziękuję. Jestem pełna.

– Masz zmartwienie wypisane na twarzy. – Rosey pokręciła głową. – Należę ci jeszcze troszeczkę i powiesz mi, co cię trapi.

Wiedziałam, że jest to propozycja nie do odrzucenia. Wzięłam sobie kolejny placek tortilli.

– Kiedyś robiłam je własnoręcznie, ale teraz sprzedają je w Smith's, no wiesz, tam gdzie kiedyś był Food Mart. Wiem, jestem leniwa, ale one naprawdę smakują prawie tak dobrze jak moje –

powiedziała, zanurzając kawałek placka w swojej misce.

– To prawda, są dobre. – Skinęłam głową.

– Chodzi o twoją mamę? To cię martwi?

– Nie. Nic jej nie będzie. Zawsze wychodzi cało z opresji.

– Nadal jesteś na nią zła? – Rosey pokręciła głową. – Widziałam to w twoich oczach, gdy byłaś jeszcze dzieckiem. Te zmarszczki rysujące się na twarzy. Cały ten gniew.

– Nie jestem zła, tylko poirytowana, rozumiesz? – Staralam się w ogóle nie myśleć o tym, jak wyglądają moje oczy, gdy są zmęczone. Byłam zmęczona od tak dawna, że zapomniałam już, jak wygląda moja twarz. – Przebyłam całą tę drogę aż tutaj. Teraz jestem w domu, całkiem sama. Czekam, aż matka wróci. Ona mnie w ogóle nie potrzebuje.

– Czasem lepiej nie być potrzebnym. Jeśli ktoś cię potrzebuje, nie masz czasu na nic innego.

Roześmiałam się z ulgą i zanurzyłam kawałek tortilli w zupie, maczając ją wokół ostatniego kawałka mięsa, jaki zostawiłam w misce.

– Ale to nie o to chodzi – dodała Rosey po chwili. – Wydaje ci się, że możesz mnie oszukać, zmieniając temat. – Pokiwała palcem, po czym wyciągnęła rękę i dotknęła mojej twarzy. – Zawsze krążysz wokół tematu. Nigdy nie przechodzisz do sedna. To w twoim stylu, co? – Wskazała na ruchy, które wykonywałam w misce. – Zawsze mówisz dookoła, zamiast przejść do konkretów.

\* \* \*

Później, kiedy człowiek sprawdzający poziom radonu przyniósł mi pudełko, które było schowane w ścianie, myślałam o słowach Rosey: „Zawsze krążysz wokół tematu. Nigdy nie przechodzisz do sedna”.

Gdy zostałam sama, usiadłam przy stole w kuchni i spojrzałam na pudełko. Nierozpakowane. Zaadresowane do domu opieki, w którym pracowała kiedyś mama. Przywieziono je z hurtowni leków w Phoenix. Stempel pocztowy wskazywał, że przeleżało tak dwadzieścia lat. Kiedy zaczęłam odklejać taśmę, na stół wysypały się setki strzykawk. To, co dzisiaj usłyszałam, znów zadźwięczało mi

w głowie: „Zawsze krążysz dookoła”. Rosey zdawała się nie rozumieć, że czasem sedno pozostaje niejasne i łatwiej, mniej boleśnie jest poruszać się po brzegu. Nie mówiąc już o tym, że czasem opłynięcie to najlepszy sposób na powrót do początku.

\*

Sen o igle zaczyna się od odgłosu zamykanych powoli drzwi. Jest to tak cichy dźwięk, że gdybym zasłoniła swoje zdrowe ucho, niczego bym nie usłyszała. Trzymam jednak ręce wzdłuż ciała, jestem uparta. Stoję przy łóżku i nasłuchuję, jak się zamykają.

Nocą obserwuję przez okno cienie zwierząt poruszających się po naszym podwórku. Widzę sylwetki złodziei ukrywających się w poduszkach starej kanapy, za słonecznikami, oświetlane przez gwiazdy jaśniejące na niebie. Jedyłą rzeczą, która oddziela mnie od tego złomowiska w ogrodzie, jest tafla szkła i popękana rama. Jedyłą rzeczą, która oddziela mnie od tej strasznej rzeczy, jest odgłos zamykanych drzwi.

Dziś w nocy Lily wydawała dźwięki umierania. Mogła śnić, że jest jednym z tych zwierząt z podwórka, warczącym i syczącym. Kojotem lub wilkiem. Słyszałam przez ścianę, jak mama tuliła ją do snu, głaskała po ciele okrężnymi ruchami. Wiedziałam, że szklanka wody stoi na stoliku nocnym. Skrzypienie okna. Delikatna bryza owiewająca jej czoło. Z uchem przyciśniętym do ściany tak mocno, że niemal zapadałam się do drugiego pokoju, słyszałam uciszanie. Mama śpiewała kołysankę.

– Wszystko w porządku, maleństwo. Mamusia już tu jest. Wszystko będzie dobrze.

Byłam tak blisko ściany, że słyszałam w niej bicie własnego serca. Bałam się, że oni też je usłyszą. Zasnęłam na kolanach przy biciu serca i kołysance mamy.

Teraz jednak stoję przy łóżku. Trzęsę się. Moje serce nie dudni już w ścianie. Teraz bije w klatce piersiowej. Tym razem udało mi się zapamiętać labirynt pokoi w tym domu. Zapisałam drogę głęboko w pamięci. Znam wszystkie zawiłości korytarza i umiejscowienie drzwi. Korytarz i drzwi. Wiem, w którym miejscu tapeta odcisnęła się od kształtu mojego ucha, gdy próbowało wyłowić dźwięki zza ściany. Bogatsza o całą tę wiedzę nie mam żadnego problemu z ich odnalezieniem.

Nie otwieram drzwi. To zakłóca mój sen, ciągle włącza i wyłącza światło. Zapala i gasi żarówki, aż światło i ciemność stają się jednym. Ręce mamy nie różnią się już od rąk Lily. Ich włosy

połączone tworzą jedną ciągłą falę. Żaden włos nie odstaje na bok. Tylko jeden wspólny strumień. Nie otwieram drzwi. Nie muszę już tego robić, ponieważ ściany w tym starym domu są popękane. Znam je bardzo dobrze. Przesuwałam po nich palcami, rysowałam mapy i wyobrażałam sobie labirynty. Jestem ich kartografem. A teraz napotykam największe pęknięcie, najbardziej niebezpieczne, i zaglądam przez nie do środka.

Na początku dostrzegam jedynie pomarańczową tapetę z białymi stokrotkami na ścianie. Żółtą umywalkę, wannę i podłogę. Wkrótce jednak moje oczy zauważają ich ciała. Lily zwija się na podłodze, trzymając się za brzuch. Mama klęczy obok, głaszcząc ją po włosach.

– Zaraz poczujesz się lepiej, kochanie. Bądź grzeczna i pozwól podać sobie lek. Wszystkie grzeczne dziewczynki pozwalają swoim mamom zadbać o nie. Czy będziesz grzeczna?

Odwracam się od pęknięcia i przykładam ucho do zimnego drewna. Słyszę szelest papieru. Czy to rozwijany z papierka cukierek? A może kinder niespodzianka z zabaweczką w środku? Kiedy jednak znowu spoglądam przez dziurę, dostrzegam igłę. Znam ten widok. Doskonale wiem, co się za chwilę stanie. Ten rytuał – wbijanie igły w posiniaczone od innych zastrzyków ramiona. Świnka, tęzec, gruźlica. Mama nie jest lekarzem, nie jest nawet prawdziwą pielęgniarką, a ten pomarańczowy pokój nie jest żadną kliniką, gdzie nawet sufity są niebieskie. Lily wie, że nie może teraz płakać. W przeciwieństwie do mnie już nawet nie boi się igieł. Unosi się w ramionach mamy jak koliber. Zacznie drżeć dopiero wtedy, gdy mama położy się z powrotem spać. Zapłacze, kiedy słońce wyjrzy zza zasłony niczym ciepłe palce. Nie wyda z siebie żadnego dźwięku, dopóki ptaki nie zaczną śpiewać i latać nad drzewami tuż obok domu. Nie krzyknie, dopóki wszystkie dźwięki głośnie poranek (śpiew Benny’ego, ekspres do kawy, kłótnie rodziców) nie osiągną swojego apogeum. Będzie leżeć cicho, dopóki trucizna, którą wstrzyknęła jej mama, nie sprawi, że zacznie krwawić.

\*



8 listopada 1999 roku. Mountain View, Arizona. *Indie Brown boryka się z nowymi dowodami w sprawie przeciwko swojej matce, Judy Brown, również z Mountain View. Podobno wiele istotnych dowodów odkryto wczoraj w piwnicy ich domu. Natrafił na nie ekspert ds. środowiska, który przeprowadzał pomiar stężenia radonu w posiadłości. Zamiast trującej substancji chemicznej trafił na skrzętnie ukryte dwudziestoletnie pudełko. Nowe dowody mogą pomóc w podtrzymaniu lub też obaleniu podejrzeń w sprawie matki i siostry pani Brown – Lily Hughes z Phoenix. Czy są one odpowiedzialne za nieujawnione zbrodnie? Zdjęcia rentgenowskie domu wskazują na obecność czegoś przezroczystego i ukrytego w jednej ze ścian. Jeszcze nie wiadomo, czym konkretnie jest to znalezisko, ale jeśli zapuka się delikatnie, w środku można usłyszeć skrobanie, a po przyłożeniu ucha bliżej – wręcz oddychanie.*

Podeszłam do sekretarzyka mojej matki. Było to ciężkie dębowe biurczko. Zastanawiające, jak udało jej się przenieść je z sypialni aż do korytarza. Nie było nawet dosunięte do ściany. Widocznie więcej nie dała rady i zwyczajnie zostawiła je w tym miejscu. Przeszukiwałam gorączkowo szuflady w nadziei, że trafię na coś, co pozwoli mi zatelefonować do Phoenix. Coś, co pozwoli zadać mamie pytania, na które i tak już znałam odpowiedzi. „Czy skrzywdziłaś Lily? Czy wysłałaś to wszystko z palca?”. Na nic takiego niestety nie trafiłam. Obejrzałam każdy podkoszulek, wyciągnęłam każdą parę skarpet. Przeszłam w głąb korytarza do łazienki. Sprawdziłam tam każdą szufladę, szukając prawdy w blond włosach, które wciąż tkwiły na szczotce. Zajrzałam do każdej buteleczki z tabletkami na receptę, które wyglądały jak cukierki. W bładoniebieskiej puderniczce dostrzegłam jedynie odbicie własnych oczu patrzących na mnie z niewielkiego lusterka.

Wyszłam na zewnątrz i patrzyłam na resztki historii mojej rodziny. Złomowisko marzeń. Przeszłam przez labirynt starych mebli, pootwieranych szuflad i drzwi szafek. Zaczęłam powoli przestawiać te puzzle. Chciałam zmienić ich miejsce i spróbować połączyć naszą utraconą historię z meblami gnijącymi na deszczu. Zablokowałam drzwi składanym metalowym krzesłem i zaczęłam

przenosić meble z powrotem do środka. Termometr zawieszony krzywo na pobliskim drzewie wskazywał wprawdzie, że na zewnątrz są jedynie cztery stopnie Celsjusza, ale zdjęłam sweter mamy i pracowałam w samej koszulce. Wyłączyłam ogrzewanie w domu i otworzyłam drzwi wejściowe. Przeciągnęłam sekretarzyki, łóżka, szafki łazienkowe i biurko, przy którym pracowałam w dzieciństwie. Przepchnęłam starą pralkę do garażu i ustawiłam tuż obok nowej. Mebel za meblem wypełniałam puste pokoje. Stare rzeczy, drewniane szkielety naszego życia.

Przez wiele godzin zmagalam się z odbudowywaniem ram łóżek, z ustawianiem wszystkiego tak, jak stało kiedyś. Pracowałam, aż moje ręce, plecy i nogi były zbyt zmęczone, abym mogła podnieść choćby kawałek szkła. Szyja lepiała się od potu. Na zewnątrz niebo stawało się różowe i pomarańczowe, gdy udało mi się wciągnąć stary materac do pokoju Benny'ego i umieścić go w metalowej ramie. Kiedy opadłam na łóżko, szumiało mi w uszach i dudniło w klatce piersiowej. Łóżko zatrzeszczało niepewnie i ugięło się pod ciężarem mojego ciała. Nie bałam się, że się zapadnie czy też rozpadnie na kawałki, bo na razie wszystko wydawało się nienaruszone.

Zachód słońca płynnie przeistoczył się w granat nocy. Z okien pokoju Benny'ego widziałam, jak światła, które rozjaśniały ganek, w dziwny sposób znikają w ciemności podwórka. Wiedziałam, że wszystkie słoneczniki zwiędły, choć nie byłam w stanie ich dostrzec. Śnieg wprawdzie zamroził ich twarde żółte uśmiechy, lecz teraz zwijały się w sobie, składały i przyklękały. Kiedy zamrugałam i otworzyłam oczy, miałam nadzieję, że krajobraz za oknem będzie inny. Niestety wyczyszczone z mebli podwórko nadal pozostało tym samym podwórkiem.

Wpatrywałam się w sufit tak długo, aż w pokoju zrobiło się zupełnie ciemno. Tak długo, jak długo mogłam liczyć jaśniejące na niebie gwiazdy tkwiące tam i trzymające w ryzach popołudniowe słońce. Benny nie rozumiał nocnego nieba, zasad, jakimi kierowały się planety lub układy gwiazd. W niebie Benny'ego Słońce krążyło wokół Księżyca, a gwiazdy układały się w kształt jego imienia.

Wyczerpana zasnęłam tak głęboko, że nawet nic mi się nie przyśniło.

Rankiem otworzyłam drzwi wejściowe, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, i ponownie włączyłam ogrzewanie, ustawiając termometr na dwadzieścia sześć stopni. Słyszałam, jak piec ciężko pracuje, żeby ogrzać cały dom. Umierałam z głodu. Czułam, że zaraz zemdleję. Strzykawki leżały rozsypane na stole kuchennym niczym zawartość rozbitej piniaty.

Kiedy przygotowywałam sobie makaron z serem, do kuchni wszedł kot i nie chciał wyjść.

– Scoot, do kogo ty właściwie należysz? – zapytałam.

Kot był czarno-biały. Spod różowego noska wyrastały mu krzywo czarne wąsy. Wystawiłam go na zewnątrz i zamknęłam drzwi. Staralam się zapomnieć o zwierzaku, gdy wlewałam pomarańczowy proszek zmieszany z mlekiem i rozpuszczoną margaryną do garnka z gorącym makaronem, ale on stał przed drzwiami i błagalnie miauczał, żebym go wpuściła.

– W porządku – ugięłam się. – Ale ja nie mam dla ciebie nic do jedzenia.

Spojrzał na mnie. Ogonem wymachiwał ósemki. Otwierał pyszczek i miauczał. Przez futro mogłam dostrzec żebra. Nagle zauważyłam, że ma pełne piersi. A więc to kotka, a gdzieś chowały się też kocięta.

– Cholera! – powiedziałam i otworzyłam szafkę, aby sprawdzić, czy jest coś, czym mogę ją nakarmić.

Znalazłam puszkę tuńczyka i choć wiedziałam, że to chyba nie jest najlepszy pokarm, odsączyłam rybę z oleju i nałożyłam jej do miski.

– Proszę. Szczęśliwa?

Błyskawicznie zjadła tuńczyka i zaczęła prosić o więcej. Poddałam się. Niedługo później już leżała zwinięta w kłębek na kanapie, z wyczyszczonymi łapami, jakby to był jej dom. Pomyślałam o Jessice. Uwielbia polować w lesie niedaleko domu. Znika na całe dni, a gdy wraca, zawsze przynosi nam w podzięce martwe ptaki i krety. Nie lubi spędzać czasu ani ze mną, ani

z Peterem, chyba że odbywa się to na jej warunkach. Rzadko mruczy, co nadaje niezwyklej wyjątkowości tym szczególnym momentom, gdy jej ciało wygina się i drży pod naszymi delikatnymi palcami. Ale ta zabawna czarno-biała kotka zaczęła mruczeć, zanim zdążyłam ją pogłaskać po brzuszku, który zresztą wyeksponowała niczym podarunek dla mnie.

– Podoba ci się tutaj, co? – zapytałam. – Chyba mogę uznać, że się tutaj wprowadziłaś, prawda?

Zamruczała głośno. Usiadłam obok niej z widelcem i rondlem pełnym makaronu z serem. Jadłam, aż nie zostało prawie nic poza gęstym sosem koloru pomarańczowego. Peter zabiłby mnie, gdyby zobaczył, czym się odżywiam. Dbał o to, aby śniadania zawsze były ciepłe i zdrowe. Ręcznie robione owsianki z rodzynkami i kawałkami jabłek, które zbieraliśmy w sadach naszych sąsiadów. Gryczane naleśniki z ciepłym syropem klonowym. Peter zawsze się przykładał do przygotowywania posiłków. Czerpał niezwykle radość ze wszystkich drobiazgów, które wyróżniały jego dania. Chuck Moony nazwał go kiedyś nawet Marthą Stewart w spodniach. Petera to jednak nie wzruszało. Zawsze dbał o to, by w drewnianych miskach rozstawionych wokół domu znajdowały się szyszki, żeby indyk podany na Święto Dziękczynienia był tym, którego sam wybrał i zastrzelił z własnej strzelby. Zadbał też, aby każdy pień drzewa, który posłużył do wzniesienia ścian naszego domu, był starannie wyselekcjonowany pod kątem jakości i pęknięć. Pieczołowicie wybrał każde zdjęcie, zanim je oprawiliśmy i powiesiliśmy. Tęsknię za nim, ale nie mogłam się zmusić, żeby do niego zadzwonić. Jeślibym to zrobiła, nasza rozmowa sprowadziłaby się na pewno do wyjaśnień.

Kotka zamruczała i przeciągnęła się, dając mi sygnał, że oczekuje jeszcze więcej pieszczot.

– Gdzie są twoje małe? – zapytałam.

Zamknęła oczy i zaczęła pocierać pyszczek łapą.

– Gdzie je zostawiłaś?

Leżała niewzruszona, czekając, aż zacznę ją znowu głaskać.

– W porządku. Mam zamiar ich poszukać. Dam ci znać, jak już je

znajdę. Dobrze?

Wyszłam na zewnątrz, drżąc na zimnym powietrzu poranka. Sprawdziłam pod gankiem, a następnie w starej szopie, gdzie tata trzymał kiedyś kosiarkę i narzędzia. Lekko uchylone drzwi szopy podpowiedziały mi, gdzie szukać. Jak się okazało, miałam rację: za zardzewiałymi leżakami i pudłami pełnymi starych magazynów znalazłam kilka kociąt, niezdarnie pełzających i miauczących. Sięgnęłam, żeby je pogłaskać. Poczułam ich ciepło, zanim palcami dotknęłam futerek. Pięcioro kociąt to całkiem duży miot. Cztery czarno-białe i jedno szare. Doznałam dziwnego ukłucia w środku. Podczas gdy czarno-białe kocięta sprawdzały cały czas, czy nie przyniosłam im niczego do jedzenia, szary kociak pozostawał nieruchomy. Dotknęłam jego małego brzuszka i popchnęłam go delikatnie. A potem łzy zaczęły spływać mi po twarzy zaskakująco gorącymi strumieniami. Parzyły zimną skórę mojego policzka.

Odwróciłam się i zauważyłam kotkę: stała w drzwiach szopy i wlepiała we mnie oczy.

– Chodź do mnie! – krzyknęłam.

Kocięta cały czas płakały.

„Jezus Maria”. Podniosłam martwego kotka i przytrzymałam jej przed nosem.

– Co ty sobie myślałaś? Dlaczego je tutaj zostawiłaś?

Czułam, jak moje ciało się kołysze, a ramiona wznoszą się i opadają, kiedy zanosłam się łzami.

Wzięłam łopatę z półki i wyszłam na podwórko, trzymając nieżywego kociaka w dłoni. Na dworze położyłam zwierzątko na ziemi i zaczęłam kopać. Ziemia była zimna i twarda. Wbijałam i rozpychałam ziemię, aż udało mi się wykopać na tyle duży dół, że byłam w stanie umieścić w nim martwe kociątko. Zasypałam jamę i otarłam łzy rękawem swetra. Spojrzałam w kierunku gór, które były pokryte śniegiem.

– Rich – szepnęłam do słuchawki, gdy zatelefonowałam tej nocy.

– Indie! – odpowiedział głośno.

Oznaczało to, że mama i Lily są gdzieś w pobliżu. Nie zdawałam sobie sprawy, że do tej pory spiskowaliśmy przeciwko nim.

Słyszałam w tle głos matki dyskutującej z Violet. Lily prosiła mamę o świeżą bazylię. Pociły mi się ręce.

– Rich, martwię się o Violet.

– Wszystko u niej w porządku, u twojej mamy również. Robią teraz lasagne z Lily. Judy poszła nawet specjalnie do włoskiego sklepu po ich ręcznie wyrabiane kiełbaski. No wiesz, te pikantne.

– Rich, musisz porozmawiać z lekarzami. I proszę, obserwuj Violet. – Patrzyłam na stos igieł leżących przede mną na stole.

– Poczekaj, przejdę do drugiego pokoju. Mam jakieś zakłócenia.

Wyobraziłam sobie, jak opuszcza kuchnię i udaje się na korytarz. Może przechodzi obok salonu i siada na schodach. Niemal widziałam, jak opiera łokcie na kolanach, a jego klatka piersiowa opada przy kolejnych westchnieniach.

– Zamierzam zabrać ze sobą Violet – oznajmił cicho.

– Co?!

– Nie chcę cię w to wplątywać, Indie, ale obawiam się, że jeśli tego komuś nie powiem, to pomyślą, że to ja tutaj oszalałam. – Jego głos drżał.

– Rich, co powiedzieli lekarze? – Serce biło mi jak oszalałe.

– Chcą powiadomić opiekę społeczną. Podejrzewają, że Lily przyczyniła się do tego, że mała przestała oddychać – zadusiła ją, na litość boską. Czy wiesz, że to nie był pierwszy raz, kiedy ona rzekomo przestała oddychać? Mówią, że dzwoniła na pogotowie pięć razy... – Westchnął. – Pięć razy, Indie. Gdy byłem w pracy. Kiedy byłem tego lata na Wschodnim Wybrzeżu. Nie miałem o tym pojęcia. O niczym mi nie wspomniała.

Poczułam, jak poci mi się czoło.

– Nie mogę tego udowodnić. Ktoś musiałby ją przyłapać na gorącym uczynku. Lekarze są jednak pewni. Mówią, że już się spotkali z czymś takim. To jakiś cholerny zespół czy coś takiego. Zespół Münchhausena albo jakoś tak. Czuję się jak w idiotycznym talk-show. Pokazywali mi jakieś profile, mieli książki na ten temat.

– Jesteś pewny, że się nie pomylili? – zapytałam.

Czułam się winna. Jakby to mnie złapano. Jakby tam było coś cennego, co należało chronić. Gdy straciłam pracę, oglądałam

bardzo dużo talk-show. Widziałam te niewyraźne czarno-białe filmy z kamer ochrony, na których kobiety były swoje dzieci, wstrzykiwały im trucizny do kroplówek. Widziałam też te kobiety wciśnięte w różowe swetry, z tuszem na rzęsach wilgotnym od łez, oburzone tym, że ktoś je o coś oskarża, że ktoś je obwinia. Te, których dzieci były naprawdę chore. Te, których dzieci czasem umierały.

Położyłam ręce na kolanach, chcąc zakryć nimi stare blizny.

– A co, jeśli ona naprawdę jest chora? Co się wtedy z nią stanie?

– Wszystkie te śmieszne testy dały negatywne rezultaty. Ona ma astmę. To wszystko.

Oparłam głowę na stole, delektując się chłodem blatu na policzku.

– Lily nie wie, że byłem w szpitalu. Indie, czuję, że tracę rozum.

– Co zamierzasz?

– Zamierzam odejść. Z Violet. Muszę to zrobić.

Usłyszałam głos Lily w słuchawce. Była z nim w pokoju. „Czy ma już wyniki kontroli domu?”. Poczułam, jak ślina staje mi w gardle.

– Powiedz jej, że nadal czekam. Powinny przyjść w ciągu kilku dni – powiedziałam.

– Będzie wiedziała w ciągu kilku dni – powtórzył Rich.

– Kiedy masz zamiar to zrobić?

– Niedługo – odparł po cichu, a potem dodał głośniejszym głosem: – Kolacja będzie wkrótce gotowa. Lepiej już pójdę. Przekażę mamie i Lily twoje pozdrowienia.

Gdy rozmowa dobiegła końca, zapatrzyłam się pustym wzrokiem przez okno. Zamknęłam oczy i spojrzałam przez inne okno, które na takie właśnie okazje zapisałam głęboko w pamięci. Tutaj krajobraz był zniekształcony przez plastikowe ściany namiotu tlenowego.

Zniekształcony przez słowa i gesty, przez ciała i niepewne głosy.

Ręce Lily wyglądające jak ręce matki, wykonujące określone ruchy na brzuchu Violet. Głos Lily przypominający głos matki, szepczący tajemnice do uszka Violet. Oddech Lily niczym oddech matki, przywracający Violet do życia za każdym razem.

1 czerwca 1964 roku. Los Angeles, Kalifornia. *Niebieski pokój.  
Ruch niemożliwych skrzydeł motyla. Nie było mnie jeszcze na*

*świecie, kiedy Benny przestał oddychać. Zaplątał się w kocu. Był cały siny. Mama powiedziała, że przywrócenie go do życia zajęło jej prawie dwadzieścia minut. Bez jej przeszkolenia z pierwszej pomocy z pewnością by umarł. Przekonywała, że własnym oddechem, cząstką swojego życia, przywróciła go do nas. W tej historii, jak w każdej innej, była prawdziwą bohaterką.*

\*



Wierzyłam, że piorun mnie wybrał, że wyszukał mnie spośród miliardów ludzi. Wierzyłam, że jego dotyk nie był przypadkowy, że była to część planu opracowanego przez niebo. Patrząc w ten sposób na tę sytuację, czułam się lepiej z tym, że matka zostawiła mnie samą na parkingu przed sklepem. Może ta świadomość wygładziła ostre krawędzie obrazu w mojej głowie, na którym ubrana w czerwoną sukienkę w grochy trzyma na rękach Lily. Piorun pomógł mi wyjaśnić coś, czego nie potrafiłam wtedy ubrać w słowa. Jednego jednak jestem pewna. Byłam w stanie wybaczyć niebu coś, czego nie umiałam wybaczyć własnej matce.

Czasami mam wrażenie, że to wydarzenie nie było wypadkiem. Jeśli moja matka zabrałaby mnie ze sobą do sklepu, a nie zostawiła na parkingu, to pewne rzeczy by do mnie nie dotarły. A jeśli byłoby już po porze monsunowej, a ja po prostu siedziałbym tam, czekając, aż wróci i przyniesie mi kolorowanek lub batonika, to możliwe, że jeszcze długo nie rozumiałabym zagrożeń, jakie czyhają na mnie w domu. Czasem myślę, że uderzenie pioruna było darem. Niewidzialne ręce światła przyniosły mi zimne ciepło zrozumienia. Co jakiś czas składam ofiarę niebu. Wyrażam wdzięczność, rozkładając ramiona w jego kierunku niezależnie od pogody – w deszczu, śniegu lub słońcu.

Mam dziewiętnaście lat, jestem daleko od domu. Lipiec w górach. W popołudniowej mgle hotel Birches wygląda jak wycięty z papieru. Wyobrażam sobie, że gdy zacznie padać, zamek, w którym mieści się hotel, rozpuści się i zamieni w jasne błękitne jezioro, jakby był z cukru lub piasku.

Pracownicy nie mogą wchodzić do zamku innym wejściem niż tym przeznaczonym dla obsługi. Nie mogą korzystać z basenu. A na pewno nie powinni chodzić w stronę „zakazanego” pola golfowego boso, w roboczych strojach pachnących krochmalem. Przechodzę przez parking, na którym ktoś rzeźbi łabędzia w olbrzymim bloku lodu. Przechodzę obok internatu dla dziewcząt, gdzie mieszkam z dwiema koleżankami w jednym pokoju, mniejszym od mojej sypialni w Mountain View; na korytarzu jest jeden telefon, który czasem przerywa połączenie, zanim skończy się rozmawiać.

Naprawdę jesteśmy tu same. Dookoła są jedynie góry i jeziora. Najbliższe miasto jest prawie piętnaście kilometrów stąd, a żadna z nas nie ma samochodu.

Czeszę włosy w koński ogon, który swobodnie opada mi na plecy. Jest luźny i ciepły na moich nagich ramionach. Ostrożnie idę po świeżo przystrzyżonym trawniku. Moje kroki są niepewne. Boję się, że ta zieleń może być zdradliwa. Mogę trafić na miękkie aksamitne podłoże lub też odłamki szmaragdu, które skaleczą moje delikatne stopy.

Ze względu na pogodę mężczyźni odziani w kraciaste spodnie i żółte koszule są teraz w klubie, gdzie piją alkohol i kłócą się ze swoimi plastikowymi żonami. Pole golfowe jest prawie puste. Wyjątek stanowią wozy, które przy tej gęstej mgle mogą jedynie służyć jako transport dla duchów. Podchodzę do jednego z nich i spoglądam w niebo. Staram się zwykłym zaklęciem wyczarować burzę.

Nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego tu przyjechałam. Na pewno nie chciałam wracać do domu po pierwszym roku studiów. Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Broszury pokazywały jedynie zdjęcia zamku i jezior położonych w górach. Całość wyglądała jak z bajki. Nie wspomniano ani słowem o tym, że ulokują nas w ciasnych pokojach albo że będą karmili resztkami jedzenia serwowanego gościom w jadalni.

Przechadzając się po zroszonej trawie, czułam, jak bardzo powietrze nasycone jest elektrycznością, i uświadomiłam sobie, że jestem naprawdę wolna. Mama próbowała mnie przekonać, żebym wróciła do domu. Bez ojca dokuczała jej samotność. Wyczuwałam ten kwaśny posmak jej próśb, więc trzymałam słuchawkę przy uszkodzonym uchu, przy którym jej głos był dla mnie jedynie stłumionym szumem, słabym i żalnym, jaki został wysłany do mojej słuchawki wiele lat temu.

Spaceruję przez nieprawdopodobnie zielone wzgórza, jak ze snów. Przez tę mgłę ledwie dostrzegam to, co się dzieje przede mną. Tym razem zbiera się na deszcz bardzo powoli, moje włosy i skóra coraz bardziej wilgotnieją. Czuję go na języku. Smakuje zielono. Pod

stopami i w gęstym powietrzu wyczuwam potężniejący grzmot,  
jednak nie czuję strachu. Zawarłam umowę z niebem. Porozumienie.  
Myślę, że to jest wolność, takie chodzenie boso po cudzym placu  
zabaw. Ufam niebu, bo nie jestem w stanie zaufać nikomu więcej.

\*

Następnego ranka obudziłam się z pełną świadomością tego, co mam zrobić. Poszłam do szopy ubrana jedynie w koszulę i parę butów, które znalazłam w garażu. Pewnie należały do taty, bo były za duże. Kocia mama leżała na plecach pokonana przez cztery wygłodniałe kocięta, które przyssały się do jej brzucha. Wyczuwając moją obecność, otworzyła oczy i uniosła głowę w moim kierunku.

– Przyniosłam ci coś do jedzenia – oznajmiłam.

Byłam w sklepie spożywczym, kupiłam kilka puszek tej samej karmy dla kotów, którą kupuję dla Jessiki, oraz plastikowe miski do wody i pokarmu.

Postawiłam je na ziemi tuż obok niej. Kotka starała się wyzwolić z uścisku małych. Kiedy wreszcie udało jej się wyswobodzić, kocięta wchodziły na siebie, walcząc o ponowny dostęp do sutków.

Wyczyściła obie miski prawie do czysta.

– Później dostaniesz więcej – odpowiedziałam na jej pytające spojrzenie. – Nakarm teraz swoje małe.

W schronisku, do którego zatelefonowałam, prosili, żeby przywieźć zwierzaki po południu. Zapewnili mnie, że będą w stanie znaleźć dom dla wszystkich i nie trzeba będzie ich rozdzielać, dopóki matka karmi młode. Pomyślałam, że wpadnę pożegnać się z Rosey, skoro i tak będę w okolicy, a potem zamówię taksówkę na dworzec autobusowy. W ciągu dnia odbywały się jedynie dwa kursy do Phoenix. Jeśli pojadę tym o piątej, zdążę jeszcze na nocny samolot.

Nie mogłam już wysiedzieć w tym domu w oczekiwaniu na wyniki testów. I tak wiedziałam, jakie będą. Nie wytrzymałabym kolejnej nocy na kanapie: co godzinę w pobliżu przejeżdżał pociąg, przez co trząsł się cały budynek. Nie zniósłabym kolejnego poranka w tej kuchni, makaronu z serem lub czegoś podobnego i ponownego oglądania naszych starych rzeczy. Tęskniłam za kawiarnią i domem. Brakowało mi Petera.

Wiedział, że ma nie pytać o mamę, kiedy oznajmiłam mu przez telefon, że wracam. Pewnie odgadł odpowiedź po tonie mojego głosu. Rozmawiałam z nim, wpatrując się przez kuchenne okno w zwiędłe słoneczniki. Powiedział jedynie:

– Dobrze. Joe da sobie radę. Będę na lotnisku o szóstej. –

A potem, gdy poczułam, jak ślina staje mi w gardle i prawie zaczynam się dusić, dodał: – Kocham cię, wiesz?

Uśmiech rozkwitł na mojej twarzy, kiedy pakowałam swoje rzeczy. Zebrałam brudne skarpetki i T-shirty i wrzuciłam wszystko do pralki, która stała w garażu. Nie ma nic gorszego niż powrót do domu z walizką pełną brudnej bielizny. Wypiłam do końca sok pomarańczowy i mleko i wyjęłam z lodówki wszystko, co wkrótce mogło się popsuć. Postanowiłam zostawić meble w pokojach. To już będzie problem mamy, gdy wróci do domu.

Nie chciałam tracić ani odrobiny energii na ponowne przemeblowanie. Zostawiłam też rozsypane na stole strzykawki, tak aby mama na pewno się na nie natknęła, gdy wróci. Otwarte wieczko było niczym otwarte drzwi szafy ujawniające wszystkie sekrety. Nie obchodziła mnie już jej reakcja.

Kiedy pranie się skończyło, wyszłam na zewnątrz, żeby zebrać kociaki. Większość z nich spała, a kocia mama lizała swoje futerko. Postawiłam duży karton wyłożony starym kocem i oparłam dłonie na biodrach.

– Wiem, że to ci się nie spodoba, ale nie mam wyboru.

Schyliłam się. Podnosiłam zaspane kocięta za kark i delikatnie przenosiłam je do pudełka. Ich matka przerwała zabiegi higieniczne i spojrzała na mnie.

– Spokojnie – powiedziałam. – Ciebie też zabieram.

Wyczułam lekki opór, gdy ją podnosiłam. Czułam ostre krawędzie jej żeber, kiedy przekładałam ją do kartonu. Przeszła się po nim kilka razy, aż w końcu ułożyła się spokojnie. Wystawiła brzuszek gotowa karmić młode, gdy się obudzą.

Ostrożnie wyniosłam pudło z szopy, nie chcąc zbyt zakłócić kociętom snu. Kiedy zamykałam za sobą drzwi, usłyszałam telefon.

– Cholera.

Odstawiłam pudło z kotami na ziemię i pobiegłam do domu. Mama nigdy nie miała automatycznej sekretarki, a ja pomyślałam, że to może Peter dzwoni w sprawie lotu.

– Halo? – zapytałam zdyszana.

– Indie, tu Rich.

- Hej.
- Indie, nie wiem, jak ci to powiedzieć. – Cisza. – Cholera...
- Boże – wydusiłam z siebie. – Czy z Violet wszystko w porządku? Słyszałam swój oddech. Serce waliło mi głośno, czułam je w skroniach, szyi i klatce piersiowej.
- Rich, co się dzieje?
- To twoja mama. Coś strasznego. Boże, nie wiem, jak to powiedzieć.
- Mama? – powtórzyłam. – Co się stało z mamą?
- To się stało dziś rano, kiedy pojechała do Safeway po jakieś leki dla Violet. Wzięła mój samochód. Pewnie nie patrzyła na drogę. Przejechała na czerwonym świetle.
- Nic z tego nie rozumiem – odparłam, schylając się. Miałam wrażenie, że zaraz zwymiotuję.
- Niczego nie poczuła. Ten drugi samochód to był jeden z tych nowych SUV-ów. Uderzenie... – Głos Richa oddalał się ode mnie. – Wszystko w porządku? Proszę, powiedz coś.
- Ona właśnie wyszła ze szpitala. Na pewno nic jej nie jest.
- Indie, to był wypadek. – Głos Richa był daleko. Był jak śnieg spadający po cichu z nieba. Delikatny jak skrzydła ptaka. – Przejechała na czerwonym świetle.

10 listopada 1999 roku. Phoenix, Arizona. *Moja matka wyjeżdża z parkingu sklepu Safeway i włącza się do ruchu. Jest środa, każdy gdzieś pędzi. Na zewnątrz jest gorąco, a ona ma klimatyzację ustawioną tak mocno, że na jej ramionach pojawia się gęsia skórka. Pewnie słucha radia. Stuka palcami o kierownicę w rytm muzyki lub po prostu ze znużenia. Na siedzeniu pasażera spoczywa lek dla Violet. Samochód stoi w korku, tylko kilka przecznic od domu Richa i Lily. Matka spogląda w lusterko, żeby sprawdzić fryzurę. Jeden siwy włos nie chce się podporządkować. Próbuje wyrównać go ręką. Dotyka jasnoróżowych ust. Otwiera je delikatnie. Widzi szminkę na zębach, gdy światło zmienia się na zielone. Jedzie więc dalej pośród reszty samochodów uczestniczących w tej codziennej porannej paradzie. Kombi przed nią jest pełne dzieci, dwoje z nich patrzy na nią i robi głupie miny. Chłopiec pokazuje jej środkowy palec. Bachory. Światło*

zmienia się na czerwone i kombi nagle się zatrzymuje. Matka naciska szybko na pedał hamulca. Samochód pochyla się do przodu, a leki spadają na podłogę. Zirytowana odpowiada na zaczepkę chłopca z kombi. Światło ponownie zmienia się na zielone, a ona znów jest w ruchu, lecz coraz bardziej się niecierpliwi. Pochyla się, żeby podnieść pudełko z lekami. Jest ciężkie. Chwilę to trwa. Gdy spogląda na drogę, dostrzega, że kombi jest daleko przed nią, ale dziecko wciąż przykłada środkowy palec do szyby w obscenicznym geście. Moja matka czuje, jak wzbiera w niej złość, kiedy dociska pedał gazu. Zanim udaje jej się rozszyfrować znaczenie żółtego światła zmieniającego się na czerwone, jest już za późno. Zanim przypomni sobie znaczenie tego koloru, słyszy jedynie dźwięk zderzenia, trzask metalu. Kombi w tym czasie skręca w prawo. Zanim cokolwiek do niej dociera, widzi jedynie błękitny kolor własnych kościstych dłoni i metalu, który przebija się przez drzwi. Za chwilę jest już po wszystkim. Tak po prostu.

## Trzy

Tej nocy zaczął padać śnieg. Temperatura spadła do minus sześciu stopni, a góry spowiły się czarnym płaszczem chmur. Stałam na zewnątrz, próbując dojść do siebie po telefonie Richa. Obserwowałam, jak obłoki otaczają szczyty, zamykając je w ciasnym uścisku. Niebo zyskało niesamowite odcienie fioletu, zanim zrobiło się kompletnie ciemne. Palce zdrętwiały mi z zimna. Zgasiałam wszystkie światła w domu. Nastąpiła absolutna ciemność. Gwiazdy otuliły się gęstymi chmurami, księżyc tworzył jedynie plamę jaśniejącą na tle szarego nieba. Było tak ciemno, że równie dobrze mogłabym stać z zamkniętymi oczami i być teraz pogrążona w głębokim śnie, zamiast tkwić w ogrodzie mamy.

Peter był już w drodze. Będzie leciał samolotem, pierwszy raz od lat, tylko po to, żeby znaleźć się przy mnie już nad ranem. Oto on, spieszący w środku nocy na lotnisko. Kupuje bilet i gazetę, której i tak nie będzie w stanie przeczytać. Siedzi w barze niedaleko swojej bramki, szukając w kieszeniach jakiegoś banknotu, żeby móc zapłacić za piwo. Uśmiecha się do zmęczonej kelnerki. Lotniska o północy są najsmutniejszymi miejscami na świecie.

Ciało mamy przewieziono do krematorium. Nie potrafiłam sobie wyobrazić tego miejsca. Próbowałam zobrazować, jak może wyglądać taki budynek, ale jedyne, co przychodziło mi na myśl, to coś na kształt centrum handlowego w Phoenix. A w środku Target, Bank of America, Safeway i krematorium. Wyobrażałam sobie rozświetlone neonami sklepowe alejki i kasjerów w firmowych fartuszkach. Automaty, jak te z gumą balonową, z których wypadają prochy, gdy tylko wrzuciło się monetę i wcisnęło przycisk. Były też zmywalne tatuaże i plastikowe zabawki.

Tej nocy zaczął padać śnieg. Przez rok można zapomnieć, jak mroźne potrafią być tutejsze zimy. Taki rodzaj sezonowej amnezji był jedynym sposobem na przetrwanie w niezwykle trudnym klimacie. Prawie nie sposób pamiętać, jak srogie są tutejsze zimy,



kiedy świeci słońce, a niebo jest błękitne. Zapaliłam światło na ganku, żeby oświetlić sobie drogę do szopy, w której zostawiłam kocięta w momencie, gdy zadzwonił telefon. Maluchy płakały i próbowały się nawzajem ogrzać. Wzięłam pudełko i zaniiosłam je do domu. Postawiłam karton obok kanapy. Poszukałam jeszcze jednego koca dla kociej mamy, która nawet nie spojrzała w moją stronę. Położyłam się na brzuchu na kanapie, opierając głowę na jednej z maminych poduszek, i patrzyłam na wiercące się kocięta.

Peter powiedział, że Chuck Moony zaopiekuje się Jessiką i domem. Razem z Leigh będą mieli oko na wszystko pod jego nieobecność. Joe może zająć się kawiarnią i wszystko będzie w porządku. Jednak wiedziałam, że myśli tylko o locie samolotem. Nie wspominał o tym, co może pójść nie tak. Łatwiej przypomnieć sobie, jak kiedyś prawie spadło się z nieba, niż pamiętać o mroźnych zimach. To jest ten rodzaj wspomnienia, który powoduje, że uginają ci się kolana i dostajesz dreszczy. Na myśl o katastrofie lotniczej czuje się namacalny strach. Jest to dużo łatwiejsze do wyobrażenia niż chłód i drętwienie z zimna.

Mama miała zostać skremowana w jednej z sukienek Lily. Nie zabrała ze sobą żadnej sukni, jadąc do Phoenix, a przynajmniej żadnej stosownej do okazji. Wydawało mi się to niemal śmieszne, że będzie skremowana w ubraniach innej osoby. Sama zawsze zamawiała ubrania z katalogów, ponieważ nie mogła znieść myśli, że ktoś obcy mógł przed nią włożyć ubranie ze sklepowego wieszaka.

Kotka myła swoje małe, liżąc je jedno po drugim tak długo, aż futerka zaczęły lśnić czystością. Każdemu poświęcała tyle samo czasu. Na zewnątrz padał śnieg. Płatki śniegu były tak wielkie, że równie dobrze mogłyby to być płatki kwiatów. Wyciągnęłam dłoń, aby pogłaskać kotkę. Spojrzała na mnie z irytacją, więc szybko cofnęłam rękę.

Peter na pewno zacisnął powieki, gdy samolot ruszył, kołując w kierunku pasa startowego. Zapewne głowę wciskał w zagłówek, a dłonie miał przyklejone do swoich ud. Kiedy rozległ się ryk silnika i samolot przyspieszył, Peter ścisnął pas bezpieczeństwa tak mocno,

że ten wpił mu się aż w żołądek. Dzięki temu mógł się skupić na bólu zamiast na myśli o tym, że mogą w każdej chwili spaść.

Kiedy spytałam, jak się miewa Lily, Rich odpowiedział:

– Niezbyt dobrze. Prawdę mówiąc, jest dosyć kiepsko.

Na zewnątrz spadają zimne białe płatki. Nie topią się, gdy dotykają ziemi, bo nie jest już ciepła. Jest zmrożona i twarda. Dołek, który wykopałam, żeby pochować martwe kociątko, był bardzo płytki. Nie potrafiłam wkopać się wystarczająco głęboko, żeby zrobić odpowiedni grób. Próbowałam dać kotce coś do jedzenia i picia, ale była zbyt słaba, żeby wyczołgać się z pudełka.

– Proszę – zajęczałam błagalnie. – Musisz coś zjeść.

Leżała bez ruchu, podczas gdy kocięta ssały i ssały jej zacerwienione sutki.

Kiedy koła się podniosły i samolot uniósł się nad ziemią, Peterowi ścisnęło się serce. Sprawiał wrażenie, jakby przygotowywał się na ewentualne spadanie. Nie potrafił nawet uśmiechnąć się do stewardesy, która, ubrana w granatowy uniform, przyglądała się bacznie nocnym podróżnym. I tak by nie zauważyła. Strach był dla niej tylko wyrazem twarzy, który zawsze widziała na przynajmniej co trzecim lub co czwartym pasażerze.

Zastanawiałam się nad kośćmi. Co się z nimi dzieje po zetknięciu z ogniem. Czy się palą? Czy rozpadają? Czy może zachowują się po tym, jak spłonie ciało? Takie wspomnienie człowieka, ludzki cień złożony z kości do ostatniej chwili.

W pokoju było ciepło. Wentylacja pompowała gorące powietrze, ale w niektórych miejscach czuć było zimny powiew. Trzeba było pamiętać, żeby je omijać. Idąc boso po herbatę, przypadkiem natrafiłam na taki zimny prąd. Stałam przez chwilę i miałam wrażenie, że nie czuję palców u stóp ani rąk. Z drugiego pokoju dobiegał mnie dźwięk jedzących kotków.

Peter pewnie udawał, że śpi. Mógł opuścić plastikową zasłonę i oprzeć się o iluminator, ale każda najmniejsza turbulencja powodowała, że otwierał szeroko oczy. Każde kasznięcie i każdy śmiech, pobrzękiwanie lodu w czyimś plastikowym kubeczku sprawiały, że namacalnie czuł i pamiętał, gdzie się w tej chwili

znajduje. Nawet gdy samolot wyląduje, Peter przez jakiś czas nie będzie ufał ziemi pod swoimi stopami.

Myślałam o kościach. Rozmyślanie o śmierci mamy przywoływało zarys pożyczonej fioletowej sukni i rozpadające się kości. Znikające jak płatki śniegu.

Wróciłam do salonu i odciągnęłam kocięta od ich matki. Przywodziło to na myśl rozpinanie sukienki. Wzięłam kotkę na kolana i próbowałam palcami otworzyć jej oczy.

– Co z tobą? Też chcesz umrzeć? – Zaczęłam kołysać ją w ramionach. Moje wilgotne od łez włosy przylepiały się do ust. – Wybacz. Proszę, daj mi się nakarmić.

Na zewnątrz spadający śnieg pokrył wszystko bielą.

Poczułam nagły ścisk w sercu, gdy usłyszałam zamykające się drzwi taksówki i zobaczyłam Petera na podjeździe przed domem. To było jak ujście ducha ubranego w dżinsy i buty robocze. Zarys jego sylwetki rozpoznałabym wszędzie. Wypadłam z domu, nie przejmując się tym, że nie włożyłam kurtki. Biegłam w dół podjazdu, a moje kroki dudniły o zmarzniętą ziemię. Po chwili byłam już w jego ciepłych objęciach. Zastygliśmy w bezruchu na dłużej i wpatrywaliśmy się w dom mamy.

– Złapiesz zapalenie płuc. Chodźmy do środka.

Skinęłam głową i ruszyliśmy w stronę domu. Jego kurtka pachniała znajomym zapachem lasu rozpościerającego się wokół naszego domu. Oparłam się o niego, a on objął mnie ramieniem. Wdychałam zapach Petera. Otworzył drzwi i weszliśmy do kuchni.

– Zimno – stwierdził z westchnieniem. – Jak to mówi Chuck? Zimno jak w psiarni?

– Nie, tak się mówi poprawnie, a on mówi: „Zimno jak w piekarni”.

– Na szczęście tu jest ciepło i przytulnie – powiedział Peter, zdejmując kurtkę.

Rzucił ją na oparcie krzesła i usiadł.

Pierwszej zimy, jaką spędzaliśmy w naszej chacie, nie wiedzieliśmy nic o ogrzewaniu. Nasze poprzednie mieszkania z czasów, gdy dopiero się poznaliśmy, były wyposażone w grzejniki,

często syczące i brzęczące. Pierwszego dnia po przeprowadzce obudziłam się w środku nocy i zauważyłam, jak na brodzie Petera tworzą się kryształki lodu. Szybko nauczyliśmy się, jak nie dopuścić do zgaśnięcia ognia. Piec należy traktować jak niemowlę wymagające co chwila karmienia, także w środku nocy. Wtedy właśnie doceniliśmy, jakim błogosławieństwem są pierzyna i bielizna termalna.

– Napijesz się kawy? – spytałam. – Mama nie ma ekspresu, ale kupiłam rozpuszczalną.

Na wspomnienie o mamie Peter spojrzał na mnie zamglonym wzrokiem.

– Tak, poproszę.

Włączyłam kuchenkę i przyglądałam się, jak palnik pod czajnikiem rozgrzewa się do czerwoności. Skupiłam się na słoiku z kawą rozpuszczalną. Nalepka odklejała się od szkła. W środku migotały małe kryształki.

– Dom wygląda inaczej, niż zapamiętałem – powiedział Peter.

– Połowa mebli stała na zewnątrz w ogrodzie i na ganku.

Wniosłam je z powrotem do środka.

– Dlaczego meble stały na zewnątrz?

Wzruszyłam ramionami. Zdjęłam czajnik z kuchenki, zanim zdążył zagwizdać. Wlałam wodę do kubków i mieszałam tak długo, aż granulki kawy zamieniły się w brązowy błotnisty płyn.

Uprzytomniłam sobie, że nie ma mleka. Skończyło się, kiedy szykowałam się do wyjazdu do domu. Zanim zadzwonił Rich.

– Nie ma mleka – oznajmiłam, a ręce zaczęły mi się trząść.

Odwróciłam się i spojrzałam na Petera. Czułam się kompletnie bezradna. Skruszona. Jego policzki, wciąż zaróżowione od mrozu, były upstrzone sztywnymi czarnymi włoskami – taki cień zarostu. Ciemne włosy miał zmierzwione.

– Żaden problem. Naprawdę.

Sięgnął po kubek z kawą.

Już cała drżałam.

– Nie przywykłam do tego.

– Wiem.

Skinął głową, wziął ode mnie kubek, postawił go na stole i sięgnął po moją dłoń. Przyciągnął mnie do siebie i posadził na kolanach.

– Nie jestem smutna – ciągnęłam, a moja klatka piersiowa falowała z emocji. – Dlaczego nie jestem smutna?

Nie odpowiedział, tylko przyciągnął mnie bliżej do siebie. Opuszkami palców dotknął moich powiek i przyłożył głowę, zdrowym uchem, do swojego miękkiego swetra. Na kilka chwil podarował mi kompletną ciszę i ciemność. Tylko ulotny zapach sosny przypominał, że jeszcze żyję.

Pojechaliśmy do miasta na pizzę, ponieważ w domu nie zostało nic do jedzenia. Miło było wrócić na fotel pasażera. Nie musiałam już martwić się o to, że mogę wpaść w poślizg albo że zaraz na drogę wyskoczy mi łoś. Noc była jasna. Chmury się rozstały, a niebo było usłane gwiazdami, zawieszonymi na firmamencie niczym migoczące marionetki.

Zdecydowaliśmy się pójść do restauracji U Anthony'ego, lokalu położonego po północnej stronie torów. Tego z drewnianymi ławkami pokrytymi graffiti i tapetą, która imitowała półki z książkami. W tyle ustawione były stoły bilardowe, a do pizzy podawali miseczki z różnymi sosami. W liceum przychodziłam tutaj z koleżankami na piwo. U Anthony'ego pracował wtedy chłopak, który do kubków od coli nalewał nam budweisera. Upijałyśmy się w drugiej sali i grałyśmy na automatach żetonami, które dostawałyśmy dyskretnie razem z resztą.

Peter zaparkował samochód niedaleko stacji kolejowej i pomógł mi ciasniej otulić się szalikiem. Czułam się teraz jak mumia.

– Powtarzam ci: rozchorujesz się, jeśli nie będziesz się cieplej ubierać – stwierdził.

Nie mogłam oddychać. Ściągnęłam szalik z ust.

– A ty co? – Wskazałam na jego odkrytą szyję i gołe dłonie.

– Mam naturalny szalik – wyjaśnił, drapiąc się po zaroście na szyi i brodzie.

– Znowu zapuszczasz brodę na zimę?

– To zależy – stwierdził. – A zamierzasz jeszcze się ze mną

całować?

– Tak sędzę – odpowiedziałam.

Tak naprawdę lubiłam, kiedy Peter miał długą brodę. Nie drapała tak bardzo, jakby się mogło wydawać.

– A może teraz? – spytał, nachylając się do mnie.

Pocałowałam go i od razu poczułam, jak robi mi się ciepło i miękną mi nogi. Peter wciąż potrafił sprawić, że czułam się tak jak wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Większość osób by w to nie uwierzyła. Czternaście lat wspólnego życia to już szmat czasu. Zdarzały się oczywiście chwile znudzenia i irytacji drugą osobą. Związek, który płonął niegdyś jak pochodnia, teraz przypominał bardziej świeczkę, ale ogień wciąż się tlił.

Otwierając drzwi pizzerii, poczuliśmy podmuch gorącego powietrza. Muzyka dobiegająca z szafy grającej była głośna, a podłoga drżała w jej rytmie. W środku było pełno ludzi. W ławach siedziały grupki licealistów. Małe dzieci pełzały po dużych drewnianym stołach, sięgając po kolejny kawałek pizzy.

– To co zwykle? – zapytał.

– Co zwykle... – przytaknęłam rozkojarzona.

Byłam pochłonięta widokiem pary w rogu sali. Dziewczyna mogła mieć najwyżej piętnaście, szesnaście lat. Chłopak wyglądał na dużo starszego. Siedzieli obok siebie na jednej ławie. Ona po cichu popłakiwała, on patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem z ramieniem wyciągniętym na oparciu. Twarz dziewczyny była napuchnięta, po policzkach ciekły jej łzy. Powinna być teraz w domu, w swoim pokoju, a nie w knajpie pełnej ludzi. Bawiła się różowymi rękawiczkami i płakała. Przed nimi na stoliku stał talerz z dwoma kawałkami pizzy. Chłopak wyciągnął dłoń po chusteczkę. Podał ją bez słowa swojej towarzyszce i wciąż patrzył w przestrzeń, gdy wydmuchiwała nos. W końcu wstał od stolika i ruszył w kierunku drzwi. Ona też się podniosła i podążyła za nim. Odwrócił się twarzą do niej i pokręcił głową. Widziałam, jak zadrżała, po czym usiadła z powrotem przy stoliku. Chłopak szybkim krokiem wyminął mnie i Petera. Miał spuszczone głowę i ręce wciśnięte w kieszenie. Dziewczyna spoglądała za nim

bezradnie, ocierając oczy śnieżnobiałą serwetką. Cała ta scena spowodowała, że ścisnęło mi się serce.

Przynieśliśmy do sali bilardowej dzbanek piwa i kubki z grubego plastiku. Usiedliśmy przy stoliku z kanapami. Peter nalał nam po piwie, przechylając przy tym kubki w taki sposób, żeby nie powstało za dużo piany.

– Dzięki – powiedziałam i pociągnęłam łyk.

Skinął głową i sięgnął przez stół po moją dłoń.

– Masz dolara?

– Jasne. – Sięgnęłam do kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy. – Znalazłam ostatnio całą górę monet i drobnych banknotów ukrytych w misce w kuchni mamy.

– Zaraz wracam. Wybiorę jakąś piosenkę.

Skierował się w stronę świecącej szafy grającej, która stała w drugiej sali. Bez muzyki było tutaj zbyt cicho.

Poza nami siedziało tu tylko kilku motocyklistów. Zaparkowali pod oknem w taki sposób, żeby cały czas mieć oko na swoje maszyny. Pomieszczenie przesycone było zapachem papierosów goździkowych, które palił jeden z nich, oraz zupy minestrone, jaką Joe gotował w naszej knajpce. Mężczyźni rozmawiali po cichu, nachylając się ku sobie nad stołem. Jeden z motocyklistów głaskał swoją długą siwą brodę. Prawdopodobnie byli w drodze do Kalifornii lub Wielkiego Kanionu. Wiele osób przejeżdżało przez Mountain View. Jednak niewiele z nich pozostawało na dłużej. Peter wyłonił się za kelnerką, która przyniosła nam pizzę.

– Mielona wołowina, cebula i dodatkowy ser? – spytała.

– Tak. Dziękujemy – odpowiedział.

Odwróciła się i postawiła pizzę na stole.

Mrugnął do niej, a ona się zarumieniła.

– Za chwilę przyniosę resztę zamówienia – dodała z uśmiechem.

– Słynna cheeseburgerowa pizza à la Indie – oznajmił Peter, patrząc na pizzę.

– Dawno jej nie jadłam – ucieszyłam się. – Szkoda, że nie podają takich w Lotusie.

Lotus Pizza jest lokalną pizzerią u nas, w Echo Hollow. To

modny bar studencki. Można tam zamówić pizzę zarówno na pszennym, jak i pełnoziarnistym cieście, do tego pesto, karczochy czy kozi ser i inne takie. Zdecydowanie jednak wolę klasyczną, tłustą, niezdrową pizzę U Anthony'ego. Peter wybrał sentymentalne i nostalgiczne (przynajmniej dla nas) utwory; płyty z tymi piosenkami znajdują się w każdej szafie grającej we wszystkich pizzeriach i barach naszego kraju. Wybór tkliwej muzyki powiększył się przez lata, ale jest coś pocieszającego w tym, że za cenę jednego dolara można przenieść się w czasie do innej rzeczywistości.

Jadłam i jadłam, aż rozbolał mnie brzuch. Zamówiliśmy kolejny dzbanek piwa i właśnie śmialiśmy się z czegoś, co powiedział kiedyś Chuck Moony, gdy jeden z motocyklistów podszedł do nas i spytał, czy chcielibyśmy zagrać z nimi w bilard.

– Jak myślisz? – zapytał Peter, ściskając moje kolano pod stołem.

– Czemu nie? – Uśmiechnęłam się.

Dawno nie jadłam cheeseburgerowej pizzy, ale jeszcze dłużej nie grałam w bilard.

– Ustaw bile.

Odwzajemnił uśmiech. Głos miał szeleszczący niczym zgniatana papierowa torba.

Ustawiłam bile, a Peter wybrał sobie kij.

Gdy nadeszła moja kolej, gość, który palił goździkowe papierosy, spytał:

– Ale nie jesteś żadnym naciągaczem, co?

Jakby to było możliwe. Kokieteryjnie wzruszyłam ramionami i rozpoczęłam partię. Moje ręce i oczy nie zapomniały, jak się gra. Kiedyś, w czasach, gdy pracowałam w redakcji, spotykaliśmy się z Peterem i Joem dwa razy w tygodniu w Finnegan's Wake na bilard. Wbiłam cztery bile. Wyższy z motocyklistów chrząknął. Wygraliśmy pierwszą rundę, a drugą przegraliśmy. Postawili nam kolejny dzbanek piwa, a ja powoli zaczynałam odczuwać działanie alkoholu. Ręka Petera przyjemnie gładziła mnie po plecach. Dwóch motocyklistów zmieniło się w potulne misie. Wydaje mi się, że to było to, co tata kochał najbardziej w swoim barze. Gdzie jeszcze można spotkać taką parę jak ja i Peter bawiących się z dwoma



harleyowcami, których całe życie mieści się w tylnej skrytce motorów?

Podeszła do nas kelnerka i poinformowała, że już zamykają. Poczułam lekki niepokój.

– Nie chcę tam wracać – powiedziałam do Petera, wkładając kurtkę.

– Możemy wynająć pokój po drugiej stronie ulicy – zaproponował.

– W Montenegro?

Montenegro to najstarszy hotel w Mountain View. Nigdy tam nie nocowałam, ale kiedyś wkradłam się na górę, żeby skorzystać z łazienki, kiedy kolejka w barze hotelowym była za długa. Recepcję wyłożono czerwonym welurem. Z sufitu zwisały ogromne żyrandole. Tapeta na klatce schodowej i szezlongi były wyblakłe. Na drzwiach pokoi powieszono miedziane tabliczki z wygrawerowanymi nazwiskami znanych ludzi, którzy kiedyś tu nocowali. „BING CROSBY”. „FRANK SINATRA”. „AUDREY HEPBURN”. Nam przydzielono apartament „BETTY GRABLE”. Chciałam pokój Franka Sinatry, ale był zajęty. Nie mogłam sobie przypomnieć, jak wyglądała Betty Grable.

Peter prowadził mnie za rękę po krętych schodach do naszego pokoju. Choć nie mieliśmy żadnych bagaży, to i tak wręczył napiwek boyowi hotelowemu.

Pokój był mały, ale przytulny. Z marmurowym kominkiem i dużym dębowym łóżkiem, rzeźbionym i bardzo wysokim. Wspięłam się po wbudowanych stopniach i położyłam. Patrzyłam w sufit. Peter rozsunął welurowe zasłony, żeby spojrzeć na ulicę. Potem poszedł do łazienki i zapalił światło.

– Dużo zapłaciłeś za ten pokój?

– Jest wart swojej ceny. Lepiej chodź zobaczyć wannę.

Podniosłam się i zajrzałam do łazienki. Na środku pomieszczenia stała wanna z nóżkami w kształcie łap zwierzęcia, zdobionymi i złożonymi. Krany były kiczowate, a rama lustra wyglądała tak, jakby pochodziła z Wersalu. Patrzyłam na swoje odbicie, po cichu spodziewając się, że z lustra spojrzy na mnie sama Betty Grable.

– Chcesz wziąć wspólną kąpiel? – zapytał Peter, wchodząc do pustej wanny.

Brzeg sięgał mu do kolan.

Przytaknęłam. Nie myłam się od kilku dni. Ciśnienie wody w domu było tak słabe, że po prysznicu miałam wrażenie, iż wciąż mam na sobie warstwę mydła. Czułam teraz, jak sztywne zrobiły mi się włosy. Wymagały porządnego umycia. Rozbierałam się, podczas gdy Peter napuszczał wodę do wanny i rozpalał ogień w kominku. Patrzyłam na zdjęcie Betty Grable, które wisiało nad łóżkiem. Miała figurę klepsydry. Dotknęłam swojego brzucha i zauważyłam, że skóra na nim nie była już taka gładka jak kiedyś. Przy Peterze dopisywał mi apetyt. Gdy byłam sama, jadałam nieregularnie. Potrafiłam zjeść naraz całą porcję makaronu z serem albo w ogóle niczego nie tknąć przez dłuższy czas.

– Kąpiel gotowa – obwieścił.

Napełnienie wanny zajęło mu prawie dwadzieścia minut. Siedział już w środku, zanurzony po szyję w gorącej wodzie. Odślonił okno na tyle, abyśmy mogli oglądać ulicę.

W wannie przesunęłam palcami po dobrze mi znanych bliznach na nogach Petera. Usiadłam, opierając się plecami o jego klatkę piersiową, a on oplótł mnie swoimi rękami i nogami. Opływała mnie gorąca woda. Pozwoliłam, by duch Betty Grable, kimkolwiek była, objął mnie i sprawił, żebym zapomniała na jakiś czas o powrocie do domu.

– Moglibyśmy tu zostać do końca tygodnia – wyszeptał Peter, kiedy leżeliśmy już w łóżku.

On też nie chciał wracać do tego domu i z jakiegoś powodu bardzo mnie to zdenerwowało. Zamiast mu odpowiedzieć, udałam, że już śpię.

\*

Zdjęcie mojej siostry było w gazecie. Mama kupiła ich aż dziesięć podczas ostatniej wizyty w Foodmarcie. Wycięty artykuł powiesiła na lodówce. Na zdjęciu uśmiechnięta Lily, ubrana w kostium w kolorach flagi i w białych kozakach na nogach, stoi w marszowej pozycji. Stoi na jednej nodze z drugą wystawioną przed siebie. Nad głową trzyma batutę. Mama zrobiła to zdjęcie, zanim moja siostra się rozchorowała. Przez cały pierwszy dzień wakacji matka siedziała przy kuchennym stole z dużą elektryczną maszyną do pisania należącą do taty. Benny'emu i mnie nie wolno było w tym czasie wejść do kuchni nawet po to, by wziąć sobie coś do jedzenia lub picia. Mama chciała dostarczyć artykuł do gazety, zanim Lily wyjdzie ze szpitala. Oznaczało to, że musi się wyrobić przed zamknięciem biura, czyli przed piątą.

W moim pokoju słychać było uderzenia w klawisze i głos taty, który powtarzał: „Judy, nie musisz aż tak walić w klawisze. To maszyna elektryczna”.

Stałam w progu i obserwowałam jej zaciętą minę. Zgarbiona, w takiej samej pozycji, jaką przyjmowała podczas szycia, siedziała cały dzień, wyrzucając do kosza pod zlewem kolejne wersje tekstu. Kiedy wreszcie skończyła, okazało się, że zużyła całą ryzę papieru. W końcu walenie ustało, a po chwili trzymała w rękach gotowy artykuł i czytała go na głos tacie.

15 lipca 1978 roku. Lily Brown, ciężko chora. Mountain View, Arizona. *Lily Brown, uczennica miejscowej szkoły podstawowej i uczestniczka nadchodzącego konkursu na Miss Kwiatu Pustyni, trafiła niedawno do szpitala. Choć nie postawiono jeszcze diagnozy, cała rodzina Brownów ma nadzieję na szybką poprawę jej stanu zdrowia i na to, że będzie mogła wystartować w przyszłym tygodniu w konkursie w Phoenix. Lekarze również są dobrej myśli. Chociaż jest to pierwszy konkurs piękności, w którym Lily Brown będzie brała udział, nie jest w ogóle zdenerwowana. Leżąc w szpitalnym łóżku, powiedziała nam: „Ja po prostu chcę poznać inne dziewczyny i dobrze się bawić. Nie ma znaczenia, czy wygram, czy nie”. Lily pozostaje w dobrym humorze mimo choroby. „Lekarze i pielęgniarki są dla mnie bardzo mili”. Rodzina prosi, aby podarunki lub kartki z życzeniami*

wysłać do szpitala na nazwisko pani Judy Brown, matki Lily.

Lily zdążyła wrócić do domu jeszcze przed ukazaniem się artykułu. Mama powiedziała, że coś jest nie tak z jej brzuchem i że będzie brać leki przez dłuższy czas, ale i tak pojedą na konkurs w przyszłym tygodniu. Mama była pielęgniarką, co oznaczało, że moja siostra będzie pod dobrą opieką.

Nie miałam w tym roku przyjęcia urodzinowego. Mama mówiła, że opieka nad Lily i wychowywanie Benny'ego to wystarczające powody do stresu. Nie była jej do tego jeszcze potrzebna jakaś chmara szóstkłasierek. Przypomniałam jej, że teoretycznie jestem już w siódmej klasie. Mama stwierdziła, że nawet gdybym była maturzystką, to wystarczy mi spotkanie w gronie rodziny.

– Chcesz, żeby twoja siostra wyzdrowiała, prawda? – zapytała. – Nie zachowujesz się trochę samolubnie?

Poddałam się. Tata obiecał, że zabierze mnie i Benny'ego na pizzę.

Mama kupiła mi tort w Foodmarcie. Był biały z niebieskimi kwiatkami. Wolałabym czekoladowy, ale mama powiedziała, że czekoladowe się skończyły, dlatego biały musi mi wystarczyć. Siedziałam przy stole kuchennym, a przede mną stał tort z zapalonymi dwunastoma świeczkami. Miałam tylko jedno marzenie – dwuczęściowy kij bilardowy firmy Spalding, który widziałam w katalogu. Od miesiąca robiłam im aluzje. Raz nawet zostawiłam na stole otwarty katalog, mając nadzieję, że ktoś zauważy, że zakreśliłam kij na czerwono. Tata nawet wspominał coś ostatnio, kiedy graliśmy z Ikiem, że gdybym miała dobry kij, to grałabym jak zawodowiec. Mówiąc to, puścił do mnie oko. Lecz kiedy mama przyniosła prezenty do kuchni, były to tylko trzy małe pakunki. Żaden z nich nie odpowiadał wymiarom katalogowym. Najpierw otworzyłam prezent od Benny'ego, zapakowany w bibułę i przepasany świąteczną wstążką. Był to ręcznie robiony wisiołek wykonany z dwóch skrzyżowanych ze sobą patyczków i wielokolorowej włóczki.

– Zrobiłem go w szkole. – Uśmiechnął się. – To wisiołek. Pokażę ci, jak go nosić. – Wyrwał mi go z rąk i pomógł założyć.

Wisiołek zawisł mi na piersi, a kora patyczków drapała skórę.  
– Jest piękny, Benny. Dziękuję – oznajmiłam, całując go w policzek.

– Zrobiłem go w szkole. Pani Casey powiedziała, że mój jest najładniejszy. Użyłem wszystkich kolorów tęczy. Nawet czarnego.

– Teraz ten ode mnie – odezwała się Lily.

Siedziała z nami przy stole po raz pierwszy od powrotu do domu. Całe dni spędzała na kanapie, blada i śpiąca. Podała mi prezent, który ewidentnie został zapakowany przez mamę. Ostrożnie otworzyłam zawiniątko i wyciągnęłam paczkę spinek do włosów. Były to cztery spinki umieszczone na kartonowej podkładce. Każda ozdobiona rzędem małych kryształków.

– Lily sama je wybrała. Prawda, że ładne, Indie? – zapytała mama, biorąc ode mnie spinki i unosząc je do światła.

– Są ładne, ale i tak mam zamiar ściąć włosy. – Lily zadrżały wargi. Po prostu nie mogłam się powstrzymać. – Nie można nosić spinek z krótkimi włosami.

– Indie! – warknęła mama. – Są prześliczne. Lily, to bardzo miło z twojej strony. W końcu mogła nie robić żadnego prezentu, przecież była w szpitalu, na litość boską!

Złapałam ostatni pakunek i rozerwałam opakowanie. Nie miało znaczenia, że to były dzinsy, o które błagałam, od kiedy moja najlepsza przyjaciółka Starry przyszła do szkoły w takich spodniach. Nie był to kij bilardowy Spaldinga, a tort był biały, a nie czekoladowy. Nigdy nie mogłam dostać tego, co chciałam.

– Dzięki – powiedziałam, zgniatając ozdobny papier.

– Jesteś najbardziej niewdzięcznym dzieckiem, jakie znam – odezwała się groźnie mama.

Widziałam, że tata przygotowuje się do wyjścia. Zawsze uciekał, kiedy zbierało się na awanturę. Musiałam wtedy radzić sobie sama. Chciałabym choć raz móc uciec.

– Dziękuję – oznajmiłam podniesionym głosem. – To wszystko mi się podoba. To jest właśnie to, co chciałam dostać.

– Dokąd się wybierasz? – spytała mama ojca, który wiązał już buty.

- A co cię to obchodzi? – wtrąciłam się.
- Indie, słowo daję, jeszcze jedno słowo i...
- I co! – krzyknęłam, wstając i rzucając dzinsy na podłogę. –

Zepsujesz mi urodziny?

- Dostyc tego! – zawołała matka i też się podniosła.

Tata stał przy drzwiach wejściowych, trzymając dłoń na klamce. Benny wczołgał się pod stół. Patrzyłam na tatę błagalnym wzrokiem, prosząc, aby został. Być może dlatego, że jeszcze nie wyszedł, albo dlatego, że były dziś moje urodziny, mama powiedziała jedynie:

- Myślałam, że przywieziesz pizzę.

Po czym wzięła Lily na ręce i zaniósła ją do salonu.

Na dźwięk słowa „pizza” Benny wyszedł spod stołu.

- No dobra. Chodźmy – zgodził się tata.

W pizzerii cały czas miałam nadzieję, że zniknie na chwilę, że będzie musiał iść po coś do samochodu albo do toalety i wróci z kijem bilardowym zawiniętym w fioletowy papier. On jednak nie ruszył się ani na chwilę, nie licząc momentu, gdy Benny upuścił sobie gorącą pizzę na kolana i się poparzył.

\*

Rich niósł Violet w nosidełku. Lily szła za nimi. Była blada, wydawała mi się jeszcze chudsza niż wtedy, gdy widziałam ją w Phoenix. Kroczyli po podjeździe niczym jakaś mała dziwna armia. Szli pewnie do przodu. Peter chwycił mnie mocno za dłoń, a następnie otworzył drzwi i wpuścił ich do środka. Słońce świeciło dzisiaj mocno. Jednak była to ułuda upału. Termometr wskazywał bowiem ledwie dwa stopnie powyżej zera. Z jakiegoś powodu wydało mi się zabawne, że od zamarznięcia dzieliło nas raptem kilka stopni. Tak jakby w listopadzie taka temperatura była czymś niezwykłym.

– Spójrz na tego malucha – powiedział Peter z czułością.

Violet miała niezwykle jasne duże oczy i szeroki uśmiech na twarzy. Jej policzki były zaróżowione, ale nie od gorączki, raczej od mrozu.

Peter uścisnął dłoń Richa i nachylił się ku Lily. Moja siostra miała słabość do Petera. Wkupił się w jej łaski już na pierwszym spotkaniu, jeszcze gdy chodziła do liceum. Podkreściła wtedy włosy, nałożyła niebieski eyeliner i włożyła swój ulubiony sweter.

Pamiętam, jaka byłem wtedy dumna i szczęśliwa, gdy Lily wzięła mnie na bok i powiedziała:

– On jest niesamowity, Indie. Też chcę takiego.

Pamiętam, że nałożyła wtedy błyszczący od Bonne Bell o smaku truskawkowym.

– Pozwól, że wezmę twój płaszcz, Lily – zaproponował Peter, pomagając jej się rozebrać.

Miała trudności z wydostaniem się ze swojej wielkiej różowej parki.

– No, od razu lepiej. – Przytulił ją na powitanie.

Patrzyłam, jak zamknęła oczy i odpłynęła na chwilę.

– Hej, Windiano! – przywitał się Rich i zrobił to samo co Peter.

Miał starannie uczesane włosy. Jego oczy były równie duże i żywe jak u Violet.

Peter pomógł Richowi wyjąć Violet z nosidełka. Uwielbia dzieci. Mnie przerażają, ale on nie ma żadnego problemu z tym, że są takie małe i delikatne. Rich usiadł przy stole kuchennym i pozwolił

spacerować im po kuchni. Peter mówił łagodnym tonem do Violet, która patrzyła na niego z wyraźnym zaciekawieniem.

Lily stała przy lodówce. Oglądała tabliczkę ściernalną, na której mama napisała odręcznie listę zakupów. Jaja. Mleko. Musztarda. Ziemniaki. Nie miałam siły się tego pozbyć.

– Chodź, pokażę ci te koty – zagadnęłam, żeby przerwać niezręczną ciszę.

– Okej – odparła z uśmiechem, odwracając się od lodówki, i poszła za mną do salonu.

Kocia mama nie spała. Była zajęta lizaniem łap. Wyglądała na zdrowszą. Jej żebra wciąż były widoczne pod futrem, ale wydawała się mniej ospała. Wyskakuje za każdym razem, gdy słyszy dźwięk otwieranej puszki. Zaczyna rozumieć swój głód, jak również głód swoich dzieci.

– Och, spójrzcie tylko – powiedziała Lily, przyklękając przy pudełku. Zdjęła buty i usiadła po turecku. – Mogę wziąć jednego na ręce?

– Jasne. – Usiadłam na kanapie. Poczułam dziwne napięcie w ramionach, kiedy Lily sięgnęła po kotka. – Tylko bądź ostrożna. Chwytaj je za kark.

– Wiem, jak się podnosi koty – odparła zirytowana, chwytając czarnego malucha z białymi uszami i łapami.

Delikatnie pojękiwał, kiedy układała go sobie w dłoniach.

– Patrz. Ma otwarte oczy.

Jeszcze do wczoraj żadne z małych nie otwierało oczu, a teraz kotek w rękach Lily spoglądał na nas intensywnie niebieskimi ślepiami.

– Nazwałaś je już jakoś? – zapytała.

– Nie. Nie zamierzałam ich zatrzymywać. Miałam jechać właśnie do schroniska, kiedy... – zawahałam się.

Siostra spojrzała na kociaka, który zamrugał z wysiłkiem.

– Masz jakieś pomysły? – spytałam. – Jak można je ponazywać?

– Nie – odpowiedziała i delikatnie włożyła kotka z powrotem do pudełka.

Z kuchni dobiegały głębokie i ciepłe głosy Richa i Petera.



Przypominało mi to trochę dźwięki telewizyjnych transmisji koszykówki, które oglądałam, gdy byłyśmy jeszcze dziećmi. Tata zazwyczaj padał na kanapę, zostawiając obok siebie miejsce wyłącznie dla jednej osoby. Siadaliśmy więc na zmianę: ja, Lily albo Benny. Nie wiem, jakim cudem, ale zawsze trafiały mi się noce z koszykówką. Pod ramieniem ojca, wtulona zdrowym uchem w jego klatkę, nigdy nie mogłam zrozumieć tego, co mówi komentator, ale ten dźwięk był jak żaden inny. Taki bezpieczny. Smakował jak ciepła zupa pomidorowa i grillowane kanapki z serem, które jadłam, gdy byłam chora i nie szłam do szkoły.

– Jak podróż?

Lily ciągnęła za luźną nitkę w swoim swetrze.

– W porządku – odpowiedziała. – Violet spała całą drogę.

– Dobrze wygląda.

Moja siostra spojrzała na mnie w sposób, który przywołał mi na myśl kota. Miała podobne mleczonebieckie oczy. Nie miałam pojęcia, czy Rich rozmawiał już z nią o tym, czego dowiedział się od lekarzy, i o tym, że zamierza zabrać Violet ze sobą. Lily udało się wyrwać nitkę. Miała świeżo pomalowane paznokcie. Wyglądały tak, jakby dopiero zanurzyła je w malinowym sorbecie. Kolor lata.

Siedzieliśmy w niezręcznej, zbyt nieprzyjemnej dla nas ciszy.

– Masz jakiś pomysł, jak zorganizować stypę? – spytałam delikatnie. – To znaczy, chcę powiedzieć, że mamy na to dość mało czasu. Myślałam o czymś skromnym. Tylko my. Tata stwierdził, że też chce przylecieć. Rozmawialiśmy wczoraj przez telefon i mówił, że chce tu z nami być.

– Ona wiedziała... – zaczęła Lily, patrząc na kawałek żółtej nici, którą trzymała między palcami. – Wiedziała, że miała czerwone światło.

Usiadłam głębiej na kanapie i oparłam się o zagłówek.

– Ktoś widział, jak przyspiesza. Ktoś na ulicy.

Lily udało się rozpruć chyba z centymetr dolnej krawędzi swetra. Zamknęłam oczy i wsłuchałam się w głosy Petera i Richa, którzy wciąż rozmawiali w kuchni. Ten znajomy dźwięk stąpania po linoleum. Dźwięk otwieranej puszki. Papierosa zapalanego przez

Richa. Słuchałam kotów wiercących się w kartonie. Słuchałam też własnego oddechu. Był równy i głęboki.

– Chciała umrzeć – powiedziała Lily. – A my jej nie słuchaliśmy.

Nie chciałam rozmawiać na ten temat. Nie chciałam też poznawać wyimaginowanej wersji mojej siostry.

– To nie był wypadek – wyszeptwała.

Wyprostowałam się i złączyłam dłonie. Serce dudniło mi w piersiach niczym młot walący w moje wnętrzności.

– Zrobiła w życiu wiele rzeczy, Lily. Tobie, mnie, Benny’emu. Ale to był wypadek. A jeśli było tak, jak mówisz, to oznaczałoby, że tak naprawdę nie miała tego wszystkiego w dupie. Że musiała czuć się podle. A dobrze wiesz, tak samo zresztą jak ja, że ona nigdy nie czuła się źle z własnego powodu. Nigdy.

Palce Lily zaplątały się w kawałku żółtej wełny. Kiedy znów spojrzała na mnie, coś się zmieniło w jej twarzy. Miała wyraźne, pełne skupienia spojrzenie.

– Rich chce mnie zostawić. – Jej głos mógłby w tym momencie należeć do kogoś innego. Był głęboki i silny. Gdybym zamknęła oczy, mogłabym pomyśleć, że przede mną ktoś inny właśnie pruje swój sweter. To mogła być nawet mama. – Jestem pewna, że już o tym wiesz. On oskarża mnie o straszne rzeczy.

– Przestań.

– Ty nic nie rozumiesz. – Usłyszałam, jak delikatnie łamie jej się głos. – To nieprawda. Cokolwiek ci mówił, to nie jest prawda.

– Prosiłam, żebyś przestała.

Spojrzała na mnie. Chciała powiedzieć coś więcej, ale nie wydała już z siebie żadnego dźwięku. Peter i Rich weszli do pokoju. Peter, cały rozpromieniony, wciąż trzymał Violet. Wyglądał tak, jakby pierwszy raz w życiu widział małe paluszki. Jakby pierwszy raz wąchał ten słodki mleczny zapach oddechu niemowlęcia. Violet niepewnie wyciągnęła rączki ku jego brodzie. Peter uśmiechnął się i pozwolił jej odkrywać swoje dołeczki ukryte pod zarostem, pozwolił łapać się za nos i uszy. Rich przyniósł tacę pełną domowych croissantów z czekoladą, zrobionych przez Petera. Były jeszcze ciepłe. Mój ukochany wstał o świcie, aby je przygotować.

Obok nich w misce znajdowały się świeże owoce: trzy różne rodzaje winogron, kulki z mango i kawałki słodkiej mandarynki.

– Brakuje tylko bitej śmietany – zaśmiał się Rich, rozkładając śniadanie na stoliku. Złapał rogalik i szturchnął Petera. – Chyba nie robisz tego codziennie, co? Jeszcze ją rozpieścisz i dopiero będzie. Cholera, mnie już rozpieściłeś. Chyba wrócę z wami do Maine. – Ugryzł kawałek. – Jeśli nie wyjdiesz za niego za mąż, Indie, ja to zrobię.

Czułam, że się czerwienię. Nie rozmawialiśmy jeszcze o małżeństwie. Mieliśmy ciche porozumienie w pewnych tematach. Szanowaliśmy swoje fobie.

Spojrzałam na Lily. Wstała i podeszła do okna. Trzymała w dłoniach ceramiczną lalkę, którą zgarnęła z półki nad telewizorem. Wpatrywała się tępo w podwórko. Zerknęłam na Richa, ale ten jedynie wzruszył ramionami.

– Rozmawialiśmy właśnie o ceremonii pogrzebowej – powiedziałam. – Sądzę, że powinna być skromna. Najbliższa rodzina i nikt więcej.

– W jej kościele? – dopytywał Rich. – Czy ona w ogóle chodziła do jakiegoś kościoła?

– Jesteśmy katolikami – odparłam, choć to słowo oznaczało dla mnie trochę więcej niż kolędy bożonarodzeniowe, świecące ozdoby, szopki, Niedziele Wielkanocne czy białe błyszczące buty.

– Gdzie chcecie rozsypać popiół? – zapytał Peter, tuląc jednocześnie Violet i całując ją w czoło.

Moja siostra odstawiła lalkę na parapet i skrzyżowała ramiona.

– Lily ma plan – powiedział Rich. – Wszystko już załatwione. Będą jednak musieli poczekać z tym do wiosny. Teraz ziemia jest za twarda.

– Pamiętasz, jak Benny utknął kiedyś pod gankiem? – wtrąciła Lily.

Czułam, jak coś staje mi w gardle. Rich odłożył rogalik, a ona wciąż wpatrywała się w okno.

– Mama piekła dla niego babeczki. Chciała, żeby podzielił się nimi w szkole w swoje urodziny. Benny wymyślił sobie, że będą

miały zielony lukier i żelki. – Zaśmiała się cicho. – Mama trzymała barwnik w lukrze tak długo, aż uzyskała odpowiedni kolor. Potem wysłała Benny’ego na dwór, żeby się pobawił i żeby mogła spokojnie piec. Wcześniej cały czas otwierał jej piekarnik, aby sprawdzić, czy babeczki są już gotowe. A kiedy wreszcie się upiekły, nigdzie nie mogliśmy go znaleźć. Sprawdzaliśmy na dachu garażu i w polu. Wreszcie usłyszeliśmy płacz dobiegający spod ganku. Wszedł za daleko i utknął. Pamiętasz?

Lily odwróciła się do nas. Rich opuścił wzrok, a Peter głąskał Violet po głowie. Pomyślałam, że zaraz zwymiotuję.

– Więc mama wczołgała się pod ganek i wydostała go stamtąd. Zdjęła buty, wczołgała się tam za Bennym i mu pomogła. Zajęło jej to prawie godzinę. Kiedy się w końcu udało, okazało się, że ma podrapane całe nogi, a na głowie dużego guza. Dała mu więc te babeczki wcześniej, na pocieszenie. Zjadł ich tak dużo, że się pochorował. Musiała zrobić drugie tyle, żeby miał co zanieść do klasy następnego dnia.

Wpatrywałam się w Lily stojącą przy oknie z kawałkiem wełny zwisającym jej od swetra aż do samej ziemi.

– Bała się ciemności, a mimo to weszła pod ganek i go wyciągnęła. Pamiętasz? – zapytała, nie patrząc na mnie, ale na Richa, który nie odwzajemnił jej spojrzenia.

\*

Po tym, jak mama wyjechała z Lily, w domu zapanowała dziwna atmosfera. Mama wypchała niebieski kufer podróżny kosmetykami do makijażu, lakierem do włosów i wsuwkami. Do mniejszej walizki identycznego koloru spakowała nylonowe pończochy w rozmiarze dziecięcym i kostium Lily. Gdy samochód z przyczepą, na której umocowano schody potrzebne Lily do przeprowadzenia pokazu, odjechał z podjazdu, dom ogarnęła cisza podobna do tej odczuwalnej w środku nocy, kiedy wszyscy domownicy śpią. Tylko że to nie była noc, lecz środek słonecznej, gorącej czerwcowej soboty.

Benny nie wiedział, co sądzić o tym wyjeździe. Stał spokojnie przy drzwiach, machając do Lily, której różowe dłonie były niemal przyklejone do tylnej szyby, aż samochód zniknął nam z pola widzenia. Nawet wtedy nie docierało do niego, co się właśnie wydarzyło.

Tata siedział przy stole kuchennym, zajadał się lukrowanym pączkiem i czytał gazetę.

– Co powiecie na imprezę wieczorem? – zapytał, nie odwracając wzroku od gazety.

Benny odszedł od drzwi.

– Impreza?

– Tak, właśnie – przytaknął tata i się uśmiechnął. – Możemy ustawić grill w ogrodzie, zaprosić przyjaciół – dodał, składając gazetę i rzucając ją obok pustego opakowania po pączkach. – Co wy na to?

– Zjem aż pięć hamburgerów – odpowiedział Benny. – Z bułeczkami z sezamem. O, o, o, a czy możemy kupić czerwone frytki?

– Chodzi ci o frytki barbecue? – sprecyzował tata i znów się uśmiechnął. – Myślę, że możemy. Czemu nie. Kupimy też arbuza, co?

– Kto przyjdzie? – spytałam.

– Każdy, kogo chciałabyś u nas zobaczyć.

– A czy mogę zaprosić Starry? Czy mogłaby zostać na noc?

Starry była moją najlepszą przyjaciółką. Mieszkała z rodzicami niecałe dwa kilometry od nas. Jeszcze nigdy jej do siebie nie

zapraszałam. Zazwyczaj nie chciałam, żeby ktoś mnie odwiedzał.

– Ja lubię tylko hamburgery – powiedział Benny. – Nienawidzę hot dogów. One śmierdzą jak stopy.

– Pozwól mi wykonać kilka telefonów – poprosił tata – a zobaczymy, co da się zrobić.

Jego oczy błyszczały.

Tego popołudnia Eddie Grand przyniósł kilka leżaków i przenośny odtwarzacz. Porozstawiałam z Bennym krzesła w ogródku i pomogłam tacie wyczyścić płyty. Zakurzyły się, bo prawie w ogóle nie były odtwarzane. Zadzwoiłam do Starry dopiero wtedy, gdy tata i Eddie pojechali do sklepu po węgiel, mięso na hamburgery i frytki dla Benny'ego. Nikt nie odbierał, a ja przypomniałam sobie, że moja przyjaciółka pojechała z rodzicami na weekend do Las Vegas odwiedzić babcię. Odłożyłam słuchawkę i zastanowiłam się, kogo bym mogła zaprosić, ale nikt nie pasował mi tak bardzo jak Starry. Ona potrafiła robić tyle rzeczy. Umiała potasować karty jedną ręką, uczesać się jak Farah Fawcett i zatańczyć jak John Travolta.

Kuzynka Eddiego, Sheila, która pracowała w barze taty, pojawiła się w momencie, gdy szukałam przedłużacza do gramofonu Eddiego.

– Cześć, Benny! – zawołała.

Stała w drzwiach, trzymając torby z jedzeniem.

– Cześć, Sheila! – odpowiedział Benny, przeskakując z nogi na nogę i klaszcząc przy tym w dłonie. – Przyniosłaś hamburgery?

– Nie, ale przyniosłam talerze, kochanie. Plastikowe łyżki, noże i serwetki. Twój tata przypadkiem nie pojechał kupić hamburgerów?

Postawiła torbę z zakupami na stole i poprawiła spodenki. Miała na sobie dżinsowe szorty z białymi pasami materiału zwisającymi wzdłuż jej połyskujących nóg. Starry wyjaśniła mi kiedyś, że aby nogi tak błyszczały, należy je posmarować olejkiem dla niemowlaków, ale my w domu nigdy takiego nie mieliśmy.

– Tata i Eddie są w Foodmarcie – odparłam.

Sheila uśmiechnęła się do mnie.

– Cześć, Indie.

– Cześć.

– Chcesz zobaczyć, jakie mamy płyty? – zapytał Benny, szarpiąc Sheilę za łokieć.

Była cztery lata starsza od niego, ale to on przewyższał ją wzrostem.

– Jasne – odpowiedziała i poszła za nim do ogrodu, gdzie ustawiono gramofon. Ukłękła przy pudle z winylami i zaczęła przeglądać płyty, szukając w nich nagrań Andy’ego Gibba. – Macie jakąś płytę Bee Gees?

Zabrałam się do wyciągania zakupów. Pod papierowymi talerzami i plastikowymi sztuczkami trafiłam na paczkę papierosów mentolowych oraz małe niebieskie opakowanie. Wyjęłam oba pudełka i zdałam sobie sprawę, że trzymam w dłoni paczkę tamponów. Szybko odłożyłam je na miejsce i dołączyłam do reszty ludzi na zewnątrz.

– Znalazłam! – Sheila się uśmiechała, mając w dłoniach ścieżkę dźwiękową z *Gorączki sobotniej nocy*.

Nie znałam tego filmu i nie wiedziałam, o czym jest. Nie pozwolono mi pójść na niego do kina, kiedy jeszcze był wyświetlany, ale widziałam reklamy w telewizji, a kierowca autobusu szkolnego każdego ranka puszczał piosenki z tego filmu. Poza tym Sheila zawsze wybierała te utwory w szafie grającej w barze.

– Tu jest przedłużacz – powiedziałam.

– Dzięki. – Podłączyła go do gramofonu.

– Mój tata bardzo nie lubi, kiedy ludzie robią bałagan w jego płytach – dodałam.

– Będę ostrożna. – Odłożyła płytę do pudełka i oparła obie dłonie na biodrach. – Twój tata twierdzi, że za tydzień weźmiesz udział w turnieju bilardowym. Mówi wszystkim, że jesteś pewną zwyciężczynią.

Czułam, że się rumienię.

– Nie wiem – odparłam. – Jest sporo osób lepszych ode mnie.

– No, to jak o tobie opowiada... można pomyśleć, że jesteś prawdziwym zawodowcem.

Sheila miała fryzurę żywcem wyjętą z *Aniołków Charliego*. Nie zapomniała też o niebieskim cieniu do powiek i błyszczyku.

– Chcesz zobaczyć mój pokój? – zapytałam.

Stojąc w drzwiach, próbowałam sobie wyobrazić, jak to wszystko wygląda w oczach Sheili. Miałam białą narzutę z tęczowymi pasami. Kiedy łączyło się ze sobą dwie poduszki, tworzyły pełną tęczę. Na ścianach nie wisiało wiele rzeczy, ale na brzegu lustra przypięłam małe fotografie wszystkich moich przyjaciół. Wydawało się, że mam ich więcej niż w rzeczywistości, a to dlatego, że umieszczałam tam zdjęcia już od przedszkola. Jeśli ktoś by im się uważnie przyjrzał, dostrzegłby, że są tam cztery osoby, może pięć. Pośród nich były też zdjęcia Lily i Benny'ego.

Przy łóżku leżał pluszowy aligator, którego wygrałam na zeszłorocznym kiermaszu. Nie byłam fanką pluszaków. Uwielbiałam za to gry planszowe. Miałam wypchany nimi cały regał. Niestety, grałam zazwyczaj sama ze sobą, ponieważ Benny nie miał wystarczająco dużo cierpliwości do gier. To nawet nie było takie złe. Zapisywałam na karteczkach kolory lub imiona. Następnie składałam i mieszałam te karteczki. Wybierałam jedną i odkładałam na bok. Potem grałam obydwoma pionkami. Po skończonej potyczce sprawdzałam, które imię zapisałam na karteczce i czy wygrałam grę. Nie było to takie fajne, jak grać z kimś, ale nie narzekałam.

– Gdzie zrobiłaś to zdjęcie? – spytała Sheila.

Usiadła na łóżku, zginając jedno kolano, i nachyliła się, żeby obejrzeć oprawioną fotografię wiszącą nad wezglowiem łóżka.

– W Kalifornii – odpowiedziałam. – Tam mieszkaliśmy, gdy się urodziłam.

Czarno-białe zdjęcie przedstawiało mnie i Benny'ego na tle oceanu. Miałam wtedy trzy lata, a on pięć. Już wtedy był duży i wystarczająco silny, aby mnie podnieść. Stał za mną i unosił mnie, trzymając pod pachami. Przede mną leżały plastikowe wiaderko i łopatka. Byliśmy cali mokrzy. Za nami rozciągał się ocean. Nie pamiętałam, kto zrobił to zdjęcie. Nie pamiętałam też, że w ogóle je robiono, ale podobało mi się to, jak Benny się na nim uśmiechał. Wyglądał na szczęśliwego.



– Jestem jedynaczką – stwierdziła nagle Sheila. – Choć Eddie jest dla mnie trochę jak brat.

Skinęłam głową. Usłyszałam chrzęst zamka w drzwiach i głos Eddiego w kuchni. Sheila poprawiła swoje szorty i powiedziała:

– Wrócili.

W kuchni tata wypakowywał torby pełne hamburgerów i bułek, kupił też węgiel drzewny. Podał mi paczkę mojej ulubionej gumy Big Red i puścił do mnie oko.

– Cześć, chłopaki. – Sheila powitała ich z uśmiechem na twarzy. – Indie właśnie pokazała mi swój pokój.

– Benny, pomożesz mi? – poprosił tata, otwierając lodówkę i podając mu hamburgery.

– Kto jest teraz w barze? – zapytał Eddie.

– Rosey i Nancy – odparł tata. – W razie czego mają do mnie zadzwonić.

– Ej, Sharkie – zwrócił się do mnie Eddie, poruszając przy tym wąsami. – Twój tata mówi, że zamierza pozwolić ci zagrać w turnieju w przyszłym tygodniu.

Kiwnęłam głową.

– Mogę włączyć jakąś muzykę? – zapytała Sheila, dotykając rękawa taty.

\* \* \*

Upiłam się słońcem i podkradzionymi resztkami piwa, zanim jedzenie było gotowe. Na szczęście tata, Eddie i Sheila byli jeszcze bardziej pijani. Benny nie odstępował ich na krok przez całe popołudnie, zbierając puste puszki po piwie. Widział w telewizji jakiś dokument o facecie, który zbudował sobie dom z takich puszek. Upijałam po kilka łyków piwa za każdym razem, gdy tata akurat nie patrzył. Sheila miała zły nawyk: zawsze wypijała tylko połowę zawartości puszki, a resztę zostawiała. A teraz ułożyła się wygodnie na starej kanapie w ogrodzie, próbując zapanować nad jednym lokiem, który wyłamał się z szeregu.

Sofę wciąż porastały chwasty. Usiadłam na krześle obok, ustawiając je tak, abym mogła się oprzeć pod idealnym kątem. Sheila paliła leniwie papierosa, odchylając co chwila głowę

i wydmuchując dym przez nos i usta. Miała kolczyki wykonane z małych brązowych piór i paciorków. Tata i Eddie rzucali do tarczy zawieszanej na drzewie.

– Chcesz bucha? – zapytała Sheila.

Skinęłam głową, rozglądając się i upewniając, że nikt nie patrzy. Podała mi papierosa. Złapałam go między palcami, tak jak robili to inni. Podenerwowana włożyłam do ust końcówkę naznaczoną jej szminką. Był trochę rozmiękły i smakował jak popielniczka. No, może trochę bardziej miętowo.

– Teraz się zaciągnij – poinstruowała z powagą.

Poczułam, jak moje płuca wypełniają się dymem. Zajął mi też nos i oczy. Nie chciałam narobić hałasu, więc próbowałam przełknąć kaszel. Sheila zaśmiała się tak głośno, że i tak zwróciła uwagę taty i Eddiego. Benny, zajęty do tej pory układaniem swoich pustych puszek, wstał. Kasłałam, zrobiło mi się słabo, ale nigdy nie byłam szczęśliwsza. Czułam zupełnie to samo co podczas grania w bilard z Małym Ikiem. Uderzenie ósemką, które kończy mecz.

– Jezu, Sheila – powiedział ojciec, podbiegając i wyciągając mi papierosa z dłoni. – Ona ma dopiero dwanaście lat.

– Ja zaczęłam palić, gdy miałam dwanaście lat – oznajmiła.

– To nie jedyna rzecz, którą zaczęłaś robić za wcześnie – dodał Eddie.

Zachichotała, a tata się uśmiechnął. Nie byłam pewna, czy mi się upiekło, dopóki tata nie chwycił Sheili za dłoń i zaproponował:

– Skoro tak lubisz tę muzykę, to chodź zatańczyć.

Wstała i oboje udali się do miejsca, gdzie było odpowiednio dużo wolnej przestrzeni. Zaczęli tańczyć do piosenki z *Gorączki sobotniej nocy*. Tata kręcił się wokół Sheili jak ludzie w reklamie filmu. Poczułam się słabo od tego kręcenia. Musiałam zamknąć oczy, żeby nie zwymiotować.

– Patrz na to! – Usłyszałam głos ojca, który odsuwał się od Sheili. Skrzyżował ramiona na klatce i zaczął skakać na kolana i z powrotem na stopy. Benny klaskał jak szalony, a ja wciąż czułam zapach dymu na swoich rękach. Nagle po kolejnym skoku na kolana tata zawył z bólu. – Cholera jasna! – krzyknął.

– Wszystko w porządku? – Sheila, dysząc, uklękła obok niego.  
– Myślę, że rozwaliłem sobie cholerną rzepekę – jęknął.  
– Zadzwoń po karetkę, Travolta? – spytał Eddie, zgniatając puszkę piwa.  
– Nie, po prostu pomóżcie mi dojść do kanapy – poprosił, kładąc rękę na ramieniu Sheili.

Zatrzymała się na chwilę pod jego ciężarem, ale udało im się dojść do celu. Tata ciężko opadł na siedzenie.

– Muszę się jeszcze napić – powiedział. – Indie, kochanie, mogłabyś podać tatusiowi piwo i opakowanie mrożonych warzyw? Przyłożę sobie do kolana.

– Jesteś cały? – zapytałam, momentalnie czując prawdziwe zawroty głowy, nie wiedząc, czy to wina piwa, czy papierosów.

– Nic mi nie będzie. Podaj mi po prostu coś zimnego na okład i coś zimnego do picia.

Kiedy wróciłam z kuchni z workiem mrożonego groszku i piwem, zastałam tatę leżącego na kanapie i Sheilę, która zajęła miejsce na oparciu, tuż za jego głową. Wyciągnęła swoje długie lśniąco nogi przed siebie, a kiedy nachylała się, by strzepnąć popiół z papierosa, mogłam dostrzec, co kryje pod bluzką.

– Ups – powiedziała, odkładając papierosa i sięgając rękami za szyję.

Odrzuciła włosy do przodu i odstawiła wielki spektakl z poprawianiem wiązania swojej bluzki.

Podaliśmy tacie piwo, a Sheila wzięła ode mnie groszek. Kiedy przyłożyła worek do siniego kolana mojego ojca, nie zabrała od razu dłoni. Obserwowałam jej wielki turkusowy pierścień spoczywający na kolanie mojego taty. Patrzyłam, jak zamknął oczy i zaczął delektować się piwem. Patrzyłam na nich, gdy słońce zachodziło za górami. Patrzyłam na nich, gdy Eddie zasypiał w fotelu ogrodowym i zawałał się domek z puszek Benny'ego. Patrzyłam i czekałam, aż wydarzy się coś więcej. W końcu Sheila wstała i powiedziała, że musi wracać do domu. Bez Lily i mamy w domu panowała dziwna atmosfera. Jednego byłam pewna: zasady się zmieniły.

Tata wciąż leżał na kanapie po tym, jak Eddie i Sheila wrócili do

siebie, a Benny poszedł spać. Kolano było tak sine i opuchnięte, że przestało już przypominać kolano. Chodziłam i wkładałam do dużego worka, który zwykle służył do zbierania igieł sosnowych, wszystkie niedopałki, tłuste plastikowe talerze i kolby kukurydzy.

– Podejdź do mnie na chwilę, kochanie. – Tata uśmiechał się, wskazując mi ręką miejsce na kanapie.

Odstawiłam torbę i podeszłam do niego.

– Dobrze się dzisiaj bawiłaś? – Mówił bełkotliwie. – Dobrze spędziłaś czas?

Pokiwałam głową z uśmiechem. Zamknął oczy i skrzywił się lekko z bólu, kiedy przesunął się na kanapie, żeby zrobić mi więcej miejsca.

– Sheila naprawdę cię lubi. – Uśmiechnął się. – Powiedziała mi to.

Pocałował mnie w czoło, a ja wyczułam smak piwa w jego oddechu.

– Wszystko w porządku, tato? – spytałam.

Pokiwał głową.

– Wiesz, Indie, mogłoby tak być cały czas. Moglibyśmy odejść. Moglibyśmy...

Moje serce zaczęło bić bardzo mocno. Zastanawiałam się, czy je słyszy. Czekałam, aż skończy, ale on odchylił głowę i zamknął oczy. Po chwili usłyszałam, jak ciężko oddycha. Zasnął. Siedziałam tak przez minutę i rozmyślałam o ucieczce. O pakowaniu się do samochodu w środku nocy i nieoglądaniu się za siebie. Kiedy jednak przypominałam sobie Benny'ego stojącego na ganku i żegnającego mamę i Lily, poczułam się źle, a łzy same napłynęły mi do oczu. Już wtedy wiedziałam, że jeśli tata kiedykolwiek odejdzie, będzie musiał zrobić to sam.

\*

U Rusty'ego ojciec siedział przy barze jak inni klienci. Na zewnątrz znów padało. Delikatnie. Bardziej przypominało to kurz niż śnieżyce. Zmierzchało. Była to dziwna plama w rozkładzie dnia: ludzie, którzy siedzieli w barze od śniadania, już wyszli, a nocna klientela jeszcze nie przybyła. Byliśmy sami, tylko ja i tata. Choć wszystko się zmieniło, wyglądało teraz bardziej znajomo niż tego dnia, gdy przyszedłam odwiedzić Rosey. Mgliste światło rozjaśniło uliczne latarnie. Neonowe logo budweisera odbijało się w szklance z piwem taty. To było wreszcie coś, do czego mogłam się odnieść.

– Dziwne, co? – zapytałam.

Wzruszył ramionami.

– Nie mogę uwierzyć, że pozbyli się stołów bilardowych – powiedziałam. – Czuć, że czegoś tu brakuje.

Odwrócił się w moim kierunku. Nie zmienił się zbyt od naszego ostatniego spotkania, ale coś się w nim postarzało. Miał głębsze zmarszczki? Możliwe. Na pewno było w jego oczach coś spokojniejszego i pewniejszego siebie.

– Grywasz jeszcze?

– Niestety nie za często. Od czasu do czasu.

Rozmyślałam o tym, jak zupełnie inaczej było w Finnegan's Wake. Mnóstwo studentów. Bilard był tam czymś w rodzaju tańców godowych. Napakowani chłopcy próbowali zaimponować dziewczynom. Dziewczyny ze zbyt dużą ilością perfum na sobie, nachylające się uwodzicielsko nad stołami, używały kijów do pobudzania wyobraźni.

Tata odstawił pusty kufel na barze i przetarł wąsy zewnętrzną stroną dłoni.

– Dostałem kilka lat temu pocztówkę od żony Ike'a – powiedział.

– Zmarł we śnie. Po jego śmierci przeniosła się z dziećmi do Phoenix.

– On nie żyje? – zapytałam z narastającym uczuciem ciężkości w piersiach.

Kiwnął głową.

Gdy ostatnio byłam w Mountain View, zastałam Ike'a w barze. Ale wtedy pracowała tu jeszcze Rosey.

– Widziałam się z Rosey – oznajmiłam. – Poczęstowała mnie

menudo.

Uśmiechnął się.

– Tego tutaj naprawdę brakuje. Oddałbym teraz wszystkie pieniądze za talerz jej enchilady.

– Przyjdzie na pogrzeb – dodałam. – Myślę, że to tylko pretekst, aby przynieść jedzenie. Już zdążyła podrzucić nam całą patelnię tamale.

Z zewnątrz dobiegał irytujący gwizd pociągu, który odjeżdżał o 17.05. Pociąg pasażerski. Kiedy wyjrzałam przez okno, zauważyłam dwa piętra pełne twarzy wyglądających na świat przez małe świecące na żółto okienka. Podłoga pod stopami drżała lekko, gdy nas mijali. Tata wpatrywał się w pustą szklanę po piwie.

Barman, zarzucając wilgotną ścierkę na ramię, zapytał:

– Jeszcze po jednym?

Tata spojrzał na mnie i moją pustą szklanę. Pokręciłam głową.

– Nie, na dziś wystarczy – odpowiedział, wyciągając portfel z kieszeni.

Wciąż miał ten sam portfel, który pamiętałam z dzieciństwa. Brązowa skóra z wytłoczoną twarzą Indianina. Teraz niestety twarz wypłowiała. Pamiętam, jak Benny wręczył go tacie w prezencie na Boże Narodzenie. Kupił go w sklepie niedaleko, tam gdzie naprawiano siodła. Benny uwielbiał ten sklep ze względu na ustawione w nim długie rzędy butów kowbojskich. W każdym kolorze, wykonane z różnego rodzaju skóry. Całą ścianę pokrywały skórzane pasy, a za szkłem widniały srebrne ostrogi i klamry.

– Dzięki, tato.

– Chodźmy na spacer – zaproponował. – Nie jestem jeszcze gotowy na powrót do domu.

Przeszliśmy na drugą stronę i weszliśmy do sklepu z tytoniem, gdzie ojciec kupił swoje papierosy. Wziął też garść miodowych cukierków z plastikowego pojemnika i wręczył mi trzy z nich. Otwierałam jednego za drugim, gdy szliśmy przez śnieg. Tata włożył ręce do kieszeni i schylił głowę, gdy skręciliśmy w jasno oświetloną ulicę. Każdy sklepik miał już wystawę bożenarodzeniową, mimo że przed nami było jeszcze Święto Dziękczynienia. Białe światełka,

nawleczone na kabel niczym elektryczne łyzy, zwisały ze wszystkich gałęzi drzew.

– Tęsknisz czasem za tym miejscem? – zapytałam.

– Czasem. Głównie o tej porze roku. W Kalifornii można łatwo zapomnieć, jaką mamy porę roku. Boże Narodzenie nie różni się zbyt od czwartego lipca.

Oddalaliśmy się od Depot Street, zgiełku samochodów i świateł. Zmierzaliśmy teraz w kierunku biblioteki. Śnieg padał coraz mocniej, lądując dużymi płatami na ramionach i włosach taty. Czułam, jak moja głowa staje się cięższa od śniegu.

W starym kamiennym budynku, w którym mieści się dziś biblioteka, w czasach pierwszych osadników Mountain View funkcjonował szpital psychiatryczny. Potem znajdowały się tutaj siedziba sądu i więzienie. Jakieś pięćdziesiąt lat temu usunięto z okien kraty, a przy ścianach ustawiono półki z książkami. Jest to piękny budynek. W środku znajdują się kamienne kominki i miękkie kanapy. Aż trudno sobie wyobrazić, że dawniej zamykano tutaj ludzi.

Dziś było ciemno. Jedynie kilka lampek zapalonych wewnątrz dawało słabą poświatę. Zatrzymaliśmy się przy małym drewnianym mostku, wybudowanym nad wyschniętym korytem rzeki. Wiosną popłynęły wtedy niewielki strumień.

Tata usiadł na mostku. Nogi zwisały mu nad krawędzią. Przycupnęłam obok niego. Przeszły mnie dreszcze. Zapalił papierosa i wydmuchał znajomy zapach dymu. Siedząc w ciszy, zdałam sobie sprawę, że ojciec szuka odpowiedniego sposobu na rozpoczęcie rozmowy o mamie. Rzucił w dół niedopałek i położył swoją rękę na mojej dłoni. Poczułam na skórze zimny duży srebrny pierścień Indian Hopi, który zawsze nosił.

– Nic mi nie jest – powiedziałam. – Naprawdę wszystko u mnie w porządku. Wydaje mi się, że z Lily też będzie dobrze.

– Indie – odezwał się z wdzięcznością, że to ja przebiłam balon tej niezręcznej ciszy. – Nie miałaś nigdy okazji poznać swojej babci. Pokręciłam głową.

– Była okropną kobietą.

Zaśmiałam się, choć jego mina była poważna.

– Była zła dla twojej mamy. Wydawało się, że ona w ogóle jej nie obchodziła. Nieważne, czy robiła coś dobrego, czy złego. Twoja babcia dokuczała jej bardziej niż niejedno dziecko.

Mama nigdy nie opowiadała o swoich rodzicach. Zawsze wydawało mi się, że po prostu urodziła się dorosła. Nigdy nie przyszło mi do głowy zainteresować się istnieniem dziadków.

– Kiedy poznałem twoją matkę, praktycznie nie podnosiła głowy. Taka była nieśmiała.

– Poważnie?

– Bała się świata. A to były dobre czasy, Indie. Jeździliśmy moim beznadziejnym dusterem na plażę. Mówiłem ci kiedyś o miejscu, w którym można było zjeść krewetkowe tacos za małe pieniądze? Wszystko było wtedy dużo tańsze. Niewielka, nieco obskurna buda na deptaku. Ta dziewczyna w jakiś sposób sprawiała, że czułem się tak, jakbym był jedyną osobą na całym świecie. Jakbym był królem czy kimś takim. Nigdy nie chciała wracać do domu. Czasem po prostu jeździliśmy kilka godzin, żeby tylko nie wracać. Oczywiście jej matka pewnie nawet nie zauważała, że Judy gdzieś wychodziła. Pamiętam też, że zawsze nanosiła mi piasku do samochodu. Nigdy nie pamiętała o tym, żeby wytrzepać sandały. Zabawne. Nie zwracałem na to wtedy specjalnie uwagi. Na te drobne rzeczy. – Westchnął. – Jasne, wszystko się zmienia. Ludzie się zmieniają. Cholera, miejsca się zmieniają. Nawet Rusty... Po tych wszystkich latach podawania drinków i rozpędzania bójek. Po tych wszystkich rozmowach nic już nie zostało. Właśnie tak, jak to sobie wyobrażałem.

Kiwnęłam głową i poczułam, jak coś mi staje w gardle.

– Tato – zaczęłam – mogę cię o coś zapytać?

Popatrzył na mnie i ścisnął mi dłoń.

– Powiedz, że nie odszedłeś z powodu Sheili. – Zaskrzeczałam głosem małego pisklęcia, które wypadło z gniazda, trzepocząc skrzydłami w przerażeniu. – Odszedłeś przez mamę, przez to, co robiła Lily, prawda?

Wziął moją dłoń i włożył ją do kieszeni swojego płaszcza.



Popatrzyłam na niego, ale nie chciał odwzajemnić spojrzenia. Skupiłam się na zmarszczkach wokół jego oczu. Wyglądały jak skrzydła.

– Popełniałem błędy – powiedział, wciąż ściskając moją dłoń. – Bardzo dużo różnych błędów.

Śnieg padał na nasze kolana, włosy, moczył wszystko, lecz moja dłoń w ciepłej kieszeni była bezpieczna.

Tata zatrzymał się w nowym motelu na obrzeżach miasta. Rich zarezerwował też pokój dla siebie, Lily i Violet, ale Lily stwierdziła, że woli zostać w domu. Pościeliłam jej łóżko w pokoju mamy. Peter zabrał Violet na spacer, Lily brała kąpiel, a Rich próbował rozłożyć przenośną kołyskę, którą przywieźli dla małej.

Poprawiałam prześcieradło na starym łóżku rodziców, a Rich walczył z łóżeczkiem. Violet spała obok niego na podłodze, w foteliku samochodowym.

– Nie znoszę tego – powiedział Rich. – Już nie mogę się doczekać, aż będzie na tyle duża, aby spać w łóżku.

– Nie miałeś żadnych problemów z organizacją pogrzebu? – spytałam.

– Nie, ksiądz będzie miał w tym czasie jeszcze dwa inne pogrzeby. Wcisnął nas między nie. Podejrzewam, że to będzie bardzo krótka ceremonia.

– Dziękuję, że zadbałeś o wszystko. – Mówiąc to, poprawiałam jedną z poduszek mamy.

– No, w końcu – stwierdził Rich, ustawiając kołyskę.

– Wzięłeś dla niej tlen? – spytałam.

Spojrzał na mnie pytająco. Z łazienki dobiegały odgłosy kąpieli Lily.

– To znaczy... czy ona go jeszcze potrzebuje?

Rich wyjął niemowlę z fotelika i przytulił do piersi.

– Przepraszam. – Poczułam, że się czerwienię. – Chodzi o to, że wszystko jest takie dziwne. Wszystko jest wywrócone do góry nogami. Rzeczy, które uważałam za prawdziwe, okazały się ułudą, a te, które brałam za nieprawdziwe, okazały się autentyczne.

Przepraszam.

Rich położył Violet do łóżeczka i pogładził jej włosy. Chrapnęła delikatnie, ale po chwili ucichła, a na jej twarzyczce pojawił się spokój. Rich popatrzył na mnie i wyznał:

– W nocy poprzedzającej wypadek byłem już gotowy do odejścia. Miałem spakowane wszystkie rzeczy Violet. Samochód był wyładowany moimi rzeczami. Miałem mapy w schowku, zakreśliłem nawet odpowiednie trasy, tak jakby to był zwykły wakacyjny wyjazd. Zrobiłem rezerwację w trzech różnych hotelach.

Rozmawiałem z moim bratem w Bostonie o możliwej pracy dla mnie. I przez ten czas Lily siedziała przy kuchennym stole. Twoja matka była na górze, pogrążona w głębokim śnie. A Lily siedziała w kuchni i patrzyła na mnie, jakbym to ja był szalony. – Z łazienki doszły mi dźwięki zakręcanej wody. Wyobraziłam sobie ją, jej kruche i delikatne ciało zanurzające się w parującej wodzie. Rich ściszył głos: – I przez parę minut naprawdę myślałem, że może to ja zwariowałem. Może to faktycznie ze mną jest coś nie tak.

Próbowałem sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby Violet nagle przestała oddychać w pokoju hotelowym. Co bym wtedy zrobił? – Spuścił głowę. – A potem spojrzałem na moją żonę, jak siedzi przy stole w kuchni, załamując ręce, i wiedziałem, że myśli o tym samym. Co by się stało, gdyby Violet przestała oddychać?

– Nie rozumiem. – Pokręciłam głową.

– Ona wierzy, Indie. Ona naprawdę wierzy w to, że Violet jest chora.

Pomyślałam o mojej siostrze leżącej teraz nieruchomo w wannie. Wyobraziłam sobie, jak zamyka oczy i pozwala, aby jej uszy wypełniły się ciepłą wodą. Wstrzymuje oddech i zanurza się w niej. Próbowałam sobie wyobrazić, o czym myśli. „A więc tak to jest. Tak się czuje ktoś, kto nie może oddychać”.

– I wtedy wszystko wypakowałem. Zaniósłem walizkę do domu i odłożyłem wszystko na miejsce. Ubranka Violet powkładałem razem z pieluchami z powrotem do jej szafek, a ją samą ułożyłem w łóżeczku – kontynuował, gładząc córeczkę po powiekach. – Nie mogłem tego zrobić.

Usłyszałam, jak Lily wychodzi z wanny. Odgłos mokrych bosych

stóp na zimnym linoleum.

– Kiedy zadzwonili z policji i powiedzieli o twojej mamie, to było jak znak, a gdy przekazałem to twojej siostrze, ona odparła jedynie: „A nie mówiłam? A nie mówiłam?!”.

– Ale to przecież był wypadek – zaakcentowałam. – A Violet...  
To, co się tyczy Violet, jest winą Lily.

Spuścił wzrok.

– Co zamierzasz teraz zrobić?

– Nie wiem – odparł Rich. Odwrócił głowę, gdy usłyszał, jak drzwi do łazienki się otwierają. – Nie mam pojęcia.

Usłyszałam, jak Lily wchodzi do kuchni. Rich nachylił się nad kołyską i pocałował Violet w czółko. Po chwili zaczął dobiegać nas narastający gwizd czajnika. Jednak nie zdjęła go z palnika. Gwizdał cały czas, aż dźwięk przerodził się w krzyk.

\*

Wiedziałam, że tata nie wróci do domu. Ta noc pachniała fajerwerkami, spaloną trawą i osmalonymi palcami. Tata był w pracy, a mama pojechała z Lily do Las Vegas poszukać odpowiedniego ubrania na konkurs Miss Nastolatek Ameryki. Zostałam w domu sama. Siedziałam przed telewizorem i oglądałam pokazy sztucznych ogni, gdy przez uchylone okno doleciał zapach grilla i świec rzymskich.

Czułam, że ojciec nie wróci dziś do domu. Tak samo potrafiłam wyczuć w kościach nadciągający pociąg dobre pół godziny przed tym, jak tory zaczynały się trząść, a do uszu dobiegał świst. Nauczyłam się przewidywać odjazdy pociągów.

Teraz, kiedy nie było już z nami Benny'ego, a mama i Lily wyjechały z miasta, tata miał zwyczaj dzwonić do mnie i sprawdzać, co u mnie słychać. Wychodziłam wtedy ze słuchawką na zewnątrz, ciągnąc długi kabel za sobą, i siadałam na ganku. W powietrzu unosił się aromat spalenizny.

Słyszałam w słuchawce hałas baru, brzęk kieliszków i dudnienie męskich głosów. Słyszałam, jak Rosey krząta się w kuchni, słyszałam syczenie gorącego oleju, skwierczenie tłuszczu. Słyszałam szafę grającą i oddech Sheili na ramieniu taty.

„Czy to Indie? – spytała. – Dzwonisz do domu?”.

– Hej, kochanie – zaczął jak zwykle.

– Cześć, tatusiu.

– Poszłaś do Starry oglądać fajerwerki?

– Taa... – skłamałam. – Wdrapałyśmy się na górkę za jej domem i tam oglądałyśmy.

Zamknęłam oczy i poczułam zimne powietrze. Oczami wyobraźni widziałam, jak trzymam śpiwór przewieszony przez ramię.

Zobaczyłam czarne i lśniące włosy Starry... Poczułam wilgotną trawę pod stopami, drażniącą kostki, poczułam, jak opieram głowę na zwiniętym swetrze. Widziałam gwiazdy i półksiężyc. Zacisnęłam powieki na tyle mocno, aż ujrzałam eksplozję kolorowych świateł.

– To świetnie. Cieszę się, że nie zostałam w domu – oznajmił.

Usłyszałam talerze z enchiladas stawiane na wypolerowanym drewnianym blacie baru. Usłyszałam skrzypienie stołka barowego.

Siadał na nim ktoś ciężki.

– Słuchaj, kochanie – zaczął tata. Brzmiał łagodniej niż księżyc w lipcu. Barwa jego głosu miała smak delikatniejszy niż łyżeczka nocy. – Wiesz, że cię kocham.

Światło wypełniło całe moje usta, jaśniało i ogrzewało moje gardło.

– Wiem – odparłam.

Z głębi baru dobiegały hałasy. Słyszałam, jak kule bilardowe zderzają się ze sobą, kręcą się i wpadają do luz. Słyszałam szafę grającą i oddech Sheili.

– Chwileczkę – powiedział ojciec, gdy obok baru przejeżdżał pociąg.

Nagle obraz fajerwerków w mojej głowie przeistoczył się w światła pociągu oświetlającego tory prowadzące w ciemność. Dopiero wtedy, gdy dźwięk pociągu ucichł, otworzyłam oczy i wpatrywałam się w nasz pusty podjazd. Letnie powietrze było niczym ciepły oddech na moich plecach. Czułam zapach spalonego nieba.

– Zobaczymy się rano, kiedy wstaniesz – stwierdził cicho.

– Tato, obudzisz mnie, jak wrócisz?

Niestety rozmowę znów przerwał pociąg przejeżdżający tym razem obok lasu, tuż za naszym domem. Przez gwizd nie usłyszałam, co odpowiedział.

Ale wiedziałam, że nie wróci do domu.

Zapach fajerwerków powoli się ulatniał. Siedziałam na ganku, dopóki zabrakło dowodów na to, że niebo było kiedyś kolorowe. Wstałam i zaczęłam kopać w ścianę kamieniami z podjazdu. Widziałam, jak ich ostre boki niszczą farbę. Pochyliłam się i spojrzałam pod ganek, mając nadzieję, że ujrzę tam Benny'ego chowającego się za kratą. Jedyne, na co trafiłam, to zapach ziemi i ciemność.

Weszłam do środka i wyłączyłam telewizor. Poszłam do pokoju Lily i otworzyłam szafę. Znalazłam jeden z kostiumów, z którego już wyrosła, i zabrałam go do salonu. Wyjęłam z szuflady nożyczki i usiadłam na kanapie.

Cyrkonie odeszły znacznie łatwiej niż cekiny, w końcu były doklejone, a nie przyszyte. Wrywałam, cięłam i ukrecałam, aż z kostiumu nie pozostało nic oprócz cienkiej powłoki koloru skóry z wystającymi kawałkami nici. Na stoliku przede mną leżał stos kolorowych świateł. Niczym niebo podczas Dnia Niepodległości, tyle że spoczywające w moich palcach. Chwyciłam je i zaniiosłam na podwórko, gdzie wyrzuciłam w ciemność nocy.

Leżałam w łóżku. Nie spałam. Liczyłam godziny w oczekiwaniu na powrót taty. Z zamkniętymi oczami określałam czas z każdym przejeżdżającym pociągiem, chociaż te dźwięki powoli traciły dla mnie znaczenie. Huk torów zamienił się w grzmot, a gwizdy pociągów przerodziły się w krzyk. Stały się śmiechem Sheili i odgłosem opon samochodu taty, piszczących na podjeździe ten ostatni raz.

\*

Po uroczystości pogrzebowej udaliśmy się z powrotem do domu, gdzie oczekiwała nas Rosey z przygotowaną enchiladą. Dałam jej wcześniej klucz i poprosiłam, żeby czuła się jak u siebie. W kuchni było ciepło, a w powietrzu unosił się cudownie znajomy zapach. To mogły być wakacje, jakieś święto zamiast tego, czym tak naprawdę było.

Peter ubrany tak elegancko wyglądał śmiesznie. W ciągu prawie piętnastu naszych lat włożył na siebie garnitur może ze dwa razy. Raz na bal pracowników w Birches i drugi raz z okazji ślubu Chucka i Leigh. Zazwyczaj chodził w dzinsach i T-shirtach. Większość jego ubrań miała wytarte łokcie i kolana, była pobrudzona mąką lub żywicą. W Echo Hollow niewiele było miejsc, gdzie wymagano formalnego ubioru. Ten garnitur pożyczył od Chucka Moony'ego, który miał takie szczęście, że często bywał na pogrzebach. Niestety Chuck był dziesięć centymetrów niższy od Petera, więc garnitur okazał się przykrótki. Przez całą mszę Peter poprawiał sobie mankiety. A pierwsze, co zrobił po powrocie do domu, to poszedł się przebrać. Rich natomiast prezentował się w swoim garniturze bardzo dobrze. Widziałam, jak rankiem przed pogrzebem starannie prasował koszulę. Używał pary wydobywającej się cienkimi strużkami z żelazka oraz krochmalu w spreju. Gdyby mógł, nie ściągałby z siebie tego ubrania przez cały dzień, ale niestety Violet zwymiotowała na jego ramię.

– Chyba mam migrenę – powiedziała Lily. Spojrzała na Richa proszącym wzrokiem. – Muszę się położyć.

Nie odezwał się ani słowem. Przełożył Violet na drugą rękę i wytarł jej buzię czystą pieluszką.

Zrezygnowana Lily poszła do sypialni mamy i ostentacyjnie zatrzasknęła za sobą drzwi. Nie chcąc w tym uczestniczyć, skierowałam się do kuchni, żeby pomóc Rosey.

– *Hola* – powitała mnie Rosey. Otworzyła drzwi piekarnika i schyliła się, żeby wyciągnąć parującą enchiladę. – *Ay, que bonita*<sup>3</sup> – dodała, wskazując na moją sukienkę, którą zdjęłam z wieszaka przy kasie w sklepie w centrum handlowym. Kupiłam ją bez przymierzania. Nie było to coś, co zamierzałam włożyć jeszcze

kiedykolwiek. Czarny poliester z błyszczącym czarnym pasem w talii. Prawdopodobnie ją wyrzucę, gdy będziemy się pakować przed powrotem do domu.

– Dziękuję – powiedziałam. – Pomóc ci w czymś?

– Nie, nie, nie. Siadaj.

Wiedziałam, że z Rosey lepiej nie dyskutować, więc usiadłam grzecznie przy kuchennym stole i otworzyłam paczkę papierosów Richa. Zostało raptem kilka, więc zamknęłam ją i odłożyłam na bok.

– Częstuj się – odezwał się Rich. Stał w drzwiach, delikatnie kołysząc Violet w ramionach. – Mam jeszcze jedną w samochodzie.

– Dzięki – odpowiedziałam i wyjęłam jeden papieros.

Palę tylko przy specjalnych okazjach. Zastanowiłam się przez chwilę, czy pogrzeb to „specjalna” okazja. Otworzyłam drzwi do ogrodu, stanęłam w przejściu i zaczęłam wypuszczać dym na zewnątrz.

– Kupiłam talerz wędlin u Smitha, trochę napojów gazowanych i alkohol – oznajmiła Rosey. Zdjęła rękawice kuchenne mamy i rzuciła je na stół. – Nie wiedziałam, kto będzie miał na co ochotę, więc kupiłam i wódkę, i whisky. Osobiście wolę whisky, ale nie wiem jak inni.

– Gdzie masz butelki? – zapytałam.

– W reklamówce. – Rosey wskazała torbę.

– Chcesz się napić, Rich? – spytałam, ale on już poszedł do Petera do salonu.

– *Si, si* – powiedziała Rosey. – Zrób mi whisky z colą.

Rzuciłam papieros na przemarzniętą ziemię. Zaskwierczał, gdy upadł w wilgotną trawę. Wzięłam z zamrażalnika garść kostek lodu i wrzuciłam do dwóch szklanek. Wlałam do każdej z nich sporo whisky, a potem dodałam colę. Podałam Rosey szklanę i zaprosiłam gestem, żeby przysiadła się do mnie.

– Twój tata wyglądał bardzo dobrze w garniturze. – Uśmiechnęła się. – Miło znów go zobaczyć.

Skinęłam głową. Tata, podobnie jak Peter, źle się czuł w garniturze, więc w drodze do domu zatrzymał się na chwilę w swoim motelu, żeby szybko się przebrać.



– Wygląda na to, że Kalifornia mu służy – dodała.

Znów pokiwała głową. Kiedy wyjechał z Sheilą lata temu, kupił bar gdzieś na południe od Los Angeles. Sprzedał go kilka lat później, gdy ze sobą zerwali. Od tego czasu mieszka w San Diego, gdzie prowadzi lokal przy Pacific Beach. Byliśmy tam raz z Peterem. To miejsce, które odwiedzają głównie motocykliści. Niezależnie od pory dnia przed wejściem stoją zaparkowane harleye. Dwadzieścia, może trzydzieści, jeden obok drugiego. Każdy kolejny bardziej wyszukany i ozdobiony. Siedziałam przy otwartym oknie wychodzącym na plażę i obserwowałam, jak grupa motocyklistów opuszcza lokal. Wyglądało to jak odlot ptaków nieznanego gatunku.

To prawda, Kalifornia służyła ojcu. Przypuszczam, że zawsze tak było. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek myślał o tym, co by się stało, gdyby nigdy nie spotkał mamy i nie przeprowadził się do Arizony.

– Msza była bardzo ładna, prawda? – zapytała Rosey, błyskawicznie opróżniając szklankę i odstawiając wciąż pełną lodu na stół. – Ten nowy ksiądz to jeszcze *niño*, to znaczy dziecko, co? Jeszcze ma mleko pod nosem.

– Miał sandały na nogach – dorzuciłam.

Ksiądz istotnie był młody. Nosił birkenstocki i grube wełniane skarpety. Ponieważ kolejny pogrzeb był zaplanowany zaraz po pogrzebie mamy, nieustannie zerkał na zegarek. Kwiaty z poprzedniej ceremonii nie zostały jeszcze usunięte, więc kościół był wypełniony niezwykłym, upojnym zapachem żółtych róż. Było coś dziwnego w bukietach żółtych róż w listopadzie. Musiałam spoglądać przez witraże na padający śnieg, aby sobie przypomnieć, że zima jest tuż za rogiem. Pewnie o to chodziło tacie, gdy mówił, że w Kalifornii trudno się zorientować, jaka jest pora roku. Czułam się winna, że msza żałobna w intencji mamy została odprawiona w dusznej atmosferze przywiedłych kwiatów. Do tego ksiądz cały czas zmagał się ze swoim drapiącym gardłem. Zatrzymywał się co jakiś czas, aby odkaslnąć. Każda taka przerwa sprawiała, że czułam się coraz bardziej niezręcznie. Tata siedział między mną a Lily. Rich i Peter ulokowali się po przeciwnej stronie. Rosey siedziała sama za

nami. Pojawili się lekarz mamy, jej fryzjer oraz chłopiec, którego zatrudniała do odśnieżania podjazdu. Najbardziej mnie zasmuciło to oraz „pożyczone” kwiaty. Nie chodziło o to, że mamy nie było już z nami, ale jak samotna była na tym świecie.

Lily kiedyś mi powiedziała: „Wszyscy ją zostawili. Tata ją zostawił, ty ją zostawiłaś. Tylko ja jej zostałam. Tylko ja... Straciła wszystko. Straciła Benny’ego, a potem was wszystkich”. Moja siostra jako jedyna płakała. Spływające po jej policzkach łzy, różowe od makijażu, który nałożyła, żeby przykryć sińce pod oczami, tworzyły żalostny obraz. Mama z pewnością byłaby zażenowana całą ceremonią. Z pewnością parskałaby i wyrażała niezadowolenie, mówiąc: „Co za wspaniała frekwencja”.

W kuchni pojawił się tata. Wstałam, żeby przygotować mu drinka. Wódkę z napojem imbirowym. Był to jedyny rodzaj alkoholu, jaki pijał, nie licząc piwa. Przytulił się do pleców Rosey, gdy nakładała łyżką serowe enchilady na papierowe talerze wyciągnięte z szafki.

– To jest prawdziwy powód, dla którego tu przyjechałem. – Puścił do mnie oko.

Wiedziałam, że mówi prawdę.

Usiedliśmy w salonie z talerzykami na kolanach i drinkami na oparciach foteli, starając się nie rozlać niczego na dywan. Po zjedzeniu złożyliśmy papierowe talerze na pół, wyrzuciliśmy je do kosza pod zlewem i wróciliśmy do salonu, gdzie każdy znalazł dobrą wymówkę, żeby ostatecznie pójść w swoim kierunku. Lily, która na prośbę Richa przyszła się pożegnać, wciąż miała zaczerwienione oczy i nadal bolała ją głowa tak bardzo, że wróciła do sypialni. Rich zasnął na kanapie z Violet na piersiach, a tata i Rosey wyszli razem. Do Rosey miały dziś przyjść wnuki na kolację, a tata planował spędzić wieczór u swojego przyjaciela Eddiego Granda i jego żony, więc czekała go podróż do Phoenix. Lot do Kalifornii miał zaplanowany dopiero na jutro.

– Dziękuję, że przyjechałeś, tato – powiedziałam, przytulając się do niego.

– Nie ma za co, kochanie. Dzwoń do mnie, jeśli będziesz

potrzebować czegokolwiek, dobrze? I może uda ci się namówić Petera, żebyście wsiedli w samolot i odwiedzili mnie czym prędzej.

Kiwnęłam głową i uśmiechnęłam się do niego, a kiedy jego samochód zniknął między drzewami, poczułam, jak zbiera mi się na płacz. Zawsze źle znosiłam pożegnania z ojcem.

W dawnym pokoju Benny'ego zdjęłam buty i pończochy i wtuliłam się w Petera, który leżał na zbyt małym łóżku. Dopiero wtedy, gdy poczułam to znajome ciepło i łaskotanie brody na karku, ogarnął mnie prawdziwy smutek. W jego ramionach słodko pachnących sosną i pod wpływem dotyku jego palców przeczesujących moje włosy zaczęłam płakać. Ciało jednak nie zdrząło. Wstrzymałam oddech, aby się uspokoić, i odwróciłam twarz tak, by łzy skropiły mi włosy.

Śniła mi się mama. Śniły mi się jej gesty i wyrazy twarzy. Sposób, w jaki kierowała rękę do szyi, ilekroć się denerwowała. Ten delikatny uśmiezek czy kamienna twarz pozbawiona wyrazu, gdy była rozczarowana. Niestety, nieważne, jak bardzo próbowałam, nie potrafiłam wyśnić jej całej. Przychodziła do mnie we fragmentach, które przesypywały mi się przez palce jak piasek. Śniłam o tym, jak wzruszała ramionami, o kącikach jej ust, kiedy się uśmiechała.

Obudziłam się zmarznięta i zdezorientowana. Peter wciąż spał obok mnie, ale już mnie nie przytulał. Leżał teraz zwrócony twarzą do ściany. Jego koszula była pognieciona, a spodnie podwinięte aż do kolan. Zastanawiałam się przez chwilę, czy poprawić mu ubranie, ale wtedy dotarło do mnie, że w ten sposób go obudzę.

Wstałam z łóżka Benny'ego i otworzyłam drzwi na korytarz. Światła były zgaszone, na korytarzu było ciemno. Mógł to być zarówno środek nocy, jak i chwila przed świtem, ale gdy spojrzałam na zegarek, okazało się, że jest dopiero dziewiętnasta.

Drzwi do sypialni rodziców były uchylone. Kątem oka dostrzegłam Richa. Spał. Wciąż miał na sobie spodnie od garnituru i białą wykrochmaloną koszulę. Ani Lily, ani Violet nie było w pokoju. Serce zaczęło mi dudnić, gdy pośpiesznie zbliżałam się do ciemnej kuchni i salonu. Oczy ciągle przyzwyczajały się do panujących ciemności. Widziałam cienie, kontury i ostre kanty

urządzeń elektrycznych, mebli i ścian. Weszłam na palcach do salonu, obawiając się tego, co tam zastanę. Było zbyt cicho.

Lily siedziała na kanapie, trzymając w rękach córeczkę owiniętą kocem. Żadna z nich się nie poruszała. Stałam na tyle daleko, że siostra nie mogła mnie zobaczyć ani usłyszeć. W dodatku było zbyt ciemno. Czułam, jak wzbiera we mnie krzyk. Zacisnęłam dłoń na framudze, aż kostki zrobiły się białe, gdy moja siostra nachyliła się, żeby pocałować bladą główkę Violet.

– Lily – zagadnęłam ostrożnie.

Spojrzała na mnie. Przez jej twarz przebiegł strach. Widziałam go w jej oczach, ręce zaczęły jej drżeć. Mięśnie szyi ścisnęły się, kiedy powiedziała:

– Indie, proszę...

– Co robisz? – zapytałam, powoli zbliżając się do kanapy. – Co jej zrobiłaś?

Chwyciła mocniej Violet.

– Indie, proszę, nie mów mu, proszę, nie rób tego.

Padłam przed nią na kolana i wyciągnęłam ręce ku niemowlęciu. „Może być już za późno – pomyślałam. – O Boże, ona może już nie żyć!”.

Violet wydała zduszone pojękiwanie, gdy Lily przycisnęła ją mocniej do siebie. Była rozdrażniona i zdenerwowana. Obudziłyśmy ją. Zwyczajnie wyrwałyśmy ją ze snu. Zamrugła dwukrotnie, ciężko, a potem ponownie zamknęła zmęczone oczka.

– Indie, proszę, nie mów nic Richowi. Chciałam ją tylko potrzymać.

Usiadłam na kolanach i zaczęłam się wpatrywać w przerażoną twarz mojej siostry. Nie rozumiałam.

– On nie pozwala mi się do niej zbliżyć, a ja po prostu chciałam ją potrzymać. Chciałam tylko popatrzeć, jak zasypia. – Lily płakała teraz bardziej niż na pogrzebie. – Przysięgam – szlochała. – Nie zrobię jej krzywdy.

Kolana mi zdrętwiały. Nie mogłam się ruszyć. Wyciągnęła do mnie rękę w błagalnym geście. Chwyciła mnie za ramię, mając nadzieję, że zrozumie i wybaczę. Ten gest – te palce proszące

o przebaczenie – był dla mnie czymś zupełnie nowym. Nie należał do mamy, tylko do Lily, i zdawał się kreślić na mojej skórze słowa: „Przepraszam, przepraszam, przepraszam”.

Dźwięki, zwierzęce odgłosy ostrzeżenia i obrony ugrzęzły mi w gardle. Cały gniew i strach, które przed chwilą mnie wypełniały, rozpuściły się jak cukier w ciepłej wodzie. Metal stał się cieczą. Cyna przekształciła się w rtęć. Wyciągnęłam dłoń w kierunku Lily i starałam się odnaleźć w niej twarz naszej matki, ale jedyne, co widziałam, to delikatny błękit oczu należący tylko do niej. W mroku pokoju, z Violet śpiącą spokojnie między nami, pomyślałam, że czekałam na taką chwilę. Cały ten czas chciałam jedynie usłyszeć przeprosiny. Chciałam, aby ktoś się wreszcie głośno przyznał, że stało się coś bardzo złego.

– Zrobiłaś to? – spytałam cicho. – Zrobiłaś?

Jej palce wbiły się w mój nadgarstek. Potem puściła moją rękę. Miała szeroko otwarte oczy. Przyciągnęła Violet do piersi i pokręciła głową.

– Ty kretynko. Ty cholerna kretynko – szepnęłam.

Nagle wszystkie elementy mojego snu, gesty mamy odnalazły swoje miejsce. Kącki jej ust, zaciśnięta szczęka i aroganckie spojrzenie – to wszystko tworzyło teraz twarz Lily. Spojrzała na mnie nieufnie i syknęła:

– Jak możesz wierzyć w to gówno, które on wygaduje? Myślisz, że kim ja jestem? Jaka matka zrobiłaby coś takiego własnemu dziecku?

Wpatrywałam się w pusty błękit jej oczu, ale Lily już w nim nie było.

– Taka matka jak nasza – powiedziałam. – Ktoś taki jak nasza mama.

\*

Zawsze jest jakiś subtelny gest, który wszystko komplikuje. Zawsze jest przebłysk dobroci bardziej bolesny niż szkło czy kawałki kości. Tak jak wtedy, gdy dłoń nagle staje się delikatna chwilę po tym, jak przestała się zaciskać w pięść. Łza w bezlitosnym oku. Trzymamy się tych potwierdzeń, tych drobnych przeprosin, starając się wszystko pojąć, ale jest to równie łatwe i realistyczne jak utrzymanie wody, piasku czy wiatru w dłoniach.

Uwielbiałam podszyca w sukienkach mojej matki. Mogłam ich czasem dotknąć, gdy bawiłam się z Bennym garnkami, patelniami czy drewnianymi łyżkami na podłodze, a mama akurat przechodziła obok. Były dla mnie jak wiatr. Przez chwilę miałam je między palcami, a za moment były gdzie indziej. Przynajmniej dopóki nie przechodziła przez pokój ponownie. Mogłam bez końca siedzieć na zimnym linoleum w łazience i bawić się sukienką mamy, gdy stała przed lustrem i patrzyła na swoją twarz. Benny natomiast uwielbiał jej miękkie brązowe buty zapinane na suwak.

Jej wysokie zamszowe buty w kolorze kawy. Wkładał swoje ręce do środka, żeby poczuć ciepło, ilekroć tylko zostawiała je na podłodze. Mnie jednak zachwycał ostry brzeg bawełny lub luźne powiewy sztucznego jedwabiu. Pocierałabym nimi swoje policzki, wkładała do ust i próbowała ich smaku, gdyby tylko mi na to pozwoliła.

Obszycia jej sukni były delikatne. Podobny rodzaj delikatności widziałam, gdy odgarniała włosy znad oczu Benny'ego. Ta delikatność była w niej, zanim piorun podniósł mnie do nieba i rzucił na ziemię. Potem delikatne palce ponownie zacisnęły się w pięści. Wyciągnięte wzdłuż jej boków. Groziły mi za każdym razem, gdy moje palce chciały dotknąć tej części jej ciała, która przypominała mi wiatr.

Mama zadzwoniła do taty zaraz po powrocie z Foodmartu.

– Kręciłam się w samochodzie, szukając Crissy, tej lalki Indie. Lily siedziała z tyłu. Indie była w koszyku na zakupy, cała zdenerwowana. Wiedziałam, że nie przestanie się denerwować, dopóki nie dostanie swojej zabawki. Zerknęłam tylko na sekundę. Na mniej niż sekundę, gdy to się stało.

Odłożyła słuchawkę, odwróciła się i złapała mnie za ramiona.  
– Gdzie jest Crissy? Gdzie jest twoja lalka? – zapytała drżącym głosem.

Wzruszyłam ramionami. Przestałam się nią bawić, gdy popsuł się guzik, który wysuwał jej długie rude włosy z wnętrza plastikowej głowy. Nie potrafiłam się nią bawić, kiedy miała schowany kucyk. Zamknęłam więc oczy i starałam się przypomnieć sobie, gdzie ostatni raz ją widziałam.

– Musimy ją znaleźć – powiedziała mama i pobiegła prosto do mojego pokoju. Usłyszałam skrzypienie wieka kufra z zabawkami oraz stłumione dudnienie moich rzeczy rzucanych na drewnianą podłogę. – Cholera! Gdzie jest ta głupia lalka?

Oczami wyobraźni widziałam spięte rude włosy Crissy. Widziałam ją na zewnątrz, na polu za domem. Widziałam, jak bawi się nią Benny, wykręcając jej rączki.

– Zepsuła się – oznajmiłam, idąc korytarzem do mojego pokoju.

– To jest bardzo ważne. Czy wiesz, gdzie ona jest?

Pokręciłam głową.

– Ona ma tylko jedną rękę. Benny ukręcił jej drugą.

– Gdzie Benny ją położył?

Po raz kolejny wzruszyłam ramionami, siadając po turecku przy skrzyni z zabawkami, i zaczęłam się bawić klockami z alfabetem. Były tak bardzo zużyte, że czerwona farba starła się do delikatnego różu. Spojrzałam na mamę, na jej sukienkę w groszki, na brzeg sukni z czarnymi i białymi kropkami. Wyciągnęłam dłoń, chcąc poczuć bawełnę między palcami. Chciałam się jej przytrzymać. Poczułam uderzenie na swojej dłoni. Było ostrzejsze i bardziej bolesne niż błyskawica przesywająca moje ciało. Cofnęłam rękę i schowałam ją w drugiej, która nie bolała.

Twarz stojącej nade mną matki niczego nie wyrażała. Widziałam pustkę w jej oczach.

– Leży w kwiatkach – powiedziałam.

Głos mi się załamał, a ręka wciąż bolała.

– Na zewnątrz? – zapytała. Jej twarz się rozjaśniła. Uklękła obok mnie, jej spódnica była teraz niczym twierdza w kropki. –

W ogrodzie?

Skinęłam głową, ssąc dolną wargę i powstrzymując się od płaczu. Cofnęłam się, gdy próbowała pocałować mnie w policzek.

Poraniłam sobie palce o krawędzie klocków. Nie chciałam znów do tego dopuścić, ale jej wargi były ciepłe i miękkie, a skóra pachniała tak jak pachnie Lily: pudrem i słodkimi cytrynami.

Poszłam za matką do kuchni. Widziałam, jak otwiera tylne drzwi i idzie na dwór, żeby znaleźć moją lalkę. Schyliła się i zaczęła odgarniać trawę. Wyglądało to tak, jakby zrywała kwiaty, żeby ułożyć bukiet fioletowych astrów i umieścić je w wazonie na stole w kuchni.

Odwróciła się do mnie, kiedy udało jej się odnaleźć lalkę. Stojąc wśród kwiatów, trzymała moją podniszczoną lalkę z jedną rączką.

– Indie, patrz. Znalazłam! – krzyknęła.

Lalka mnie nie interesowała. Bardziej obchodził mnie wyraz twarzy mamy i to, że się zmienił. Znów zagościł na niej uśmiech. Wręczyła mi Crissy i wzięła mnie z powrotem na ręce. Trzymała mnie blisko, a moje nogi dyndały w powietrzu. Czułam ciepło i szczęście. Poczułam również więź z lalką, którą odrzuciłam, a która leżała potem na deszczu. W ramionach mamy, z Crissy w dłoni i z nogami oplatającymi sukienkę w kropki cały świat stracił na znaczeniu.

Tej nocy tata pomógł mi włożyć jagodową piżamę i przenieść koce z łóżka na kanapę. Rano miałam się wybrać do lekarza, żeby się przekonać, czy wszystko ze mną w porządku, ale teraz tato chciał mieć mnie na oku. Z kuchni dobiegły brzęk widelca uderzającego o talerz i bulgotanie mleka wlewanego z butelki do szklanki. Tata przyniósł mi tacę z jedzeniem do salonu. Usta wypełniły się zbyt wieloma nowymi i dziwnymi smakami, tak jakby piorun sprawił, że mój język zaczął mylić smaki.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego zostawiłaś ją w wózku, kiedy padał deszcz – powiedział cicho.

– Byłam w samochodzie i szukałam tej cholernej lalki – syknęła.  
– Nie da się pilnować jej cały czas. Kiedy na nią spojrzałam, było już po wszystkim. Gdybym tam nie stała, to nie byłoby jej teraz z nami,



prawda? – Głosy rodziców mieszały się w moich ustach i smakowały jak sok pomarańczowy z pastą do zębów.

Staralam się rozdzielić smaki. Klopsy, zapiekanka ziemniaczana, fasola z puszki. Kłamstwa mamy i przyzwolenia taty. Przestałam to odczuwać dopiero wtedy, gdy oboje ucichli, choć poczułam na ustach delikatną gorycz w westchnieniu taty i uporze mamy oraz odrobinę cukru w odgłosach, jakie wydawała z siebie Lily. Benny jako jedyny zachowywał spokój. Jedyny, który nie zostawiał okropnego posmaku w moich ustach.

Tuliłam lalkę mocno do piersi. Próbowalam wyciągnąć jej włosy, ale niestety przez zepsuty guzik nie dało się tego zrobić. Utknęły gdzieś we wnętrzu plastikowej głowy.

\*

Wyniki badań gruntu przysły pocztą dzień po pogrzebie. Odwołałam już człowieka od radonu, ale kompletnie zapomniałam o tym drugim. Rzuciłam na kuchenny stół całą pocztę adresowaną do mamy: formularze zgłoszeniowe do konkursów, formularze do odnowienia subskrypcji jakiegoś magazynu, katalog sklepów Sears. Zostawiłam w dłoni tylko kopertę z laboratorium.

Słyszałam, jak Peter bierze prysznic. Siedział w łazience już od pół godziny. Czasami robił to samo w domu, w Maine. Wchodził do ciepłej wody, żeby się ogrzać w chłodniejsze dni, tak jakby ciepło miało przeniknąć przez jego skórę i pozostać we wnętrzu. Wyobrażałam sobie, jak używa szamponu mamy, nie zwracając uwagi na nalepkę, na której było napisane, że to szampon do włosów farbowanych. Korzysta z jej lawendowego mydła, miętowej nici dentystycznej i czystych białych ręczników. W przeciwieństwie do mnie Peter nie zwracał uwagi na takie rzeczy.

Wszystko, na co teraz patrzyłam, odsłaniało przede mną kolejne informacje o mamie. Otaczała się rzeczami, których łatwo się pozbyć. Zdawały się mówić o niej więcej niż cokolwiek innego.

Zawiozłam koty do schroniska. Przyznaję, że niechętnie. Kocia matka była coraz silniejsza i okazywała coraz więcej uczuć. Przywiązałam się do tych zwierząt bardziej, niż tego chciałam. Było mi smutno i czułam się winna, kiedy dziewczyna z aparatem na zębach i tak zwanym leniwym okiem wzięła ode mnie karton.

W dwulitrowej butelce, którą kupiła Rosey, zostało jeszcze trochę coli. Wyjęłam ją z lodówki i odkręciłam nakrętkę. Butelka delikatnie syknęła, wlałam zawartość do kubka i pociągnęłam łyk. Cola była przeraźliwie słodka i pozbawiona gazu. Usiadłam i spojrzałam na rozmazany stempel pocztowy na kopercie z laboratorium. List został wysłany w dniu śmierci mamy.

Peter wyszedł spod prysznica i zaczął myć zęby. Miał na sobie dzinsy i ręcznik zawinięty wokół szyi jak śliniaczek. Najpierw wyszorował górną szczękę, potem dolną, okrężnymi ruchami, tak jak uczy się dzieci podczas pierwszych wizyt u dentysty. Następnie użył nici, po czym umył zęby ponownie. Tym razem szybciej, bez użycia pasty.

Dziewczyna ze schroniska z aparatem na zębach i leniwym okiem miała nie więcej niż szesnaście lat. Była jedną z tych osób, które chcą zostać weterynarzem po śmierci swojego pierwszego zwierzaka. Widziałam ją z szarym długowłosym kotem. Mogła stać boso w zroszonym krwią śniegu, po tym jak kota przejechał samochód, i gapić się na miejsce wypadku.

Zabawne. Poczta potrafi przychodzić jeszcze długo po czyjejś śmierci. Mija trochę czasu, zanim nazwisko zmarłego zniknie ze wszystkich komputerów przechowujących jego dane osobowe. Przez rok po śmierci matki Chuck Moony dostawał ponad trzydzieści magazynów i każdy próbował go przekonać do odnowienia prenumeraty.

Nawyki Petera znam jak własne. Wkłada ubrania od lewej do prawej. Rękawy, nogawki spodni, buty. Robi tak od dziecka i już nie pamięta, dlaczego zaczął w takiej kolejności, ale twierdzi, że nie może postępować inaczej. To jego rytuał, aby odeprzeć niebezpieczeństwo. Najpierw lewa, potem prawa. Rękawiczki. Skarpety. Buty. Pewnego razu zrobił to odwrotnie i na drodze zdarzył się straszny wypadek. Motocyklista jadący przed nim nie wyhamował, wjechał w tył naczepy i został przecięty na pół.

Zatem od lewej do prawej. Tak jest po prostu łatwiej.

Rozmyślałam o kociaku, który zdechł. Tym zakopanym w ogrodzie. Ziemia była zbyt twarda, a ja nie byłam w stanie wykopać dość głębokiego dołu. Mam nadzieję, że nic złego nie stanie się z nim po naszym wyjeździe. Staralam się nie myśleć o kojotach, jastrzębiach czy sępach. One tylko czyhały, aż odwrócę wzrok. Spojrzę gdzie indziej i w ułamku sekundy martwe ciało zostanie wyciągnięte z ziemi. W schronisku nie wspomniałam o tym, że jedno z kociąt nie żyje. Jak mogłabym wytłumaczyć coś takiego dziewczynie z aparatem na zębach i leniwym okiem?

Miałam nadzieję, że wynik testów będzie pozytywny. Chciałam, by wykazały, że cały dom jest skażony. Chciałam, żeby w wodzie i ścianach były ołów, azbest, radon i arsen. Chciałam, żeby trucizna była tu przez cały czas. We wszystkim, co piła, czym oddychała i czego dotykała. Chciałam, żeby choć raz okazało się, że wszystko,

co powiedziała, było prawdą. Chciałam w to wierzyć, dlatego zamiast rozerwać kopertę, po prostu ją złożyłam i wyrzuciłam do kosza.

Peter spuścił wodę w toalecie i odkręcił wodę w umywalce. Nie zakręci kranu, dopóki nie wyczyści umywalki z włosów. Nawet wytrze kran, żeby nie zostały na nim ślady. Wszystko w jego świecie był czyste i jasne. Gwiazdy na niebie Petera z pewnością stoją w rzędach.

Rich powiedział, że zadba o wszystko. Wystawi dom na sprzedaż. Miał przyjaciela, który był agentem nieruchomości w Mountain View. Sprzeda również wszystkie jej rzeczy.

– Bierz, co chcesz, Indie. Zajmę się resztą.

– Co robimy? – wyszeptałam.

Zaciągnął się papierosem, a kiedy wypuścił dym, wyglądało to jak duch uciekający z jego ust.

– Nie wiem.

Skinęłam głową i wzięłam papierosa, którego mi zaproponował. Zaciągnęłam się i zaczęłam tworzyć własne, mniejsze duchy.

Przeglądałam szuflady i szafki. Do małego pudełka włożyłam rzeczy, które chciałam zatrzymać. Korkociąg, niektóre pudełka Tupperware, olbrzymi czarny moherowy szal. Były też rzeczy, które bardzo chciałam zabrać ze sobą, ale było to niemożliwe: zapach śniegu, który czułam w pokoju Benny'ego, dźwięk dzwonków na wietrze, które mama zawiesiła w ogrodzie lata temu, blask i chaos konstelacji pojawiających się nocami na suficie mojego brata. Poszłam z Peterem na spacer do lasu za domem, kiedy zostaliśmy całkiem sami. Owinięta szalem mamy aż po głowę oddychałam naftaliną. Szliśmy przed siebie w kompletnej ciszy, trzymając się za ręce. Udawałam, że w rzeczywistości spacerujemy po lesie za naszym domem, że jesteśmy u siebie, a nie tutaj. Niebo było tak jasne i tak niebieskie jak jajo rudzika. Skojarzenie, o którym nie pomyślałby nikt, kto na własne oczy nie widział rudzika wykluwającego się ze skorupki.

Peter szedł powoli, tak abym mogła za nim nadążyć. Miał dłuższe nogi i mimo że utykał, zazwyczaj chodził o wiele szybciej.

– Nie jest ci zimno? – zapytał, ściskając moją dłoń.

Zapomniałam zabrać ze sobą rękawiczki.

– Nie – odparłam, wchodząc na gałąź leżącą na ziemi.

– Jesteś pewna? Zawsze możemy wrócić i coś ci znaleźć.

– Jest okej.

Peter uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

– Co? – zapytałam.

– Nie, nic.

Spojrzałam na niego ze złością, lecz on patrzył prosto przed siebie. Słysząc było jedynie nasze buty szurające o grube warstwy mokrych liści i nasze oddechy.

– Dlaczego jesteś zły? – nie odpuszczałam.

– Nie jestem zły. Po prostu pomyślałem, że jeśli chcesz, możemy wrócić do domu po rękawiczki. Przepraszam.

– Chyba po prostu nie rozumiem, dlaczego zawsze musisz być bohaterem. Wiesz, o co mi chodzi? „Indie, potrzebujesz tego? Indie, potrzebujesz tamtego? Zajmę się tym. O nic się nie martw. Bla, bla, bla”. Potrafię o siebie zadbać, wiesz? – Nie wiem, dlaczego tak wybuchłam, ale było już za późno.

– O czym ty mówisz? – Peter zatrzymał się i chwycił mnie za rękę.

– Ja... – zaczęłam, cofając dłoń. – Jestem zwyczajnie zmęczona tą ciągłą troską. Jestem zmęczona tym, że to zawsze ty ratujesz sytuację. Jestem zmęczona tym, że to zawsze ja jestem w rozsypce.

Usiadł na powalonym drzewie i popatrzył na swoje dłonie.

– Tracę pracę, a ty podajesz mi łyżkę i słoik nutelli. Tracę matkę, a ty od razu wsiadasz w najbliższy samolot. Tracę rozum, a ty na to: „Nie przejmuj się, Indie. Masz tutaj nowy. Ja stawiam”.

– To, co mówisz, nie ma żadnego sensu – stwierdził.

– To ma bardzo dużo sensu. Ty nie potrzebujesz mnie. Ty potrzebujesz tego, abym była w rozsypce.

– Przepraszam, zawsze sądziłem, że to jest to, co ludzie robią nawzajem, jeśli im na sobie zależy. Chyba byłem szalony – powiedział Peter i stuknął się w czoło.

Usiadłam na wilgotnych liściach, czekając, aż powie mi, że bym

wstała, bo ubrudzę i zmoczę sobie spodnie, że się przeziębę, że popełniam kolejny błąd.

– Ty nigdy nie dałeś mi okazji, żeby o ciebie zadbać. Nie potrzebowałeś, żeby pozbierać cię do kupy. Tobie nigdy nic się nie przydarzyło.

– Oczywiście, że potrzebowałem – rzekł, ponownie sięgając po moje ręce.

Jednak oboje wiedzieliśmy, że nie mówił prawdy. A to właśnie robią ludzie, którzy o siebie dbają. Mówią to, co mają do powiedzenia. Powiedzą wszystko, aby utrzymać równowagę.

Wracaliśmy do domu w ciszy.

Zasłoniłam wszystkie okna w salonie, tak by przedostawała się jedynie cienka strużka światła. Peter usiadł obok mnie na kanapie i sięgnął po moją rękę. Wahał się. Może się nawet bał. Jego ostrożność sprawiła, że poczułam się okropnie. Ścisnęłam go tak mocno, aż poczułam kości palców, rytm krwi w jego żyłach i napięte ścięgna. Trzymałam tak mocno, aż poczułam ból. Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie. Spojrzał na mnie pytającym wzrokiem. Zdawał się pytać. O to, kiedy znowu będę normalna.

Otworzył szeroko oczy z przerażenia, gdy pchnęłam go na kanapę i ściągnęłam mu dzinsy aż do kostek. Zamknął je, kiedy objęłam nogami jego ciało i zbliżyłam swoje nagie piersi do jego klatki. Przytulałam się do niego tak bardzo, aż nie zostało między nami wolnej przestrzeni. Włożyłam go w siebie, marząc o tym, bym mogła połknąć go w całości, wypełnić nim swoje ciało, aż jedyną częścią mnie, która pozostanie, będzie cienka warstwa skóry, niczym skóra węża, łatwa do zrzucenia, lub przezroczyste łuski cykady. W pewnym momencie dotknęłam jego uda i z oczami mokrymi od łez pomyślałam z przestraszaniem, że to moja noga.

\*

Myliłam się co do tego, że mieszkam wystarczająco daleko. Myślałam, że sama geografia może oddzielić mnie od dzieciństwa. Nie rozumiałam wtedy idei czasu. Byłam naiwna. Wierzyłam, że sama walizka będzie dowodem tego, że wyjazd jest pewny.

Oto ja, dziewiętnastolatka w niebieskich lewisach, które dostałam od Armii Zbawienia, a które nosił wcześniej ktoś inny. To był mój drugi uniform, który miałam w Birches. Podobał mi się sposób, w jaki spodnie leżały na mojej talii i jaki kształt nadawały ciału, gdy opierałam się o barierkę na ganku. Nosiałam też chłopięce T-shirty z dekoltem w serek, które kupiłam w potrójnych paczkach w Walmarcie, zanim tu przyjechałam. Ten, który miałam dziś na sobie, był prosto z paczki, lekko pognieciony przy ramionach i talii. Nosiałam też korale nawleczone na czarny skórzany pasek. Do tego granatowe conversy, luźno zawiązane, tak abym mogła je wsunąć na stopy bez potrzeby ciągłego zasznurowywania. Moje kostki były nagie i brązowe. Paliłam papierosy i miałam srebrną zabytkową zapalniczkę z wygrawerowanymi czyimiś inicjałami.

Obie moje współlokatorki pracowały na poranne zmiany, więc zdarzało im się mnie budzić. O poranku ich głosy pachniały krochmalem i lakierem do włosów. Nie przeszkadzała mi wczesna pobudka, gdy resztę dnia miałam wolną. Dzięki temu dzień wydawał się dłuższy.

Słońce świeciło przez chmurę lakieru unoszącą się w powietrzu. Wyrzałam przez okno na niemożliwie błękitne jezioro, niesamowicie zielone pole golfowe i kilometry idealnie przystrzyżonego trawnika. Byłam głodna i przysięgam, że czułam zapach naleśników z syropem klonowym i bekonem.

Ubrałam się i poszłam do budynku, który mieścił się po drugiej stronie parkingu. To tam jadłyśmy, robiłyśmy pranie albo oglądałyśmy telewizję. O tej porze większość ludzi spała, a inni byli już w pracy. Byłam w hotelu Birches od dwóch tygodni. To wystarczająco długo, żeby poznać naturę poranków. Dostrzegłam światło słoneczne i brzęk naczyń, szklanek i srebrnych sztuców w hotelowej restauracji. Dzieci umiejscowione w fotelikach rozlewały syrop klonowy po podłodze. Zgryźliwi goście ubrani

w pastelowe barwy wyciągali śpiochy z oczu i narzekali na kolor tostów i smak soków. Zdecydowanie wolałam te poranki, które rozpoczynałam poza restauracją. Ubrana w dzinsy i trampki, z filiżanką kawy i papierosem, na ganku. W tym miejscu nigdy nie czytałam gazet. Tutaj reszta świata mogła być dla mnie jedynie wytworem czyjejs wyobraźni.

Odkąd tu przyjechałam, rozmawiałam z mamą tylko raz. Przestała do mnie wydzwaniać po tym, gdy zdała sobie sprawę, że numer telefonu, który jej podałam, łączył ją z publicznym telefonem wiszącym w korytarzu w części sypialnej dla pracowników. Nigdy nie zostawiła mi żadnej wiadomości. Nie mogła mnie tutaj znaleźć. Była wściekła, że nie wróciłam do domu na lato.

Powiedziałam moim współlokatorkom, że urodziłam się w rezerwacie niedaleko Flagstaff. Mój ojciec był biały, a matka pochodziła z plemienia Nawaho; zmarła, kiedy miałam cztery lata. Jediną rzeczą, jaką pamiętałam, były jej dłonie pełne turkusowych pierścionków. Srebrzyste niebiosa lub jeziora oplatające jej palce. Powiedziałam, że nazywam się Indian. Powiedziałam też o uderzeniu pioruna, ale w mojej wersji tej historii stało się to na pustyni w wyimaginowanym dzieciństwie, a nie na parkingu Foodmartu. Sprawiałam, że mama w swojej sukience w kropki i Lily rozpuściły się w deszczu niczym mała tabletki aspiryny na bruku.

Weszłam do kawiarni, żeby nalać sobie kawy. Wsypywałam śmietankę w proszku do papierowego kubka, rozglądając się po pomieszczeniu w poszukiwaniu naleśników. Byłam w błędzie. Jedyne, co zostało, to jajko sadzone i zapiekanka z warzywami, pomarszczony bekon i pączki. Wyszłam więc z kawą na zewnątrz, usiadłam na ganku i zapaliłam papierosa.

Młody facet w wysokiej białej czapce i fartuchu szefa kuchni wytoczył stolik na kółkach z olbrzymim blokiem lodu przez tylne drzwi na parking. Był chudy i wysoki. Miał na sobie za duże ubranie. Widać było, że jest jeszcze studentem i pewnie dorabia latem tak jak ja. Birches rozsyłał ogłoszenia do wszystkich uczelni w Nowej Anglii. Ja wyrwałam ich numer telefonu z gazetki informacyjnej, którą zostawiono na Wydziale Filologii Angielskiej.



Chłopak wrócił do kuchni i po chwili wyszedł, trzymając w rękach pilarkę łańcuchową. Założył okulary, które do tej pory wisały mu na szyi, pochylił się i zaczął pociągać za sznur, aż pilarka zaryczała. W jego pracy nie było nic delikatnego. Mógłby równie dobrze rąbać teraz drewno, tyle że zamiast wiórów na boki odlatywały strzępki lodu. Okręzał blok, co rusz zwiększając obroty i pracując nad materiałem tak długo, aż wszystkie krawędzie zostały zaokrąglone. Wyłączył urządzenie i zaczął sprawdzać lód, dotykając krawędzi dłonią w rękawiczce. Byłam zafascynowana.

Kiedy ponownie włączył pilarkę, przestał ciąć w poziomie, zaczął natomiast robić małe ataki na lód, kując go ostrzem. Każdy dotyk tworzył nowy kąt, nową ostrą krawędź w lodzie. Robił to pewnie i z dużą precyzją. Nie zawahał się ani razu. Szybkie zwinne ruchy nadgarstka i drżąca maszyna w dłoniach studenta. Oparłam brodę na rękę i podziwiałam jego pracę.

Blok lodu został podzielony na pół, a połówki utworzyły literę V z zaokrąglonymi bokami. Chłopak obszedł stół jeszcze trzykrotnie, a potem wyłączył urządzenie. Wyjął metalowy szpikulec z kieszeni fartucha. Przez chwilę oślepiło mnie światło odbijające się od ostrej krawędzi. Później zaczął strugać.

Pracował nad bryłą przez prawie godzinę. Był całkowicie skoncentrowany na swoim zadaniu. Jego ruchy były szybkie, ale bardzo dokładne. Po każdym uderzeniu młotka o szpikulec wyłaniał się kolejny drobny szczegół. Wkrótce zimny łuk szyi nabrał kształtu. Wyłaniający się z lodu łabędź miał opuszczoną głowę, mimo to prezentował się dumnie. Pod palcami studenta wyrastały przezroczyste, niezwykle silne skrzydła, aż łabędź w całej okazałości wyłonił się na środku stołu.

Odstawiłam kubek z kawą. Student tymczasem ściągnął okulary i zabrał się do przenoszenia rzeźby do kuchni. Wstałam i podbiegłam do niego.

– Hej – zagadnęłam, gdy już zamykał za sobą drzwi.

– Tak?

– To było niesamowite... – oznajmiłam. – To, co właśnie zrobiłeś. Popchnął stolik w głąb kuchni, a jeden z kucharzy go

przechwycił.

– Dzięki, Peter – powiedział szef kuchni.

– Żaden problem – odparł z uśmiechem.

Zamknął drzwi i wyszedł na zewnątrz. Pod szopą czarnych włosów błyszcząły oczy błękitne jak jezioro.

– To znaczy... – uściśliłam – nigdy wcześniej nie widziałam, żeby ktoś rzeźbił coś takiego. Chyba myślałam, że robi się je w formach czy czymś podobnym.

W porze lunchu zawsze serwowano tu posiłki w postaci stołu szwedzkiego. Codziennie przez dwa tygodnie odkąd się tu pojawiłam. Na srebrnych tacach pełnych wędlin, serów i owoców. Lodowy łabędź wznosił się na morzu pietruszki, szpinaku i boćwiny. Zawsze widziałam gotowy produkt, ale nigdy momentu jego przygotowania.

Chłopak skinął głową i włożył ręce do kieszeni.

– Mam na imię Indie. – Wyciągnęłam do niego rękę.

Jego oczy rozpromieniły się. Wyjął rękę z kieszeni i uściśnił moją dłoń.

– Indie, jak w słowie „indywidualistka”? – zapytał.

– Proste. – Uśmiechnęłam się i wzruszyłam ramionami.

– To świetne imię. – Mimo niskiej temperatury miał zaróżowione policzki

– Dzięki.

– Muszę wracać do kuchni – powiedział, sięgając do drzwi.

Poczułam dziwne ukłucie w sercu. Spuściłam wzrok i kopnęłam bryłkę żwiru.

– Zobaczymy się jeszcze – dodał, podchodząc do drzwi.

– Hej! – zawołałam. – A co się z nimi dzieje potem?

Uniósł brwi.

– No z łabędziami?

– Topią się – odparł, wzruszając ramionami.

– Ach...

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem uśmiechnął się.

– Topią się w dużym srebrnym naczyniu, w którym ponownie mrozi się wodę. To stamtąd pochodzi lód. – Mrugnął do mnie

i zaczął zamykać drzwi. – To ten sam łabędź. Moim zadaniem jest  
znajdować go na nowo, każdego dnia.

\*

Wyjazd nie stanowił problemu. Zanim poszliśmy do łóżka, Peter zamknął wszystkie okna, odłączył wszystkie urządzenia i zaciągnął rolety. Następnego dnia wstaliśmy rano, aby złapać pierwszy autobus do Phoenix; było jeszcze ciemno, a zamknięcie drzwi okazało się bardzo łatwe. Peter po prostu je zatrzasnął i schował klucz do kieszeni. Idąc do taksówki, patrzyłam na jej dwa reflektory, które lśniły niczym opadłe na ziemię zmatowiałe gwiazdy.

– Gotowa do drogi? – zapytał, otwierając mi drzwi.

Skinęłam głową, wręczając taksówkarzowi walizkę i pudełko pełne gratów mamy, które wzięliśmy ze sobą. Mężczyzna włożył wszystko do bagażnika razem z torbami Petera, a potem usiadł za kierownicą i zawiózł nas prosto na dworzec autobusowy.

Rich poprosił, żebyśmy przed wyjazdem zahaczyli o ich dom w Phoenix, ale nie miałam ochoty widzieć się z Lily. Nie wiem, czy dałabym radę spojrzeć na jej ręce teraz, gdy wiem, do czego są zdolne. Próbowałam wmówić sobie, że wymyśliłam to wszystko, że widziałam mamę w oczach Lily jedynie we śnie. Słyszałam jednak desperację w głosie Richa. Brzmienie jego głosu skojarzyło mi się z kimś, kto ryzykuje życie, balansując wysoko na linie. Zgodziłam się, choć niechętnie. Powiedziałam, że wpadniemy na minutę. Wydawało się, że poczuł ogromną ulgę. Obiecał nawet, że kupi chińszczyznę, żebyśmy mogli wspólnie zjeść lunch.

Kiedyś dostawałam choroby lokomocyjnej, ilekroć wsiadałam do samochodu czy autobusu, ale wydawało mi się, że już z tego wyrosłam. Jednak gdy autobus ruszył z dworca i poczułam spaliny diesla, w moim brzuchu pojawiło się znajome uczucie – tak jakby skręcał mi się żołądek. Musiałam włączyć nawiew nad głową.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Peter. – Wyglądasz na chorą.

Pokiwałam głową i oparłam głowę o zimną szybę okna. Zamknęłam oczy, zmagając się z nudnościami. Przy kasynie, kolejnym przystanku, na którym się zatrzymaliśmy, żeby zabrać następnych pasażerów, nie wytrzymałam i trąciłam Petera.

– Muszę wysiąść. Na chwilę.

Mieliśmy tylko kilka minut na postój, ale ogarnął mnie nagły atak paniki, jakby moje życie zależało od tego, czy wyjdę

z autobusu. Przepychałam się między pasażerami, aby dostać się do drzwi.

– Muszę wyjść na chwilę – powiedziałam do kierowcy, szybko schodząc po schodach na zewnątrz.

Powietrze nie było niestety tak rześkie, jak oczekiwałam. Oparłam dłonie o biodra i chodziłam tam i z powrotem, jakbym próbowała przeczekać skurcz. Wciąż odczuwałam nudności, a do tego grunt pod nogami nie wydawał mi się szczególnie twardy. Jedyne raz w życiu czułam się podobnie – byliśmy wtedy na łódce z Peterem i jego ojcem. Trafiliśmy na okropny sztorm, który potem czułam w nogach przez resztę dnia.

Wróciłam do autobusu ze spuszczoną głową.

– Przepraszam, muszę skoczyć do sklepu po aviomarin. Będzie pan mógł poczekać kilka sekund? – zapytałam kierowcę.

Spojrzał na mnie i pokiwał palcem.

– Proszę pani, ten autobus odjeżdża za trzy minuty.

– Zaraz wracam – rzuciłam oblana zimnym potem.

Skierowałam się do drzwi kasyna. Dopiero co świtało, ale w środku było już trochę ludzi. Siedzieli przed automatami jak na szpilkach, z szeroko otwartymi oczami. Każdy z nich miał obok siebie dwa kubki. Jeden z kawą, a drugi pełen drobnych monet. Wyglądało to jak Boże Narodzenie w kasynie. Jedna wielka parada maszyn.

Przy wejściu znalazłam sklep z pamiątkami i podeszłam do kasy. Za ladą stała starsza Indianka. Jej twarz wyglądała jak pieczone ziemniaki, ciemne i mocno pomarszczone. Kobieta miała na sobie koszulkę z nazwą kasyna wyhaftowaną na piersiach błyszczącymi literami i ciężki naszyjnik.

– Przepraszam, czy ma pani aviomarin? – spytałam.

Odwróciła się i zdjęła pudełko z półki.

– Boli cię brzuch?

Kiwnęłam głową.

– Wiele osób ma tutaj z tym problem. To chyba przez te wszystkie światła. – Uśmiechnęła się. – Mam też paczkę rozpuszczalnych pastylek. Są jak guma do żucia albo cukierki. Moje

dzieci je uwielbiają.

– Dziękuję – powiedziałam, rzucając pięciodolarowy banknot.

Pośpiesznie otworzyłam pudełko i połknęłam różowe pigułki. Przypomniały mi o nocnych bólach brzucha, które miałam jako dziecko. Smak tamtych nocy wypełnił moje usta.

W głowie wciąż wirowało mi od dźwięków i świateł kasyna, gdy wyszłam na zewnątrz, gdzie było spokojnie i cicho, co przypominało poranek na pustyni. Peter stał na zewnątrz z kierowcą. Musiał go przekonać, żeby poczekali. Uścisnął jego dłoń i mruknął: „Dziękuję”, zanim wszedł za mną do autobusu.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Udało mu się zdobyć od kierowcy poduszkę i szorstki koc. Posłał mój fotel niczym łóżko.

Poczułam się nagle bardzo zmęczona. Zbyt zmęczona, żeby oprzeć się dobroci Petera. Spałam przez resztę drogi z głową na jego kolanach.

W Phoenix wciąż było zbyt ciepło jak na tę porę roku. Doznałam szoku termicznego. To było jak uderzenie w brzuch. Aviomarin sprawił, że byłam senna, ale po przebudzeniu czułam się równie niedobrze jak wcześniej. Do tego podmuch gorącego powietrza w centrum miasta prawie powalił mnie na ziemię.

Rich czekał na nas na przystanku z Violet w wózku.

– Wyglądasz okropnie – stwierdził.

– Chyba muszę zwymiotować – odparłam, krzywiąc się.

– Możesz zrobić to u nas w domu, tylko błagam, nie na mnie.

Violet już to dziś rano zrobiła. – Wskazał na swoje jeszcze wilgotne ramię.

– W porządku – powiedziałam, dając mu swoje torby.

O dziwo, poczułam się znacznie lepiej, gdy dotarliśmy na miejsce. Sztuczne powietrze było teraz zbawienne. Takie czyste. Zrobiłam głęboki oddech i pozwoliłam, żeby wypełniło moje płuca.

Lily była w tym czasie w kuchni. Zapisywała coś w notatniku. Wokół niej leżało pełno pudełek z chińskiej restauracji. Zapach potraw sprawił, że żołądek znowu mi się skręcił.

– Hej – powiedziała, odwracając wzrok od notesu. – Święto

Dziękczynienia. Możesz uwierzyć, że to już za chwilę?

W wyrazie jej twarzy nie było nic przywołującego tamten wieczór w domu mamy. Rich przyniósł fotelik samochodowy Violet i postawił go na stole. Zawsze szybko zasypiała. Jej oczy migotały pod powiekami.

– Okej, smrodzie, czas do łóżeczka – odezwał się, wyciągając małą z fotelika.

Lily spojrzała w notes.

– Co tam tworzysz? – zapytał Peter, siadając obok niej.

– A nic specjalnego. – Uśmiechnęła się. – To mój pierwszy raz. Zazwyczaj jeździliśmy do mamy. Pierwszy raz będę organizować Święto Dziękczynienia.

– Mam dla ciebie świetny przepis na farsz z ostryg. Podam ci go, gdy dotrzemy do domu – zaproponował. – Moja mama taki robiła, kiedy byłem mały. Esmé nazywała to „farszem z ostróg”. Z jakiegoś powodu miała problemy z jedzeniem ostryg. – Próbował ją tym rozbawić.

– Niestety, nie jest łatwo dostać dobre ostrygi w Phoenix. To nie Maine – uznała Lily i zmarszczyła brwi.

Stałam w kuchni. Miałam poczucie, że coś zaraz eksploduje. Rich zaniósł Violet do jej pokoju. Słyszałam, jak jedna z jej zabawek gra jakąś melodyjkę.

– Mam jeszcze tonę innych przepisów. Mogę ci je wysłać mejlem, jeśli chcesz. Mogę nawet przygotować menu na twoją kolację, jeżeli miałyby to ułatwić ci zadanie.

Rozbolała mnie głowa.

– Chciałabym, żebyśmy też zrobili w tym roku obiad na Święto Dziękczynienia – wtrąciłam nagle.

– Serio? – spytał zaskoczony.

Zawsze jeździliśmy do rodziców Petera. Wstawaliśmy skoro świt. Peter przygotowywał samochód, zeskrobując niewiarygodne ilości szronu z szyb samochodu, a ja siedziałam w domu i przez okno obserwowałam, jak to robi. Dawał mi znać, gdy auto było już rozgrzane, a w środku na tylnym siedzeniu stygły placki. Szykował kasety z moją ulubioną muzyką, żeby umilała nam drogę, i zawsze

zatrzymał się w 7-Eleven na kawę orzechową, którą tylko ja lubiałam. Pokonanie trasy zajmowało nam około trzech godzin, a gdy zbliżyliśmy się do Bar Harbor, mogłam wyczuć zapach oceanu w powietrzu. Niemal czułam sól, kiedy opuszczałam szybę. Esmé czekała już na nas. Przyjeżdżała ze szkoły na długi weekend. Cały dom pachniał indykiem, farszem z ostryg i goździkami.

– Tak – dodałam. – W tym roku wolałabym zostać w domu. Esmé też może przyjechać, jeśli chce, ale wolałabym zostać w domu.

Spojrzałam na Petera, bo wiedziałam, że uwielbiał spędzać święta ze swoją rodziną. Stałam i patrzyłam na niego, mając nadzieję na kłótnię. Chciałam, żeby mi przypomniał, że nasz mały stolik jest zbyt mały nawet na trzy osoby. Czekałam na jakiś opór czy bunt z jego strony, ale jedyne, co zrobił, to skinął głową.

– Bardzo dobry pomysł – powiedział. – Możemy zorganizować obiad u nas. To będzie miła odmiana.

Zmarszczyłam brwi, a Lily dodała głośno:

– Zastanawiałam się nad zrobieniem galaretki cytrynowej, którą mama zazwyczaj przygotowywała. Takiej z bitą śmietaną.

Wstałam od stołu.

– Wciąż słabo się czuję. Czy mogę skorzystać z łazienki?

Zostawiłam ich w kuchni i powoli poszłam w głąb korytarza, mijając sypialnię Violet. Rich siedział obok łóżeczka, w fotelu bujanym, trzymając ją na rękach.

– Hej – powiedziałam delikatnie.

– Hej.

– Jak się miewa mała? – zapytałam, dotykając jej włosów, które zaczynały się robić coraz sztywniejsze.

– Dobrze – wyszeptał. – Spójrz.

Przykucnęłam i spojrzałam na jej małą buzię. Nad zamkniętymi oczkami wyrastały długie czarne rzęsy.

– Biorę urlop na żądanie – wyszeptał, wciąż bujając się w fotelu.

– Na jak długo?

Wzruszył ramionami i poprawił kocyk Violet.

– Sądzę, że mógłbym zorganizować sklep tutaj, jeśli będzie taka potrzeba, aż wszystko wróci do normy.



Zabrałam rękę z jego ramienia i podniosłam misia, który leżał na podłodze. Wyglądał tak, jakby Violet nigdy nie trzymała go w rączkach.

– Wczoraj przyszła tutaj, gdy ją karmiłem – rzekł Rich, wpatrując się bezmyślnie w maskotkę, którą miałam w dłoniach. – Po prostu stała w drzwiach i patrzyła. Światło w korytarzu przechodziło przez jej piżamę i mogłem zauważyć, jak bardzo zmizerniała. Miała potargane włosy i płakała, kiedy tak stała i nas obserwowała. Wyglądała jak mała dziewczynka.

Pomimo chłodu panującego w domu czułam krople zimnego potu spływające po moich ramionach.

– Co się z nią stało? – zapytał, nagle spoglądając mi prosto w oczy. – Co jej zrobiła wasza matka?

Patrzyłam to na niego, to na misia w swoich rękach. Moje palce wbijały się w jego futerko. Chciałam trzymać się go tak mocno, jak tylko potrafiłam. Oczy Richa wciąż oczekiwały odpowiedzi, gdy znów na niego spojrzałam. Przez chwilę wydawało mi się, że wreszcie mogę wydusić z siebie słowa, które zbierały się we mnie w postaci niewymówionych sylab. Tak jakby odpowiedzi, których oczekiwał, już tu były. Czekały tylko na ich wypowiedzenie.

Odłożyłam misia i spojrzałam na Violet śpiącą w ramionach ojca. Chciał, żebym potwierdziła, że to wszystko było winą mamy, a teraz, gdy już jej nie ma, ta dziwna klątwa złożona z lekarstw, trucizn i zakrywania maleńkich ust, aż przestaną oddychać, zostanie zdjęta. Chciał, żebym upewniła go, że Lily jest teraz wolna, a Violet bezpieczna. Jednak nie rozumiał, a ja nie potrafiłam mu tego zobrazować, że Lily odziedziczyła wszystkie gesty po mamie. To, w jaki sposób poruszała biodrami czy mrugała oczami. To, jak przytulała się do niego czy zapinała guziki w sweterku Violet. Nie rozumiał tych subtelnych zachowań, które mama nam przekazała, i tego, że tak naprawdę to ich powinien się obawiać. Tego, że sposób, w jaki opowiadała historię na dobranoc tuż przed zgaszeniem światła, mówił więcej niż to, jak trzymała dziecko.

Zwinęłam się, wkładając głowę między kolana, żeby powstrzymać napięcie narastające pod skórą.

– Ja... nie potrafię... – wydusiłam z siebie.  
– W porządku – odparł. – Nie powinnaś... przepraszam. To nie twój problem. – Mówił spokojnie, prawie jakby w ten sposób wyrażał złość.

Poczułam się okropnie, ale nie było sposobu na wytłumaczenie Richowi, że cisza również jest czymś, co odziedziczyłyśmy. Lily nie była jedyną osobą, która nosiła w sobie dziedzictwo naszej matki.

\* \* \*

Lily nie odwiozła nas na lotnisko. Nic nie powiedziała, gdy Rich umieszczał Violet w samochodzie, zamiast po prostu zostawić ją w domu. Stała w drzwiach, kiedy odjeżdżaliśmy. Jej twarz na słońcu była pozbawiona koloru. Przysłoniła dłonią oczy i obserwowała nasz odjazd, ale nie pomachała.

Rich dotarł na lotnisko na chwilę przed naszym odlotem. Wiedział, że nie będziemy chcieli czekać dłużej, niż to konieczne. Dałoby to nam zbyt dużo czasu na rozmyślanie. Zabraliśmy nasz bagaż i nie zważając na poirytowanie obsługi, wcisnęliśmy go nieco na siłę, gdyż zostało dla nas niewiele miejsca w skrytkach. Zmęczeni usiedliśmy w fotelach. Oboje udawaliśmy, że nie boimy się latać, ale czułam, jak serce podchodzi mi do gardła również wtedy, gdy samolot znalazł się już ponad chmurami. Peter nie otworzył oczu, nawet gdy zgasły lampki informujące o zapięciu pasów. Będąc tu, wiele kilometrów nad ziemią, wmówiliśmy sobie, że możliwość upadku nie istnieje.

## Cztery

Wata cukrowa i jabłka w karmelu. Benny upuścił lody na chodnik, więc oddałam mu swoje. Oddałabym mu wszystko tej nocy. Było ciepło. Niebo drażniło nas zarówno zapowiedzianym latem pełnym słońca, jak i dzisiejszym pierwszym, naprawdę ciepłym dniem tego roku. Były wakacje. Mama i Lily znowu wyjechały na tydzień, a tata zapłacił pięć dolarów, żebym mogła wziąć udział w turnieju bilardowym w barze U Rusty'ego.

Lato w Mountain View oficjalnie rozpoczęło się karnawałem w parku. Pojawił się rozklekotany diabelski młyn i przyczepy, z których dochodził smród kiełbasek, frytek i smażonego chleba indiańskiego. Dostaliśmy kolejne pięć dolarów do podziału, które mogliśmy wydać, na cokolwiek tylko zechcemy. Zapewniałam brata, że zachowam jego resztę. Kieszenie Benny'ego zawsze były pełne dziur, więc to logiczne, że pieniądze będą bezpieczniejsze u mnie.

Zamknięto całą Depot Street i ustawiono namioty, w których kobiety z plemienia Nawaho sprzedawały biżuterię wyłożoną na kolorowych prześcieradłach. Lokalni garncarze też wystawili swoje wyroby – talerze i kubki; naczynia tak głębokie, że można w nich podawać zupę; lampy naftowe i miski. Można też było zrobić sobie zdjęcie, które w ciągu kilku minut pojawiało się na T-shircie, w ramce lub na kubku. Byłam szczęśliwa z powodu lata pełnego perspektyw. Zgodziłam się przeznaczyć jednego dolara na fotkę. Nic nadzwyczajnego, po prostu jeden z tych czarno-białych pasków, które można zrobić w budkach rozstawionych w centrach handlowych. Trzy zdjęcia. Pasek złożony z naszych twarzy.

Kiedy maszyna wypluła taśmę, Benny chwycił ją swoimi brudnymi palcami.

– Pokaż mi! Chcę zobaczyć! – wykrzyknął.

– Mówiłam ci, żebyś poczekał – odparłam. – O popatrz, to jest całkiem dobre.

Pierwsze zdjęcie przedstawiało roześmianą twarz mojego brata.

Nasze głowy zbliżone do siebie. Nasze zęby wyszczerzone. Środkowe było inne. W centralnym punkcie widniała zamazana twarz Benny'ego, a przy dolnej krawędzi można było dostrzec kawałek mojej twarzy. Uważny obserwator mógł zauważyć ucho Benny'ego i kosmyk jego włosów.

– Czy mogę to zatrzymać? – zapytał. – Mógłbym je nosić w portfelu obok karty bibliotecznej.

– Jasne – odpowiedziałam. – Tylko uważaj, żeby nie zgubić. W ogóle to daj mi lepiej swój portfel.

Benny podał mi go, a ja ostrożnie oderwałam dobre zdjęcie od reszty. Włożyłam je do specjalnej ramki w portfelu, która cała się kleiła, a pozostałe schowałam do swojej kieszeni. Zdjęcie było ledwie widoczne przez pobrudzoną plastikową osłonę. Karta biblioteczna Benny'ego wystawała z jednego z przedziałów na karty. Jedna moneta latała w zamkniętej kieszonce.

– Został nam jeden dolar. A o dziewiątej mam turniej U Rusty'ego.

– Karuzela? – zapytał. – Czy możemy pójść na diabelski młyn?

– Jesteś pewny, że tego chcesz?

– Hm, a może jednak wolałbym tacos? – Zmarszczył brwi, uginając się pod wagą tej decyzji.

– Zawsze możesz zjeść tacos w barze.

– A może chciałbym spróbować tutaj. – Oparł dłonie na biodrach. – Ale wtedy nie zostanie nic dla ciebie.

– Cokolwiek sobie wymyślisz, Benny, ale decyduj się szybko, bo zostało nam tylko pół godziny.

– Chodźmy na diabelski młyn – powiedział z uśmiechem.

Kupiliśmy bilety i podeszliśmy do bramki wejściowej. Staliśmy tam, czekając na swoją kolej i patrząc, jak mijają nas rzędy krzesel. Wtedy ukazał się nam wagonik ze Starry i Heather Potter w środku.

Heather Potter była w ósmej klasie. Zazwyczaj nie rozmawiała z nikim z młodszych klas. Trenowała gimnastykę. W ostatnie ferie ćwiczyła na drążkach tak długo, aż jej dłonie zrobiły się całe czerwone i nauczyciel musiał jej przerwać. Miała zadarty nos i coś, co nazywała „fryzurą pixie”. Według mnie wyglądała jak świnia.

– Cześć, Indie. – Starry pomachała do mnie.

Benny skakał i wymachiwał rękami.

– Cześć, Starry!

– Cicho – uspokoiliam go.

– Co to za dziewczyna? – zapytała Heather.

Ich wagonik zaczął unosić się powoli, ale nieprzerwanie.

Spoglądały teraz na nas z wysokości. Benny dalej skakał przy metalowej rampie, aż zaczęła mnie boleć głowa i zrobiło mi się niedobrze od ilości kolorowych świateł. Wtedy też operator zatrzymał młyn i wskazał nam nasze miejsca.

Starry i Heather nachyliły się do siebie. Jedna szepnęła drugiej coś do ucha, czym bardzo ją rozbawiła. Benny pomachał do nich i Heather pokazała na nas. Pomimo morza świateł i bólu głowy mogłam wyczuć smak jej słów. Ocet, ocet i jeszcze raz ocet.

– Usiądź spokojnie, Benny – prosiłam, starając się siłą wcisnąć go do środka.

– Tam jest Starry! – wołał.

– Siadaj – powiedziałam.

Miałam czerwoną twarz, a w głowie cały czas mi dudniło.

Wreszcie Benny przestał podskakiwać. Usiadłam obok niego.

Operator zablokował nas zardzewiałą metalową belką opadającą tuż nad udami. Zaczęliśmy się kręcić do tyłu, unosić się, a po chwili byliśmy już na szczycie, skąd widać było całą ulicę. Patrzyłam, jak Heather i Starry wysiadają i biegną w kierunku miejsca, w którym za pięć dolarów można zrobić sobie zdjęcie na podkoszulek. Byłam pewna, że kupią identyczne koszulki ze zdjęciem, na którym się przytulają, wydrukowanym na wysokości piersi.

– Czy gdybym chciał tacos, ale bez ostrego sosu, to myślisz, że Rosey zrobiłaby mi takie? Nie lubię też sałaty, choć czasem lubię.

– Tak, tak, Benny.

– Wyjmij nasze zdjęcie – powiedział, próbując wyciągnąć mi portfel z tylnej kieszeni.

Patrzyłam, jak Starry i Heather znikają w budce.

– Inne zdjęcia są rozmazane, ale to jest dobre – mówił, wyciągając fotografię zza plastikowej osłonki. – Widzisz? – Trzymał

zdjęcie tuż przed moją twarzą. Nie mogłam jednak nic dostrzec, bo oczy miałam załzawione. – Patrz, Indie. To ty i ja na zdjęciu. Inne są rozmazane, ale to jest dobre.

– Widzę – próbowałam powstrzymać płacz.

Mrugałam tak szybko, że wszystkie światła zlały się w jedną kolorową maź.

Benny nie przestawał, wciąż trzymał mi przed twarzą obrazek, na którym widniały nasze szerokie uśmiechy. Jasne i ostre niczym letnie noce.

– Wystarczy. – Chwyciłam go za rękę, odsuwając ją od siebie.

Zdjęcie wyślizgnęło się z palców Benny’ego w momencie, gdy młyn się zatrzymał. Poleciało w dół i wylądowało na jednym z pustych miejsc.

– O nie, o nie, o nie! – Kręcił głową w taki sposób, jakby nie wiedział, co robić. Często mu się to zdarzało. – O nie, nie, nie!

– Przestań – poprosiłam, zakrywając sobie uszy. – Proszę, po prostu przestań.

– Musimy zabrać to zdjęcie. To jedyne, które się udało. Reszta była rozmazana.

Benny wychylał się, nie spuszczając wzroku z wagonika poniżej. Metalowa rurka blokowała go przy brzuchu. Wreszcie wróciliśmy na ziemię. Operator otworzył blokadę, pozwalając nam wyjść. Chwyciłam rękę Benny’ego i pociągnęłam go za sobą tak mocno, jak tylko potrafiłam. On był jednak większy i silniejszy ode mnie.

– Indie, musimy odzyskać to zdjęcie.

– Benny – powiedziałałam, zanurzając paznokcie w jego miękką dłoń. – Mówiłam, żebyś przestał. Jeśli zaraz nie przestaniesz, zostawię cię tu i pójdę do Rusty’ego sama.

Mój brat spoglądał na diabelski młyn.

– Nie zostawiaj mnie. Proszę, nie zostawiaj mnie tutaj.

– No to chodź. – Pociągnęłam go jeszcze raz.

Wychodząc, skręciliśmy w boczną uliczkę, żeby uniknąć spotkania z Heather i Starry w identycznych koszulkach. Poszliśmy prosto do ciężkich drzwi baru mojego taty, gdzie właśnie rozpoczął się turniej bilardowy.

Dym papierosowy unosił się nad moją głową niczym aureola. Poza nim chaos i kakofonia szafy grającej, flirtu oraz syczenie tortilli na gorącym tłuszczu. Benny chwycił mnie za rękaw, gdy zamknęłam za sobą drzwi i znaleźliśmy się pośrodku tego hałasu. Przycisnęłam się pierś do baru, serce uderzało w wypolerowane ciemne drewno lady. Stołek barowy obracał się pode mną. Nie byłam w stanie utrzymać równowagi. „Indie, musimy wrócić po to zdjęcie. Inne są rozmazane”. Mały Ike pachniał mieszanką old spice’a i czarnej lukrecji. Sheila umiejętnie balansowała okrągłą tacą spoczywającą na jej małej dłoni. Miała zaczerwieniony brzuch od opalenizny. Zapewne była dziś nad wodą i leżała na gładkich skałach przy potoku. Prawie jej dotknęłam, żeby sprawdzić, czy wciąż jeszcze czuć słońce na jej skórze.

– Hej, Indie. Powodzenia dzisiaj. Twój tata jest z ciebie bardzo dumny.

Tata otworzył nowe pudełko pełne niebieskich kred. Rozłożył po kilka na każdym ze stołów. Wyglądały jak cukierki. Filc na stołach był czysty i gładki. Żarówki w lampach zwisających nad stołami zostały odkurzone. Kije stały w szeregu na stojaku niczym żołnierze gotowi do walki. Benny ponownie pociągnął mnie za rękaw.

– Potrzebuję monety. Masz drobne na szafę grającą?

Odsunęłam się od niego i podeszłam do stojaka. Poczułam żal na myśl o spersonalizowanym dwuczęściowym kiju bilardowym marki Spalding. Ike mawiał, że dobry gracz poradziłby sobie nawet kijem bambusowym, jeśliby musiał. Nie widziałam nigdy bambusa, ale byłam pewna, że wyglądał trochę jak te podniszczone kije na stojaku. Wzięłam jeden z nich i wróciłam do baru. Usiadłam, czekając na rozpoczęcie gry. Shirley temple w szklance skropionej grenadyną. Bezalkoholowy drink, który dostałam od taty dla dodania otuchy. Rosey wyszła z kuchni, żeby również popatrzeć. Zostawiła kogoś z enchiladas. Ktoś chrząknął, ktoś włożył monetę do otworu, z kieszeni wyleciały bile. Gromkie brawa. Mecz otwarcia w turnieju mężczyzn. Następnie to samo powtórzyło się przy drugim stole, gdzie rozpoczął się konkurs kobiet. Kiedy białe bile rozbiły idealnie ustawione trójkąty, a reszta kul rozeszła się po stołach

niczym wystrzelone z armaty, Benny sięgnął do kieszeni mojej bluzy, szukając drobnych.

– Indie, daj mi monetę do szafy grającej.

Odwróciłam się do niego i uderzyłam go ręką tak mocno, jak tylko potrafiłam. Dźwięk był głośniejszy niż uderzające o siebie bile.

– Przestań. Daj mi spokój.

Benny cofnął dłoń, w którą go uderzyłam, i włożył ją prosto do rozdziawionej buzi. Ssał palce, a jego oczy się zaszklily.

– Przestań – wyszeptałam w obawie przed tym, że tata zauważy, co robiłam.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że jest zajęty oglądaniem meczu kobiet. Opierał się łokciem o bar, podtrzymując ręką głowę.

Nie byłam przyzwyczajona do grania przeciwko dziewczynom. Wydawało mi się, że obowiązują je inne reguły. Nie tyle w samej grze, ile raczej w etyce sportowej. Wszystko, czego Ike mnie nauczył o szacunku do przeciwnika, wydawało się nie mieć tutaj racji bytu. Kiedy wygrałam pierwszy mecz przeciwko kobiecie w obcisłych dżinsach z włosami związanymi w ciasny kucyk, usłyszałam syczenie pod nosem. Nie podała mi ręki, tylko odwróciła się na pięcie swojego kowbojskiego buta i pomaszerowała do jednej z kanap, do swoich przyjaciół, z którymi natychmiast zaczęła szeptać i się śmiać. Ja starałam się naśladować wojskowy sznyt i skierowałam się prosto do baru, gdzie tata przybił mi piątkę.

Benny zajadał się hamburgerem, zanurzając frytki w białej plamie majonezu.

– Wygrałaś? – zapytał, podnosząc frytkę do ust.

Majonez zawisł niebezpiecznie nad jego kolanami.

– Lepiej jedz, Benny – powiedziałam. – Szybko.

Jego usta wciąż były rozdziawione, kiedy biały kleks wylądował na nogawce.

– O nie, o nie, o nie, mama będzie bardzo zła – oznajmił, potrząsając głową.

– Mamy nie będzie w domu jeszcze przez tydzień – rzuciłam zirytowana, siadając na stołku.

Sheila podała mi kolejny shirley temple i uśmiechnęła się.



– Widziałam to piękne uderzenie, które wykonałaś trzynastką.

W konkursie brało udział o wiele więcej mężczyzn niż kobiet. Aby przyspieszyć nasz turniej i żeby mężczyźni mogli grać na obu stołach, w naszej grupie zastosowano zasadę pojedynczej eliminacji. Było nas tylko osiem, więc wygrywając pierwszy mecz, od razu trafiałam do półfinału. Jeśli uda mi się wygrać dwa kolejne mecze, zostanę zwyciężczynią.

Obserwowałam zmagania moich rywalek, zwracając szczególną uwagę na ich sposób grania. Nie chodziło mi o to, jak uderzają, lecz o ich osobowość. Ike mówił, że znajomość umysłu przeciwnika jest równie ważna jak wiedza, czy jest on prawo-, czy leworęczny. W ten sposób można przewidzieć nie tylko jego ruchy, ale również to, co go denerwuje lub sprawia, że czuje się zbyt pewny siebie.

Ike usiadł obok mnie, kiedy czekałam na swoją kolej. Miał swoją szczęśliwą koszulę. Niebieską, z białymi perłowymi zatrzaskami. Z przodu było wyhaftowane niebieskie lasso. Słyszałam, jak jedna z kobiet opowiedziała żart o karle na rodeo, ale Ike albo tego nie usłyszał, albo go to nie ruszało.

– Co o nich sądzisz? – zapytał, potrząsając lodem w swojej szklance.

– Są nieprzyjemne.

Skinął głową.

– Czym się dzisiaj trujesz, Ike? – zainteresowała się Sheila.

Miała opaloną twarz. Kontrastujące z nią oczy wydawały się jeszcze jaśniejsze.

– Wodą – odpowiedział, wręczając jej swój pusty kieliszek.

Nigdy nie pił piwa ani innego alkoholu, kiedy brał udział w turnieju.

– Kolejna shirley? – spytała.

Pokręciłam głową. Zaczynało mi się robić niedobrze od tej grenadyny.

– Jak się masz, Benny? – zapytał Ike.

– Dobrze. – Benny uśmiechnął się.

Po jego obiedzie nie było już śladu. Wycierał teraz palce z pozostałości po majonezie i keczupie. Benny był prawie

dwukrotnie wyższy od Ike'a. Kiedy wstał, żeby pójść do łazienki, a Ike wracał do stołu, wyglądali razem jak wyjęci z fotografii w *Księdze rekordów Guinnessa*, przedstawiającej najwyższego i najniższego człowieka świata, stojących obok siebie.

Wreszcie nadeszła moja kolej na drugą rozgrywkę. Tym razem przeciwniczka nie była aż tak wredna. Widziała, jak grałam wcześniej, więc była na tyle miła, żeby nie stroić sobie ze mnie żartów. Podała mi rękę i powiedziała, że ma na imię Chloe. Była jednym z tych graczy, których każdy strzał był pewny i precyzyjny. Dotyczyło to również tych strzałów, które musiały pokonywać całą długość stołu, aby dotrzeć do wybranej kieszeni. Czasami jednak trzeba sobie pozwolić na odrobinę agresji.

Ike nauczył mnie tego na samym początku. Niekiedy trzeba mocno uderzyć bilę, sprawiając, że zostanie w miejscu, podczas gdy druga powędruje prosto do kieszeni. Chloe zostały jeszcze trzy kule, kiedy wbiłam ósemkę. Nigdy nie byłam tak szczęśliwa. Ike podszedł i poklepał mnie po plecach. Tata puścił do mnie oko zza baru, mimo że właśnie realizował jakieś pięćdziesiąt zamówień. Benny klaskał i kręcił się na stołku. Nogi miał tak długie, że szurał nimi o podłogę.

Teraz mogłam jedynie przygryzać paznokcie w oczekiwaniu na to, aż z drugiej pary wyłoni się finalistka. Jedną z nich była przyjaciółka dziewczyny, którą ograłam w pierwszym meczu. Miała na sobie czarne skórzane spodnie i fioletową koszulkę. Drugą przeciwniczką była kobieta, która wyglądała prawie jak moja babcia. „Skórzane Spodnie” miała ciekawy sposób strzelania. O dziwo, przynosiło to oczekiwane rezultaty. Krzyżowała nogi, kiedy się pochylała. Jedną nogę miała wyprostowaną, drugą zgiętą w kolanie. Przyjmowała taką postawę za każdym razem. Wygrała mecz, wbijając trzy kule z rzędu, a następnie trafiając ósemką do bocznej kieszeni. Mało brakowało, a popełniłaby błąd. Biała bila balansowała na krawędzi narożnej kieszeni, ale ostatecznie nie wpadła.

„Skórzane Spodnie” podniosła ramiona, gdy jej przyjaciółka „Kucyk”, z którą wygrałam poprzedni mecz, podeszła ją przytulić. Wiedziałam, że gdyby Ike oglądał ten mecz, stwierdziłby, że jest ona

typem kobiety, która żyje na krawędzi i lubi ryzyko, dzięki czemu łatwo ją sprowokować do błędu. Myślałam o tym, rozpoczynając ostatnią grę.

Wygrałam rzut monetą i zdecydowałam, że nie będę rozbijać. „Skórzane Spodnie” nachyliła się tak bardzo, że prawie zauważyłam jej sutki. Zarumieniłam się lekko, ale po chwili pomyślałam, że może robi to specjalnie, żebym poczuła się niekomfortowo. Od tej pory starałam się ignorować jej cycki.

Nie udało jej się wbić niczego przy pierwszym podejściu. Wszystkie pełne kule bardzo ładnie rozproszyły się po stole, podczas gdy połówki leżały zbite na środku. Wiedziałam, że jeśli uda mi się wbić którąkolwiek z tych pełnych, gra będzie prosta. Uderzyłam mocno i siódemka wcisnęła się do narożnej kieszeni. Wykonałam kolejne trzy podejścia. Przez chwilę myślałam, że mogę wygrać, nie odchodząc ani razu od stołu. Niestety spudłowałam przy następnym uderzeniu. Zapomniałam użyć niebieskiej kredy. Pokręciłam głową z niedowierzaniem i wróciłam do baru.

– Dobra robota – pocieszał mnie tata.

Siedziałam i patrzyłam, zastanawiając się, jaki teraz wykonać ruch. Pociągnęłam łyk drinka z wysokiej szklanki („Long island iced tea” – oznajmił tata) i zaczęłam planować strategię. Ike miał rację, przewidując skłonność mojej rywalki do podejmowania ryzyka, ale mimo to udało jej się wbić cztery kule, zanim spudłowała. Był remis. Zaczynałam się denerwować. Ike mówił, że to najgorsze, co mogę zrobić, ale nie umiałam się powstrzymać. Wytarłam dłonie o spodnie, zanim chwyciłam kij. Wbiłam jedną bilę i popełniłam błąd przy, wydawałoby się, prostym strzale. „Skórzane Spodnie” nawet na mnie nie spojrzała, podnosząc się do strzału. „Kucyk” stała obok, opierając się o stół. Rzuciła mi spojrzenie pełne złości i alkoholu.

Benny też się denerwował. Kołysał się na boki na stołku.

– Indie, czy po tym wszystkim pójdziemy zapytać, czy nie znaleziono naszego zdjęcia? – wyszeptał Benny.

– Ciii – uciszyłam go.

Moja przeciwniczka wykonała kombinację, najpierw uderzając w dziesiątkę, którą posłała trzynastkę do narożnej kieszeni. Mogła

trafić w trzynastkę po łuku, ale zaryzykowała inną metodę. Uśmiechnęła się i poprawiła szybko swoją fioletową koszulkę, która niebezpiecznie zsunęła jej się z ramienia. Wbiła dziesiątkę. Moje serce zawyło. Miała czystą sytuację do wbicia ósemki. Gra była w zasadzie skończona.

Benny pocierał nerwowo uszy, dalej kołysząc się na stołku.

– Przestań, Benny – poprosiłam cicho. – Denerwujesz mnie.

Benny spojrzał na mnie. W oczach miał czystą złość. Zaczął kopać metalowe podnóżki stołka i jeszcze mocniej się przy tym kołysał.

„Skórzane Spodnie” wzięła kredę i potarła nią swoją prawą dłoń, zwracając szczególną uwagę na miejsca między palcami.

– Nie żartuję – powiedziałam, gdy Benny wciąż nie przestawał.

– Na innych jestem cały rozmazany.

Moja rywalka sprawdziła ustawienie bili względem siebie, wodząc za nimi wzrokiem, kiedy podchodziła do stołu. Nachyliła się i przymierzyła do strzału. Nie była tym rodzajem gracza, który mógł spędzić wieczność, dobrze ustawiając się do uderzenia. Opierała się na instynkcie, tego byłam pewna. Tak więc kiedy odciągnęła rękę po raz pierwszy, już wiedziałam, że to będzie jej ostatnie uderzenie.

Uszczypnęłam Benny’ego, aby go uciszyć. Wbiłam ostre paznokcie w jego miękką skórę na ramieniu.

– Nienawidzę cię, Indie! – wrzasnął.

Zeskoczył ze stołka, złapał się za włosy i pobiegł do drzwi.

„Skórzane Spodnie” odwróciła wzrok od stołu w momencie, gdy obie bile spotkały się ze sobą. Biała bila trafiła w czarną ósemkę i obie poszybowały prosto do narożnej kieszeni. Dziewczyna patrzyła z niedowierzaniem. Była teraz tak czerwona na twarzy i na ciele, że wyglądała na podobnie opaloną co Sheila.

– To nie fair!

Krew napłynęła mi do twarzy, w uszach szumiało.

Benny stał przy drzwiach, tupiąc nogami.

– Wygrałaś! – pisnęła Sheila. – Uczciwie.

„Skórzane Spodnie” stała obok „Kucyka”, wymachując szklanką z drinkiem.

– Ta mała suka wygrała, bo mnie rozproszyli. Co to jest, jakiś przekręt? Postawić tego downa, żeby robił hałas, i w ten sposób wygrać mecz?

Tata wyszedł zza baru i chwycił ją za ramię.

– Myślę, że musisz już iść – oznajmił.

– Że co? – zapytała, szarpiąc się.

– Powiedziałem, że chcę, żebyście już sobie poszły.

– Nie wyjdę stąd bez pucharu. Wygrałabym ten mecz, gdyby on tak nie krzyczał.

– W porządku – zgodził się. – Chodźcie.

– Pierdol się – rzuciła „Skórzane Spodnie”, wylewając całą zawartość long island iced tea na twarz taty.

Eddie Grand właśnie wychodził z łazienki, gdzie siedział prawie pół godziny, więc wszystko wydarzyło się na jego oczach. Zobaczył ojca stojącego z twarzą mokrą od alkoholu. Podeszedł i wyprowadził obie kobiety z baru.

– Pierdolcie się! Pierdolcie się! Pierdolcie się! – krzyczał Benny, skacząc ze szczęścia.

– Cicho – powiedział Eddie, gdy tata zniknął w kuchni. – Chodź, Benny, siadaj.

– Wygrałaś, Indie? – zapytał mój brat, unosząc głowę i patrząc na mnie. Z jego oczu zniknęła cała złość. – Wygrałaś?

Nienawidziłam go. Czasem nienawidziłam go bardziej niż mamy. Nienawidziłam go nawet wtedy, gdy włożyłam kopertę z wygraną do mojej szuflady z bielizną i umieściłam małe srebrne trofeum na półce w pokoju. Wiedziałam, że tamta popełniła błąd. Trzymała kij za wysoko. Tak się dzieje, kiedy się nie przykłada do prostego uderzenia. I nie potrzeba było do tego krzyku opóźnionego w rozwoju dziecka.

\*

Dom. Chuck Moony odebrał nas z lotniska. Przywiózł ze sobą papierową torbę z dwoma żywymi, wciąż wijącymi się homarami. Wcisnęliśmy się do jego półciężarówki. Homary trzymałam na kolanach.

– Pomyślałem, że pewnie nie jedliście homarów tam, na tej pustyni – powiedział Chuck, uruchamiając samochód.

– Nie. – Uśmiechnęłam się, zaglądając do torby.

Były odpowiedniej wielkości. Ważyły około kilograma, może trochę ponad.

Prawie już zmierzchało, gdy wjechaliśmy na nasz podjazd. Miałam miękkie kolana, kiedy wspinałam się po schodach ganku. Jessica siedziała w oknie i patrzyła na nas. Chuck został w samochodzie, silnik jego auta wciąż pracował.

– Co robisz? – Peter pochylił się do okna od strony kierowcy. – Chodź, pomóż nam zjeść tego homara.

Bał się zostać ze mną sam na sam.

– Nie – powiedział Chuck, kręcąc głową.

– Co dziś robi Leigh? – zapytał Peter.

– Pojechała do domu matki. Planuje *baby shower* z siostrami.

Myślę, że to trochę za wcześnie, ale one chyba tak nie sądzą.

– Więc chodź i pomóż mi roztopić masło. Indie zawsze je pali. – Peter śmiał się, otwierając drzwi.

– Nie potrzebujecie trochę czasu sam na sam? – usłyszałam szept Chucka.

– Zostań na kolacji.

Na stercie drewna oraz w konarach drzew leżało trochę śniegu, ale było jeszcze na tyle ciepło, że zaraz się rozpuścił. Zazwyczaj aż do Święta Dziękczynienia nie szalała ani jedna duża śnieżyca. Zimne powietrze poluzowało zamek i mój klucz, zazwyczaj kapryśny, wszedł gładko.

Dom pachniał jak opuszczony. Zdawało się, że wyjechaliśmy na rok, a nie tylko na kilka tygodni. Zapomniałam, jak to jest, gdy miejsce tak znajome jak własny dom, staje się obce i abstrakcyjne nawet po krótkiej nieobecności. Kuchnia wyglądała inaczej niż ta u mamy. Późnymi popołudniami robiło się na zewnątrz jeszcze

ciemniej niż w Arizonie. Włączyłam światło nad stołem kuchennym i położyłam na nim torbę z homarami. Jessica zeskoczyła z parapetu i podeszła, miaucząc, prosto do swojej miski.

– Nie tak prędko – odezwał się Peter, sięgając do szafki po pudełko z karmą dla kotów.

– Karmiłem ją dziś rano – rzekł Chuck, zamykając za sobą drzwi.

– Mała manipulantka – oznajmił Peter, głaszcząc plecy kotki. Jej grzbiet podniósł się w odpowiedzi, a ogon zawinął się w górę.

Zjeżyły mi się włosy na karku.

– Rozpaliłem też ogień, ale chyba zgasł. – Chuck pocierał ręce i dmuchał w nie.

– Przyniosę trochę drewna – oznajmiłam szczęśliwa, że mogę opuścić zastawę w domu powietrze i zagłębić się w znajome leśne zapachy wczesnej zimy.

Ze stosu wybrałam kilka pieńków odpowiedniej wielkości i zaniiosłam je z powrotem do kuchni. Chuck wciąż stał w drzwiach wejściowych.

– Przepraszam – powiedziałam. Odsunął się na bok, aby zrobić mi miejsce. – Zdejmij płaszcz, Moony. Zostań na chwilę.

Chuck rozsznurował buty robocze, zdjął je i zostawił przy drzwiach. Jego wełniane skarpety, rozciągnięte na palcach, były nie do pary. Wyprostował się, a następnie poszedł do kuchni, gdzie zostawiłam homary. Zajrzał do torby i wyciągnął jeden duży okaz. Homar poruszył się powoli, skrępowany tasiemkami wokół szczypiec.

– Czy ktoś chce się napić? – zapytałam, sięgając po zakurzoną butelkę burbona do szafki nad zlewem.

– Pete nie znosił kiedyś homarów – zwrócił się do mnie Chuck, szczerząc się. – Pamiętasz, Pete?

– Nie, nie pamiętam – odparł Peter.

– Nie znosił ich. – Chuck pokręcił głową i mrugnął do mnie.

– Napiję się czegoś. Ktoś jeszcze?

– Piwo – powiedział Chuck.

Peter kiwnął głową.

– Tego dnia, kiedy Liz i Gary wprowadzili się do domu niedaleko

nas, byłem tak podekscytowany tym, że może wreszcie w sąsiedztwie zamieszka dzieciak w moim wieku, że spędziłem cały dzień, jeżdżąc na rowerze tam i z powrotem przed ich domem i próbując zajrzeć w okna.

– To była hulajnoga – sprostował Peter i usiadł przy stole, patrząc na swoje dłonie.

– Nigdy nie miałem hulajnogi – zaprzeczył Chuck, kręcąc głową i otwierając piwo.

– Moony, to była hulajnoga.

– Nieważne. W każdym razie byłem zachwycony pojawieniem się dziecka, z którym mógłbym się bawić. Ale gdy po raz pierwszy zobaczyłem Pete'a, zawróciłem rower i pojechałem do domu.

– Hulajnogę – powtórzył Peter ze znużeniem.

– Dlaczego? – zapytałam, pociągając duży łyk burbona.

– Totalny dziwak. Pomagał swojemu ojcu wyładowywać jakieś pudła z auta, jego twarz była cała czerwona i jeszcze miał te głupawe okulary, które trzymały się sklezione taśmą czy czymś takim.

– Wielkie dzięki. Było gorąco, a moje okulary nie były sklezione taśmą.

– Spinacz, taśma klejąca, wszystko jedno. Chodzi mi o to, że wtedy zrozumiałem, że to ostatni dzieciak, który szuka nowego kolegi. To było lato przed siódmą klasą. Koniec wakacji, zaraz miało się rozpocząć liceum, a ja nie potrzebowałem takiego gamonia, by szlajał się za mną. To była ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałem wtedy do szczęścia.

– Dzięki – powiedział Peter.

– A więc zawróciłem rower i pojechałem do domu.

– Hulajnogę.

– Rower. Ale kiedy już dotarłem do domu, mój tata właśnie wracał z portu z torbą pełną homarów. „Zanieś je naszym nowym sąsiadom” – poprosił. Mama stała z rękami na biodrach i czekała, aż w drugą rękę wezmę jej placek z jagodami. Tacie się nie odmawiało, więc wziąłem torbę z homarami i placek i wyszedłem. Przez chwilę myślałem o porzuceniu homarów na skałach niedaleko naszego



domu, ale wiedziałem, że nie było sposobu, aby pozbyć się placka z jagodami tak, żeby mama się o tym nie dowiedziała. Brnąłem więc pod górę do domu Pete'a. Oczywiście to Liz otworzyła drzwi. Nawet nie zanotowałem, kiedy wyciągnęła garnek z pudełka i wstawiła wodę na homary. Pete w tym czasie zwabił mnie do swojego pokoju, aby pokazać kolekcję robaków albo coś podobnego.

– Radio krótkofalowe. – Peter skrzyżował ramiona, położył głowę na stole i jednym okiem zerkał na Chucka.

Nalałam sobie kolejną szklankę. Czułam, jak od środka wypełnia mnie ciepło.

– Nieważne. A potem siedzieliśmy przy stole kuchennym. Gary rozmawiał ze mną o łodzi mojego taty, a Liz zajęta była rozpakowywaniem placka. Pamiętam, że grała bardzo głośna muzyka klasyczna. Mozart czy coś.

– Beethoven.

– Tak czy inaczej Liz położyła po dużym homarze na każdym talerzu, a Pete po prostu się na nie gapił. Dzieciak rybaka, a nie je owoców morza, bo to „zbyt kłopotliwe”. Wiesz, jaka jest Liz, jeśli chodzi o towarzystwo. Gdybym przyniósł na kolację żywe żaby, zmusiłaby go, żeby je zjadł. Wreszcie rzuciła synowi jedno ze swoich spojrzeń i Pete zrozumiał, że będzie miał kłopoty, jeżeli szybko nie otworzy swojego homara. A więc otworzył go, a wnętrzności rozbryzgały się na jego okularach. Wszystko było zielone.

Wyglądało jak wymioty.

– W porządku, wystarczy – powiedział Peter, unosząc głowę.

– Patrzył na mnie przez ten zielony bałagan, jakby to była moja wina – kontynuował Chuck.

Zaśmiałam się.

– Był na skraju płaczu. Później już nie założył tych okularów. W sumie okazało się to błogosławieństwem. Między pozbywaniem się „okularów kujonek” a spędzaniem kilku tygodni ze starym Moonym dokonałem jego całkowitej metamorfozy, jeszcze przed rozpoczęciem szkoły. Odkurzałyby swoją kolekcję owadów przez całe liceum, gdyby nie ja.

– Rozmawiałeś przez radio i jeździłeś hulajnogą, Moony.

Niedługo później Chuck i Peter zaczęli w kompletnej ciszy przygotowywać obiad. Wyglądało to tak, jakby robili to już tysiąc razy wcześniej. Między nimi była niesamowita chemia. Byli prawie jak bracia. Z każdym ich gestem czułam, jak coś kłuje mnie w sercu. Wciąż sączyłam zawartość swojej szklanki, zmiękczając każde ukłucie burbonem.

– Wybieracie się do Bar Harbor na Święto Dziękczynienia? – zapytał Chuck.

Peter odwrócił się i spojrzał na mnie pytająco.

– Myślę, że zorganizujemy je w tym roku tutaj – odpowiedział. – Może Esmé przyjedzie. Co robicie z Leigh?

– Mieliśmy jechać do domu jej rodziców, ale oni postanowili się wybrać w tym roku na Florydę.

– To może przyjdziecie na kolację do nas? – spytał Peter. – Leigh wieki tutaj nie było.

Wyobraziłam sobie, jak siedzimy przy stole i próbujemy znaleźć coś, o czym moglibyśmy porozmawiać.

– Leigh robi niesamowite tłuczone ziemniaki. Dodaje zawsze dużo czosnku – powiedział Chuck.

Peter skinął głową.

– Zrobię indyka i placki.

– Zaproponowałem, że pomogę mu z indykiem, ale wiesz, jaki z niego pasjonat. – Chuck puścił do mnie oko.

– Chyba obsesjonat? – poprawił go Peter.

– Pasjonat, obsesjonat, co za różnica. Pozwolę ci się zająć tym ptakiem, Martho Stewart.

Gotowali homary w srebrnym garnku Pete'a, a ja otworzyłam puszkę zielonej fasoli. W domu nie było nic do jedzenia; Peter bardzo uważał, aby pozbyć się wszystkiego, co mogłoby się zepsuć podczas jego nieobecności.

Chuck przyniósł również bochenek chleba i dwie kostki masła. Wspólnie rozerwaliśmy homary, oddzieliliśmy szcypce i ogony, a potem umieściliśmy czyste białe mięso na talerzu Petera. Peter podniósł widelec. Najpierw zjadł kęs homara, potem nadział na widelec fasolę, a następnie oderwał mały kawałek chleba. Homar,

fasola, chleb. Dotarło do mnie, że umieram z głodu. Nie byłam w stanie się nasycić. Masło najpierw ściekało po moich dłoniach, a potem w dół, aż do łokci. Ssałam nogi i szczypce, aż wyslizgnęły się z nich białe kawałki mięsa. Było bardzo słone, a im więcej jadłam, tym bardziej byłam spragniona, ale zupełnie o to nie dbałam.

Spojrzałam na talerz Petera. Homar, fasola, chleb. Chuck moczył wszystko w maśle: mięso homara, kawałek chleba, widelec z zieloną fasolą. Na brodzie miał okruszki i połyskujące krople masła. Peter skończył jeść, złożył serwetkę w ćwiartki i umieścił ją na środku talerza. Przede mną były puste czerwone skorupki i żółte kałuże masła. Peter wstał i w ciszy zaniósł swój talerz do zlewu. Odwrócił się i sięgnął po nasze.

– Nie posprzątasz jutro? – zapytałam, chwytając go za nadgarstek.

Spojrzał na moją rękę.

– Proszę?

Odsunął się, odebrałam to jak policzek.

– Dobrze – powiedziałam, wstając. Kręciło mi się w głowie. – Zostań tu i posprzątaj, a my pójdziemy zaczerpnąć świeżego powietrza, dopóki słońce nie zaszło. Sięgnęłam po ramię Chucka; zauważyłam, że było bardziej owłosione i grubsze od ramienia Petera.

– Potrzebujesz pomocy? – spytał Chuck.

– Nie. Idźcie na spacer, śmiało.

Popatrzyłam na niego gniewnie i wzięłam płaszcz.

Chuck wzruszył ramionami, gdy podałam mu kurtkę. Wróciłam do kuchni. Znalazłam pierśiówkę, którą ktoś podarował Peterowi na święta wieki temu, i napełniłam ją resztkami burbona. Schowałam buteleczkę do kieszeni płaszcza i pociągnęłam Chucka za rękę.

Lasy za domem są gęste, ale jest tam stara droga, która prowadzi prosto do małego stawu oddalonego o milę. Mozolnie maszerowaliśmy przez błoto i świeży śnieg po czerwonej ścieżce.

Chuck naciągnął czapkę na uszy. Czułam, jak od burbona ciepło rozlewa się po moim ciele, ale jednocześnie czułam ból powodowany

silnym wiatrem owiewającym moją nieosłoniętą głowę. Owinęłam się mocniej szalikiem i postarałam się choć trochę przykryć uszy, jednak wiatr wciąż przenikał przez nieuszczelny materiał.

– Wszystko w porządku? – zapytał Chuck, gdy dotarliśmy do stawu.

– Co masz na myśli?

Wzruszył ramionami.

Podeszłam do brzegu i sprawdziłam grubość lodu czubkiem buta. Nie było jeszcze na tyle zimno, żeby był twardy. Jeden krok skierowałby mnie prosto do zimnej wody. Cofnęłam się i usiadłam na brzegu, patrząc na pomarańczowo-różowy zachód słońca chowającego się za wzgórzami. Zaraz robi się na tyle ciemno, że nie będziemy mogli znaleźć drogi do domu.

– Dobrze być z powrotem? – zapytał Chuck.

Wyciągnęłam piersiówkę z kieszeni płaszcza i odkręciłam korek. Pociągnęłam łyk, pozwalając, żeby ogień ogrzał moje zziębnięte usta. zaproponowałam burbona Chuckowi, ale pokręcił głową.

Wiatr wiał nad stawem, tworząc małe śnieżne tornada na jego powierzchni. Czułam alkohol w gardle i klatce piersiowej.

– Czy kiedykolwiek byłeś zły na swojego ojca? – spytałam, chowając dłonie w rękawach płaszcza. – Kiedy on... – Oczy Chucka otworzyły się szeroko. Spojrzał tępo w stronę wody. – Jestem zła na moją matkę. – Powiedzenie tego dobrze mi zrobiło. – Jestem wściekła jak cholera.

Mogłabym to wykrzyczeć.

Chuck wciąż wpatrywał się w słońce, które barwiło jego świeżo ogoloną twarz na różowo i pomarańczowo.

– Ona wszystko spieprzyła. Zawsze wszystko psuła. – Czułam, jak burbon rozgrzewa moje ciało.

Chuck naciągnął czapkę jeszcze głębiej na uszy.

– Peter, Peter jest tak... – jąkałam się, bo alkohol szumiał mi w głowie. – ...on po prostu nie wie. On nie... Rozumiesz? – Kiwnęłam głową, próbując przypomnieć sobie, co chciałam powiedzieć. Miałam gulę w gardle. – Wszystko ma takie uporządkowane. Takie czyste.

Chuck wziął moją rękę i spojrzał na nią tak, jakby to nie była zwykła ręka, ale jakiś fascynujący przedmiot. Miniaturowa filiżanka lub dziwny ptak. Mówił cicho, jego oddech był ciepły w zimnym powietrzu.

– Byłem wściekły na mojego ojca. Byłem też wściekły na nią, tak myślę. Za to, że umarła. Za to, że uczyniła go tak smutnym, że zrobił to, co zrobił.

Moje serce biło w klatce piersiowej tak, jakbym przypadkiem połknęła całą pastylkę na kaszel. On zrozumiał. Wiedział, jak to jest być złamanym. Zbliżyłam się do niego. Pijana. Przyciągnęłam go do siebie. Zbliżyłam się do niego ze wszystkim, co miałam. Stałam przed nim, szukając czegoś, czego on prawdopodobnie nie mógł mi dać. Gdy poczułam jego kilkudniowy zarost na moich ustach, zaczęłam płakać. Odsunął się ode mnie gwałtownie, pozostawiając mnie pochyloną ku niemu.

– Wróćmy lepiej do domu – powiedział, wstając gwałtownie.

– Przepraszam – wymamrotałam.

Przycisnęłam swoją dłoń do ostrych igieł sosnowych stanowiących poszycie lasu.

– Nie ma sprawy – oznajmił, podając mi rękę i pomagając wstać.

Słońce zaszło już za naszymi plecami. Było ciemno, ale Chuck znał drogę powrotną. Prowadził, a ja podążałam za nim, wytyczającym szlak. Teraz na mrozie poczułam, jak zaczyna boleć mnie nie tylko ucho, ale też kręgosłup, kolana, kostki, nadgarstki i dłonie.

Peter skończył myć i wycierać naczynia. Skorupki dorzucił do niemal zamarznętego już kompostu. Kuchnia błyszczała. Była nieskazitelnie czysta.

– Uściskaj ode mnie Leigh – powiedział, odprowadzając Chucka do drzwi.

Obserwowałam ich przez okno.

Peter zaczekał, aż Chuck wyjedzie z podjazdu. Gdy wrócił, cały drżał.

– Cześć. – Uśmiechnął się.

Sięgnął niepewnie po moją rękę, a ja nie zaprotestowałam.

Podążyłam za nim po schodach do sypialni do dobrze znanego nam łóżka, gdzie wtuliliśmy się w siebie. Starłam się nie myśleć o Chucku, o ostrych kolcach igliwia w moich rękach. Starłam się skoncentrować na tym, w jaki sposób klatka piersiowa Petera wznosi się i opada w doskonałym, przewidywalnym rytmie.

Podróż i burbon wycieńczyły mnie i byłam wdzięczna za sen, który zstąpił niczym ciężar wielu koców. Nie pamiętam, jak moja głowa dotknęła poduszki. Nie pamiętam, jak zamknęłam oczy. Pamiętam tylko dźwięk telefonu wyciągający mnie na brzeg snu niczym kotwica. Pamiętam uderzenia w mojej głowie od zbyt dużej ilości burbonu i słowa Petera. Siedział na skraju łóżka z telefonem przy uchu. Wciągał na siedząco kalesony i wełniane skarpety.

– Co się stało? – spytałam, stawiając opór przytłaczającemu ciężarowi snu i kołder oraz starając się nadać sens cieniom w pokoju.

– Będę za dwadzieścia minut. Po prostu poczekaj – powiedział Peter i odłożył słuchawkę.

– Co się dzieje? – zapytałam.

Serce ciężko waliło mi w piersi, jakbym biegała, zamiast spać.

– To Leigh. Właśnie poroniła.

Byliśmy jedynymi podróżnymi na tym odcinku drogi. Zbliżała się trzecia nad ranem, przez chwilę czułam się tak, jakbyśmy jechali do naszej kawiarni, aby zacząć piec chleb i babeczki. Ale gdy dotarliśmy do szpitala, nie mogłam dłużej się oszukiwać. Światła budynku oświetlały na zielono skórę Petera, gdy szedł w poprzek parkingu do wejścia na izbę przyjęć.

Chuck stał na zewnątrz i palił papierosa. Miał rozwiązane buty, jego wełniana czapka była przekrzywiona. Kiedy nas zauważył, zgasił papierosa podeszwą i odwrócił się w stronę Petera.

Peter objął go mocno, klepiąc po plecach dłońmi w rękawiczkach. Stałam cicho, obserwując całe to zdarzenie.

Peter cofnął się, wciąż trzymając Chucka za ramiona.

– Jak Leigh?

– Myślę, że w porządku. Musieli zrobić łyżeczkowanie macicy. Jest bardzo wycieńczona. – Chuck wsunął ręce do kieszeni i spojrzął

na swoje nogi. – To się stało, gdy wracała do domu od swojej matki. Mogła mieć wypadek. Nie powinienem był pozwolić jej jechać samej.

Pokręciłam głową i dotknęłam jego ramienia.

– To nie twoja wina...

Peter znów objął Chucka i skierował go w stronę drzwi. Stałam tam z ręką wyciągniętą w kierunku niczego. Szłam za nimi, po ich śladach. Dopasowałam moje kroki do ich, identycznych na podłodze wyłożonej białymi kafelkami.

\*

Mama i moja siostra wjechały na podjazd tuż po tym, jak poszłam do łóżka. Słyszałam opony kruszące żwir i przyczepę przygotowaną do występu Lily. Było zbyt wcześnie, aby kłaść się spać, zaledwie ósma, ale miałam nadzieję, że zasnę, zanim wrócą do domu, i nie będę musiała oglądać żadnej z nich aż do następnego ranka. Nie było jednak sposobu, żeby udawać, że śpię, kiedy mama otworzyła drzwi do kuchni. Musiałam otworzyć oczy, kiedy usłyszałam jej krzyk.

– Daj mi natychmiast twojego ojca do telefonu! – wrzasnęła w pustej kuchni.

Nie zapomniałam dźwięku jej głosu, ale nie słyszałam go tak dawno; brzmiał teraz jak należący do obcej osoby. Leżałam na plecach, gapiąc się w sufit, wiedząc, że jeśli tylko ustąpię, cały mój świat znów wywróci się do góry nogami. Poprawiłam koszulę nocną, która podjechała nieco za wysoko. Użyłam jednej z różowych zardzewiałych maszynek mamy, kiedy goliłam nogi, i teraz swędziały pokryte różowymi zadrapaniami.

– Indie! – nalegała.

Jakimś sposobem wiedziała, że nie śpię, tylko po prostu leżę w łóżku w swojej sypialni.

Trofeum z turnieju pływackiego znajdowało się na biurku. Widziałam jego zarys pośród cieni rzucanych przez stare buteleczki po perfumach, pozytywkę i zwinięte skarpetki. Chciałam, żeby trochę tu stało. Zacisnęłam powieki i słuchałam ciężko stąpającego Benny'ego, który przytulał się do mamy w kuchni. Słyszałam, jak szlocha, co przypominało dźwięk nadchodzącego pociągu. Myślałam, że płacze tylko dlatego, że nie chciała go przytulić, ale kiedy dudnienie tego szlochu przekształciło się w dźwięki uderzania metalu o metal na torach, a ostrzegawczy gwizd jego płaczu stał się krzykiem pary, zdałam sobie sprawę, że w naszej kuchni dzieje się coś o wiele gorszego.

Gdy biegłam korytarzem, moje nogi ocierały się o nylon koszuli nocnej, a poraniona skóra na nogach paliła. Pochyliłam się i przycisnęłam zimne dłonie, żeby zdusić ten ogień. Jedynym źródłem światła była lampka nad kuchenką. Jego fluorescencyjna



zielona poświata sprawiła, że miałam wrażenie uczestniczenia w jakiejś podwodnej scenie, jakby linoleum było dnem oceanu, a Benny, kulący się w kącie obok lodówki, był jakimś stworzeniem, a nie chłopcem. Mama stała przy stole kuchennym i rękami zakrywała twarz. Kiedy je odsunęła, bladą zieleń jej skóry pokrywały ciemne, krwawe odciski dłoni.

– Co się stało, mamó? – zapytałam cicho, przestraszona.

Nic nie odpowiedziała, tylko podniosła słuchawkę i wykręciła numer do baru.

– Sheila, tu Judy Brown. Muszę porozmawiać z moim mężem.

Wyobraziłam sobie Sheilę w krótkiej koszulce. Myślałam o tym, w jaki sposób głaskała włosy taty, gdy zranił się w kolano na podwórku, tańcząc jak John Travolta. Myślałam o tym, że jej słowa smakowały niczym przeterminowane miętówki. Przewróci oczami i poda tacie telefon. Może przez przypadek dotknie go, gdy on weźmie słuchawkę.

W podwodnej kuchni słowa mamy płynęły cicho.

– Lily dostała krwotoku. Miała mdłości wczoraj podczas ceremonii wręczenia nagród, ale nie miała gorączki, więc myślałam, że poczekamy, aż dotrzemy do domu, żeby mogła pójść do swojego lekarza. Ale potem zaczęła krwawić tuż za Camp Verde. – Mama przycisnęła wolną rękę do stołu i patrzyła na czerwony znak, który na nim zostawiła. – Mam wynajęty samochód z przyczepą. Musisz po nas przyjechać.

Widziałam, jak Sheila wraca za bar, podczas gdy tata zwija długi przedłużacz do kuchni. Poczułam enchiladas Rosey i usłyszałam, jak koszyk krążków cebulowych jest wrzucany na skwierczący tłuszcz. Poczułam westchnienie Sheili na szyi taty.

Mama zamknęła oczy i podniosła głos.

– Twoja córka wykrwawia się na śmierć na tylnym siedzeniu samochodu. Jeśli nie dotrzesz tu za pięć minut, umrze. Rozumiesz?

Benny opadł na podłogę i wczołgał się pod stół. Wyglądał jak mężczyzna, a nie chłopiec. Wyglądał jak gigant ślizgający się po dnie morza. Pełznąc po podłodze, wpadł przypadkowo na mamę. Ich spojrzenia spotkały się. Już wiedział, że prawdopodobnie

popęłnił straszny błąd. Próbował wyjaśnić jej oczami, że nie chciał tego zrobić, że jedynie potrzebuje poczuć się bezpiecznie. Nie trwało nawet chwili, gdy go kopnęła. Uderzyła go tak, jakby był jakimś zwierzęciem. Zasłoniłam uszy, gdy odwiesiła słuchawkę i zaczęła wrzeszczeć na Benny'ego.

Benny trzymał dużą dłoń przy swoim boku, ranny, ale nie martwy, i wciąż czołgał się przez jej płynne słowa w stronę stołu. Podmorska jaskinia. Przez chwilę myślałam o dołączeniu do niego. O pozostaniu w tej jaskini na zawsze. Ale potem matka skierowała swoją uwagę na mnie, gdy stałam w drzwiach, zakrywając dłońmi uszy, z rankami od maszynki na nogach. Podeszła do mnie tak, jakby mogła być łagodna, jakby mogła wziąć mnie w ramiona i delikatnie trzymać. Jakby mogłoby jej być przykro.

I tak zrobiła. Moje serce waliło i tłukło się w piersi, zakłopotane i przestraszone. Mimo to jej miękkie ramiona próbowały utworzyć krąg wokół mnie. Benny zachowywał się cicho, ukryty i bezpieczny pod stołem, gdy mama mnie ścisnęła. Gorące łzy napływały mi do oczu, jednak ona mnie nie puszczała. Już dawno nie byłam tak blisko mamy. Zapomniałam, jak pachnie lawendą. Zapomniałam dotyku jej żeber, za którymi zamknięte było jej serce. Zapomniałam, że miała mniejsze ręce niż ja.

W tej chwili, pełnej zapachu lawendy, mogłam jej wybaczyć, że kopnęła Benny'ego. Mogłam to zrozumieć. Ta noc w barze wciąż była we mnie żywa. Metaliczny posmak nienawiści w moich ustach. Ale tutaj była tylko delikatność. Mama trzymała się mnie kurczowo. Puściła mnie jednak, gdy w kuchni pojawił się ojciec.

– Gdzie ona jest? – zapytał.

– Mówiłam ci, że w samochodzie – odrzekła, nie patrząc na niego.

Cała jej delikatność uleciała, przekształcając się w twardość kości i ostrość oddechu.

– Indie, zostań z bratem – powiedział tata.

Skinęłam głową ze zrozumieniem, gdy mama poszła za tatą na zewnątrz. Zostawiłam Benny'ego pod stołem. Przeszłam obok niego, choć błagał mnie, żebym z nim została, i poszłam do swojego

pokoju. Wzięłam do ręki swoje trofeum i spojrzałam na mosiężną tabliczkę przymocowaną małymi śrubkami do marmurowej podstawy. Nawet nie zapytałam Lily, czy udało jej się wygrać konkurs na Miss Kwiatu Pustyni. Nie zrobiłam tego, bo i tak wiedziałam. Wiedziałam, że gdyby wróciła z szarfą, koroną i trofeum pięć razy większym od mojego, to nie byłoby krwi. To było takie proste. Jeśli Lily wygrałaby konkurs, mama nie dopuściłaby do tego.

\*

W przeddzień Święta Dziękczynienia poszłam z Peterem do kawiarni. Wstałam, gdy był w łazience, i zaskoczyłam go, kiedy ponownie wszedł w zasięg przyciemnionego światła naszej sypialni.

– Wracaj do łóżka. Nie musisz iść dziś ze mną – oznajmił, przeczesując włosy długimi palcami.

– Ale chcę – oświadczyłam i sięgnęłam do komody po jakieś ubranie.

Podłoga była zimna pod moimi stopami. Kiedy wypuszczałam powietrze, z ust wydobywała się para.

– Naprawdę, Indie. Nie ma problemu. – Chciał wziąć mnie za rękę.

Zignorowałam go i wyjęłam z szuflady dzinsy.

– Powiedziałaś, że chcę. – Obrzuciłam go bezlitosnym spojrzeniem.

– W porządku. – Odsunął się ode mnie z rękami podniesionymi w górę.

– Co to miało być?

– Co?

– To – odparłam, naśladując jego gest.

– Nic. Przepraszam.

Włożyłam spodnie i odwróciłam się od niego, żeby zdjąć koszulę nocną. Przeszły mnie dreszcze. Stałam tak przez chwilę półnago, zwrócona do niego plecami, a potem włożyłam swój ulubiony stanik i zużyty T-shirt. Kiedy znów się odwróciłam, Petera nie było w sypialni. Poszedł do salonu dorzucić ognia do kominka.

\* \* \*

Jechaliśmy w milczeniu przez las. Ulice były puste. Świąteczne dekoracje na drzewach wyglądały jak spadające gwiazdy schwyte przez nagie gałęzie drzew. Wyglądało to pięknie i dziwnie zarazem. Dziś Peter nie ociągał się w samochodzie. Wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi, zmierzając szybkim krokiem do wejścia z kluczami w dłoni. Szłam za nim bez słowa.

Poszedł prosto do kuchni, zostawiając mnie w ciemności, tak abym sama odnalazła drogę do schodów prowadzących do piekarni. Włączyłam światło, wyciągnęłam świeżo wyprany i wykrochmalony

fartuch i zawiązałam go na szyi i w pasie. Spięłam włosy gumką. Znalazłam trzy wiaderka z napisem „WILGOTNE” w lodówce (mleko, cukier i jajka pływające na wierzchu niczym miniaturowe słońca) oraz trzy z napisem „SUCHE”, spoczywające na ladzie. Była tam też kartka, którą zostawił Peter, z przepisami na babeczki czekoladowo-serowe z potrójną ilością jagód i orzechowe z syropem klonowym. Nawet mała dałaby sobie radę. Ta kartka mogła czekać tu na każdego.

Zdjęłam z półki trzy miski do mieszania i ustawiłam je na drewnianej ladzie, jedna obok drugiej. Nastawiłam piekarnik na sto sześćdziesiąt stopni, zdmuchnęłam mękę z radia. Kiedy chciałam je włączyć, w dłoni zostało mi pokrętko. Kilka razy próbowałam je przytwierdzić, ale przestało pasować. Sfrustrowana wyrzuciłam je do stalowego zlewu, gdzie odbiło się kilka razy, wydając głośny dźwięk.

Odważyłam borówki, maliny i truskawki w jednej misce. Czekoladę z bitą śmietaną, syrop klonowy i orzechy w pozostałych. Następnie wrzuciłam zawartość wiaderek do właściwych misek i zaczęłam energicznie mieszać, aż rozbolała mnie ręka, ale wszystko wyszło gładkie. Wyłożyłam trzy formy z papierowymi foremkami do muffinek. Ładne niebieskie miniaturowe harmonie. Popryskałam formę specjalnym sprejem zapobiegającym przywieraniu. Ciasto było grube, pełne jagód, czekolady i czystego syropu klonowego z Vermont.

Słyszałam, jak Peter krząta się na górze. Jak odkręca wodę. Słyszałam dzwonek przy drzwiach oznajmiający przybycie Joego. Rower toczony po podłodze i otwieranie drzwi na tyłach kawiarni, gdzie zawsze przypina rower do starych rur.

Kiedy umieściłam babeczki w piekarniku, poszłam do biura i zapaliłam światło. Spojrzałam na biurko Petera. Otworzyłam szufladę i spojrzałam na pinezki i gumki schludnie ułożone w specjalnym pojemniczku. Harmonogram pracowniczy wisiał na tablicy korkowej. Zawsze był organizowany w systemie zmianowym. Imiona i nazwiska pracowników były idealnie wpisane ołówkiem w odpowiednie pola. Ołówki zaostrzone jak sztylety,

czyste gumki niepoplamione tuszem stały na biurku niczym żołnierze oczekujący na rozkaz. Czysta suszka i pusty kosz na śmieci. Na biurku segregator, w którym każdy dokument miał swoje miejsce.

Wzięłam czarny flamaster i zatelefonowałam do Lily. W Phoenix była teraz północ. Czekając na połączenie, zdjęłam zatyczkę i poczułam silny zapach trucizny i toksyn. Zaczęłam stawiać czarne krzyżyki na wszystkich rzeczach Petera, gdy w końcu usłyszałam jej przerażony głos.

Nie powiedziałam ani słowa. Nie przerwałam jej ani nie poprosiłam o wyjaśnienia. Zrobiłam krzyżyk na suszce, pomazałam harmonogram i ściany. Narysowałam ikсы na swoich rękach. Odłożyłam słuchawkę i zaczęłam mazać po czystym białym fartuchu, po dżinsach i koszulce. Nie przerwałam, dopóki flamaster się nie wyczerpał; moje policzki nie były mokre od łez. Z góry dochodziły odgłosy Petera wyciągającego tablicę z napisem „Dziś polecamy”. Wpatrywałam się w bałagan, którego byłam sprawczynią, i wtedy się rozplakałam. Dopiero gdy poczułam zapach spalonych babeczek, dotarło do mnie, co zrobiłam.

Peter zszedł do mnie w momencie, gdy wyciągałam z pieca poczerniałe babeczki. Oboje kasłaliśmy od dymu wydobywającego się z jego wnętrza.

– Czekaj, daj mi to, Indie. Ja to zrobię, proszę – powiedział i wrzucił formę do zlewu.

Usiadłam na podłodze obok olbrzymiego miksera do chleba, przyłożyłam policzek do zimnego metalu i zamknęłam oczy. Peter włączył wielki wentylator stojący obok drzwi i usiadł koło mnie na podłodze. Przytulił mnie siłą do siebie.

– Co się dzieje?

Spojrzałam na jego twarz, szeroko rozstawione, wypełnione smutkiem oczy.

– Pomóż mi, proszę – dodał.

Czułam chłód metalu na skórze. Zadudniło mi w płucach, gdy wykasływałam resztki dymu.

– Jestem jak jedna z tych puszek, których nie kupisz w sklepie

spożywczym – powiedziałam.

– Co?

– Jedna z tych puszek, które zawsze ustawiają na oddzielnych regałach i przeceniają o połowę. Te, które mają jakieś wgniecenia. Pamiętasz? Pamiętasz, jak włożyłam jedną z nich do koszyka? Z pomidorami czy coś takiego. Kazałeś mi ją wyjąć i odłożyć z powrotem. Powiedziałeś wtedy, że takie wgniecenie to nie jest byle co, że psuje się to, co jest w środku. Pamiętasz?

– Nie.

– To prawda, Peter. Bóg po prostu dał mi tak wiele.

\*

*Oto ja w wieku dziewiętnastu lat. Pływam w pożyczonym swetrze o szóstej nad ranem i obserwuję, jak Peter rzeźbi tego samego łabędzia każdego dnia. Sweter zrobiła czyjaś ciotka, nie znając dokładnie wymiarów. Jest szary, gruby i sięga znacznie poniżej bioder. Rękawy są tak długie, że muszę je podwijać, żeby móc cokolwiek robić. Siedząc tak w pożyczonym swetrze, wyobrażam sobie łabędzia uwięzionego w lodzie. Czuję nawet, jak moja szyja wygina się w ten sam sposób.*

W końcu zapytał, czy pójdę z nim na spacer po południu. Powiedział, że pokaże mi coś, co znalazł. Pamiętam, jak nieśmiało się zgodziłam. Byłam bardzo zadowolona z możliwości oglądania go z pilarką łańcuchową rzeźbiącego lód. Teraz, z perspektywy czasu, wydaje mi się, że nie różniliśmy się od innej pary nastolatków zdzierających buty, gdy tak szliśmy w dół krętą żwirowaną drogą, z dala od Briches. Pamiętam, że nasz spacer na tle tego malowniczego, choć wyglądającego jak papierowy zamku oraz gór piętrzących się za nim w kierunku jasnego nieba miał na nas dziwny wpływ. Prawda jest jednak taka, że w tamto gorące letnie popołudnie na naszym miejscu mogła być każda para nastolatków.

Peter zazwyczaj był kilka kroków z przodu. Widziałam, że musi uważać, aby nie zostawić mnie z tyłu. Miał długie nogi i wiedział, dokąd idzie. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że pilnował czasu, licząc swoje kroki jak metronom. Nie rozumiałam, że dzięki liczeniu czuje się bezpieczny.

Wypożyczenie roweru hotelowego kosztowało dolara za godzinę. Była to cena dla pracowników. Wszystkie były czerwone i nie miały przerezutek. Były bardziej odpowiednie na przejażdżkę po molo niż na górskie drogi, ale my zdecydowaliśmy się je wypożyczyć. Jechałam za Peterem, pedałując z całych sił i próbując za nim nadążyć. Wjeżdżaliśmy coraz wyżej i unikaliśmy lokalnych kierowców pędzących na niebezpiecznych zakrętach. Po prawie godzinie dojechaliśmy do mostu, który zbudowano nad czymś, co miejscowi nazywali „szczyrbą”, a co ludzie mieszkający na Zachodzie nazwaliby „kanionem”. Zostawiliśmy rowery, nawet ich nie zapinając, i przeszliśmy przez barierki, uważając, aby nie spaść do wąwozu. Peter podał mi rękę i pomógł wejść. Nie odrzuciłam tej



propozycji. Widziałam bardzo wyraźnie, że miał coś dużego w plecaku. Pomyślałam przez chwilę, że może przygotował dla nas piknik, ale gdy w końcu zeszliśmy na dół, gdzie strumień był szerszy, niż się wydawało, kiedy patrzyło się na niego z mostu, wyjął z plecaka jedynie lornetkę i koc.

Gniazdo spoczywało niepewnie wysoko w koronie starego klonu, niedaleko wody. Zajął mi kilka chwil, zanim dojrzałam ptaki w gęstej koronie drzewa.

– Nie – powiedział, wskazując na miejsce, na które wcześniej patrzyłam. – Zobacz tam.

W końcu zauważyłam ruch i wpatrywałam się w to miejsce tak długo, aż dostrzegłam głowy trzech piskląt rudzika wystające z gniazda. Były małe i prawie nagie. Wyginały szyje i otwierały swoje dzióbki, ale nie wydostawał się z nich żaden dźwięk.

– Wczoraj znalazłem w wodzie ciało ich matki – odezwał się Peter, siadając na rozłożonym na trawie kocu.

Nie przestawałam patrzeć przez lornetkę.

– Pomyślałem, że spróbuję wspiąć się na górę i zabrać je stamtąd, ale prawdopodobnie gałęzie są za cienkie i mnie nie utrzymają.

Patrzyłam przez lornetkę na gałęzie wystające nad zimną wodą. Zerkalam to na drzewo, to na Petera. Wziął ode mnie lornetkę i teraz patrzył przez nią w milczeniu. Chciałam mu powiedzieć, że ja to zrobię, niech mi tylko trochę pomoże, ale gdy spojrzałam ponownie na te cienkie gałęzie, poczułam, jak cała drzę mimo grubego swetra.

Peter wzruszył ramionami i schował lornetkę do plecaka.

– To zbyt niebezpieczne.

Nie wspominał już o ptakach ani słowem. Nadal się uśmiechał, kiedy codziennie rano siadałam z kawą na ganku i obserwowałam, jak pracuje. Czasem wieczorami chodziliśmy na basen lub wypożyczaliśmy rowery i jechaliśmy do miasta na pizzę. Zawsze zamawialiśmy największą i jedliśmy, aż palce lepiły się od tłuszczu i zaczynały nas boleć brzuchy. Przez dłuższy czas Peter unikał dotykania mnie. Wydawało mi się, że to przez te ptaki. Nocami,

przy dźwiękach chrapiącej współlokatorce, rozmyślałam o tamtych chwilach. Czułam korę pod palcami. Wyobrażałam sobie, jak chwieję się na gałęziach. Śniłam o tym, jak trzymam cierniste gniazdo. Słyszałam, jak te trzy chude i nieopierzone ptaki skrzeczą. To ja dałam im głos. Niebieskie skorupki po jajkach, które przekazuję Peterowi, mają taki sam kolor jak niebo w moich snach.

Pod koniec lipca zniechęciłam te ptaki. Nienawidziłam ich wątych szyjek za każdym razem, gdy Peter szedł kilka kroków przede mną lub nie chwycił mojej wyciągniętej dłoni. Za każdym razem, gdy mówił, że woli poczytać książkę, niż o północy pić ze mną piwo na plaży dla pracowników. Nienawidziłam ich matki za to, że zbudowała gniazdo tak wysoko. Cieszyłam się, że pisklęta zdychały za każdym razem, gdy mnie przytulał, zamiast pocałować, i wracał po słabo oświetlonych drewnianych schodach prosto do swojej sypialni.

Codziennie jednak obserwowałam, jak rzeźbi łabędzia z lodu. Nieważne, jak bardzo chciałam zostać w łóżku – nie mogłam się powstrzymać przed wciągnięciem spodni i wyjściem na parking, gdzie zawsze mogłam go znaleźć. W końcu zrezygnowałam. Tak po prostu, pewnego ranka nie wstałam. Tamtej nocy śniłam o tym, jak wywracam gniazdo na drugą stronę, a pisklaki wpadają do wąwozu niczym kamyczki.

Naciągnęłam kołdrę na siebie, kiedy obudziło mnie poranne słońce. Zostałam w łóżku. Teraz wiem, że to wszystko była moja wina. Moja prosta odmowa musiała go bardzo rozczarować i sprawiła, że przestało mu zależeć. Przypadkowo stałam się częścią jego skomplikowanego rytmu dnia, który przerwała moja nagła nieobecność. Zapewne patrzył w kierunku mojego okna, gdy po raz kolejny uwalniał łabędzia z lodowego więzienia. Możliwe, że stracił koncentrację, kiedy odwrócił głowę, by sprawdzić, czy to nie ja odpowiadam za hałasy, które dobiegają zza jego pleców, czy może to zwykły komar albo wiatr kołyszący wierzchołkami drzew.

Pamiętam, jak znajomy warkot piłarki nagle ucichł, a następująca po nim cisza była bardziej wymowna niż krzyki Petera. Była głośniejsza niż dźwięk mojego serca i tupot moich nóg

uderzających o wykładzinę w korytarzu, gdy biegłam sprawdzić, co się stało.

Cięcia były głębokie. Ostrze osunęło się i przeszło najpierw przez goleń w jego lewej nodze, a następnie przez łydkę w prawej. Poharatało mu mięśnie i kości.

Nazajutrz spakowałam się i pojechałam do miasta, gdzie kupiłam bilet autobusowy do Hanoweru. Udało mi się uskładać prawie tysiąc dolarów, wystarczająco, żeby wynająć pokój w żeńskim akademiku w Dartmouth, który i tak latem był prawie pusty. Codziennie, przez miesiąc, chodziłam piechotą z kampusu do kliniki Mary Hitchcock, gdzie leczono Petera.

Nie wydawał się zaskoczony, kiedy pierwszy raz przekroczyłam drzwi jego pokoju. Nigdy mnie nie zapytał, dlaczego opuściłam Birches ani gdzie się zatrzymałam. Tylko się uśmiechał i trzymał mnie za rękę, gdy czytałam mu książki i przemycałam hamburgery. Całował mnie każdego dnia, kiedy zbierałam się do wyjścia. Tak oto zakochaliśmy się w sobie. Sprawiałam, że zapomniał o umierających ptakach. Nigdy nie czułam się tak potrzebna i tak kochana jak wtedy, w tym nieskazitelnie białym pokoju, który pachniał wybielaczem i zwiędłymi kwiatami. Peter wybaczył mi wszystko.

\*

Po powrocie z kawiarni poszłam prosto do łazienki wziąć kąpiel. Wlałam do środka płyn do kąpieli i patrzyłam, jak pojawia się piana. Kiedy wanna była pełna, zrzuciłam z siebie ubrania i zanurzyłam się po samą szyję. Wyjęłam nową kostkę mydła i zaczęłam szorować czarne krzyże na skórze. Woda od razu poszarzała od tuszu. Niedługo później usłyszałam pukanie do drzwi.

– Otwarte – powiedziałam.

Peter wszedł do środka i stanął obok wanny, patrząc na mnie z góry. Podwinął rękawy, uklęknął i włożył ręce do wody. Widziałam, jaki to dla niego wysiłek. Nie dostrzegłam jednak grymasu bólu na jego twarzy. Po prostu nachylił się i pocałował mnie w czoło.

– Czuję się okropnie.

– Widzę.

– Nie chodzi tylko o dzisiaj – stwierdziłam, ruszając się w mętnej wodzie. – Mówię o wszystkim, co się wydarzyło.

Zamknął oczy i otworzył je po chwili.

– Za dużo się dzieje... Nie powinieneś się zajmować całym tym głównem.

– Ja wciąż tu jestem i nigdzie się nie wybieram.

– Dlaczego?

Zamoczył mankiety swojej koszuli.

– Uważaj – powiedziałam, podwijając mu je za łokcie.

Spojrzał na mnie z powagą.

– Wszyscy jesteśmy zepsuci, Indie – rzekł delikatnie.

– Nie chcę tego słuchać. – Pokręciłam głową.

– Posłuchaj mnie, proszę. – Usiadł na kolanach, ale nie wyciągnął rąk z wody. – Każdy z nas ma jakieś wgniecenia. Każdy z nas został upuszczony i uderzył o posadzkę.

– A co w tobie jest zepsute? – zapytałam.

Popatrzył na mnie uważnie. Wiedziałam, że myśli o swoich nogach.

– Co? Ponieważ masz blizny? – Parsknęłam. – To nie to samo. Nigdy nie spotkałam nikogo bardziej normalnego od ciebie.

Peter wyjął ręce z wody i pociągnął mokrą dłońią po włosach.

– Myślisz, że jestem „normalny”? Myślisz, że życie polegające na liczeniu kroków i strachu przed robieniem czegokolwiek burzącego rutynę jest „normalne”?

Spojrzałam na szarą wodę.

– Kiedy miałem sześć lat, myślałem, że muszę liczyć do tysiąca, zanim zasnę, albo coś złego przydarzy się mojej mamie. Byłem przerażony, gdy raz mi przerwała. Próbowałem jej wyjaśnić, że dla mnie to całkowicie normalne, ale ona starała się mnie uspokoić i zapewniała, że nie muszę tego robić. Zacząłem liczyć ponownie, kiedy tylko opuściła pokój. Tak się bałem. Później doszły kolejne rzeczy. Ubieranie się, począwszy od lewej do prawej. Wszystkie te rytuały. A gdy zdarzył się wypadek, to było jak jakiś znak. Było już tylko gorzej. Nie wiem, ile spędziłem godzin, próbując się dowiedzieć, co zrobiłem nie tak tego dnia. Czy włożyłem najpierw prawy but, a potem lewy? Prawie oszalałem, próbując zrozumieć, gdzie popełniłem błąd, aż musiałem odpuścić. Musiałem przekonać siebie, że to po prostu był wypadek.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

– Każdy z nas ma blizny, ale to nie wypadki składają się na nasze życie.

– Wypadki?

Otarłam oczy wierzchem dłoni. Wszystko teraz było mokre. Z całej siły je zamknęłam i ujrzałam gwiazdy na suficie Benny’ego.

– Przetrwiałaś, Indie. Poobijana i posiniaczona, ale żywa. Czy to nie jest dla ciebie nic warte?

– Ja nie przetrwałam, Peter. Ja uciekłam. – Poczułam, jak zbiera mi się na płacz, jak staje mi w gardle niczym węzeł liny. – Uciekłam i pożyczyłam sobie cudze życie. A teraz czuję się... jak książka z biblioteki nieoddana na czas. Codziennie obawiam się, że ktoś w końcu mnie zwróci. – Płakałam tak mocno, że moje piersi niemal falowały z każdym szlochem. – A to nie były „wypadki”. Nic, co mi się przydarzyło, nie było wypadkiem. Wypadki to są rzeczy, których nie możesz zatrzymać. A to wszystko ktoś mógł przerwać.

Ponownie się do mnie zbliżył i złapał mnie za ramiona. Trzymał delikatnie, żebym nie zanurzyła się cała i przypadkiem nie utopiła.

Spojrzałam na poszarzałą wodę. Popatrzyłam na swoje białe ciało trzęsące się z zimna.

– Mama mogła to przerwać, tata... – mówiłam, wpatrując mu się w oczy. – Ja mogłam to przerwać. To jest różnica, rozumiesz?

Peter pomógł mi wyjść z wody. Nałożył na mnie swój stary szlafrok niczym duży flanelowy bandaż. Zaniósł mnie do łóżka i zaczął gładzić włosy, aż się uspokoiliłam. A wtedy rozwiązał szlafrok, otworzył go jak jakiś prezent i zaczął całować wszystkie moje obolałe miejsca. Moje zmęczone oczy i dłonie.

– Nie chcę już piec babeczek – mówiłam później, zapadając w sen.

– W porządku.

Wydaje mi się, że mu nie przeszkadzało, iż ma na rękach szare plamy od brudnej wody.

Peter odebrał Esmé z dworca autobusowego o północy. Chciał, żebym pojechała z nim, ale powiedziałam, że nie czuję się zbyt dobrze. Zmyśliłam objawy w nadziei, że to mu wystarczy. Sprawdził, czy mam gorączkę, przykładając mi dłoń do czoła, i chociaż tak naprawdę czułam się dobrze, przyniósł dwie aspiryny i filiżankę rumianku.

Po jego wyjściu zwinęłam się w łóżku (nasze prześcieradło było tak czyste, że wciąż pachniało proszkiem), żałując, że jednak zostałam. Byłoby miło pojechać przez las, który teraz, po niedawnej śnieżycy, cały był pokryty białym puchem. Byłoby miło patrzeć, jak Esmé wyłania się z autobusu i wchodzi do gorącego i śmierdzącego dworca, gdzie zaoferowałabym jej pomoc w niesieniu ciężkiego plecaka. Byłoby miło być wszędzie, byle nie tutaj – w ciszy. Może nie czułabym się tak samotna, gdyby Jessica położyła się obok, ale nie chciała wyjść z suszarki, gdzie było cieplej niż w piecyku. Zrobiła sobie wygodne legowisko z bokserek Petera i mojej piżamy.

Ucieszyłam się, kiedy nareszcie wrócili do domu, ale gdy Peter spytał, jak się czuję, odparłam, że niezbyt dobrze. Zostałam więc w łóżku z moją wymyśloną gorączką również nazajutrz rano, przysłuchując się, jak pieką w kuchni placki i chleb.

Peter wstawił telewizor do kuchni, żeby móc oglądać coroczną

paradę i jednocześnie przygotowywać kolację dziękczynną. Dochodziły do mnie dźwięki licealnych kapel, kiedy w końcu niechętnie wstałam z łóżka. Mogłam usłyszeć również delikatny, słodki głos Esmé, unoszący się niczym paradny balon.

*Święto Dziękczynienia. Mountain View, Arizona. Benny lubił sos żurawinowy z puszki. Kochał dźwięk przełamywanego wieczka i przerzucania śliskiej mazi z puszki do miski. Wciskał palce do wnętrza pofałdowanego cylindra tak głęboko, aż przebijał się przez żelatynę i wyczuwał dno.*

Leigh Moony wciąż była w szpitalu. Dostała reakcji alergicznej na jeden z antybiotyków zaaplikowanych jej, aby zapobiec infekcji. Zaskoczyło mnie, jaka wydawała się drobna, gdy leżała w szpitalnym łóżku. Chuck opowiadał, że miała w sobie tyle siły, iż sama przenosiła całą beczkę piwa. Mogła przenieść całą beczkę piwa, ale nie udało jej się donosić ciąży. Zastanawiam się, jak się czuje teraz. Taka pusta w środku.

Parada dziękczynna wyglądała podobnie jak wszystkie inne z poprzednich lat. Ostatni raz byłam na paradzie, gdy odwiedzałam ojca w San Diego. Lampki choinkowe nawleczone na palmy, oświetlające drogę surferom, volkswagenom ogórkom, harleyom-davidsonom ozdobionym porożami.

W kuchni Esmé obmywała pod bieżącą zimną wodą śliskiego wypatroszonego indyka. Prowadzący z zaróżowionymi od mrozu policzkami zapowiadali występ aktorów z Broadwayu na ulicach miasta.

*Kolacje dziękczynne mamy były przygotowywane za pomocą pudełek i puszek. Gotowe farsze, sos żurawinowy i chrupiące smażone cebulki posypane na równomiernie ułożoną fasolkę. Benny wkładał pióropusz na głowę. Ten zapomniany kostium halloweenowy budził dzikusa w małym chłopcu. Chłopiec ten nie był jednak świadomy, że Indianie żyją wokół nas. Wydawało mu się, że oni wciąż wyglądają jak bohaterowie starych westernów. Pióra wypadły jeden po drugim, obsypując kuchenną podłogę niczym jesienne liście.*

Chuck Moony ożenił się z Leigh z powodu jej siły i spokoju. Powiedział nam, że ją kochał, bo była nie do złamania. Nie była

krucha tak jak inne kobiety. Nie musiał się martwić, że rozpadnie mu się w rękach.

Kiedy Esmé była mała, Peter zabierał ją ze sobą wszędzie. Lubiła podróżować na kierownicy jego roweru, gdy w dokach odwiedzali ojca. Nosił ją na barana po domu. Pozwalał siedzieć na przednim fotelu swojego samochodu, gdy uczył się jeździć. Twarz Petera jaśniała, gdy Esmé była w pobliżu. Tęsknił za nią, kiedy wyjeżdżała.

Śmiech Benny'ego może brzmieć jak śmiech szaleńca, ale tylko dla kogoś, kto go nie zna. Odrzucił głowę do tyłu, otworzył usta i wydał z siebie dźwięk, przez który pęka szkło i można uszkodzić sobie bębenki. Śmiał się tak bardzo, że zrobił się czerwony. Myślę, że już wtedy wiedział, iż radość to w naszej rodzinie ciężka praca.

Przyniosłam Leigh bukiet żółtych stokrotek, który chyba jej się spodobał. Kiedy odbierała ode mnie kwiaty, plastikowa osłona zaszeleściła w jej dłoniach. Zobaczyłam wtedy, że jej żyły są tak cienkie jak żyłki wędkarskie. Zakładanie wenflonu musiało sprawiać pielęgniarce spory kłopot. Chuck mówi, że Leigh jest jak dobre drzewo. Nie jest zbyt piękna ani wysoka, ale można jej całkowicie zaufać i jest bardzo silna. Łagodny wiatr nic by jej nie zrobił, co najwyżej zaszeleściłby jej gałęziami. Zastanawiałam się, czy czuje się pusta. Nie miała już w sobie zgniłej papki.

Peter miał prawie trzynaście lat, kiedy na świat przyszła Esmé. Twierdzi, że była planowana, ale ona śmieje się, że to była wpadka. Wydawałoby się, że zazwyczaj rodzeństwa z tak dużą różnicą wieku nie stworzą wspólnej więzi. Najbliżej są ze sobą te dzieci, które muszą się zjednoczyć w odwiecznej walce przeciwko rodzicom. Peter i Esmé byli jednak blisko. Słyszę to w sposobie, w jaki się porozumiewają. Jeśli opowiadają wspólnie jakieś historie, brzmi to dla mnie jak muzyka.

Myślę, że dlatego Peter nie bardzo rozumie, że Lily i ja nigdy nie byłyśmy sprzymierzeńcami. Ona zawsze była w jednej drużynie z mamą. Nawet po tym, jak Benny umarł, a tata się wyprowadził, one wciąż były razem. Zjednoczone nie dopuszczały do siebie nikogo.

Czasami wydaje mi się, że jestem jedynaczką. Chuck Moony



nazwał mnie kiedyś „samotnym dzieckiem”. On też tak miał. Jego brat był ponad dziesięć lat starszy od niego.

Słyszałam, jak Peter prosi Esmé, żeby nastawiła piekarnik na dwieście dwadzieścia stopni. Cymbałki, trąbki i tuby. Orkiestry i cheerleaderki, instrumenty i batuty.

Zastanawiam się czasem, co by było, gdyby Benny żył. Lubię myśleć, że rósłby tak długo, aż przerósłby nas wszystkich, mnie, Lily, tatę i mamę. Byłby tak wysoki, że nie mieściłby się już pod stołem ani pod gankiem, a nawet w domu. Jego ręce byłyby tak duże jak te srebrne sanki, które ciągnęliśmy na górkę sąsiada, skąd mogliśmy zjeżdżać. Miałby uśmiech tak szeroki jak kajak. Byłby taki duży, że mógłby wziąć mnie na swoją dłoń i podnieść wysoko.

Dotarło do mnie, gdy wstałam z łóżka, że wmówiłam sobie przeziębienie. Gorączka, którą próbował wyczuć Peter, okazała się prawdziwa. Włożyłam termometr w usta, usiadłam na sedesie i czekałam. Trzydzieści osiem i osiem. Potrząsnęłam termometrem i zdezynfekowałam końcówkę wodą utlenioną. Usłyszałam syknięcie, gdy woda zaczęła zwalczać moje zarazki. Oblałam nią twarz i włożyłam ulubione kapcie. W kuchni Esmé i Peter obierali ziemniaki.

– Cześć, Indie! – przywitała się Esmé, odkładając na wpół obranego ziemniaka i podając mi dłoń. Uścisnęłam ją. – Wyglądasz okropnie.

– Czuję się okropnie – przyznałam.

Gdy to wypowiedziałam, słowa stały się faktem. Poczułam przejmujący chłód i drapanie w gardle.

Peter pokroił ziemniaki w doskonałe kostki i wrzucił je do garnka z wodą ustawionego na kuchence. Uśmiechnął się do mnie.

– Czy mamy jakąś witaminę C? – spytałam.

– W lodówce.

W drodze do lodówki minęłam przykryte zapiekanki i ciasta. Wyciągając duże opakowanie witaminy, zrzuciłam torebkę żurawiny na podłogę. Słabo się czułam. Trzęsły mi się ręce i ugiwały kolana.

– Nie przejmuj się – powiedział Peter.

Wyjął z koszyka kolejnego ziemniaka i opłukał go pod zimną

woda.

– Peter wspominał, że zamierzasz zacząć pisać. Tęsknisz za gazetą? – zagała Esmé.

Nie myślałam ani o gazecie, ani o pisaniu od bardzo dawna.

– Chętnie przeczytałabym coś twojego. Możesz mi wysyłać, co tylko chcesz.

– Dzięki. – Uśmiechnęłam się. – Na pewno coś przyślę.

– Chcesz ciastko? Peter zrobił te z syropem klonowym, które tak lubisz – zaproponowała.

– Nie, dziękuję – odparłam.

Esmé jest piękna w sposób, który sprawia, że w ogóle nie zastanawiasz się, jakie wrażenie na tobie robi. Rumieni się z łatwością. Ma brzydką postawę i nie umie przyjmować komplementów. Jest entuzjastką wszystkiego. Łatwowierna, otwarta i szczerą. Przypomina mi czasem Benny'ego w drobiazgach, w zachowaniu. W tym, jak się uśmiecha. W tym, jak wyraża swoją miłość do Petera. Benny robił tak samo.

Oparła głowę na jego ramieniu. Moja głowa pękała i trzęsły mi się nogi.

– Wracam do łóżka – rzuciłam. – Mam gorączkę. Obudźcie mnie, gdy kolacja będzie gotowa.

– Przyjdę i poskaczę ci na łóżku – zaoferowała się Esmé, nie odchodząc od Petera.

Peter podbiegł do mnie, kiedy odchodziłam w głąb korytarza.

– Nie zapominaj o witaminach. – Wyciągnął dłoń z dwiema tabletkami. Dłonie miał delikatne i pełne blizn. – Poczujesz się lepiej.

Zasnęłam. Obudziła mnie dopiero Esmé, gdy położyła się na łóżku obok mnie.

– Wszystko okej? – spytała.

Skuliłam głowę. Skuliła się i przytuliła mnie mocno. Czułam nutę cynamonu na jej skórze, którym prawdopodobnie ubrudziła się podczas przygotowywania ciasta.

– Tak się cieszę, że tu jestem – powiedziała. – Uwielbiam wasz dom.

– Poważnie? – zapytałam.  
– Czuję się szczęśliwa, kiedy tu jestem. To takie proste, rozumiesz?  
– Naprawdę?  
Wstała i przykryła mnie kołdrą.  
– On cię kocha.  
– Co?  
– Peter. On cię naprawdę kocha.  
Esmé podobnie jak Peter potrafi powiedzieć dokładnie to, co trzeba w odpowiednim momencie.

\* \* \*

Chuck Moony przyjechał akurat wtedy, gdy siadaliśmy do kolacji.

– Ja otworzę – rzuciłam, kiedy zapukał do drzwi.  
Począpałam w kapciach. Nie zadałam sobie tyle trudu, żeby przebrać się do kolacji.

Chuck stał na zewnątrz i cały trząsał się z zimna. Ręce miał w kieszeniach. Widać było, jak bardzo jest zmęczony. Ogolił się. Wyglądał teraz młodziej. Miał zapadnięte policzki i mocną szczękę.

– Przepraszam, że wcześniej nie zadzwoniłem. Przyjechałem prosto ze szpitala. Nie jestem fanem chińskiej zupki z indykiem. – Westchnął.

Uśmiechnęłam się i zaprosiłam go do środka, pomagając zrzucić kurtkę. Peter znalazł w szopie kawałek sklejki i nogi od stołu. Przedłużył więc nasz mały stolik i przykrył całość jednym z obrusów mamy. Naszykował miejsce Chuckowi obok Esmé. Chuck zdjął buty i usiadł.

Bataty, ziemniaki, szpinak, karczochy, sałatka z idealnie czerwonymi pomidorami z naszej szklarni i chleb kukurydziany otaczały złotego indyka w tej cudownej paradzie kolorów, zapachów i smaków.

Czułam, że gardło zalewa mi flegma, ale i tak nałożyłam sobie na talerz górę jedzenia. Chuck nałożył sobie kilka łyżek szpinaku. Jeden liść ciągnął się od talerza aż do naczynia z zapiekanką. Spojrzał przepraszająco, kiedy się zorientował, że ubrudził biały

obrus.

– Więc co w końcu studiujesz, Ez?

Esmé zarumieniła się, kończąc żuć kawałek indyka.

– Nadal książki – powiedziała. – Rzeczy, których nikt inny już nie czyta.

Peter, nie odzywając się do nikogo słowem, ukroił kolejny kawałek indyka, a następnie położył go na mój talerz. Pięknie przyozdobiony ptak spoczywał na półmisku kupionym na wyprzedazy. Domowej roboty sos był gęsty i smaczny. Jadłam, aż przeszły mi dreszcze, aż poczułam się lepiej, aż drapanie w gardle było jedynie nieprzyjemnym wspomnieniem.

Peter przygotował wszystkim waniliowe latte do placka. Wyszłam z Chuckiem na ganek z tyłu domu, podczas gdy Peter i Esmé rozpalili ogień w kominku i zaczęli oglądać w telewizji *To wspaniałe życie*.

Słońce zachodziło, pozostawiając jedynie śladowe ilości różu i złota na drzewach. Usiedliśmy na huśtawce i postawiliśmy nasze kubki na końcu stolików, które Peter zrobił z dwóch pni drzew.

– Przepraszam – zaczęłam – za tamto. – Wskazałam w kierunku lasu, gdzie po pijaku pocałowałam Chucka.

– To już nieważne – powiedział. – Zeszłoroczny szron.

Uśmiechnęłam się.

– Przykro mi również z powodu dziecka – dodałam.

Chuck spuścił wzrok.

– Kiedyś kupiłem nowy samochód. To był jeden jedyny raz, gdy miałem nowy samochód. Pojechałem do Kanady odwiedzić znajomych. Kiedy wyszedłem z baru, już go nie było. Właśnie tak. Nawet się nim nie nacieszyłem.

Spojrzałam w jego szeroko otwarte oczy, które wyglądały teraz jak dwa ciemne stawy.

– Czasem ktoś coś nam kradnie. – Wzruszył ramionami.

Skinęłam głową, rozmyślając o rzeczach, które mnie ktoś skradł. Czy znałam jakichś złodziei?

Esmé już spała, gdy wróciliśmy do środka. Leżała na kanapie z głową na kolanach Petera. Gestem dał nam znać, żebyśmy byli

cicho, kiedy strząsaliśmy z siebie błoto i śnieg. Udało mu się rozgrzać kominek, więc w salonie było już ciepło. W powietrzu wciąż jednak dało się wyczuć niknący zapach obiadowych dań.

- Powinienem wracać do szpitala – powiedział Chuck.
- Weź trochę placka dla Leigh – szepnął Peter.
- Dziękuję, ale ona wciąż leży pod kroplówką.
- To weź chociaż dla siebie.

Spakowałam trochę placka dyniowego i jabłkowego. Ukruszyłam kawałek i wrzuciłam sobie do ust. Był słodki i maślany.

– Zabiłaby mnie, gdyby wyczuła choćby nutę dyni w moim oddechu. Wpadnę jutro po resztki.

- Odprowadzę cię w takim razie – zaproponowałam.

Uśmiechnęłam się.

Wskoczył do samochodu i zapalił światła. Opuścił szybę i wychylił głowę.

- Nie pozwól Pete’owi zjeść całej szarlotki.

Peter też już spał, kiedy wróciłam do środka. Jego palce zapętlily się wokół włosów Esmé. Były długie i cienkie. Miał długie palce, długie rzęsy, ale małe stopy.

Esmé zwinęła się w kłębek, a Peter oparł głowę o zagłówek kanapy. Na jego twarzy widać było delikatny uśmiech. Przyniosłam kołdrę z pokoju Esmé i przykryłam ją. Jessica, po nieudanych próbach wpasowania się między góry tworzone przez kołdrę, nogi i ręce, ostatecznie zrezygnowała i poszła do sypialni, żeby położyć się u mnie w nogach.

W środku nocy wdrapałam się do gabinetu na poddaszu i podniosłam słuchawkę. Poczułam motyle w gardle, kiedy usłyszałam głos Lily. Trzepotanie skrzydeł, które chciały mnie udusić. Zimny wiatr przedostawał się przez popękana ramę okna, owiewając moje nagie ramiona.

– Lily, chcę porozmawiać o Violet. – Słyszałam jej oddech na drugim końcu linii. Jej gardło też wypełniały motyle. – I chcę porozmawiać o Bennym.

Moja siostra milczała przez chwilę, a potem wyszeptała:

- To nie była wina mamy.

Poczułam pieczenie w oczach. Najpierw nastąpiła cisza, a potem usłyszałam, jak dłonią ociera miękką skórę swoich policzków, pozbywając się łez.

– To, co robisz, sprawi, że stracisz i Violet, i Richa. Robisz to samo co mama. Nie widzisz tego?

\*

Oto Benny. Wysoki jak tata, w jego gumowych butach rybackich. Widzę, jak leży na brzuchu, na skale przy potoku, i wpatruje się w wodę. Wkłada rękę głęboko do wody i próbuje dłońmi zmienić kierunek nurtu. Liść wpada mu między palce. Zirytowany strząsa go z ręki prosto na grząską ziemię obok siebie.

To był lipiec, pora monsunowa. Poziom wody w potoku był wysoki jak nigdy po ostatnich opadach. Zbyt wysoki, żeby pływać, nawet dla Benny'ego. Dlatego gdy tata poszedł do pracy, a mama wybrała się do szpitala odwiedzić Lily, zabrałam go na ryby. Nie miałam zielonego pojęcia o łowieniu ryb. Nie wiedziałam nawet, czy są jakieś w potoku. Zdawałam sobie jednak sprawę, że odkąd mama wróciła z Phoenix, a Lily trafiła do szpitala, byliśmy bardziej bezpieczni na zewnątrz niż wewnątrz domu, gdzie nastroje matki były gorsze niż monsuny. Wybuchła gniewem równie nieprzewidywalnie. Ciemne chmury przechodziły po pokojach. Jedynym ostrzeżeniem przed zbliżającą się burzą były ciche westchnienia albo nabierające tempa kroki, ostatecznie zatrzymujące się przed naszymi sypialniami. Podobnie jak monsuny złe nastroje mamy zniknęły równie szybko, jak się pojawiały, a powietrze wydawało się po nich czystsze i lżejsze. Po jej napadach zalegała cisza, zawsze jednak niepełna. Tata nas uspokajał, twierdząc, że to wszystko przez to, iż mama martwi się o Lily, więc jak tylko nasza siostra wróci ze szpitala, znów będzie normalnie. Nie chciałam już mu zwracać uwagi, że w naszym domu nigdy nie było normalnie.

Tamtego ranka bardzo mocno trzymałam kciuki, aby burza nie nadeszła. Obudziłam się, gdy niebo było jeszcze jasne i pełne nadziei przed nadchodzącym dniem, i wczółgałam się do łóżka obok Benny'ego.

– Benny, wstawaj. Idziemy na ryby – szepnęłam.

Otworzył oczy. Najpierw miał zaniepokojony wzrok, który jednak złagodniał po chwili.

– Idziemy nad wodę?

– Tak, ale musimy się śpieszyć, dopóki mama jeszcze nie wstała. Uważaj, żeby jej nie obudzić.

W szopie znalazłam wędkę i stare pudełko na haczyki. Chwyciłam puszkę do kawy, z której wyrzuciłam stare gwoździe i śrubki, i napełniłam ją błotem, w którym roiło się od robaków. Benny wyszedł na zewnątrz, zamykając za sobą po cichu drzwi. Na nogach miał kalosze ojca. Uśmiechnęłam się do niego i dałam znać, żeby poszedł za mną do lasu. Pobiegliśmy do naszego bezpiecznego miejsca, gdzie mój brat mógł wreszcie odetchnąć.

– Nie wydałem z siebie ani dźwięku. Nawet drzwiami.

– Wiem, Benny – powiedziałam. – Byłeś świetny, a teraz chodź.

Pociągnęłam go za sobą. Kontynuowaliśmy marsz, aż doszliśmy do torów.

– Słuchaj. – Opadł na kolana i przyłożył ucho do ziemi.

– W porządku, Benny. Jeden pociąg właśnie przejechał.

Słyszałam go, kiedy byliśmy w lesie.

Myślałam tylko o tym, aby jak najszybciej dostać się nad wodę. Spojrzał na mnie podejrzliwie i wstał, gdy przechodziłam przez tory na drugą stronę.

– Powinnaś być bardziej ostrożna.

– Wiem. – Skinęłam głową. – Chodźmy.

Niebo było jasne i słoneczne. Było jeszcze wcześniej, więc powietrze było rześkie i chłodne. Wiedziałam jednak, że czeka nas gorący dzień, bo gdy dotarliśmy nad wodę, słońce już świeciło nam w plecy. Benny otarł twarz rękawem. Bardzo się pocił w swojej flanelowej koszuli.

– Dlaczego nie zdejmiesz koszuli? – spytałam. – Masz pod nią jakiś T-shirt, prawda?

Skinął głową. Rozpiął grubą flanelę i ściągnął z siebie. Powiesił ją na gałęzi drzewa wystającej ponad skałą, na której siedział, po czym położył się na brzuchu.

– Jakie tam są ryby? – zapytał, wpatrując się w wodę.

– Nie wiem – odpowiedziałam, otwierając pudełko na haczyki.

– Zjadłem kiedyś rybę, która była zgniła w środku.

– Podaż mi wędkę? – Wskazałam w kierunku drzewa.

Sięgnął po wędkę i ją podał.

– Wziąłem kęs i prawie się porzygałem.



– Nie była zgniła, Benny. Ona wciąż była zmrożona w środku. Nie pamiętasz? To była ryba ze sklepu spożywczego.

– Nienawidzę paluszków rybnych.

– Wiem.

– Naprawdę ich nienawidzę.

Wybrałam haczyk, który zawiązałam na końcu żyłki. Zupełnie nie wiedziałam, co robić, ale coś mi mówiło, że postępuję, jak należy.

– Czy możesz podać mi puszkę po kawie?

– Co tutaj masz? – zapytał Benny, odczepiając plastikową pokrywkę.

– Robaki. Podaj mi puszkę.

– Blee... robaki! – zapiszczał, podając ją.

– Cicho – powiedziałam, spoglądając w stronę punktu widokowego, aby upewnić się, że nie przygląda się nam żaden turysta.

Nigdy wcześniej nie wbijałam robaka na haczyk. To nie jest takie proste, jak się wydaje. Jeden z nich wił się tak mocno, że wyslizgnął mi się z ręki i wpadł do wody. Udało się za drugim podejściem. Od tej chwili mogliśmy jedynie czekać.

*Oto Benny. Nachyla się nad potokiem. Podziwia, jak woda zmienia kształt jego dłoni. W potoku odbija się tak dużo światła słonecznego, że przypomina on kolorowe szkło. Benny nie wydaje z siebie ani słowa. Milczy jak nigdy wcześniej. Kiedy zamyka oczy, czuje ciepło słońca na swoich powiekach.*

Wiedziałam, że niczego nie złapiemy, ale to nie było naszym celem.

– Chcesz zobaczyć, co znalazłem? – zapytał Benny.

– Jasne.

Wstał i podszedł do drzewa, gdzie wisiała jego koszula. Wyjął coś z kieszeni.

– Znalazłem dziś rano na podłodze. – Otworzył dłoń. Leżała na niej ćma.

To była jedna z tych dużych ciem, które pojawiają się w nocy, jeśli ktoś nie domknie moskitiery. Niezdarnie odbijają się od ścian

w poszukiwaniu światła. Na ganku przy lampce dało się czasem naliczyć siedem takich nocnych motyli unoszących się wokół gołej żarówki.

– Dam go Lily, kiedy wróci ze szpitala. Lubi motyle.

– To nie... – zaczęłam, ale przerwałam.

Patrzył na ćmę leżącą na jego dłoni i głaskał ją swoimi wielkimi palcami po delikatnych skrzydełkach.

– To miłe z twojej strony, Benny. Na pewno jej się spodoba.

– Jest bardzo chora – powiedział, patrząc na mnie. – Może umrzeć.

– Nie umrze – odparłam.

– Ale może – obstawał przy swoim, a ja nie miałam ochoty dłużej się spierać.

– Włóż ją z powrotem w kieszeni – poradziłam. – Nie chcesz jej przecież zgubić.

Benny odłożył ćmę do kieszeni koszuli i usiadł obok mnie na skale.

– Tam chyba są jakieś ryby – zauważył, wskazując głową.

Wzruszyłam ramionami. Benny chciał popływać, ale nurt był teraz zbyt silny, a woda zbyt wysoka.

– Zanurz nogi, jeśli chcesz – zaproponowałam. – Popływasz, jak będzie mniej wody.

– Czy będzie jej mniej dzisiaj? – zapytał z nadzieją, walcząc z kaloszami.

– Dzisiaj nie.

Po jakimś czasie się poddałam. Spojrzałam na zegarek: była jedenasta trzydzieści. Lada moment mama wyjedzie do szpitala. Możemy zacząć zbierać się do domu.

– Wracamy, co? – zapytałam. – Jak myślisz? Na dzisiaj dość?

Zanim mój brat zdążył odpowiedzieć, nad nami rozległ się grzmot. Niczym uderzenie w policzek. Benny zakrył sobie uszy.

– Zbierajmy się – zdecydowałam, wyciągając wędkę z wody. Po robaku nie było śladu. Zauważyłam, jak się oddala, unoszony przez prąd. Biały i bezwładny. Zamknęłam pudełko. Kolejne uderzenie pioruna było bliższe i głośniejsze. Zabrzmiało jak ostrzeżenie.

Zaczął padać, zanim Benny wciągnął swoje olbrzymie kalosze. Gilotyny wody przechodziły przez korony drzew. Benny potknął się, upadając do przodu z wyciągniętymi rękami. Kiedy wstał, włosy miał przyklejone do czoła. Otworzył usta i pozwolił, żeby deszcz mu je wypełnił. Stałam i wyciągnęłam rękę.

– No dalej, Benny.

Wbiegliśmy po śliskiej skarpie. Buty mojego brata wydawały z siebie dźwięki podobne do ssania, ilekroć uderzał stopą o mokrą trawę lub błoto. Zanim dotarliśmy do autostrady numer 79, byliśmy mokrzy i pokryci błotem. Kilka samochodów śmignęło obok nas, przebijając ciemność światłem reflektorów.

– Nie wziąłem koszuli – powiedział.

– Nic się nie stało – próbowałam go pocieszyć. – Wrócimy po nią później.

– Tam jest motyl dla Lily.

– Znajdziemy innego. – Jego twarz była poważna. – Obiecuję.

Zaczął uderzać pięściami o głowę. Jego podkoszulek był tak mokry, że mimo grubej bawełny wyraźnie było widać zebra.

– Przestań – poprosiłam.

Kolejny samochód przejechał obok, ochlapując nasze stopy zimną wodą.

– Miałem tylko tego! – zawołał, szarpiąc za włosy.

– Mówiłam ci, żebyś przestał – zirytowałam się.

Deszcz uderzał o moją skórę niczym tysiące małych pięści.

Oto Benny. Stoi przy drodze w kaloszach, w przemokniętym podkoszulku przyklejonym do niego niczym druga skóra. Ma czternaście lat i jest wysoki jak tata. Płacze jak dziecko. Ciągnie się za włosy. Dla ludzi przejeżdżających obok i obserwujących nas przez szyby samochodów to wszystko nie ma najmniejszego sensu. Patrząc przez zalane deszczem szyby, można pomyśleć, że Benny nie jest chłopcem, tylko dorosłym mężczyzną. Dopiero gdy się zwolni, można zobaczyć, że to jeszcze dziecko. Jedynie opuszczając szyby, zauważa się, że deszcz wszystko wypacza.

Kobieta, która się zatrzymała, miała na sobie niebieską koszulę ze srebrnymi kwiatami wyhaftowanymi na kołnierzyku. Jej usta

zdobiła brzoskwiniowa szminka. Opuściła szybę. Uśmiechała się.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytała Benny’ego.

Benny wciąż płakał, ciągnąc się za uszy i włosy.

– Nic mu nie jest – zapewniłam.

– Na pewno? – dopytywała. – Nie wygląda za dobrze.

– Wszystko jest okej. Wracamy do domu.

– Podwieźć was do domu? – zapytała, kręcąc głową.

Jej włosy były matowe. Na czubku głowy pełnej ciemnych loków widać było białe smugi.

– Naprawdę nie trzeba – odparłam. Musiałam mocno mrugać, gdyż woda napływała mi do oczu. – Mieszkamy zaraz za tą drogą.

– Ty jesteś Indie Brown, prawda? – zapytała, wyciągając rękę w moim kierunku. – Mam na imię Cathy. Jestem ciotką Starry.

Poznałyśmy się, kiedy przyszedł do Starry na noc, pamiętasz?

Przypomniałam sobie. Ona i mama Starry planowały wtedy jakieś przyjęcie. To ona pokazała Starry, jak używać eyelinera, i to ona dała jej nowiuteńki gramofon na zeszłoroczne Boże Narodzenie.

– Ach, tak. Dzień dobry – przywitałam się.

– Podrzucę was, co?

Benny zaczął szarpać mnie za łokieć.

– Chodź, pojedziemy zobaczyć się ze Starry – odezwał się cicho.

– Nie, Benny.

Piorun podzielił niebo na dwie części. Benny zasłonił sobie uszy i zaczął się kiwać w przód i w tył.

– Bardzo dziękujemy – odparłam i odwróciłam się do brata. – Chodźmy.

– W porządku – dała za wygraną Cathy i podniosła szybę w samochodzie. – Do zobaczenia później.

– Powiedziałam: chodźmy!

Cathy odjechała, a ja poszłam z Bennym do domu. Nie zaoferowałam mu niczego czystego i suchego, gdy znaleźliśmy się w środku, mimo że widziałam jego rzeczy na suszarce. Nie wytarłam mu też włosów. Zamknęłam się w łazience, żeby zrobić sobie gorącą kąpiel. Zamierzałam zostać w wannie, dopóki nie wróci mama. Będzie siedziała tak długo, aż poczuję, jak moja skóra się odpręży.

Odkręciłam kran tak mocno, jak tylko się dało, i przekręciłam go tak, aby leciała jak najgorętsza woda. Patrzyłam na swoją twarz w lustrze, aż zniknęła za kurtyną z pary. Otworzyłam szufladę mamy, gdzie znajdowała się moja ulubiona sól do kąpieli. Różowa, o zapachu róży. Wsypałam ją do wody i patrzyłam, jak powoli się rozpuszcza, niczym cukierki.

Nastawiłam radio na pełen regulator i zrzuciłam z siebie ubrania. Włożyłam jedną nogę do wanny, ale ją stamtąd wyciągnęłam, od razu zrobiła się czerwona. Po chwili włożyłam ją ponownie, zagryzając wargę.

Ignorując wysoką temperaturę, usiadłam i pozwoliłam, żeby moje ciało przyzwyczało się do gorąca. Wanna wypełniła się po same brzegi, gdyż tata uszczelnił wszystkie otwory odpływowe, kiedy w zeszłym roku mieliśmy przeciek.

Odchyliłam głowę do tyłu i zanurzyłam się. Oczami wyobraźni widziałam matowe końcówki włosów Cathy. Wyglądała trochę jak ta pani, która przegrała ze mną turniej bilardowy w barze U Rusty'ego. Zacisnęłam oczy jeszcze mocniej, aż oba widma zniknęły. Wyobraziłam sobie, jak odlatują niczym para wodna. Przezroczyste duchy.

W łazience było tak gorąco, że ledwo dało się oddychać. Nie chciało mi się wstawać i otwierać okna. Nie chciałam w ogóle wychodzić z wody. Zanurzyłam się jeszcze głębiej. Poczułam, jak krawędź wanny wpija mi się ramiona. Woda ostygła na tyle, że oczy mnie nie piekły, gdy je otwierałam. Tak zanurzona widziałam kostium Lily. Srebrne dodatki i jej batuta rozcinająca powietrze niczym błyskawica. Widziałam też srebrzyste skrzydła ćmy, którą znalazł Benny. Martwą i zakurzoną, leżącą na podłodze w jego sypialni.

Usiadłam i przetarłam oczy, które piekły mnie od gorąca i soli w wodzie. Sięgnęłam po ręcznik i próbowałam wytrzeć twarz. Otworzyłam okno i wpuściłam zimne powietrze, żeby pozbyć się pary z łazienki. Na zewnątrz wciąż padało. Słyszałam grzmoty. Były teraz dalej, ale za to bardziej regularne.

Zanim weszłam do kuchni, wiedziałam, że Benny'ego nie ma

w domu. Wiedziałam to, zanim zrzuciłam ręcznik i wciągnęłam dżinsy, bluzę i parę kłapek leżących przy drzwiach. Wyczułam to, podobnie jak burzę, że się ma ku końcowi. Drzwi wejściowe zatrzasnęły się za mną. Pobiegłam prosto do lasu, mijając zalane pole pełne ciężkich słoneczników. Biegłam i płakałam, widząc świeże ślady zrobione przez stopy Benny'ego w kaloszach taty. Każdy mój oddech brzmiał w klatce piersiowej niczym grzmot, gdy dotarłam wreszcie do torów.

28 lipca 1978 roku. Mountain View, Arizona. *Oto Benny. Potyka się i spada w dół skarpy, tam gdzie zostawił swoją koszulę flanelową. Sięga do kieszeni po motyla. Zostawi go na poduszce Lily, a gdy siostra wróci ze szpitala, będzie na nią czekał. Bardzo uważa, żeby go nie zmiążdżyć, kiedy ponownie chowa go w kieszeni i wkłada koszulę. Nie pada już tak mocno. Odczuwa przyjemne uczucie na szyi i dłoniach. Wspina się po skarpie i podąża wzdłuż drogi, aż będzie mógł bezpiecznie przejść. A potem biegnie tak szybko, jak to możliwe, w poprzek chodnika. Przy torach zachowuje się tak jak zawsze. Klęka na ziemi i nasłuchuje pociągu. Słyszy jedynie odległe grzmoty. Przyciska mocniej ucho do szyny, żeby się upewnić. Dalej słyszy jedynie odległe grzmoty przemijającej burzy. Jest cicho. Słyszy tylko swój oddech. Odgłosy skrzydeł ćmy obijają się o jego piersi. I tak przekracza tory, uważając, aby się nie poślizgnąć i nie upaść. Światło, które zbliża się ku niemu, może być równie dobrze słońcem wyłaniającym się z ciemności. Gwizdać może jedynie wiatr między drzewami. Dudni tylko burza pod stopami. A potem znowu nastaje cisza i nie słychać już żadnego dźwięku. Nawet oddechu.*

Po tym, jak Benny odszedł, znalazłam w jego portfelu zdjęcia, które razem zrobiliśmy w budce. Były zmięte, leżały w jednej z przegródek. Na pierwszym zdjęciu twarz mojego brata była jedynie plamą. Na drugim w ogóle go nie było. Rozpaczam nad zagubioną fotografią, tą, która wypadła mu z dłoni, gdy byliśmy na górze diabelskiego młyna. To jednak wyjątkowe, że tak dobrze pamiętam tamto wydarzenie. Zazwyczaj wspomnienia są niewyraźne jak twarz Benny'ego na zdjęciu. Chwile jasnego światła są rzadkie i cenne. To jest to, czego nauczył mnie piorun.

\*

Było zimno i słonecznie, a na ulicach pełno ludzi obładowanych torbami na zakupy. Esmé szła przed nami, oglądając wystawy sklepowe. Dostała specjalną kartę, na którą przelewała po pięć dolarów tygodniowo przez cały rok. Trzymała kolorową kopertę wypełnioną oszczędnościami.

Zawsze chodzimy z Peterem na zakupy w weekend tuż po Święcie Dziękczynienia. Zazwyczaj jesteśmy wtedy w Bar Harbor u jego rodziny, więc wracamy do domu z siatkami pełnymi tandetnych pamiątek: rzeźbami wykonanymi z muszelek, gumowymi homarami, pozytywkami z napisem „Bah Hahba”. W tym roku to my zaprosiliśmy Esmé do miasta. Uważała, że to doskonała okazja. Bar Harbor był dla niej tak porywający jak wizyta u dentysty. Zabraliśmy ją do miejsc, które wydawało się, że polubi. Sklep ze szkłem artystycznym, vintage shop, księgarnia. Na lunch udaliśmy się do Łabędzia, żeby mogła się zobaczyć z Joem. Poleciała do kuchni, gdy tylko weszliśmy do środka, a Peter udał się do biura, aby zabrać jakieś dokumenty do pracy na później.

Wybrałam dla nas stolik przy oknie z widokiem na ruchliwą drogę.

Patrzyłam przez okno na ulice pełne świątecznych dekoracji. W lokalu było bardzo ciepło. Zdjęłam kurtkę i poszłam sprawdzić, jakie specjały oferuje dzisiaj kuchnia, wypisane kredą na tablicy.

– Cześć, Indie – powiedziała Julia.

Była jednym z nielicznych pracowników, którzy mieszkali w mieście i pracowali w święta. Pozostali w tym czasie rozjeżdżali się do domów. Miała na sobie jasny czerwono-zielony sweter i gałązkę ostrokrzewu we włosach.

– Hej. – Uśmiechnęłam się. – Co macie dzisiaj dobrego?

Nachyliła się przez ladę i szepnęła:

– Nie bierzcie minestrone. Joe przesadził z goździkami.

– Słyszałem to! – dobiegł nas z kuchni głos Joego.

– Czy mogę dostać miskę zupy brokułowej z cheddarem i pieczywem cebulowym?

– Minestrone jest zupełnie w porządku – dodał Joe.

Widziałam przed wejściem jego zaparkowany rower. Nadal codziennie na nim przyjeżdżał, nawet mimo obfitego śniegu.



Przyniosłam do stolika zupę i pieczywo. Peter i Esmé dołączyli do mnie z talerzami parującej lasagne Joego. Szpinak, sos Alfredo i trzy rodzaje sera. Peter przyniósł też butelkę wina, którą szybko wypiliśmy. Na deser zamówiliśmy ciasto z rumem, a Esmé stwierdziła, że musi wrócić do księgarni po książkę na prezent dla swojej współlokatorki.

– Zostańcie tu i poczekajcie na mnie – poprosiła. – Indie wygląda, jakby miała się już dzisiaj nigdzie nie ruszać.

To była prawda. Mimo że nie byłam już przeziębiona, czułam się ciągle zmęczona.

– Grają coś dzisiaj w kinie? – spytałam.

– A na co masz ochotę?

Peter uśmiechnął się i złapał mnie za rękę. Dotknął mnie po raz pierwszy od kilku dni.

– Co byś powiedział na *Rzymskie wakacje*? – zasugerowałam.

W kinie było raptem kilka osób. Głównie mężowie robiący sobie przerwy od swoich żon buszujących po centrum handlowym.

Usiedliśmy z tyłu, na fotelach, które znaleźliśmy w sklepie z antykami w Portsmouth, New Hampshire. Miały trochę rozdartą tapicerkę, ale były to dwa najwygodniejsze fotele w tym kinie.

Od zawsze uwielbiałam ten film. Podobał mi się pomysł, że księżniczka stara się być przez jeden dzień normalną dziewczyną. Zazwyczaj bywa na odwrót. Wydaje mi się, że każdy z nas potrzebuje takiej ucieczki raz na jakiś czas. Udawać, że jest się kimś innym.

Peter trzymał mnie za rękę przez cały film, głaszcząc między palcem wskazującym a kciukiem.

Esmé była w tym czasie w kawiarni, gdzie piła piwo z Joem.

Słońce zaszło i drzewa wzdłuż ulicy zostały splecione białym musującym światłem. Witrynę kwiaciarni po drugiej stronie ulicy udekorowano okropnymi elektronicznymi wiewiórkami. Ich skrzypiące głosy śpiewały kolędy w przyśpieszonym tempie.

Restauracja była pusta i Julia składała krzesła, żeby wytrzeć podłogę.

– Zamykacie dziś wcześniej? – zapytałam.

Peter skinął głową.

– Niech wszyscy wrócą do domu i odpoczną. Sezon świąteczny oficjalnie uważam za otwarty, a to oznacza, że nie będzie wolnego aż do Nowego Roku. Chcesz piwa, Indie?

– Jasne.

Wyciągnął sześciopak i postawił go na stole. Joe otworzył piwo otwieraczem do butelek, który trzymał zawsze w kieszeni fartucha, a Esmé postanowiła wznieść toast.

– Pragnę złamać tradycję – oznajmiła. – To totalnie przebija grzane wino mamy.

– Słuchajcie, słuchajcie – powiedział Peter.

Musiałam się zgodzić. Mama Petera od zawsze przygotowywała pikantne grzane wino, które nigdy specjalnie mi nie smakowało. Peter nachylił się i pocałował mnie w policzek. Poczułam, jak robi mi się gorąco. To jest mój dom. To jest moje. Nie pożyczyłam tego od nikogo. Sama to zrobiłam.

Peter zamknął drzwi i obrócił tabliczkę z napisem „ZAMKNIĘTE”. Kilka osób podeszło i sprawdziło godzinę na swoich zegarkach, ze zdziwieniem patrząc przez szybę. Normalnie Peter by ich wpuścił, ale dzisiaj było specjalne święto. Wzruszył tylko przepraszająco ramionami i pomachał do nich przez szybę. Kiedy przed drzwiami pojawił się mężczyzna opatulony tak mocno, że wydawało się, iż nosi koce pod płaszczem, spodziewałam się, że zachowa się tak samo.

Mężczyzna szarpał jednak drzwi, a gdy zdał sobie sprawę, że są zamknięte, zaczął uderzać w szybę. Śnieg wokół niego opadał w postaci grubych białych płatków. Ramiona i kaptur mężczyzny były pokryte białym puchem. Peter podszedł do wejścia. Nie pomachał do niego ani go nie spławił.

– Powiedz mu, że już zamknięte – rzekła Julia z westchnieniem.

Już nie raz widziała, jak Peter wpuszczał zmęczonych i zmarzniętych ludzi długo po zamknięciu lokalu.

I tym razem sięgnął do kieszeni po klucz i szybko otworzył drzwi. Kiedy mężczyzna wszedł do środka, zauważyłam, że to, co skrywał pod płaszczem, to nie były koce. On miał ze sobą dziecko. Znane

nam dziecko.

– Rich – powiedziałam, czując, jak serce podchodzi mi do gardła.

– Mój Boże.

Koniec listopada, 1999 rok. Phoenix, Arizona. *Lily Hughes z Phoenix w Arizonie, po miesiącach zaprzeczania, w końcu przyznaje się do wielokrotnego podduszania swojej dziewięciomiesięcznej córki Violet Hughes. Po długiej rozmowie telefonicznej ze swoją siostrą Mirandą Brown z Echo Hollow, w stanie Maine, pani Hughes została rzekomo przyłapana na gorącym uczynku przez męża Richarda Hughes w Święto Dziękczynienia (około północy). Znajdowała się wtedy w pokoju dziecięcym, trzymając poduszkę przy twarzy dziecka. Zapytana wprost przez męża pani Brown zaczęła przypatrywać się z niedowierzaniem swoim rękom. Tak jakby nie należały do niej, jak gdyby to w ogóle nie były jej ręce. Chwilę później wróciła jej świadomość i pani Brown wyszeptała jedynie: „Uratuj ją” czy też: „Zabierz ją”. Mogło to zabrzmieć jak prośba, bo zrobiła to w delikatny sposób. Mogła równie dobrze powiedzieć: „Obwiniaj ją”. Ubrana jedynie w nocną koszulę wyglądała jak mała przestraszona dziewczynka. Dziewczynka, która przeprosza jak kobieta.*

\*

Rozumiem piorun. Nie boję się, gdy niebo otwiera się i oślepia moje oczy deszczem. Nie boję się jego białych palców czy też pocałunku elektrycznego. Mam umowę z niebem. Ciche porozumienie.

Po odejściu Benny'ego. Po pociągu. Nauczyłam się tańca deszczu. Na zniszczonym placu zabaw na tyłach naszego domu wybijałam rytm stopami, domagając się sympatii ze strony nieba. Nakładałam pióropusz Benny'ego i pragnęłam, żeby moje stopy przypomniały sobie tańce z naszych wycieczek terenowych. Indiańskie tańce ludowe. Zaplatałam swoje czarne włosy w warkocze mojej wymyślonej indiańskiej matki, a na twarzy malowałam szminką znaki tego, kim być powinnam. Robiłam kręgi dookoła zardzewiałej huśtawki, wznosząc czerwone chmury pyłu, wołając głosem moich wyimaginowanych przodków. Niedługo po tym niebo odpowiedziało gromkimi przeprosinami. Chmury najpierw zaślepiły, a następnie zdusiły słońce. Gdy przyszedł deszcz, a pierwsza smuga światła podzieliła niebo, trzymałam się za ramiona i wirowałam. Moje brązowe gołe nogi były mokre i zimne. Deszcz wlewał się do moich otwartych ust, wypełniając gardło. Następnie niebo się otworzyło i pokazało swoje wnętrza. Zajrzałam do jego brzucha i dotknęłam światła.

Tata znalazł mnie w polu słoneczników, skuloną i moką, z piórami z pióropusza Benny'ego przyklejonymi do mojej skóry, które sprawiały, że wyglądałam jak dziwny karmazynowy ptak. Wziął mnie na ręce i zaniósł do domu. Gładził moje mokre włosy i o nic nie pytał. Może wiedział, że piorun napisał słowa wyjaśnienia, które tylko ja mogłam odczytać. Że ta elektryczna historia, którą stworzył, była żywsza i prawdziwsza niż jakakolwiek historia, którą ktokolwiek mógłby opowiedzieć.

\*

Peter wstał o trzeciej, żeby iść do pracy. To było dziwne uczucie ponownie wejść w naszą rutynę. Słuchałam z zamkniętymi oczami niemal zapomnianych dźwięków jego pobudki. Skrzypienia sprężyn łóżka, kiedy na nim siadał, i tego, jak włączał lampkę na stoliku nocnym. Ciszy oczekiwania, aż jego oczy przyzwyczają się do światła. Szelestu wciąganych przez niego dzinsów, wełnianego drapania rozpinanego swetra. Kiedy ponownie usiadł, a potem położył się obok mnie, czułam od niego zapach lasu. W jego ubraniu, skórze, oddechu.

– Kocham cię – wyszeptał.

Słowa, które smakowały jak sosna. Jego ramiona złożyły się dookoła mnie niczym skrzydła. Pociągnęłam go za nadgarstki, aby objął mnie jeszcze mocniej.

– Nie masz nic przeciwko? – spytałam. – Jesteś pewien, że to jest w porządku?

– Przysięgam – odparł, a jego słowa coraz bardziej zaplątywały się w moje włosy.

To byłoby tylko na tydzień lub dwa, tylko na tyle, aby Rich mógł się zadomowić u swojego brata w Bostonie. Jego brat kierował oddziałem firmy budowlanej ich ojca na Wschodnim Wybrzeżu. Powiedział mu, że może się u niego zatrzymać i dla niego pracować. W ten sposób Rich będzie mógł być z Violet. W ten sposób cały czas będzie miał na nią oko. Kiedy Peter wyszedł, wstałam i na palcach przeszłam do salonu, gdzie Rich i Violet wciąż spali. Peter rozpałił ogień, żeby było im ciepło. Stałam plecami do kominka i czułam, jak ciepło przenika przez moją flanelową piżamę. Na zewnątrz było jeszcze ciemno. Na niebie nie było ani gwiazd, ani księżyca. Stanowiło to preludium do kolejnej śnieżycy.

Violet pochrapywała cicho, leżąc na plecach z rękoma wzniesionymi nad głowę w kołysce, które złożyliśmy poprzedniej nocy. Biały koc, który znalazłam w skrzynce z napisem „Pościel”, był teraz przy jej stopach. Prawdopodobnie ściągnęła go z siebie zaraz po tym, jak Peter dołożył kolejne polano do ognia. Rich spał w podobnej pozycji, z ramionami ponad głowę i lekko otwartymi ustami. Nie mieścił się na kanapie. Jego nogi sterczały spod ciężkiej

kołdry. Gdy się obudzi, na pewno wszystko będzie go bolało. Plecy będą mu dokuczać cały dzień. Teraz jednak spał spokojnie.

Weszłam do kuchni. Dzbanek był jeszcze gorący. Nalałam sobie filiżankę kawy i spojrzałam na rzeczy Violet ułożone na stole w kuchni. Starannie oznakowane pudełka: śpiochy, piżamy, pieluchy, zabawki. Fotelik i składany kojec na podłodze. Wózek dziecięcy i miękka różowa torba do przenoszenia niemowląt. Pudełka z butelkami i opakowania z mlekiem w proszku.

Wyobrażałam sobie Richa jako kobietę, która zaczyna potajemnie odkładać resztę z zakupów spożywczych do tajnej szuflady. Która pakuje do walizki ubrania, bieliznę i buty na cały tydzień. Która ćwiczy wychodzenie z łóżka i chodzenie do drzwi, podczas gdy jej mąż śpi, z wciąż zaciśniętymi pięściami. Czeka, aż on znów wybuchnie, aby mogła się uwolnić i ruszyć w prawdziwą podróż.

Musiał być na to przygotowany. Przez cały czas wiedział, że to się powtórzy. Oczami wyobraźni widziałam też Lily, która budzi się i zdaje sobie sprawę, że Rich i Violet odeszli. Wyobraziłam sobie, jak nasłuchuje odgłosów w nadziei, że usłyszy coś więcej niż tylko szum klimatyzatora czy własne oddechy. Jednak, podobnie jak mężczyzna, którego żona w końcu zostawia, również Lily musiała w głębi duszy wiedzieć o planowanej ucieczce. Na jej twarzy nie pojawia się ani zaskoczenie, ani zdumienie, lecz – co dziwne – ulga.

Violet obudziła się pierwsza. Słyszałam jej niewyraźny oddech, pierwszy delikatny jęk, który oznacza, że robi się głodna. Rich pojawił się w kuchni chwilę później, podgrzał sztuczne mleko, i wytarł śpiochy z oczu. Usmażyłam gryczane naleśniki z mieszanki, którą przygotował Peter i zostawił mi wraz z przepisem w lodówce. Rich jadł łapczywie, jakby napełniał swoje ciało przed dużym wysiłkiem. Jedną ręką pakował grube brązowe placki do ust, a drugą trzymał Violet. Kiedy zaczął padać śnieg, wyjrzał przez okno i się skrzywił.

– Nie mam opon zimowych – powiedział. – Chyba powinienem niedługo wyruszyć.

Kiwnęłam głową, a on podał mi Violet. Wzięłam ją. Zaskoczyło

mnie, jak ciężkie było jej ciało. Trzymałam ją przy swojej piersi, a jej główka instynktownie spoczęła na moim ramieniu.

Rich sprawdził linki przytrzymujące bagaże na dachu samochodu. Zeskrobał lód z szyby i uruchomił silnik. Z rury wydechowej wydobywały się spaliny. Na dworze było niesamowicie biało z powodu chmur śniegowych wypełniających niebo.

Rich stał w drzwiach domu. Nie chciał puścić małego palca Violet. Jego twarz była zmęczona, ale spokojna. Odczuwał ulgę.

– Czy jesteś pewna, że to jest w porządku? – zapytał ponownie.

– Jedź – ponagliłam go. – Zadbamy o nią.

– Zadzwoń, kiedy dotrę do Bostonu – powiedział, rozluźniając uścisk. – To nie powinno zająć mi więcej niż tydzień, aby tam się zadomowić. Jeśli będziecie mnie potrzebować, numer telefonu mojego brata jest na liście. Jego numer firmowy także. Włączę też telefon samochodowy. To chyba najlepszy sposób, żeby mnie odnaleźć.

– Nie martw się – powtórzyłam. – Będzie jej tu dobrze.

– Wiem – stwierdził Rich, wyciągając swój płaszcz i wkładając ręce do kieszeni. – Dziękuję ci.

Zamknęłam drzwi, kiedy reflektory auta Richa zniknęły za drzewami. Drżałam z chłodu, który dostał się do naszego ciepłego domku. To nie trwało długo. Zima potrafi czasem przeniknąć nawet najgrubsze mury.

Zaniosłam Violet do salonu. Ogień rozpalony przez Petera trzaskał wewnątrz żeliwnego pieca. Położyłam ją w jej łóżeczku i poszłam do telefonu w kuchni, żeby zadzwonić do Lily. Rich mnie o to poprosił. Wiedział, podobnie jak ja, że była zbyt słaba, aby się kłócić. Wiele rzeczy odziedziczyła po mamie, tylko nie jej upór. Wiedziała, jak odpuszczać. Kiedy myślałam o słowach, które bym jej powiedziała, przyszły mi do głowy: „nie martw się”, „bezpiecznie” i „dbać”. Myślałam także o słowie „przepraszam”. I „wybaczyć”. Ale kiedy odebrała telefon, pogubiłam je wszystkie.

– To ja – odezwałam się.

Słyszałam jej oddech, ale nic nie mówiła.

– Violet jest tutaj... Rich chciał, żebym ci przekazała...

Cisza.

– Lily, on chce wiedzieć... Chciał, żebym ci przekazała, że cię kocha, ale boi się... boi się o Violet. Może jeśli zobaczysz się z kimś, być może, jeśli ci się polepszy...

Jej głos był miękki, jak u dziecka, ale mnie zaskoczył.

– Kiedy Benny zmarł, ona się zatrzymała, wiesz o tym.

Kiwnęłam głową, zamykając oczy.

– A ja czułam się tak, jakby już mnie nie kochała. Czasem nie odzywała się do mnie przez wiele dni. Nie dotykała mnie. Cały ten smutek w naszym domu. Pamiętasz go?

Pamiętałam. Trzymaliśmy się tego smutku. Przywarliśmy do niego. On nas definiował.

– Czułam się niewidzialna.

To było coś, co mogłam zrozumieć, tę nieprecyzyjną niewidzialność. To uczucie, które pamiętałam z dzieciństwa, kiedy mama mogła przechodzić rankiem przez otwarte drzwi mojej sypialni i nawet nie pamiętała, że leżałam tam i czekałam, aż mnie obudzi. Kroki i pukanie do drzwi. „Wstawaj, Indie”. Pusty odgłos jej stóp na podłodze oddalających się ode mnie. Jakim cudem Lily mogła poznać tę przejrzystość? Czy to możliwe, że ona też czuła się niczym czysta szyba, kiedy ptak łamie o nią swoje skrzydła lub szyję?

– Indie, ona była jedynym, co kiedykolwiek miałam. Co należało do mnie. Ty miałaś Benny’ego i miałaś mamę. Ale kiedy Benny umarł, też ją straciłam. I nienawidziłam cię za to, co się stało z Bennym. Nienawidziłam cię za zostawienie go samego.

– To mama zostawiła nas samych, nie ja.

Bolało mnie gardło. I po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że to nie była moja wina. To nigdy nie była moja wina.

– Słuchaj. – Lily podniosła głos. – Nienawidziłam siebie. Nienawidziłam siebie, a potem nienawidziłam mamy.

Spojrzałam na śpiącą w łóżeczku Violet.

– Wiedziałam, że będę okropną matką – mówiła dalej. – Ale Rich nalegał. Chciał mieć dużą rodzinę. Podobną do jego rodziny. Powiedziałam mu, że nie wiedziałabym, co zrobić z dzieckiem.



Powiedziałam mu. – Rozpłakała się.

A ja pomyślałam o tym, jak Peter raz dotknął mojego brzucha, gdy powiedziałam mu, że spóźnia mi się okres. Przypomniałam sobie jego pełne nadziei oczy i to, jak zmienił się na twarzy, gdy odepchnęłam jego dłoń. Obawy mojej siostry nie różniły się od moich.

– To dobre – stwierdziła Lily. Jej głos był teraz silniejszy, bardziej pewny. – Co zrobił.

Violet wierciła się w drugim pokoju.

– Co mogę zrobić? – zapytałam.

I po raz pierwszy od dłuższego czasu poczułam determinację. Jakbym miała coś ważnego do zrobienia. Poczułam się potrzebna.

Lily zamilkła na chwilę, a potem szepnęła:

– Proszę, powiedz Violet, że ją kocham. Że wydobrzeję. Obiecuję.

Kiwnęłam głową, ściskając powieki, powstrzymując łzy przed ucieczką. To były przeprosiny; to było słowo „przepraszam”. Słowo, którego mama nigdy nie wypowiedziała. Odłożyłam słuchawkę, podeszłam do łóżeczka Violet i podniosłam ją. Usiadłam ostrożnie na kanapie i zawinęłam nogi pod kołdrą, która, ku mojemu zaskoczeniu, wciąż była ciepła. Violet wierciła się w moich ramionach, wyciągając główkę, aby na mnie spojrzeć. Trzymałam ją tak, żeby mogła mnie zobaczyć, a ona otworzyła szeroko oczy. Widziałam Lily w jej twarzy. W małych kościach nosa. W głębokiej niebieskości jej oczu.

– Cześć – powiedziałam.

Spojrzała na mnie i wysunęła główkę i ciało do przodu. Wtuliła się w moją pierś i oparła głowę na moim karku. Odsunęłam włosy od twarzy i odchyliłam się. Po chwili jej ciało rozluźniło się i stało się cięższe. Spała, leżąc na mojej piersi. Nie poruszyła się, nawet kiedy odwinęłam nogi i wyciągnęłam je przed siebie. Tylko trzymała się piąstkami moich włosów i powoli oddychała w moje ramię.

Zadzwoił telefon, a ja wiedziałam, że to musi być Peter, który dzwoni, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku. Widziałam go, jak stoi w kuchni i czeka, aż odbiorę. Próbuje zupy z wołowiną, którą Joe gotował zimą w każdą niedzielę. Mógł pomyśleć, że śpię.

Mógł pomyśleć, że poszłam na spacer. Ale nie martwiłby się i za to go kochałam. Bo naprawdę wierzył, że umiem zadbać o siebie. Że jestem bezpieczna. Zostawiłam telefon, żeby dzwonił. Nie chciałam zakłócać głębokiego snu Violet. Zadzwonię do niego później i poproszę, żeby przyniósł do domu trochę zupy na kolację.

*PRAWIE ZIMA. Echo Hollow, Maine. Na zewnątrz niebo powoli wypełnia się światłem, któremu towarzyszy śnieg. Tym razem niebo jest dla nas łaskawe. Białe światło oświetla jasną skórę dziecka. Instynktownie głaszczę je po plecach. Opowiadam mu historię o tym, jak Wilk przyszedł do wioski. Kiedy przyszedł, bardzo łatwo się go pozbyli. Wszystko, co pozostało, to rzeczy do naprawienia, skradzione rzeczy do oddania i rzeczy, które należy przebaczyć.*

---

<sup>1</sup> Przeł. Krzysztof Cieślik.

<sup>2</sup> *Nietas* – (hiszp.) wnuczki.

<sup>3</sup> *Ay, que bonita* (hiszp.) – Ach, jaka piękna.

Przekład: Klementyna Wohl  
Redakcja: Julia Celer-Szczepaniak  
Korekta: Anita Rejch, Agnieszka Jędrzejczak-Sprycha  
Projekt okładki: Izabella Marcinowska  
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Rekha Garton/Arcangel Images

Skład i łamanie: [www.pagegraph.pl](http://www.pagegraph.pl)  
Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)

[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-3755-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

**virtualo**